

KURTYNA

(PRZEŁOŻYŁA ANNA SZERYŃSKA)

SCAN-DAL

ROZDZIAŁ I

CZY ISTNIEJE NA ŚWIECIE CZŁOWIEK, KTÓRY NIGDY NIE DOZNAŁ NAGŁEGO OSTREGO WRAŻENIA, I przeżywa coś powtórnie, że raz jeszcze ogarnia go znajome uczucie?

Już kiedyś tak było...

Dlaczego te słowa zawsze tak głęboko nas wzruszają?

ZADAWAŁEM SOBIE TO PYTANIE, SIEDZĄC W POCIĄGU I SPOGLĄDAJĄC PRZEZ OKNO NA PŁASKI KRAJOBRAZ hrabstwa Essex.

ILE TO LAT TEMU ODBYWAŁEM IDENTYCZNĄ PODRÓŻ? SĄDZIŁEM WÓWCZAS - JAKIE TO ŚMIESZNE - ŻE MAM JUŻ ZA SOBĄ NAJLEPSZĄ CZĘŚĆ ŻYCIA! RANNY NA WOJNIE, KTÓRA DLA MNIE POZOSTANIE ZAWSZE tą WOJNĄ - choć teraz zatarła ją inna, o wiele bardziej zaciekle.

W 1916 ROKU MŁODEMU ARTUROWI HASTINGSOWI WYDAWAŁO SIĘ, ŻE JEST STARYM I DOŚWIADCZONYM człowiekiem. Absolutnie nie uświadamiałem sobie, że dopiero zaczynam żyć.

Jechałem wówczas, NIC JESZCZE O TYM NIE WIEDZĄC, ABY U CELU PODRÓŻY ZETKNAĆ SIĘ Z CZŁOWIEKIEM, KTÓREGO WPŁYW MIAŁ UKSZTAŁTOWAĆ CAŁĄ MOJĄ PRZYSZŁOŚĆ. ZAMIERZAŁEM PO PROST ZAMIESZKAĆ U DAWNEGO PRZYJACIELA, JOHN A CAVENDISHA, W STYLES, WIEJSKIEJ POSIADŁOŚCI JEGO MATKI, KTÓRA NIEDAWNO WYSZŁA PO RAZ DRUGI ZA MĄŻ. SPODZIEWAŁEM SIĘ, ŻE W MIŁY SPOSÓB ODNOWIĘ DAWNE ZNAJOMOŚCI I NIC POZA TYM, NIE PRZECZUWAJĄC, ŻE WKRÓTCE POCHŁONIE MNIE PONURA ZAGADKA tajemniczego morderstwa.

W STYLES WŁAŚNIE SPOTKAŁEM ZABAWNEGO MAŁEGO BELGA, Z KTÓRYM JUŻ RAZ W JEGO OJCZYŹNI skrzyżowały się moje drogi.

ŚWIETNIE PAMIĘTAM SVOJE ZDUMIENIE NA WIDOK UTYKAJĄCEGO MĘŻCZYZNY Z OGROMNYMI WĄSISKAMI, który nadchodził ulicą wioski.

HERKULES POIROT! OD TAMTYCH DNI NIE PRZESTAŁ BYĆ MOIM NAJDROŻSZYM PRZYJACIELEM, ZAWSZE WYWIERAŁ NA MNIE PRZEMOŻNY WPŁYW. TO WŁAŚNIE W JEGO TOWARZYSTWIE, PODCZAS POGONI ZA INNYM MORDERCĄ, POZNAŁEM MOJĄ ŻONĘ, NAJWIERNIEJSZĄ I NAJSŁODSZĄ TOWARZYSZKĘ, Z JAKĄ MOŻE SPĘDZIĆ ŻYCIE mężczyzna.

SPOCZYWAŁA TERAZ W ZIEMI ARGENTYŃSKIEJ; UMARŁA TAK, JAK CHCIAŁA, UNIKNĄWSZY DŁUGICI WYNISZCZAJĄCYCH CIERPIEŃ I STARCZEGO ZNIEDOŁĘŻNIENIA. ALE POZOSTAWIŁA TU MNIE, BARDZO SAMOTNEGO I BARDZO NIESZCZĘŚLIWEGO. ACH, GDYBYM MÓGL TO COFNAĆ I PRZEŻYĆ PONOWNIE... GDYBY ZNOWU BYŁ ÓW DZIEŃ W 1916 ROKU, KIEDY PIERWSZY RAZ JECHAŁEM DO STYLES... ILE SIĘ OD TEGO CZASU ZMIENIŁO! ILE WYRW POŚRÓD ZNAJOMYCH TWARZY! STYLES TEŻ ZOSTAŁO SPRZEDANE. JOHN CAVENDISH UMARŁ, A JEGO ŻONA MA (WTEDY TAK FASCYNUJĄCA I ZAGADKOWA) ŻYJE JESZCZE I MIESZKA W DEVONSHIRE. LAURENCE Z ŻONĄ I dziećmi przebywa w Południowej Afryce. Zmiany, wszędzie zmiany...

POD JEDNYM WZGLĘDEM NIC SIĘ NIE ZMieniŁO. DZIŚ TEŻ JECHAŁEM DO STYLES NA SPOTKANIE Z Herkulesem Poirot.

Oslupiałem wręcz, otrzymawszy od niego list wysłany ze Styles w Styles St Mary, Essex...

NIE WIDZIAŁEM MEGO PRZYJACIELA PRAWIE ROK. OSTATNIA WIZYTA U NIEGO WSTRZAŚNĘŁA MNĄ I GŁĘBOKO MNIE ZASMUCIŁA. BYŁ TERAZ BARDZO STARY I PRAWIE UNIERUCHOMIONY ARTRETYZMEM. ODBYŁ PODRÓŻ DO EGIPITU W NADZIEI, ŻE BĘDZIE SIĘ POTEM MIAŁ LEPIEJ, ALE SĄDZĄC Z LISTU - WRÓCIŁ W STANIE JESZCZE GORSZYM. NIEMNIEJ PISAŁ WESOŁO:

... I CZY NIE ZAINTRYGOWAŁ CIĘ, PRZYJACIELU, ADRES W NAGŁÓWKU MOJEGO LISTU? PRZYWOŁUJ ZAMIERZCHŁE WSPOMNIENIA, PRAWDA? TAK, JESTEM TUTAJ, W STYLES. WYOBRAŹ SOBIE, ŻE JEST TU TERAZ TA ZWANY PENSJONAT. PROWADZI GO JEDEN Z TYCH WASZYCH NADZWYCZAJ BRYTYJSKICH EMERYTOWANYCH PUŁKOWNIKÓW - CO TO „MY ZE STAREJ SZKOŁY” I „DŻENTELMEN W KAŻDYM CALU”. TO JEGO ŻONABIEN ENTENDU ZARABIA NA ŻYCIE. DOBRA Z NIEJ GOSPODYNI, ALE JĘZYK MA, JAKBY NAPIŁA SIĘ OCTU, I BIEDNY PUŁKOWNIK CIERPI Z TEGO POWODU, A JAKŻE. JA NA JEGO MIEJSCU DAWNO BYM SIĘ ZBUNTOWAŁ!

ZOBACZYŁEM W GAZECIE OGŁOSZENIE I WZIĘŁA MNIE CHĘTKA, ŻEBY JESZCZE RAZ ZNALEŹĆ SIĘ W MIEJSCU, KtóRE BYŁO MOIM PIERWSZYM DOMEM W TYM KRAJU. W MOIM WIEKU CZŁOWIEK LUBI OŻYWIAĆ PRZYSZŁOŚĆ.

I WYOBRAŹ SOBIE TYLKO, PO PRZYJEŹDZIE POZNAJĘ TU PEWNEGO PANA, BARONETA, KTÓRY JEST PRZYJACIELEM PRACODAWCY TWOJEJ CÓRKI (TO ZDANIE BRZMI TROCHĘ JAK FRANCUSKIE ĆWICZENIE Z GRAMATYKI, N'EST-CE PAS?). NATYCHMIAST UKŁADAM PLAN. MÓJ ZNAJOMY ZAMIERZA SKŁONIC FRANKLINÓW, ŻEBY PRZYJECHALI TUTAJ NA LATO. JA ZE SWEJ STRONY NAMÓWIĘ CIEBIE I BĘDZIEMY WSZYSCY RAZEM EN FAMILLE. PRZYJEMNA PERSPEKTYWA, PRAWDA? A WIĘC, MÓJ DROGI, *dépechez-vous*, PRZYBYWAJ JAK NAJSPIESZNIJ. ZAMÓWIŁEM DLA CIEBIE POKÓJ Z ŁAZIENKĄ (UNOWOCZEŚNILI, ROZUMIESZ, DROGIE STARE STYLES) I TARGOWAŁEM SIĘ Z PANIĄ PUŁKOWNIKOWĄ Luttrell, aż ustaliliśmy cenę *très bon marché*.

FRANKLINOWIE I TWOJA UROCZA JUDITH SĄ TU JUŻ OD PARU DNI. WSZYSTKO ZAŁATWIONE, NIE ZRÓB M WIĘC *zawodu*

à bientôt

zawsze Twój Herkules Poirot

PERSPEKTYWA ISTOTNIE BYŁA NĘCĄCA I BEZ WAHANIA ULEGŁEM ŻYCZENIU STAREGO PRZYJACIELA. NIE MIAŁEM ŻADNYCH OBOWIĄZKÓW ANI STAŁEGO MIEJSCA ZAMIESZKANIA. JEDEN Z MOICH SYNÓW SŁUŻYŁ W MARYNARCE, DRUGI, ŻONATY, MIAŁ RANCHO W ARGENTYNI. CÓRKA GRACE WYSZŁA ZA OFICERA I MIESZKA OBECNIE W INDIACH. NAJMŁODSZĄ, JUDITH, ZAWSZE W GŁĘBI SERCA KOCHAŁEM NAJBARDZIEJ ZE WSZYSTKICH DZIECI, CHOĆ NIGDY, ANI PRZEZ JEDNĄ CHWILĘ, JEJ NIE ROZUMIAŁEM. DZIWNE, CIEMNOWŁOSE, MAŁOMÓWNE DZIECKO, ZAWIĘCIE SKRYWAJĄCE SWE MYŚLI, CO CZASEM OBRAŻAŁO MNIE I DOPROWADZAŁO DO ROZPACZY. MOJA ŻONA BYŁA BARDZO WYROZUMIAŁA. ZAPEWNIŁA MNIE, ŻE NIE JEST TO U JUDITH ŚWIADECTWEM BRAKU

ZAUFIANIA CZY NIECHĘCI, ALE NIEODPARTĄ KONIECZNOŚCIĄ. LECZ TAK SAMO JAK JA, CZĘSTO MARTWIŁA SIĘ NASZA CÓRKA. UWAŻAŁA, ŻE JUDITH JEST ZBYT NAPIĘTA, ZBYT SKUPIONA, A ODRUCHOWA REZERWA POZBAWIA JĄ KLAPY BEZPIECZEŃSTWA. MIEWAŁA DZIWNE NAPADY MILCZĄCEJ ZADUMY I POTRAFIŁA TRWAĆ PRZY SWOIM Z GWALTOWNYM ZACIETRZEWIENIEM. Z CAŁEJ RODZINY ONA BYŁA NAJZDOLNIEJSZA I ZGODZILIŚMY SIĘ CHĘTNIE, KIEDY WYRAZIŁA CHĘĆ PÓJŚCIA NA UNIWERSYTET. PRZED ROKIEM ZROBIŁA MAGISTERIUM Z NAUK PRZYRODNICZYCH I PRZYJĘŁA POSADĘ SEKRETARKI U LEKARZA, PROWADZĄCEGO BADANIA NAUKOWE W ZWIĄZKU Z JAKĄS CHOROBAŁĄ TROPICALNĄ. ŻONA DOKTORA FRANKLINA JEST BARDZO WĄTLA I STALE NIEDOMAGA.

OD CZASU DO CZASU OGARNIAŁ MNIE NIEPOKÓJ, CZY PRZEJĘCIE SIĘ PRACĄ I PRZYWIĄZANIE DO SZEFA NIE ŚWIADCZY, ŻE JUDITH JEST ZAKOCHANA, ALE USPOKAJAŁ MNIE CZYSTO URZĘDOWY CHARAKTER ICH STOSUNKÓW.

WIERZYŁEM, ŻE JUDITH DARZY MNIE UCZUCIEM, ALE PRZY JEJ WRODZONEJ POWŚCIĄGLIWOŚCI CZĘSTO DRAŻNIŁY JĄ I ODSTRĘCZAŁY MOJE - JAK TO NAZYWAŁA - SENTYMENTALNE I STAROŚWIECKIE POGLĄDY. PRAWMÓWIĄC, MOJA CÓRKA TROCHĘ MNIE ONIEŚMIELAŁA!

NA TYM URWAŁEM ROZWAŻANIA, GDYŻ POCIĄG WJECHAŁ NA STACJĘ W STYLES ST MARY. TO MIEJSCE, W KAŻDYM RAZIE, CZAS ZDAWAŁ SIĘ OMIJAĆ. BUDYNEK STACYJNY WZNOSIŁ SIĘ JAK DAWNIEJ SAMOTNIE WŚRÓD PÓL BEZ WIDOCZNEJ RACJI ISTNIENIA.

PRZEJEŹDZAJĄC TAKSÓWKĄ PRZEZ WIOSKĘ UŚWIADOMIŁEM SOBIE JEDNAK, JAK WIELE LAT UPLYNĘŁO. STYLES ST MARY ZMieniŁO SIĘ NIE DO POZNANIA. STACJE BENZYNOWE, DWIE NOWE GOSPODY I RZĘDY NIEDAWNO POSTAWIONYCH DOMKÓW JEDNORODZINNYCH.

WRESZCIE SKRĘCILIŚMY W BRAMĘ STYLES. TU ZNÓW ODNOSIŁEM WRAŻENIE, ŻE COFAM SIĘ W PRZESZŁOŚĆ. PARK POZOSTAŁ MNIEJ WIĘCEJ TAKI, JAKIM GO ZAPAMIĘTAŁEM, TYLKO ALEJA WJAZDOWA BYŁA ŹŁE UTRZYMANA I ZAROŚNIĘTA ZIELSKIEM, PRZEBIJAJĄCYM SIĘ PRZEZ ŻWIR. MINĘLIŚMY ZAKRĘT I OZCOM NASZYM UKAZAŁ SIĘ DWÓR. Z ZEWNĄTRZ WYGLĄDAŁ TAK SAMO JAK DAWNIEJ I BARDZO POTRZEBOWAŁ ŚWIEŻEJ FARBY.

TERAZ TEŻ, JAK WTEDY, PRZED WIELU LATY, NAD JEDNYM Z KLOMBÓW POCHYLAŁA SIĘ KOBIECA POSTAĆ. POCZUŁEM SKURCZ W SERCU. KOBIETA WYPROSTOWAŁA SIĘ, PODESZŁA BLIŻEJ I ROZEŚMIAŁEM SIĘ Z SIEBIĘ SAMEGO. TRUDNO BYŁOBY O JASKRAWSZY KONTRAST Z KRZEPKĄ EVELYN HOWARD.

STAŁA PRZED MNA DROBNA STARSZA PANI Z GĘSTWĄ WIJĄCYCH SIĘ SIWYCH WŁOSÓW, O RÓŻOWYCH POLICZKACH I ZIMNYCH, BŁADONIEBIESKICH OCZACH, KTÓRYCH WYRAZ KONTRASTOWAŁ Z JEJ SWOBODNYM, JOWIALNYM SPOSOBEM BYCIA, PRAWDĘ MÓWIĄC, NIECO ZBYT WYLEWNYM JAK NA MÓJ GUST.

- PAN KAPITAN HASTINGS, PRAWDA? NO PROSZĘ! A JA TU STOJĘ Z USMOLONYMI ŁAPAMI I NAWET NIE MOGĘ PRZYWITAĆ SIĘ JAK NALEŻY. TAK SIĘ CIESZYMY, ŻE PAN DO NAS PRZYJECHAŁ - CZEGOŚMY SIĘ O PANU NIE NASŁUCHALI! MUSZĘ SIĘ PRZEDSTAWIĆ. NAZYWAM SIĘ LUTTRELL. KUPILIŚMY Z MEŻEM TĘ POSIADŁOŚĆ W PRZYSTĘPIE SZALEŃSTWA I PRÓBUJEMY NA NIEJ SIĘ DOROBIĆ. NIGDY NIE MYŚLAŁAM, ŻE PEWNEGO DNIA ZOSTANĘ WŁAŚCICIELKĄ HOTELU! LECZ OSTRZEGAM PANA, KAPITANIE, JESTEM BARDZO PRAKTYCZNĄ KOBIECĄ, BIORĘ DOPLAT ZA WSZYSTKO, CO SIĘ DA.

ROZEŚMIELIŚMY SIĘ OBOJE JAK ZE ZNAKOMITEGO DOWCIPU, ALE PRZYSZŁO MI DO GŁOWY, ŻE NAJPRAWDOPODOBNIĘ ZAPOWIEDŹ PANI LUTTRELL NALEŻY POTRAKTOWAĆ DOSŁOWNIE. POD CIENKĄ WARSTWĄ MANIER CZARUJĄCEJ STARSZEJ PANI DOSTRZEGAŁEM TWARDĄ BEZWZGLĘDNOŚĆ.

PANI LUTTRELL WPADAŁA CZASEM W IRLANDZKI AKCENT, CHOĆ NIE POCHODZIŁA Z IRLANDII. TAJ przybierała pozę.

Zapytałem o swego przyjaciela.

- ACH, BIEDNY MAŁY PAN POIROT! JAK ON NA PANA CZEKAŁ. KAMIEŃ BY SIĘ WZRUSZYŁ. OKROPNIE MI żał, że tak cierpi, biedaczek!

Szliśmy w stronę domu i pani Luttrell powoli ściągała ogrodowe rękawice.

- I PAŃSKA ŚLICZNA CÓRKA TEŻ. CÓŻ TO ZA UROCZA DZIEWCZYNA! WSZYSCY TU SZALENIE JĄ PODZIWIAMY ALE JA JESTEM STAROŚWIECKA, ROZUMIE PAN, I DLA MNIE TO SKANDAL WOŁAJĄCY O POMSTĘ DO NIEBA, ŻE TAKA PANIENKA, KTÓRA POWINNA BIEGAĆ NA ZABAWY I TAŃCZYĆ Z MŁODYMI LUDŹMI, SPĘDZA CZAS NA KRAJANIU królików i ślęczy cały boży dzień nad mikroskopem. Ja bym zostawiła takie zajęcie brzydulom.

- Gdzie jest Judith? - spytałem. - Czy gdzieś w pobliżu?

Pani Luttrell zmarszczyła wymownie brwi.

- ACH, TO BIEDNE DZIECKO. JEST ZAMKNIĘTA W TEJ NIBY PRACOWNI NA TYŁACH OGRODU. DOKTOR FRANKI WYNAJAŁ JĄ ODE MNIE I ODPOWIEDNIO WYPOSAŻYŁ. TRZYMA W NIEJ KLATKI Z MORSKIMI ŚWINKAMI I MYSZY, I KRÓLIKI, NIESZCZĘSNE STWORZENIA. JA TAM CHYBA WCALE NIE LUBIĘ TEJ CAŁEJ NAUKI, PANIE KAPITANIE. O proszę, oto mój mąż.

Pułkownik Luttrell akurat wyszedł zza narożnika domu. BYŁ TO BARDZO WYSOKI, KOŚCI MĘŻCZYZNA Z MIZERNĄ TWARZĄ, ŁAGODNYMI BŁĘKITNYMI OZAMI, SKUBIĄCY NIEPEWNIENIE KRÓTKI SIWY WĄSIK. Miał niezdecydowany, nerwowy sposób bycia.

- George, to jest kapitan Hastings.

Pułkownik Luttrell wymienił ze mną uścisk dłoni.

- Przyjechał pan, hm, pociągiem o piątej, hm czterdzieści?

- JAK INACZEJ MÓGŁ PRZYJECHAĆ? - PRZERWAŁA OSTRO PANI LUTTRELL. - I ZRESZTĄ, CO ZA RÓŻNIC ZAPROWADŹ PANA I POKAŻ MU JEGO POKÓJ, GEORGE. A POTEM CHYBA ZECHCE UDAĆ SIĘ WPROST DO PANA Poirota... Czy wolałby pan może wpierw napić się herbaty?

Zapewniłem ją, że nie chcę herbaty i wolę przywitać się z przyjacielem.

- W porządku. Chodźmy. Mam, hm... nadzieję, że wniesiono już pana rzeczy... tak, Daisy?

Pani Luttrell mruknęła cierpko:

- To twoja sprawa, George. Ja pracowałam w ogrodzie. Nie mogę zajmować się wszystkim.

- Nie, nie, oczywiście. Ja... ja już tego przypilnuję, moja droga.

WSZEDŁEM W ŚLAD ZA NIM NA SCHODKI WIODĄCE DO WEJŚCIA. W DRZWIACH NATKNĘLIŚMY SIĘ NA SIWOWŁOSEGO SZCZUPŁEGO MĘŻCZYZNĘ, BIEGNĄCEGO GDZIEŚ Z LORNETKĄ POLOWĄ W RĘKU. POWŁÓCZYŁ NOGĄ I MIAŁ ŻARLIWĄ CHŁOPIĘCĄ TWARZ. POWIEDZIAŁ, ZACINAJĄC SIĘ LEKKO:

- Tam na jaworze parka krzewek czarnołbistych buduje sobie gniazdo.

Weszliśmy do hallu i Luttrell wyjaśnił:

- To Norton. Sympatyczny facet. Ma bzika na punkcie ptaków.

W HALLU PRZY STOLE STAŁ ROSŁY, SILNIE ZBUDOWANY MĘŻCZYŻNA. WIDAĆ BYŁO, ŻE PRZED CHWILĄ ODŁOŻYŁ SŁUCHAWKĘ TELEFONICZNĄ.

Zwrócił się w naszą stronę:

- MIAŁBYM OCHOTĘ POWIESIĆ, WŁÓCZYĆ KOŃMI I POĆWIARTOWAĆ WSZYSTKICH PRZEDSIĘBIORCÓW budowlanych i architektów. Niech ich diabli wezmą, nigdy nie zrobią nic jak należy.

BYŁ TAK KOMICZNY I MÓWIŁ TO TAK POSEPNIE, ŻE OBAJ PARSKNĘLIŚMY ŚMIECHEM. Z MIEJSCA POCZUŁEM DO NIEGO SYMPATIE. Z CIEMNĄ OPALENIZNĄ NA TWARZY BYŁ NADZWYCZAJ PRYZSTOJNY, CHOĆ DAWNO PRZEKROCZYŁ PIĘCDZIESIĄTKĘ. WYGLĄDAŁ JAK CZŁOWIEK, KTÓRY PRZEBYWA DUŻO NA ŚWIEŻYM POWIETRZU, I PREZENTOWAŁ CORAZ RZADZIEJ SPOTYKANY TYP ANGLIKA STAREJ SZKOŁY, PRAWEGO, LUBIĄCEGO PRZYRODĘ umiejącego wydawać rozkazy.

NIE ZDZIWIŁO MNIE WCALE, KIEDY PUŁKOWNIK LUTTRELL, PRZEDSTAWIAJĄC NAS SOBIE, WYMIENIŁ JEGO NAZWISKO. WIEDZIAŁEM, ŻE SIR WILLIAM BOYD CARRINGTON BYŁ W INDIACH GUBERNATOREM JEDNEJ z PROWINCJI, GDZIE ZNAKOMICIE SIĘ SPISYWAŁ. MIAŁ TEŻ REPUTACJĘ ŚWIETNEGO STRZELCA I POLOWAŁ NA GRUBEGO ZWIERZA. POMYŚLAŁEM Z ŻALEM, ŻE W NASZYCH ZDEGENEROWANYCH CZASACH NIE RODZĄ SIĘ JUŻ TACY ludzie.

- WITAM - POWIEDZIAŁ. - MIŁO MI ZOBACZYĆ NA WŁASNE OCZY TAK SŁYNNĄ OSOBISTOŚĆ JAKMON AMI HASTINGS. - ZAŚMIAŁ SIĘ. - TEN PRZEMIŁY STARUSZEK CIĄGLE O PANU OPOWIADA. A POZA TYM, RZECZ JASNA, mamy tu pana córkę. Wspaniała dziewczyna.

- Nie sądzę, żeby Judith też o mnie dużo mówiła - wtrąciłem z uśmiechem.

- NIE, SKADŻE, JEST NA TO O WIELE ZA NOWOCZESNA. TE DZISIEJSZE DZIEWCZĘTA ZAWSZE WYGLĄDAJĄ, jakby się wstydyli, że w ogóle mają matkę czy ojca.

- Rodzice - powiedziałem - to na dobrą sprawę dopust boży.

Znowu się roześmiał.

- MNIE TE KŁOPOTY NIE DOTYCZĄ. NIE MAM, NIESTETY, DZIECI. PAŃSKA JUDITH TO PIĘKNA PANNA, A STRASZNIE UCZONA. TROCHĘ SIĘ JEJ BOJĘ. - ZNOWU PODNIÓSŁ SŁUCHAWKĘ TELEFONICZNĄ. - MAM NADZIEJĘ, LUTTRELL, ŻE NIE ZGORSZY SIĘ PAN, JEŚLI ZWYMYŚLAM WASZE TELEFONISTKI W CENTRALI. NIE JESTEM SPECJALNIE cierpliwy.

- Dobrze im to zrobi.

NA PIERWSZYM PIĘTRZE LUTTRELL POPROWADZIŁ MNIE LEWYM SKRZYDŁEM DOMU DO DRZWI NA SAMYM końcu korytarza i uświadomiłem sobie, że Poirot wybrał dla mnie pokój, który ongiś zajmowałem.

ZMIENIŁO SIĘ TUTAJ. KIEDY SZEDŁEM KORYTARZEM, NIEKTÓRE DRZWI STAŁY OTWOREM, I ZAUWAŻYŁEM, ŻE staromodne duże sypialnie podzielono przepierzeniami na mniejsze.

MÓJ POKÓJ, NIE TAK OBSZERNY JAK INNE, POZOSTAŁ NIEZMIENIONY, ZAINSTALOWANO W NIM TYLKO TERMO DO CIEPŁEJ WODY, A ZA PRZEPIERZENIEM URZĄDZONO NIEWIELKĄ ŁAZIENKĘ. TANIE, NOWOCZESNE UMEBLOWANIE RACZEJ MNIE ROZCZAROWAŁO. WOLAŁBYM STYL BARDZIEJ ZBLIŻONY DO ARCHITEKTURY DOMU MOJE BAGAŻE JUŻ SIĘ TU ZNAJDOWAŁY I PUŁKOWNIK WYJAŚNIŁ, ŻE POKÓJ POIROTA JEST DOKŁADNIEJ naprzeciwko. Chciał właśnie iść tam razem ze mną, kiedy w hallu na dole rozległ się ostry krzyk:

- George!

Pułkownik Luttrell poderwał się jak nerwowy koń. Odruchowo sięgnął palcami do wąsów.

- Czy... czy... pan naprawdę niczego już nie potrzebuje? Proszę dzwonić, gdyby trzeba było...

- George...

- Idę, kochanie, już idę...

WYBIEGŁ NA KORYTARZ. PRZEZ CHWILĘ SPOGLĄDAŁEM ZA NIM. POTEM, CZUJĄC, ŻE TROCHĘ MOCNIEJ BIJE mi serce, zapukałem do drzwi pokoju Poirota.

ROZDZIAŁ II

Nie ma moim zdaniem nic smutniejszego niż spustoszenie, jakie czyni starość.

BIEDNY MÓJ PRZYJACIEL. OPISYWAŁEM GO WIELE RAZY. JAK ŻAŁOŚNIE SIĘ ZMIENIŁ! UNIERUCHOMIONY PRZEZ ARTRETYZM, PORUSZAŁ SIĘ ZA POMOCĄ FOTEŁA NA KÓŁKACH. ONGIŚ ZAŻYWNY, TERAZ OPADŁ Z CIAŁA. ZRO SIĘ CHUDY I DROBNY. TWARZ MIAŁ POŻÓLKŁĄ I POMARSZCZONĄ. JEGO WĄSY I WŁOSY BYŁY CO PRAWDA CIĄGLE JESZCZE CZARNE JAK SMOŁA, ALE, SZCZERZE MÓWIĄC, CHOĆ ZA ŻADNE SKARBY NIE NAPOMKNAŁBYM MU O TYM, ŻEBY NIE ZRANIĆ JEGO UCZUĆ, UWAŻAŁEM TO ZA BŁĄD. PRZYCHODZI MOMENT, KIEDY FARBOWANE WŁOSY PRZYKRO RZUCAJĄ SIĘ W OCZY. KIEDYŚ ZE ZDUMIENIEM DOWIEDZIAŁEM SIĘ, ŻE RESZTKI CZUPRYNY POIROTA ZAWDZIĘCZAJĄ SWĄ NIESKAZITELNĄ CZERŃ FLAKONIKOWI Z FARBĄ. TERAZ JEDNAK SZTUCZNOŚĆ BYŁA OCZYWISTA MÓJ PRZYJACIEL WYGLĄDAŁ, JAKBY NOSIŁ PERUKĘ I OZDOBIŁ GÓRNĄ WARGĘ, ŻEBY ROZŚMIESZYĆ DZIECI! TYLKO JEGO OCZY BYŁY TAKIE JAK ZAWSZE, PRZENIKLIWE I BŁYSZCZĄCE, A W TEJ CHWILI - TAK, BEZ WĄTPIENIA - rozjaśnione wzruszeniem.

- Mon ami Hastings... Mon ami Hastings...

Nachyliłem się i swoim zwyczajem ucałowałem mnie gorąco.

- Mon ami Hastings!

Odsunął się nieco, przyglądając mi się z głową lekko przechyloną na bok.

- TAK, ZAWSZE TAKI SAM - PROSTE PLECY, SZEROKIE RAMIONA, SIWIZNA NA SKRONIACH - TRCS DISTINGUE! Wiesz, mój przyjacielu, dobrze się trzymasz. Les femmes, kobiety, jeszcze interesują się tobą? Tak?

- Doprawdy, Poirot - zaproponowałem - czy musisz...

- ALE ZAPEWNIAM CIĘ, MÓJ PRZYJACIELU, ŻE TO JEST TEST, PO PROSTU TEST. KIEDY MŁODE DZIEWCZĘTA ZWRACAJĄ SIĘ DO CIEBIE GRZECZNIE, BARDZO, ALE TO BARDZO GRZECZNIE - TO JUŻ KONIEC. „BIEDNY TEN STARUSZEK - MYŚLĄ SOBIE - BĄDŹMY DLA NIEGO MIŁE. TO OKROPNE BYĆ TAKIM JAK ON”. LECZ TY, HASTINGS VOUS ÊTES ENCORE JEUNE. JESZCZE SĄ PRZED TOBĄ MOŻLIWOŚCI. DOBRZE, DOBRZE, SZARP WĄSY, GARB SIĘ... widzę, że mam rację, inaczej nie byłbyś tak zażenowany.

Wybuchnąłem śmiechem.

- Nieznośny jesteś, Poirot, słowo daję. A jak ty się czujesz?

- JA? - POIROT SKRZYWIŁ SIĘ. - JESTEM RUINĄ. WRAKIEM. NIE MOGĘ CHODZIĆ. JESTEM NIEDOLEŻNY I POKRĘCONY. DOBRZE JESZCZE, ŻE POTRAFIĘ SAM JEŚĆ, ALE POD INNYMI WZGLĘDAMI TRZEBA SIĘ MNĄ ZAJMOWAĆ JAK MAŁYM DZIECKIEM. KŁADĄ MNIE DO ŁÓŻKA, MYJĄ I UBIERAJĄ. Enfin TO NIE JEST WCALE ZABAWNE. NA szczęście próchnieję tylko z zewnątrz, a nie w środku.

- Tak, rzeczywiście, serce masz najlepsze na świecie.

- SERCE? BYĆ MOŻE. NIE MÓWIŁEM O SERCU. DLA MNIE, *mon cher*, NAJWAŻNIEJSZY JEST MÓZG. A MÓJ mózg ciągle jeszcze znakomicie funkcjonuje.

W KAŻDYM RAZIE MOGŁEM SIĘ OD RAZU ZORIENTOWAĆ, ŻE W JEGO MÓZGU NIE NASTĄPIŁY ZMIANY, których skutkiem byłaby zbytnia skromność.

- Podoba ci się tutaj? - zapytałem.

Poirot wzruszył ramionami.

- MOŻNA WYTRZYMAĆ. NIE JEST TO, OCZYWIŚCIE, RITZ. ŻADNĄ MIARĄ. POKÓJ, JAKI ZAJMOWAŁEM NA POCZĄTKU, BYŁ MAŁY I JEDNOCZEŚNIE ZBYT SKĄPO UMEBLOWANY. ZA TĘ SAMĄ CENĘ PRZENIOSŁEM SIĘ DO TEGO. KUCHNIA JEST TYPOWO ANGIELSKA, A WIĘC GORSZA JUŻ BYĆ NIE MOŻE. TA BRUKSELKA, OGROMNA, TWARDA, KTÓR ANGLICY TAK BARDZO SOBIE UPODOBALI! GOTOWANE KARTOFLE, ALBO ZDĘBIAŁE, ALBO ROZPADAJĄCE SIĘ! JARZYN WODNISTE, WODNISTE I JESZCZE RAZ WODNISTE! WSZYSTKIE POTRAWY NIEDOSOLONE, BEZ PIEPRZU. - ZAMILKŁ wymownie.

- Brzmi to okropnie - mruknąłem.

- JA NIE NARZEKAM - OZNAJMIŁ POIROT, PRZYSTĘPUJĄC DO DALSZYCH NARZEKAŃ. - I JESZCZE TA NIE MODERNIZACJA. WSZĘDZIE ŁAZIENKI, WSZĘDZIE KRANY. I CO Z NICH LECI? LETNIA WODA, *MON AMI*, O KAŻDEJ porze letnia woda... Ręczniki też - takie cienkie, takie wąskie!...

- Dawne czasy też miały swoje dobre strony.

PAMIĘTAŁEM OBŁOKI PARY WYDOBYWAJĄCE SIĘ Z KRANU JEDYNEJ WÓWCZAS W *STYLES* ŁAZIENKI, W TYPIE TYCH, W KTÓRYCH OGROMNA WANNA OBUDOWANA MAHONIEM DUMNIE SPOCZYWA NA ŚRODKU PODŁOGI. PAMIĘTAŁEM TEŻ NIEBYWAŁYCH ROZMIARÓW PRZEŚCIERADŁA KĄPIELOWE I BŁYSZCZĄCE MOSIĘŻNE KONEWKI Z wrzącą wodą, codziennie wnoszone do pokoju i ustawiane w staroświeckich miednicach.

- Ale ja nie narzekam - powtórzył Poirot - zgadzam się cierpieć. Zwłaszcza w dobrej sprawie.

Uderzyła mnie nagła myśl.

- Przepraszam, Poirot, czy... przypadkiem... hm... nie masz kłopotów finansowych? Może wojna nadszarpnęła twoje kapitały?...

Pośpiesznie mnie uspokoił.

- NIE, NIE, MÓJ PRZYJACIELU. JESTEM WYŚMIENICIE SYTUOWANY. DOPRAWDY, JESTEM BOGATY. NIE przez oszczędność tu się znalazłem.

- TO DOBRZE. WYDAJE MI SIĘ, ŻE ROZUMIEM, CO CZUJESZ. KIEDY CZŁOWIEK SIĘ STARZEJE, CORAZ BARDZIEJ LUBI WRACAĆ DO PRZESZŁOŚCI. PRÓBUJE PRZYWOŁAĆ MINIONE UCZUCIA. TROCHĘ MI TU SMUTNO, ALE JEDNOCZEŚNIE OSACZAJĄ MNIE DAWNE MYŚLI I WZRUSZENIA, O KTÓRYCH JUŻ CAŁKIEM ZAPOMNIAŁEM. TY NA pewno też to odczuwasz?

- Ależ skąd! Wcale tego nie czuję.

- To były dobre czasy - szepnąłem melancholijnie.

- MOŻESZ MÓWIĆ TYLKO ZA SIEBIE, HASTINGS. DLA MNIE POBYT W STYLES ST MARY BYŁ PRZYKRYM CIĘŻKIM OKRESEM. BYŁEM UCIEKINIEMEREM, BYŁEM RANNY, BYŁEM WYGNAŃCEM Z DOMU I OJCZYZNY, ŻYJĄCYM Z JAŁMUŻNY W OBCYM KRAJU. NIE, TO NIE BYŁO WCALE WESOŁE. NIE WIEDZIAŁEM WTEDY, ŻE ANGLIA STANIE SIĘ MOIM DOMEM I ŻE TUTAJ ZNAJDĘ SZCZĘŚCIE.

- Zapomniałem o tym - przyznałem ze skruchą.

- WŁAŚNIE. ZAWSZE PRZYPISUJESZ INNYM SENTYMENTY, JAKICH SAM DOŚWIADCZASZ. HASTINGS BYŁ SZCZĘŚLIWY, WSZYSCY BYLI SZCZĘŚLIWI!

- Nie, nie - zaprzeczyłem ze śmiechem.

- TO TEŻ ZRESZTĄ NIE JEST PRAWDA. MÓWISZ, ŻE SPOGLĄDASZ WSTECZ I OCZY ZACHODZĄ CI ŁZAMI. „ACH, CUDOWNE DNI. BYŁEM WTEDY MŁODY”. ALE W GRUNCIE RZECZY, MÓJ KOCHANY, NIE BYŁEŚ WCALE TAKI SZCZĘŚLIWY, JAK MYŚLISZ. JESZCZE NIE ZAGOIŁA CI SIĘ POWAŻNA RANA, TRAPIŁEŚ SIĘ, ŻE NIE JESTEŚ JUŻ ZDATNY DO CZYNNEJ SŁUŻBY, BYŁEŚ NIELUDZKO PRZYGNĘBIONY POBYTEM W PONURYM SANATORIUM I, O ILE PAMIĘTAM, skomplikowałeś jeszcze bardziej sytuację, zakochując się jednocześnie w dwóch kobietach.

Zarumieniłem się.

- Masz niezwykłą pamięć, Poirot...

- TA, TA, TA... PAMIĘTAM NAWET, JAK GŁĘBOKO I RZEWNIE WZDYCHAŁEŚ, SZEPCZĄC JAKIEŚ GŁUPSTWA O tych dwóch uroczych paniach.

- PRZYPOMINASZ SOBIE, CO POWIEDZIAŁEŚ? „Ż ADNA Z NICH NIE JEST DLA CIEBIE! ALE COURAGE, MON ami. Jeszcze kiedyś zapolujemy razem i wtedy być może...”

PRZERWAŁEM, BO POTEM POJECHALIŚMY POLOWAĆ DO FRANCJI I TAM WŁAŚNIE POZNAŁEM JEDYNĄ kobietę...

Mój przyjaciel delikatnie poklepał mnie po ramieniu.

- WIEM, HASTINGS, WIEM. TA RANA TEŻ JEST JESZCZE NIEZABLIŹNIONA. ALE NIE ROZDRAPUJ JEJ, NIE oglądaj się wstecz. Patrz lepiej przed siebie.

Zachnąłem się.

- Patrzeć przed siebie? A co tam jest do zobaczenia?

- Eh bien, przyjacielu, jest robota, którą trzeba wykonać.

- Robota? Gdzie?

- Tutaj.

Wytrzeszczyłam oczy.

- PRZED CHWILĄ SPYTAŁEŚ, DLACZEGO TU PRZYJECHAŁEM. NIE ZAUWAŻYŁEŚ MOŻE, ŻE NIE UDZIELIŁEM CI odpowiedzi. Teraz ci odpowiem. Jestem tu, żeby schwytać mordercę.

Patrzyłem na niego z coraz większym zdumieniem. Przez chwilę bałem się, że bredzi.

- Czy mówisz serio?

- CAŁKIEM SERIO. PO CO BYM INACZEJ NALEGAŁ, ŻEBYŚ TU DO MNIE PRZYJECHAŁ? MOJE NOGI SĄ JUŻ BEZWŁADNE, ALE MÓJ UMYŚŁ, JAK WIESZ, JEST NIENARUSZONY. PAMIĘTASZ, ZAWSZE MOJĄ ZASADĄ BYŁO, ŻE TRZEBA USIĄŚĆ I POMYŚLEĆ. TO JESZCZE POTRAFIĘ, PRAWDĘ MÓWIĄC, TYLKO TO, NIC WIĘCEJ. CZYNNĄ STRONĄ mojej akcji zajmie się nieoceniony Hastings.

- Mówisz poważnie?

- Najpoważniej w świecie. Ty i ja, Hastings, raz jeszcze wybierzemy się na polowanie.

Musiało upłynąć parę minut, zanim pojąłem, że Poirot rzeczywiście nie żartuje.

JAKKOLWIEK NIEWIARYGODNIE BRZMIAŁY JEGO SŁOWA, NIE MIAŁEM POWODU PODAWAĆ ICH W wątpliwość. Uśmiechnął się lekko.

- WRESZCIE UDAŁO MI SIĘ CIEBIE PRZEKONAĆ. W KOŃCU MI UWIERZYŁEŚ. PRYZNAJ, WYOBRAZIŁEŚ JUŻ sobie, że mam rozmiękczenie mózgu?

- Nie - zapewniłem go żarliwie. - Tylko to miejsce wydaje mi się tak mało prawdopodobne.

- Tak myślisz?

- Oczywiście nie zetknąłem się jeszcze ze wszystkimi mieszkańcami...

- Kogo widziałeś?

- TYLKO LUTTRELLÓW I NIEJAKIEGO NORTONA - WYDAŁ MI SIĘ NIESZKODLIWY. I BOYDA CARRINGTONA - I ukrywam, że bardzo mi przypadł do gustu.

Poirot pokiwał głową.

- JEDNO CI POWIEM, HASTINGS - NAWET KIEDY POZNASZ RESZTĘ DOMOWNIKÓW, BĘDZIESZ RÓwnie sceptyczny jak teraz.

- Kto tu jeszcze mieszka?

- DOKTOR FRANKLIN I JEGO ŻONA, PIELEŃNIARKA, KTÓRA DOGLĄDA PANI FRANKLIN, TWOJA CÓRKA JUD

POZA TYM JEST TU PEWIEN OSOBNIK NAZWISKIEM ALLERTON, PRAWDZIWY DONŻUAN, I PANNA COLE, KOBIETA mniej więcej około trzydziestki. Wierz mi, sami sympatyczni ludzie.

- I wśród nich jest morderca?

- I wśród nich jest morderca.

- Ale skąd... jak... dlaczego uważasz...?

Za dużo pytań cisnęło mi się na usta i nie umiałem żadnego sformułować.

- USPOKÓJ SIĘ, HASTINGS. ZACZNIEMY OD POCZĄTKU. BĄDŹ ŁASKAW SIĘGNAĆ PO TĘ MAŁĄ TECZKĘ NA biurku. Bien. A teraz klucz, o tak...

Otworzył teczkę i wyjął z niej plik kartek maszynopisu i wycinków z gazet.

- MOŻESZ W WOLNEJ CHWILI POCZYTAĆ TO SOBIE. NA RAZIE NIE ZAJMOWAŁBYM SIĘ ARTYKUŁAMI Z PRASY. SĄ TO PO PROSTU DZIENNIKARSKIE RELACJE O ROZMAITYCH TRAGEDIACH, CZASEM NIEŚCISŁE, CZASEM DAJĄCE DO MYŚLENIA. ŻEBYŚ MÓGŁ WYROBIĆ SOBIE OGÓLNY POGLĄD NA TE SPRAWY, NAJLEPIEJ PRZECZYTAJ WYCIĄGI, KTÓRE ci przygotowałem.

Z niekłamanym zainteresowaniem przystąpiłem do lektury.

Sprawa pierwsza: Etherington.

LEONARD ETHERINGTON. BRZYDKIE NAŁOGI - PIŁ I ZAŻYWAŁ NARKOTYKI. PRZYKRY CHARAKTER, SKŁONNĄ DO SĄDYSTYCZNE. MŁODA I ATRAKCYJNA ŻONA. ROZPACZLIWIE NIESZCZĘŚLIWA W POŻYCIU Z NIM. ETHERINGTON UMIERA, POZORNIE Z POWODU ZATRUCIA POKARMOWEGO. LEKARZ MA WĄTPLIWOŚCI. AUTOPSJA WYKRYWA ARSZENIK. W DOMU ZAPAS ŚRODKÓW CHWASTOBÓJCZYCH, ALE KUPIONYCH NA DŁUGO PRZED ZGONEM ETHERINGTONA. PANI ETHERINGTON ARESZTOWANA I OSKARŻONA O MORDERSTWO. OSTATNIO PRZYJAŹNIŁA SIĘ DO PEWNYM URZĘDNIKIEM, KTÓRY POTEM WRÓCIŁ DO INDII, GDZIE PRACOWAŁ W ADMINISTRACJI. ŻADNYCH DANYCH, CZY ZDRADZAŁA Z NIM MĘŻA, ALE DOWODY, ŻE ŁĄCZYŁA ICH GŁĘBOKA SYMPATIA. MŁODZIEŃCZAK ZARĘCZYŁ SIĘ TYMCZASEM Z DZIEWCZYNĄ, KTÓRĄ SPOTKAŁ W PODRÓŻY POWROTNEJ. NIE JEST PEWIEN, CZY LIST, W KTÓRYM ZAWIADAMIAŁ O TYM PANIĄ ETHERINGTON, NADSZEDŁ PO CZY PRZED ŚMIERCIĄ JEJ MĘŻA. ONA TWIERDZI, ŻE PRZED. ŚWIADCZĄ PRZECIWIEM NIEJ GŁÓWNIEM POSZLAKI, BRAK INNEGO PODEJRZANEGO I NADER NIKŁE PRAWDOPODOBIENSTWO PRZYPADKU. PODCZAS ROZPRAWY FAŁA WSPÓLCZUCIA DLA NIEJ, WYWOŁANA CHARAKTEREM JEJ MĘŻA I OKRUCIEŃSTWEM, Z JAKIM JĄ TRAKTOWAŁ. PODSUMOWANIE SĘDZIEGO WYRAŹNIE NA JEJ KORZYŚĆ, DZIĘKI PODKREŚLENIU, ŻE PRZYSIĘGLI MUSZĄ BRAĆ POD UWAGĘ WSZELKĄ DOPUSZCZALNĄ WĄTPLIWOŚĆ. PANI ETHERINGTON ZOSTAŁA UNIEWINNIONA. POWSZECHNIE UWAŻANO JEDNAK, ŻE ZABIŁA MĘŻA. PÓŹNIEJSZE ŻYCIE STAŁO SIĘ DLA NIEJ NIEZNOŚNE PRZEZ OZIĘBŁOŚĆ PRZYJACIÓŁ ITP. UMARŁA WSKUTEK ZA DUŻEJ DAWKI ŚRODKÓW NASENNYCH W DWA LATA PO PROCESIE. NA ROZPRAWIE WSTĘPNEJ ZAPADŁ WERDYKT O ŚMIERCI Z przypadku.

Sprawa druga: Panna Sharples.

Leciwa stara panna. Kaleka. Trudny charakter. Bardzo cierpiąca. Doglądana przez siostrzenicę, FREDĘ CLAY. PANNA SHARPLES UMARŁA PO ZAŻYCIU ZA DUŻEJ DAWKI MORFINY. FREDA CLAY PRZYznała się do pomyłki, twierdząc, że nie mogła znieść widoku jej strasznych cierpień i dała ciotce więcej morfiny, żeby jej ulżyć w bólu. Policja jest zdania, że zrobiła to umyślnie, nie przez pomyłkę, ale uznano, że jest za mało dowodów, aby wszcząć dochodzenie.

Sprawa trzecia: Edward Riggs.

ROBOTNIK ROLNY. PODEJRZEWAŁ, że żona zdradza go z sublokatozem nazwiskiem BEN CRAIG. Znalaziono zwłoki Craiga i pani Riggs. Oboje zostali zastrzeleni i kule pochodziły ze strzelby Riggsa. RIGGS SAM ZGŁOSIŁ SIĘ NA POLICJĘ. POWIEDZIAŁ, że najprawdopodobniej zrobił to, choć nic nie pamięta, bo miał zaćmienie umysłu. RIGGSA SKAZANO NA ŚMIERĆ, WYROK POTEM ZAMIENIONO NA KARĘ DOŻYWOTNIEGO więzienia.

Sprawa czwarta: Derek Bradley.

MIAŁ ROMANS Z MŁODĄ DZIEWCZYNĄ. ŻONA ODKRYŁA TO I GROZIŁA, że go zabije. BRADLEY UMAR WYPIWSZY PIWO Z CYJANKIEM POTASU. PANIĄ BRADLEY ARESZTOWANO I WYTOCZONO JEJ SPRAWĘ O morderstwo. Załamała się w krzyżowym ogniu pytań. Skazana i powieszona.

Sprawa piąta: Matthew Litchfield.

STARY DESPOTA. W DOMU CZTYRY CÓRKI, KTÓRYM ZAKAZAŁ WSZELKICH PRZYJEMNOŚCI I NIE DAWAŁ PIENIĘDZY NA OSOBISTE POTRZEBY. KIEDY PEWNEGO WIECZORU WRACAŁ DO DOMU, NAPADNIĘTO GO PRZED BOCZNYM WEJŚCIEM I ZABITO CIOSEM W GŁOWĘ. POTEM, JUŻ PO ŚLEDZTWIE, NAJSTARSZA CÓRKA, MARGARET, POSZŁA NA POLICJĘ I PRZYznała się do zabicia ojca. OŚWIADCZYŁA, że zrobiła to, aby jej młodsze siostry mogły same ułożyć sobie życie, zanim będzie za późno LITCHFIELD POZOSTAWIŁ DUŻY MAJĄTEK. MARGARET Litchfield została uznana za chorą umysłowo i osadzona w Broadmoor, gdzie niebawem umarła.

CZYTAŁEM UWAGNIE, ALE Z ROSNĄCYM ZDUMIENIEM. WRESZCIE ODŁOŻYŁEM MASZYNOPIS I SPOJRZAŁEM na Poirota.

- No i co, mon ami?

- PRZYPOMINAM SOBIE SPRAWĘ BRADLEYA - POWIEDZIAŁEM POWOLI. - CZYTAŁEM O NIEJ W SWOIM CZASIE. PANI BRADLEY BYŁA BARDZO PRZYSTOJNA. ALE MUSISZ MI WYTŁUMACZYĆ. O CO W TYM WSZYSTKIM chodzi?

- Powiedz mi najpierw, jak ty to widzisz?

Byłem nieco skonsternowany.

- DAŁEŚ MI TUTAJ OPIS PIĘCIU RÓŻNYCH MORDERSTW. KAŻDE ZDARZYŁO SIĘ W INNYM MIEJSCU I W INNYM ŚRODOWISKU. CO WIĘCEJ, TRUDNO DOPATRZEĆ SIĘ JAKIEGOKOLWIEK PODOBIENSTWA MIĘDZY NIMI. MAMY TU JEDNĄ ZBRODNIĘ Z ZAZDROŚCI, W INNYM WYPADKU NIESZCZĘŚLIWA ŻONA CHCIAŁA POZBYĆ SIĘ MĘŻA, RAZ

MOTYWEM BYŁY PIENIĄDZE, RAZ ZNÓW MOŻNA BY MORDERSTWO UZNAĆ ZA BEZINTERESOWNE, SKORO SPRAWCZYNI NIE USIŁOWAŁA UNIKNAĆ KARY. PIĄTA Z KOLEI BYŁA TO BRUTALNA ZBRODZIA, NAJPEWNIJ POI WPŁYWEM ALKOHOLU. - PO CHWILI DODAŁEM Z WAHANIEM: - CZY JEST COŚ, CO JE ŁĄCZY, A CO JA przeoczyłem?

- NIE, NIE. BARDZO DOKŁADNIE TO PODSUMOWAŁEŚ. POMINAŁEŚ TYLKO JEDNĄ CECHE CHARAKTERYSTYCZNĄ, ŻE W ŻADNYM WYPADKU WŁAŚCIWIE NIE BYŁO ISTOTNYCH WĄTPLIWOŚCI.

- Nie bardzo rozumiem?

- PANI ETHERINGTON, NA PRZYKŁAD, ZOSTAŁA UNIEWINNIONA. WSZYSCY JEDNAK BYLI ABSOLUTNIE PEWNI, ŻE ONA TO ZROBIŁA. FREDY CLAY NIE POSTAWIONO W STAN OSKARŻENIA, ALE DLA KAŻDEGO BYŁO TO JEDYŃ MOŻLIWE ROZWIĄZANIE. RIGGS ZEZNAŁ, ŻE NIE PAMIĘTA, JAK ZABIŁ ŻONĘ I JEJ KOCHANKĘ, ALE NIGDY NIE WYŁONIŁ SIĘ PROBLEM, ŻE MÓGŁ TO UCZYNIĆ KTOKOLWIEK INNY. MARGARET LITCHFIELD SAMA SIĘ PRYZNAŁA. KAŻDYM WYPADKU, JAK WIDZISZ, BYŁ TYLKO JEDEN WYRAŹNY SPRAWCA I OPRÓCZ NIEGO NIKOGO NIE podejrzewano.

Zmarszczyłem czoło.

- Tak, to prawda, ale nie rozumiem, jaki mógłbyś wyciągnąć z tego wniosek?

- BO NIE WIESZ JESZCZE WSZYSTKIEGO I ZARAZ DO TEGO PRZEJDĘ. ZAŁOŻMY, HASTINGS, ŻE W KAŻDEJ Z OPISANYCH TU SPRAW POJAWIA SIĘ OBCA NUTA, ALE IDENTYCZNA DLA KAŻDEJ Z NICH.

- Co masz na myśli?

Poirot zastanowił się chwilę.

- CHCIAŁBYM, HASTINGS, MÓWIĄC CI TO, ZACHOWAĆ WSZELKĄ OSTROŻNOŚĆ. SPRÓBUJĘ TAK TO SFORMUŁOWAĆ. ISTNIEJE PEWNA OSOBA - IKS. IKS ANI RAZU NIE MIAŁ, SĄDZĄC Z POZORÓW, ŻADNEGO MOTYWU, ABY POZBAWIĆ ŻYCIA OFIARĘ ZBRODNI. RAZ NAWET, O ILE ZDOŁAŁEM STWIERDZIĆ, PRZEBYWAŁ W ODLEGŁOŚCI DWUSTU MİL OD MIEJSCA, W KTÓRYM POPEŁNIONO MORDERSTWO. MIMO TO WARTO SOBIE PEWNE RZECZY UŚWIADOMIĆ. IKS BYŁ BLISKIM ZNAJOMYM ETHERINGTONA. IKS MIESZKAŁ PRZEZ PEWIEN CZAS W TEJ SAMEJ WSI CO RIGGS. IKS ZNAŁ PANIĄ BRADLEY. MAM ZDJĘCIE, NA KTÓRYM IKS I FREDY CLAY RAZEM IDĄ ULICĄ. I IKS BYŁ W POKŁIŻU DOMU, KIEDY ZGINAŁ STARY MATTHEW LITCHFIELD. Co na to powiesz?

- TAK, TO TROCHE ZA DUŻO. DWIE SPRAWY MOŻNA BY WYJAŚNIĆ ZBIEGIEM OKOLICZNOŚCI, NAWET TRZY, ALE PIĘĆ TO JUŻ PRZESADA. TRUDNO W TO UWIERZYĆ, ALE CHYBA MUSI ISTNIEĆ JAKIŚ ZWIĄZEK MIĘDZY TYMI ZBRODNIAMI.

- Nasuwają ci się te same przypuszczenia, co mnie?

- Że Iks jest mordercą? Tak.

- WOBEC TEGO, HASTINGS, ZECHCIEJ ZROBIĆ JESZCZE JEDEN KROK RAZEM ZE MNĄ. POZWÓL, ŻE CI COŚ POWIEM. Iks jest w tym domu.

- Tutaj? W Styles?

- W Styles. Jaki logiczny wniosek należy stąd wysnuć?

Wiedziałem, co nastąpi, kiedy poprosiłem go, żeby mówił dalej.

Herkules Poirot powiedział z powagą:

- Wkrótce zostanie tu popełnione morderstwo.

ROZDZIAŁ III

Przez dłuższą chwilę, przerażony, wpatrywałem się w Poirota. Wreszcie zaprotestowałem:

- Nie, nic takiego się nie stanie. Ty temu zapobiegiesz.

Poirot spojrział na mnie z rozczeniem.

- JESTEŚ LOJALNYM PRZYJACIELEM. NADE WSZYSTKO CENIĘ TWOJĄ WIARĘ WE MNIE. TOUT DE MÊME, NIE MAM PEWNOŚCI, CZY W TYM WYPADKU JEST UZASADNIONA.

- Nonsens. Oczywiście możesz to zażegnać.

Poirot spowaźniał.

- ZASTANÓW SIĘ PRZEZ MOMENT, HASTINGS. MOŻNA ZŁAPAĆ MORDERCĘ, TAK. ALE JAK POSTĄPIĆ, ŻEBY POWSTRZYMAĆ GO OD MORDERSTWA?

- Przecież ty... No tak, to znaczy... Jeśli wiesz z góry...

Zamilkłem bezradnie, bo nagle zdałem sobie sprawę z trudności.

- WIDZISZ? TO NIE TAKIE PROSTE. SĄ W GRUNCIE RZECZY TYLKO TRZY METODY. PIERWSZA, TO OSTRZEŻEĆ OFIARĘ, ŻEBY MIAŁA SIĘ NA BACZNOŚCI. NIE ZAWSZE TO SIĘ UDAJE, BO NIESŁYCHANIE TRUDNO JEST PRZEKONAĆ LUDZI, ŻE GROZI IM NIEBEZPIECZEŃSTWO - I TO BYĆ MOŻE ZE STRONY KOGOŚ, KTO JEST IM BLISKI I DROGI. OBUZRAJĄ SIĘ I NIE CHCĄ UWIERZYĆ. DRUGI SPOSÓB TO UPRZEDZIĆ MORDERCĘ. OZNAJMIĆ MU W SŁOWACH LEKKO TYLKO ZAWOALOWANYCH: „ZNAM TWOJE ZAMIARY. JEŚLI TEN A TEN UMRZE, Z CAŁĄ PEWNOŚCIĄ ZOSTANIESZ POWIESZONY”. DAJE TO REZULTATY CZĘŚCIEJ NIŻ PIERWSZA METODA, ALE TEŻ CZASAMI ZAWODZI. PONIEWAŻ MORDERCA, MÓJ PRZYJACIELU, JEST BARDZIEJ ZAROZUMIAŁY NIŻ JAKAKOLWIEK INNA ZIEMSKA ISTOTA. MORDERCA JEST ZAWSZE SPRYTNIJSZY NIŻ WSZYSCY INNI... NIKT NIGDY NIE BĘDZIE JEGO CZY JEJ PODEJRZEWAŁ... WYPROWADZI W POLE POLICJĘ... I TAK DALEJ, I TAK DALEJ. WOBEC TEGO NA NIC NIE ZWAŻAJĄC, TRWA PRZY SWOIM ZAMIARZE I POZOSTAJE CI TYLKO SATYSFAKcja, ŻE POTEM GO POWIESZĄ. - ZAMYŚLIŁ SIĘ. - DWA RAZY W ŻYCIU OSTRZEŻEŁEM MORDERCĘ - RAZ W EGIPCIE, RAZ GDZIE INDZIEJ. W OBYDWU WYPADKACH ZBRODNIARZ NIE Odstąpił od swego zamiaru. Tu może zajść to samo...

- Wspomniałeś o trzeciej metodzie.

- TAK, TO PRAWDA. TRZECIA WYMAGA OGROMNEJ INWENCJI. MUSISZ ODGADNAĆ ŚCIŚLE, KIEDY I JAK MA SPAŚĆ CIOS, I BYĆ W POGOTOWIU, ABY WKROCYĆ W NAJWŁAŚCIWSZYM MOMENCIE PSYCHOLOGICZNYM. TRZEBA PRZYŁAPAĆ MORDERCĘ, JEŚLI NIE NA GORĄCYM UCZYNKU, TO TAK, ŻEBY JEGO ZBRODNICZA INTENCJA NI ULEGAŁA ŻADNEJ WĄTPLIWOŚCI. A TO, MÓJ PRZYJACIELU, ZAPEWNIAM CIĘ, JEST NADER TRUDNĄ I DELIKATNĄ SPRAWĄ, TOTEŻ BYNAJMNIEJ NIE MÓGŁBYM ZAGWARANTOWAĆ, ŻE NAM SIĘ POWIEDZIE! MOGĘ BYĆ ZAROZUMIAŁY, ALE NIE DO TEGO STOPNIA.

- Jaką metodę chcesz tu zastosować?

- Być może wszystkie trzy naraz. Pierwsza nastrocza najwięcej trudności.

- Dlaczego? Ja bym uważał, że jest najłatwiejsza.

- OWSZEM, JEŚLI ZNASZ PRZYSZŁĄ OFIARĘ. CZY NIE POJAŁEŚ JESZCZE, HASTINGS, ŻE JA NIE WIEM, KTO MA być ofiarą?

- Jak to?

WYDAŁEM TEN OKRZYK BEZ ZASTANOWIENIA. ZACZAŁEM JUŻ SOBIE UPRIYTAMNIAĆ, JAK CIĘŻKIE ZADANIE NAS CZEKA. NA PEWNO ISTNIEJE, MUSI ISTNIEĆ OGNIWO WSPÓLNE DLA OWEJ SERII ZBRODNI, ALE MY GO NIE znamy. Brak nam motywu, nie wiemy, kto jest zagrożony.

Poirot pokiwał głową, poznając po mojej twarzy, że zdałem sobie sprawę z trudności sytuacji.

- Widzisz, mój drogi, że to nie jest łatwe.

- NIE - PRZYNAŁEM - MASZ SŁUSZNOŚĆ. NIE UDAŁO CI SIĘ DOTYCHCZAS ZNALEŹĆ ZWIĄZKU MIĘDZY TYMI przypadkami?

Poirot zaprzeczył.

- Nie, żadnego.

ZNOWU POGRAŻYŁEM SIĘ W MYŚLACH. W SPRAWIE ABC MOTYWY ZBRODNI MIAŁY RZEKOMO WYNIKAĆ Z porządku alfabetycznego, a okazały się całkiem odmienne. Spytałem:

- NIE WPADŁEŚ NA NIC, CO WSKAZYWAŁOBY, ŻE CHODZI O PIENIĄDZE? TAK JAK NA PRZYKŁAD W wypadku Evelyn Carlisle?

- NIE. MOŻESZ BYĆ PRZEKONANY, DROGI PRZYJACIELU, ŻE CHEĆ ZYSKU JEST PIERWSZĄ RZECZĄ, ZA JAKĄ się rozglądam.

TO BYŁA PRAWDA. POIROT BYŁ ZAWSZE ZDECYDOWANIE CYNICZNY W SPRAWACH STOSUNKU LUDZI DO pieniędzy.

Znowu zacząłem się głowić. Rodzaj wendety? Może nawet pasowałoby to do faktów, ale i przy TEJ KONCEPCJI MUSIAŁOBY ISTNIEĆ WSPÓLNE OGNIWO. PRZYPOMNIAŁEM SOBIE PRZECZYTANĄ KIEDYŚ OPOWIEŚĆ o serii bezcelowych zbrodni - okazało się, że ofiarami byli członkowie sądu przysięgłych i mordował ICH SKAZANY PRZEZ NICH CZŁOWIEK. PRZYSZŁO MI NA MYŚL, ŻE COŚ W TYM RODZAJU MOGŁOBY WYJAŚNIĆ I TĘ sprawę. Wstydę się przyznać, ale zachowałem swój pomysł dla siebie. Jakiż byłbym dumny, gdybym mógł przedstawić Poirotowi gotowe rozwiązanie!

Zamiast tego spytałem:

- A teraz powiedz mi, kim jest Iks?

Ku memu niesłychanemu oburzeniu Poirot stanowczo potrząsnął głową.

- Tego ci nie powiem, mój drogi.

- Nonsens. Dlaczego?

W oczach Poirota pojawiły się błyski.

- PONIEWAŻ, mon cher, JESZCZE CIĄGŁE JESTEŚ TYM SAMYM HASTINGSEM Z DAWNYCH LAT. NADAL MASZ WYMOWNĄ TWARZ. NIE CHCIAŁBYM, ROZUMIESZ, ŻEBYŚ SIEDZIAŁ WPATRUJĄC SIĘ W IKSA Z ROZDZIAWIONYMI ustami i miną mówiącą wyraźnie: „Człowiek, na którego patrzę, jest mordercą”.

- Możesz mi zaufać, że w razie potrzeby potrafię nieźle udawać.

- KIEDY PRÓBUJESZ COŚ UDAWAĆ, JEST JESZCZE GORZEJ. NIE, NIE, MON AMI, MUSIMY DZIAŁAĆ W najgłębszej tajemnicy - ty i ja. A potem uderzymy zniemacka.

- Uparty diabeł z ciebie. Miałbym wielką ochotę...

PRZERWAŁEM, PONIEWAŻ ZAPUKANO DO DRZWI. POIROT ZAWOŁAŁ „PROSZĘ” I DO POKOJU WESZŁA MOJA córka Judith.

CHCIAŁBYM OPISAĆ JUDITH, ALE OPISY BYŁY ZAWSZE MOJĄ SŁABĄ STRONĄ. JUDITH JEST SMUKŁA, WYSOKO TRZYMA GŁOWĘ, MA PROSTE CZARNE BRWI, CZARUJĄCY ZARYS POLICZKÓW I BRODY, I SUROWĄ, NICZYM NIEUPIĘKSZONĄ TWARZ. JEST POWAŻNA, NIECO JAKBY WZGARDLIWA, I W MOIM ODCZUCIU MA W SOBIE ZAWSZE coś tragicznego.

Nie podeszła, żeby mnie pocałować - nie jest to w jej stylu. Uśmiechnęła się tylko.

- Dzień dobry, tato.

JEJ UŚMIECH BYŁ NIEŚMIAŁY I TROCHĘ ZAŻENOWANY, ALE ŚWIADCZYŁ, ŻE CHOĆ TEGO NIE OKAZUJE, CIESZY ją mój widok.

- DZIEŃ DOBRY - ODPOWIEDZIAŁEM, CZUJĄC SIĘ GŁUPIO, JAK CZĘSTO WOBEC PRZEDSTAWICIELI MŁODSZEJ generacji. - Przyjechałem pociągiem.

- To dzielnie z twojej strony, kochanie.

- Opisuję mu - wtrącił Poirot - tutejsze jedzenie.

- Bardzo jest niesmaczne? - spytała Judith.

- NIE POWINNAŚ O TO PYTAĆ, MOJE DZIECKO. CZYŻBYŚ NIE UMIAŁA MYŚLEĆ O NICZYM INNYM POZA PROBÓWKAMI I MIKROSKOPAMI? ŚRODKOWY PALEC MASZ POPLAMIONY BŁĘKITEM METYLENOWYM. TWÓJ MAŻ

nie będzie szczęśliwy, jeśli nie zadbasz o jego żołądek.

- Wobec tego może lepiej nie wyjdę za mąż.
- Na pewno wyjdiesz za mąż. Do czego stworzył cię le bon Dieu?
- Mam nadzieję, że do wielu rzeczy - odparła Judith.
- Le mariage przede wszystkim.
- Doskonale, wujek znajdzie mi męża, a ja będę się troszczyć o jego żołądek.
- Śmieje się ze mnie! - zawołał Poirot. - Kiedyś zrozumie, jak mądrzy są starzy ludzie.

Znów zapukano do drzwi i wszedł doktor Franklin. Był to wysoki, kanciasty mężczyzna, mający OKOŁO TRZYDZIESTU PIĘCIU LAT, O STANOWCZYM PODBRÓDKU, RUDAWYCH WŁOSACH I JASNONIEBIESKICH OCZACH. NIGDY NIE WIDZIAŁEM CZŁOWIEKA AŻ TAK NIEZDARNEGO. W ROZTARGNIENIU OBJAŁ SIĘ WCIAŻ O RÓŻNE przedmioty.

KOŁO KRZESŁA POIROTA STAŁ PARAWAN. DOKTOR ZDERZYŁ SIĘ Z NIM I ODWRACAJĄC Z LEKKA GŁOWĄ bąknął odruchowo w jego stronę „przepraszam”.

MNIE SIĘ CHCIAŁO ŚMIAĆ, ALE JUDITH NIE STRACIŁA POWAGI. WIDOCZNIE ZDAŻYŁA JUŻ DO TEGO przywyknąć.

- Pamięta pan mego ojca? - zapytała.

DOKTOR FRANKLIN SPŁOSZYŁ SIĘ, DRGNAŁ NERWOWO, ZAMRUGAŁ POWIEKAMI I WYCIĄGNAŁ DO MNIE DŁO mamrocząc z zakłopotaniem:

- OCZYWIŚCIE, OCZYWIŚCIE, JAK SIĘ PAN MA? SŁYSZAŁEM, ŻE MA PAN TU PRZYJECHAĆ. - ODWRÓCIŁ SIĘ DO JUDITH. - PRZEPRASZAM, CZY MYŚLI PANI, ŻE TRZEBA SIĘ PRZEBRAĆ DO KOLACJI? JEŚLI NIE, TO MOGLIBYŚMY jeszcze potem popracować. Gdybyśmy przygotowali kilka preparatów...

- Nie. Chcę porozmawiać z ojcem.

- TAK. OCZYWIŚCIE. JASNE. - NAGLE UŚMIECHNAŁ SIĘ SPESZONY, JAK MIODY CHŁOPIEC. - OGROMNIE MI PRZYKRO. NIC NIE WIDZĘ POZA SWOJĄ PRACĄ. TO OBRZYDLIWE. ROBIĘ SIĘ TAKI SAMOLUBNY. PROSZĘ MI WYBACZYĆ. - ZEGAR WYBIŁ GODZINĘ I FRANKLIN ROZEJRZAŁ SIĘ W POPŁOCHU. - NA MIŁY BÓG, TO JUŻ TA późno? To fatalnie. Przyrzekłem Barbarze, że jej poczytam przed kolacją.

Uśmiechnął się do nas obojga i wybiegł z pokoju, zderzając się po drodze z framugą drzwi.

- Jak się czuje pani Franklin? - zapytałem.

- Jak zawsze, a może nawet gorzej.

- To smutne, że ciągle choruje.
- Nieznośne dla doktora. Lekarze lubią zdrowych ludzi.
- Jacy wy młodzi jesteście bezwzględni!

Judith odpowiedziała chłodno:

- Stwierdzam fakt, nic więcej.
- A jednak - wtrącił Poirot - dobry pan doktor pobiegł, żeby jej poczytać.

- TEŻ GŁUPIO - NIE USTĘPOWAŁA JUDITH. - PIELEŃNIARKA MOŻE POCZYTAĆ, JEŚLI JEJ TO POTRZEBNE DO SZCZĘŚCIA. Ja tam znenawidziłabym każdego, kto by mi czytał głośno.

- Różne bywają gusty - ośmieliłem się zaprzeczyć.

- To bardzo głupia kobieta.

- Pod tym względem, mon enfant, nie zgadzam się z tobą.

- NIE CZYTA NIC PRÓCZ NAJBARDZIEJ SZMIROWATYCH POWIEŚCI. NIE INTERESUJE SIĘ JEGO PRACĄ. NIE OBCHODZĄ JEJ WSPÓLCZESNE PRĄDY NAUKOWE. MÓWI WYŁĄCZNIE O SWOIM ZDROWIU Z KAŻDYM, KTO CHCE SŁUCHAĆ.

- A JEDNAK TWIERDZĘ, ŻE UŻYWA SWOICH SZARYCH KOMÓREK W TAKI SPOSÓB, O JAKIM TY, MOJE DZIECKO, nie masz pojęcia.

- JEST BARDZO KOBIECA. GRUCHA I SZCZEBIOCE. COŚ MI SIĘ ZDAJE, ŻE TAKIE WŁAŚNIE CI SIĘ PODOBAJĄ, wujku, prawda?

- WCALE NIE - ODPOWIEDZIAŁEM ZA NIEGO. - ON LUBI OBFITE W KSZTAŁTACH I SZYKOWNE. NAJLEPIEJ hrabiny.

- OBGADUJESZ MNIE, HASTINGS? TWÓJ OJCIEC, JUDITH, ZAWSZE MIAŁ SKŁONNOŚCI DO KASZTANOWYCH włosów. Nieraz wpadał przez to w tarapaty.

Judith objęła nas obu pobłażliwym uśmiechem.

- Jaka z was zabawna para.

Wyszła i ja też się podniosłem.

POIROT NACISNĄŁ MAŁY DZWONEK LEŻĄCY W ZASIĘGU RĘKI I PO CHWILI POJAWIŁ SIĘ JEGO SŁUŻĄCY. KU memu zdziwieniu był to obcy człowiek.

- Dlaczego? Gdzie jest George?

Lokaj Poirota, George, pracował u niego przez wiele lat.

- GEORGE POJECHAŁ DO RODZINY. JEGO OJCIEC JEST CHORY. MYŚLĘ, ŻE KIEDYŚ DO MNIE WRÓCI. Tymczasem - Poirot uśmiechnął się do nowego służącego - troszczy się o mnie Curtiss.

CURTISS ODPOWIEDZIAŁ PEŁNYM SZACUNKU UŚMIECHEM. BYŁ TO BARCZYSTY MĘŻCZYŻNA O NIECO głupkowskim wyglądzie.

WYCHODZĄC ZAUWAŻYŁEM, ŻE POIROT STARANNIE ZAMYKA NA KLUCZ TECZKĘ Z DOKUMENTAMI. Z ZAMĘTEM w głowie udałem się korytarzem do swojego pokoju.

ROZDZIAŁ IV

ZSZEDŁEM TEGO WIECZORU NA KOLACJĘ Z POCZUCIEM, ŻE OTACZAJĄCY MNIE ŚWIAT STAŁ SIĘ nierzeczywisty.

PAROKROTNI W TRAKCIE PRZEBIERANIA SIĘ ZADAŁEM SOBIE PYTANIE, CZY POIROT PRZYPADKIEM NIE WYMYŚLIŁ SOBIE CAŁEJ TEJ HISTORII. W KOŃCU MÓJ PRZYJACIEL JEST JUŻ BARDZO STARYM I ŻAŁOŚNI PODUPADŁYM NA ZDROWIU CZŁOWIEKIEM. ON UTRZYMUJE, ŻE JEGO MÓZG DZIAŁA TAK SAMO SPRAWNIE JAK DAWNIEJ, ALE PRAWDĘ MÓWIĄC, KTO WIE, CZY TAK JEST ISTOTNIE? SPĘDZIŁ CAŁE ŻYCIE NA TROPIENIU ZBRODNI. CZY BYŁOBY AŻ TAK ZASKAKUJĄCE, GDYBY POD KONIEC ZACZEŁY MU SIĘ PRZYWIDYWAĆ ZBRODNI UROJONE? NA PEWNO GRYZIE SIĘ SWOJĄ PRZYMUSOWĄ BEZCZYNNOŚCIĄ. CZY W KONSEKWENCJI NIE ZNALAZŁ SOBIE ROZRYWKI W POSTACI POLOWANIA NA PRZESTĘPCĘ? UZNAŁ WŁASNE POBOŻNE ŻYCZENIE ZA RZECZYWISTOŚĆ - NERWICA DOŚĆ ROZPOWSZECHNIONA. WYBRAŁ PEWNĄ LICZBĘ OPISANYCH W PRASIE PRZYPADKÓW I ODCZYTAŁ W NICH TO, CO SAM CHCIAŁ - DOJRZAŁ ZA NIMI TAJEMNICZY CIEŃ, OBLĄKANEGO MASOWEGO MORDERCĘ. NAJPEWNIJ PANI ETHERINGTON RZECZYWIŚCIE ZABIŁA MĘŻA, ROBOTNIK ROLNY ZASTRZELIŁ ŻONĘ, MŁODA KOBIETA PODAŁA CHO CIOTCE ŚMIERTELNĄ DAWKĘ MORFINY, ZAZDROSNA ŻONA SPEŁNIŁA SWĄ GROŻBĘ, A POMYLONA STARA PANN POPEŁNIŁA MORDERSTWO, DO KTÓREGO POTEM SIĘ PRYZNAŁA. W ISTOCIE RZECZY TE ZBRODNI BYŁY DOKŁADNIE TAKIE, NA JAKIE WYGLĄDAŁY!

TEMU PUNKTOWI WIDZENIA (NA PEWNO ZGO DNEMU ZE ZDROWYM ROZSĄDKIEM) MOGŁEM przeciwstawić jedynie moją własną głęboką wiarę w przenikliwość Poirota.

Poirot oświadczył, że ukartowano morderstwo. Że po raz drugi Styles ma być sceną zbrodni.

CZAS POTWIERDZI LUB OBALI TĘ HIPOTEZĘ, ALE GDYBY TAK BYŁO NAPRAWDĘ, MY POWINNIŚMY TEMU zapobiec.

I Poirot wie, kto jest mordercą, a ja nie.

Im więcej o tym myślałem, tym bardziej mnie to złościło.

NA DOBRĄ SPRAWĘ JEST TO BEZCZELNOŚĆ ZE STRONY POIROTA! ŻĄDA ODE MNIE WSPÓŁPRACY I UWAŻA, ŻE nie zasługuję na zaufanie!

DŁACZEGO? PODAŁ CO PRAWDA POWÓD, ALE ZGOŁA NIEWYSTARCZAJĄCY! MIAŁEM JUŻ DOŚĆ JEGO GŁUPICI ŻARTÓW NA TEMAT MOJEJ „WYMOWNEJ TWARZY”. UMIEM UTRZYMAĆ SEKRET RÓWNIE DOBRZE JAK INNI LUDZIE. POIROT PONIŻAŁ MNIE Z UPOREM GODNYM LEPSZEJ SPRAWY, TWIERDZĄC, ŻE JESTEM PRZEJRZYSTY JAK SZKŁO I ŻE każdy potrafi odczytać, co dzieje się w moim umyśle. Czasem starał się złagodzić cios, przypisując to mojej szlachetnej i uczciwej naturze, która brzydzi się wszelkimi formami oszustwa!

Oczywiście, gdyby cała sprawa miała się okazać tylko wytworem wyobraźni Poirota, jego powściągliwość byłaby łatwa do wytłumaczenia. Nie doszedłem jeszcze do żadnych wniosków, kiedy rozległ się gong. Zasiadłem do kolacji bez uprzedzeń, ale rozglądając się czujnie, czy uda mi się wykryć mitycznego Iksa.

NA RAZIE POSTANOWIŁEM KAŻDE SŁOWO POIROTA PRZYJĄC ZA ŚWIĘTĄ PRAWDĘ. JEST WIĘC POD TYM dachem ktoś, kto zabił już pięć razy i szykuje się do zabicia po raz szósty. Kto to jest?

W salonie, gdzie zebraliśmy się przed kolacją, zostałem przedstawiony pannie Cole i majorowi ALLERTONOWI. PANNA COLE BYŁA WYSOKĄ, ŁADNĄ, TRZYDZIESTOPAROLETNIĄ KOBIETĄ. MAJOR ALLERTON WZBU MOJĄ INSTYKTYWĄ NIECHĘĆ. BYŁ TO PRZYSTOJNY MĘŻCZYŻNA PO CZTERDZIESTCE, BARCZYSTY, Z OPALC TWARZĄ, SWOBODNY W OBEJŚCIU I ROZMOWNY, PRZY TYM WSZYSTKO, CO MÓWIŁ, OBFITOWAŁO W PODTEKSTY I ALUZJE. POD OCZAMI MIAŁ WORKI - WIDOMY SKUTEK ROZWIĄZŁEGO TRYBU ŻYCIA. PODEJRZEWAŁEM, ŻE JEST hulaką, uprawia hazard, upija się i przede wszystkim uwodzi kobiety.

STARY PUŁKOWNIK LUTTRELL, JAK ZAUWAŻYŁEM, TEŻ NIE BARDZO GO LUBIŁ, A BOYD CARRINGTON ODN SIĘ DO NIEGO Z REZERWĄ. ZA TO U PAŃ ALLERTON MIAŁ POWODZENIE. PANI LUTTRELL ĆWIERKAŁA COŚ DO NIEG ZACHWYCONA, ŻE PRAWI JEJ OD NIECHCENIA KOMPLEMENTY Z WCALE NIESKRYWANĄ IMPERTYNNENCJĄ. ZIRYTOWAŁO MNIE, ŻE JUDITH RÓWNIEŻ WYDAJE SIĘ ZADOWOLONA Z JEGO TOWARZYSTWA I ROZMAWIA Z NIM Z WIĘKSZYM NIŻ ZAZWYCZAJ OŻYWIENIEM. NIGDY NIE MOGŁEM ZROZUMIEĆ, DLACZEGO ZAWSZE I NIEUCHRONNIE NAJBARDZIEJ SZUBRAWY MĘŻCZYŻNA MOŻE SPODOBAĆ SIĘ I ZAINTERESOWAĆ NAJMILSZĄ KOBIETĘ. INTUICYJNIE WIEDZIAŁEM, ŻE ALLERTON JEST ŁAJDAKIEM - I DZIEWIĘCIU MĘŻCZYŻN NA DZIESIĘCIU ZGODZIŁOBY SIĘ ZE MNĄ. Natomiast dziewięć kobiet lub nawet wszystkie dziesięć z miejsca straci dla niego głowę.

ZASIEDLIŚMY DO STOŁU I KIEDY POSTAWIONO PRZED NAMI TALERZE Z KLEISTĄ BIAŁĄ MAZIĄ, ZACZAŁEM BŁADZIĆ WZROKIEM PO OBECNYCH, ROZWAŻAJĄC RÓŻNE EWENTUALNOŚCI. JEŚLI POIROT MA RACJĘ I UMYSŁ równie sprawny jak dawniej, jedna z tych osób jest niebezpiecznym i chyba szalonym mordercą.

POIROT, CO PRAWDA, NIE POWIEDZIAŁ TEGO WPROST, ALE ZAŁOŻYŁEM, ŻE IKS JEST MĘŻCZYŻNĄ. KTÓRY nich wydaje mi się najbardziej podejrzany?

NA PEWNO NIE STARY PUŁKOWNIK LUTTRELL, TYPOWY PANTOFLARZ, ZAWSZE NIEZDECYDOWANY. NORTO TEN, KTÓREGO POZNAŁEM, JAK WYBIEGAŁ Z DOMU Z LORNETKĄ? MAŁO PRAWDOPODOBNE. WYGLĄDAŁ I SYMPATYCZNEGO FACETA, RACZEJ MAŁO ENERGETYCZNEGO I POZBAWIONEGO TEMPERAMENTU. OCZYWIŚCIE WIEDZIAŁEM, ŻE MORDERCAMI CZĘSTO BYWAJĄ LUDZIE MALI I NIEPOZORNI, KTÓRYCH DO ZBRODNI PCHA POTRZEBA AUTOAFIRMACJI. CIERPIĄ, ŻE POMIJA SIĘ ICH I NIE ZAUWAŻA. NORTON MÓGŁBY BYĆ TEGO TYPU ZBRODNIARZEM. ALE PRZECIEŻ TAK BARDZO KOCHA PTAKI. ZAWSZE WIERZYŁEM, ŻE UMIŁOWANIE PRZYRODY JEST OZNAKĄ ZDROWIA psychicznego.

BOYD CARINGTON? NIE WCHODZI W RACHUBĘ. NAZWISKO ZNANE NA CAŁYM ŚWIECIE. ZNAKOMITY SPORTOWIEC, BYŁY DYGNITARZ, CZŁOWIEK POWSZECHNIE LUBIANY I SZANOWANY. FRANKLINA TAKŻE wykluczyłem. Wiedziałem, że Judith podziwia go i wielbi.

Z KOLEI ALLERTON. KANALIA, JEŚLI ZNAM SIĘ CHOĆ TROCHĘ NA LUDZIACH! DRAŃ, KTÓRY ZDARŁBY SKÓF WŁASNEJ BABKI. I WSZYSTKO TO POKRYTE POZORAMI CZARUJĄCYCH MANIER. MÓWIŁ COŚ WŁAŚNIE - UMYŚLNIE UŻYWAJĄC ŻAŁOSNEGO TONU, OPOWIADAŁ JAKĄŚ HISTORIĘ O WŁASNEJ KOMPROMITACJI, BAWIĄC WSZYSTKICH swoim kosztem.

Jeśli Allerton jest Iksem, jego zbrodnie na pewno zostały popełnione dla zysku.

PONIEWAŻ POIROT NIE STWIERDZIŁ WYRAŹNIE, ŻE IKS JEST MĘŻCZYŻNĄ, MUSIAŁEM WZIĄĆ POD UWAGĘ

TAKŻE PANNE COLE. RUCHY MIAŁA NIESPOKOJNE I NIESKOORDYNOWANE, WIDAĆ BYŁO, ŻE JEST NERWOWA. TWARZ ŁADNĄ, CHOĆ SMUTNĄ I ZNEKANĄ. MIMO TO WYGLĄDAŁA NA OSOBĘ NORMALNĄ. ONA, PANI LUTTREL JUDITH BYŁY JEDYNYMI KOBIECIAMI PRZY STOLE. PANI FRANKLIN ZANIESIONO KOLACJĘ NA GÓRĘ DO POKOJU, pielęgniarka, która jej doglądała, czekała z posiłkiem, aż my skończymy.

PO KOLACJI STANAŁEM W SALONIE PRZY OKNIE, PATRZĄC NA OGRÓD I WSPOMINAJĄC OWĄ CHWILĘ, KIEDY UJRZAŁEM CYNTIĘ MURDOCH, MŁODĄ DZIEWCZYNĘ Z KASZTANOWYMI WŁOSAMI, BIEGNĄCĄ NA PRZEŁAJ PRZEZ trawnik. Jaka urocza była w swym białym kitlu...

POGRAŻONY W MYŚLACH O PRZESZŁOŚCI, DRGNAŁEM, KIEDY JUDITH WSUNĘŁA MI RĘKĘ POD RAMIĘ. Pociągnęła mnie za sobą na taras.

Spytała bez ogródek:

- O co chodzi?

Zaskoczyło mnie to.

- A o co ma chodzić? Nie rozumiem, o czym mówisz?

- Przez cały wieczór byłeś jakiś dziwny. Dlaczego przy kolacji tak się wszystkim przyglądałeś?

Byłem zły. Nie miałem pojęcia, że tak wyraźnie ujawniłem swoje myśli.

- Doprawdy? Chyba cofnąłem się w przeszłość. Może widziałem duchy?

- RZECZYWIŚCIE, PRZECIEŻ MIESZKAŁEŚ TU JAKO MŁODY CZŁOWIEK! ZASTRZELONO TUTAJ JAKĄS STARSZĄ panią, czy coś w tym rodzaju.

- Otruto strychniną.

- Jaka ona była? Miła czy wstrętna?

Zastanowiłem się nad odpowiedzią.

- Była bardzo życzliwa. Wielkoduszna. Nie skąpiła pieniędzy na cele dobroczynne.

- Och, ten rodzaj wielkoduszności!

W głosie Judith brzmiała lekka pogarda. Po chwili zadała mi osobliwe pytanie:

- Ci ludzie tutaj... czy byli szczęśliwi?

Nie, nie byli szczęśliwi. To wiedziałem na pewno.

-Nie.

- Dlaczego?

- Bo czuli się jak więźniowie. Rozumiesz, pani Inglethorp miała pieniądze i skąpo je wydzielała. Jej pasierbowie nie mogli żyć po swojemu.

Usłyszałem, że Judith gwałtownie wciąga powietrze. Dłoń pod moim ramieniem zeszywniała.

- To podle... Podle. Nadużycie władzy. Należy tego zakazać. Starzy ludzie, chorzy ludzie nie powinni panować nad życiem młodych i silnych. Krępować ich, dręczyć, marnotrawić ich energię i zdolności, które mogą przydać się światu, których świat potrzebuje. To jest egoizm.

- Starzy - wtrąciłem sucho - nie mają monopolu na tę cechę.

- Och, wiem, tato, wy uważacie, że młodzi są samolubni. Może i jesteśmy, ale to jest czysty rodzaj egoizmu. Ostatecznie chcemy tylko sami robić to, co chcemy, ale nie próbujemy innych ludzi zamieniać w niewolników.

- Nie, po prostu traktujecie ich, jeśli przypadkiem znajdą się na waszej drodze.

Judith lekko przycisnęła moje ramię.

- Nie bądź taki cierpki. Ja naprawdę nie mam na swoim koncie wielu stratowanych, a ty nigdy nie usiłowałeś dyktować nam, jak mamy żyć. Jesteśmy ci za to wdzięczni.

- Boję się - przyznałem uczciwie - że mimo wszystko miałbym na to ochotę. To wasza matka upierała się, że trzeba wam pozwolić na popełnianie błędów.

Judith jeszcze raz przelotnie ścisnęła moje ramię.

- Wiem. Ty byś wolał czuwać nad nami jak kwoka. Nienawidzę nadmiernej opieki. Nie mogę tego znieść. Ale zgadzasz się ze mną, że ludzie zdolni i potrzebni nie powinni poświęcać życia niezdolnym i bezużytecznym?

- Czasami to się zdarza. Ale nie należy wtedy sięgać do drastycznych środków... Każdy może ostatecznie sam zdecydować się na odejście...

- Tak, ale czy może? Czy może?

Jej ton był tak gwałtowny, że spojrzałem na nią ze zdumieniem. Było za ciemno, żebym mógł wyraźnie zobaczyć jej twarz. Podjęła głosem niskim i namiętym:

- To takie trudne, tak wiele wchodzi w grę. Sprawy finansowe. Poczucie odpowiedzialności. Niechęć do skrzywdzenia kogoś, kto był kiedyś bliski... Tyle spraw... a znów pewni ludzie są tacy bezwzględni, dokładnie wiedzą, jak wyzyskać czyjeś skrupuły! Są ludzie... Są ludzie pijawki!

- Judith, kochanie! - zawołałem wstrząśnięty tym wybuchem.

Uprzytomniła sobie chyba, jak jest wzburzona, bo roześmiała się i wysunęła rękę spod mojego ramienia.

- ZA BARDZO SIĘ UNIOSŁAM. ZAWSZE MNIE TO DOPROWADZA DO PASJI. WIDZISZ, ZNAŁAM WYPADEK... BYŁ TAKI OKRUTNY STARZEC... I KIEDY ZNALAZŁ SIĘ KTOŚ NA TYLE DZIELNY, ŻEBY PRZECIĄĆ WĘZEL I WYZWOIŁ NAJBLIŻSZYCH, uznano go za wariata. Wariat? To najrozsądniejsza rzecz... i najdzielniejsza.

Poczułem przykre ukłucie niepokoju. Gdzież to słyszałem niedawno podobną historię?

- Judith - przerwałem szorstko - co to była za sprawa?

- NIE ZNASZ TYCH LUDZI. PRZYJACIELE FRANKLINÓW. STARY CZŁOWIEK NAZWISKIEM LITCHFIELD. BARDZO BOGATY, A PRAWIE ZAGŁODZIŁ SVOJE NIESZCZĘSNE CÓRKI. NIE POZWALAŁ IM Z NIKIM SIĘ SPOTYKAĆ, NIGDZIE BYWAĆ. Na pewno był obłąkany, ale nie z punktu widzenia medycyny.

- I najstarsza córka go zamordowała?

- CZYTAŁEŚ O TYM W PRASIE? TAK, DLA CIEBIE OCZYWIŚCIE TO JEST MORDERSTWO... ALE NIE POPEŁNIŁ GO DLA WŁASNEJ KORZYŚCI. MARGARET LITCHFIELD POSZŁA PROSTO NA POLICJĘ I PRYZNAŁA SIĘ DO WSZYSTKIEGO. Moim zdaniem, była bardzo dzielna. Mnie nie starczyłoby odwagi.

- Odwagi na to, żeby się przyznać, czy żeby popełnić morderstwo?

- Ani na jedno, ani na drugie.

- CIESZY MNIE TO - POWIEDZIAŁEM SUROWO. - NIE LUBIĘ SŁUCHAĆ, JAK MÓWISZ, ŻE MORDERSTWO MOŻE BYĆ W PEWNYCH WYPADKACH USPRAWIEDLIWIONE. - PO CHWILI DODAŁEM: - A DOKTOR FRANKLIN JAKIEGO BYŁ ZDANIA?

- UWAŻAŁ, ŻE MU SIĘ TO SŁUSZNIE NALEŻAŁO. WIESZ, TATO, SĄ LUDZIE, KTÓRZY WRĘCZ SIĘ NAPRASZAJĄ, BY ICH ZAMORDOWANO.

- Nie chcę, żebyś tak mówiła, Judith. Kto ci podsuwa takie pomysły?

- Nikt.

- Uwierz mi, proszę, że to wszystko są szkodliwe bzdury.

- DOBRZE. ZOSTAWMY TO. WŁAŚCIWIE MIAŁAM CI TYLKO PRZEKAZAĆ ZAPROSZENIE OD PANI FRANKLIN. Prosi, jeśli nie masz nic przeciw temu, żebyś ją odwiedził w jej pokoju.

- Będę zachwycony. Szkoda, że nie czuła się dość dobrze, by zejść na kolację.

- Nic jej nie jest - odrzekła bezlitośnie Judith. - Po prostu lubi, jak się koło niej skacze.

Młodzi są bezwzględni.

ROZDZIAŁ V

POPREDNIO RAZ TYLKO ZETKNAŁEM SIĘ Z PANIĄ FRANKLIN. BYŁA TO KOBIETA OKOŁO TRZYDZIESTKI URODA, JAK BYM TO OKREŚLIŁ, W TYPIE MADONNY. WIELKIE BRĄZOWE OCZY, PRZEDZIAŁEK POŚRODKU GŁOWY I podłużna, subtelna twarz. Była bardzo szczupła i miała delikatną, przezroczystą cerę.

Leżała na kanapie, oparta o poduszki, w wykwintnym białoniebieskim szlafrocuku.

FRANKLIN I BOYD CARRINGTON TRZYMALI FILIŻANKI Z KAWĄ. PANI FRANKLIN PRZYWITAŁA M WYCIĄGNIĘTĄ DŁONIĄ I UŚMIECHEM.

- TAK SIĘ CIESZĘ, ŻE PAN PRZYJECHAŁ, PANIE KAPITANIE. A JAK TO DOBRZE DLA JUDITH! TO DZIECKO ZA ciężko pracuje.

- Nie wygląda wcale na zmęczoną - odpowiedziałem, ujmując jej małą, kruchą dłoń.

Barbara Franklin westchnęła.

- TAK, NA SZCZĘŚCIE. JAK JA JEJ ZAZDROSCZĘ... GŁOWĘ BYM DAŁA, ŻE NIE WIE, CO TO JEST CHOROBA. Co pani o tym myśli, siostrze? Przepraszam, nie przedstawiłam państwa. Oto siostra Craven, która jest DLA MNIE TAK BARDZO, TAK NADZWYCZAJ DOBRA. NIE WIEM, CO BYM BEZ NIEJ POCZĘŁA. TRAKTUJE MNIE JAK małe dziecko.

SIOSTRA CRAVEN BYŁA WYSOKĄ, PRZYSTOJNĄ MŁODĄ KOBIETĄ O ŻYWYCH RUMIEŃCACH I BUJNYCH KASZTANOWYCH WŁOSACH. ZAUWAŻYŁEM, ŻE DŁONIE MA DŁUGIE I BIAŁE - CO SIĘ RZADKO SPOTYKA U PIELĘGNIAREK SZPITALNYCH. BYŁA RACZEJ MAŁOMÓWNA I CZASEM WOLAŁA SIĘ NIE ODZYWAĆ. TERAZ TAKŻE skłoniła tylko głowę.

- ALE NAPRAWDĘ JOHN ZA BARDZO EKSPLOATUJE TĘ PANIĄ NIESZCZĘSNĄ CÓRKĘ. PRAWDZIWI POGANIACZ niewolników. Jesteś poganiaczem niewolników, John, przyznaj się!

JEJ MAŻ WYGLĄDAŁ PRZEZ OKNO. GWIZDAŁ COŚ CICHY I RĘKĄ POBRZEKIWAŁ BILONEM W KIESZENI. Pytanie żony wyrwało go z zamyślenia.

- O co chodzi, Barbaro?

- Mówiłam właśnie, że skandalicznie zamęczasz pracą biedną Judith Hastings. Teraz, kiedy jest tu kapitan, zawrzemy przymierze i nie dopuścimy do tego.

PRZEKOMARZANIE SIĘ NIE BYŁO MOCNĄ STRONĄ FRANKLINA. ZAKŁOPOTANY ZWRÓCIŁ SIĘ PYTAJĄCO I Judith.

- Musi mi pani mówić, kiedy przeciągam strunę - wyjąkał.

Judyt machnęła ręką.

- ONI TYLKO SIŁĄ SIĘ NA DOWCIPY. ALE SKORO JUŻ MOWA O PRACY, CHCIAŁAM PANA SPYTAĆ O BARWNIK do drugiego preparatu, wie pan, tego, który...

Skwapliwie podjął temat:

- TAK, TAK. PROSZĘ BARDZO, JEŚLI NIE MA PANI NIC PRZECIW TEMU, MOGLIBYŚMY PRZEJŚĆ DO laboratorium. Wolałbym się upewnić...

Pogrążeni w rozmowie wyszli razem z pokoju.

Barbara Franklin z westchnieniem opadła na poduszki. Siostra Craven mruknęła cierpko:

- Jak widać, to panna Hastings jest poganiaczem niewolników...

Pani Franklin westchnęła powtórnie.

- JESTEM ZUPEŁNIE DO NICZEGO. POWINNAM, WIEM O TYM, BARDZIEJ INTERESOWAĆ SIĘ PRACĄ JOHNA, ALE PO PROSTU NIE MOGĘ SIĘ NA TO ZDOBYĆ. CHYBA COŚ ZE MNĄ JEST NIE W PORZĄDKU POD TYM WZGLĘDEM, ale...

Stojący przy kominku Boyd Carrington prychnął niecierpliwie:

- Nonsens, Babs. Nie masz sobie nic do zarzucenia. Nie zamartwiaj się.

- ALE BILL, KOCHANY, JA MUSZĘ SIĘ MARTWIĆ. GNĘBI MNIE TO I JUŻ... TO WSZYSTKO WYDAJE MI SIĘ takie obrzydliwe. Świnki morskie i szczury, i w ogóle. Brr - wzdrygnęła się. - Wiem, że to głupie, ale TAKA JUŻ ZE MNIE IDIOTKA. ROBI MI SIĘ OD TEGO PO PROSTU NIEDOBRZE. JA BYM CHCIAŁA MYŚLEĆ TYLKO O TYM, co ładne i radosne, o kwiatach, ptakach i rozbawionych dzieciach. Przecież ty wiesz, Bill...

PODSZEDŁ DO NIEJ I UJAŁ WYCIĄGNIĘTĄ BŁAGALNIE RĘKĘ. SPOGLĄDAŁ NA NIĄ ZE ZMIENIONĄ, ŁAGODNĄ JĄ U KOBIETY TWARZĄ. BYŁO TO NAWET DOŚĆ WZRUSZAJĄCE, GDYŻ BOYD CARRINGTON BYŁ TAK BARDZO MĘSKĄ mężczyzną.

- NIE ZMIENIŁAŚ SIĘ WIELE OD CZASU, KIEDY MIAŁAŚ SIEDEMNAŚCIE LAT, BABS - POWIEDZIAŁ. - PAMIĘTASZ TĘ ALTANKĘ W TWOIM OGRODZIE I KARMNIK DLA PTAKÓW, I ORZECHY KOKOSOWE? - ZWRÓCIŁ TWARZ w moją stronę. - Barbara i ja jesteśmy starymi towarzyszami zabaw.

- Starymi towarzyszami zabaw! - zaoponowała.

- PRZECIEŻ SIĘ NIE ZAPIERAM, ŻE JESTEŚ O PRZESZŁO PIĘTNAŚCIE LAT MŁODSZA ODE MNIE. ALE BAWIŁEM SIĘ Z TOBĄ, KIEDY BYŁAŚ MAŁYM BRZDĄCEM, A JA JUŻ MŁODYM MĘŻCZYZNĄ. NOSIŁEM CIĘ NA BARANA, KOCHANIE. A W WIELE LAT PÓŹNIEJ, PO POWROCIE DO KRAJU, UJRZAŁEM PIĘKNĄ MŁODĄ DAMĘ, WŁAŚNIE SZYKUJĄCĄ SIĘ DO WEJŚCIA W ŚWIAT - I ZROBIŁEM, CO DO MNIE NALEŻAŁO, ZABIERAJĄC JĄ NA TERENY GOLFOWE I ucząc gry w golfa. Pamiętasz?

- OCH, BILL, MYŚLISZ, ŻE MOGLĄBYM ZAPOMNIEĆ? MOJA RODZINA MIESZKAŁA W TEJ OKOLICY - wyjaśniła mi - a Bill przyjeżdżał tu do Knatton, do swego wuja, sir Everarda.

- CÓŻ TO BYŁO ZA MAUZOLEUM! I NADAL JEST ZRESZTĄ. CZASEM WĄTPIĘ, CZY UDA MI SIĘ TEN DOM zagospodarować.

- Ależ Bill, to można tak pięknie urządzić, tak cudownie!

- OWSZEM, BABS, ALE KŁOPOT POLEGA NA TYM, ŻE NIE MAM KONCEPCJI. ŁAZIENKI I KILKA RZECZYWIŚCIE wygodnych foteli, to wszystko, co mogę wymyślić. Tam potrzeba kobiety.

- Przynależę, że ci pomogę. I dotrzymam. Naprawdę.

Sir William spojrzał pytająco na siostrę Craven.

- Gdybyś czuła się na siłach, mógłbym cię tam zawieźć. Co pani o tym myśli, siostrze?

- ALEŻ TAK, NA PEWNO WYJDZIE TO PANI FRANKLIN NA ZDROWIE. NATURALNIE MA BYĆ OSTROŻNA I NI przemęczyć się.

- Więc jesteśmy umówieni. A teraz śpij dobrze. Żebyś jutro była w znakomitej formie.

POWIEDZIELIŚMY OBAJ DOBRANOC PANI FRANKLIN I RAZEM OPUŚCILIŚMY POKÓJ. KIEDY SCHODZILIŚMY ze schodów, Boyd Carrington powiedział szorstko:

- NIE MA PAN POJĘCIA, JAKIE TO BYŁO UROCZE STWORZENIE, KIEDY MIAŁA SIEDEMNAŚCIE LAT. WRÓCIŁEM DO KRAJU Z BIRMY, GDZIE UMARŁA MOJA ŻONA. WCALE NIE TAJĘ, ŻE KOMPLETNIE STRACIŁEM DLA NIEJ GŁOWI WYSZŁA ZA FRANKLINA TRZY CZY CZTERY LATA PÓŹNIEJ. JAKOŚ NIE WYDAJE MI SIĘ, ŻEBY TO BYŁO SZCZĘŚLIWE MAŁŻEŃSTWO. UWAŻAM NAWET, ŻE Z TEGO WŁAŚNIE WYWODZĄ SIĘ WSZYSTKIE JEJ CHOROBY. TEN CZŁOWIEK NIE ROZUMIE JEJ I NIE DOCENIA. A ONA JEST BARDZO WRAŻLIWA. JA TAM SĄDZĘ, ŻE JEST TAKA WĄTLA PRZEDZIE WSZYSTKIM Z POWODU NERWÓW. WYSTARCZY ZAJĄĆ SIĘ NIĄ, ZABAWIĆ, ZAINTERESOWAĆ, A OD RAZU WYGLĄDA ZUPEŁNIE INACZEJ. ALE TEGO PRZEKŁĘTEGO KONOWAŁA OBCHODZĄ TYLKO PROBÓWKI, DZIKUSY I BAKTERIE zachodnioafrykańskie. - Parsknął gniewnie.

POMYŚLAŁEM SOBIE, ŻE W TYM CO MÓWI NA PEWNO JEST SPORO SŁUSZNOŚCI. CO PRAWDA, ZASKOCZYŁO MNIE, ŻE BOYDOWI CARRINGTONOWI PODOBA SIĘ CKLIWA I NIECIEKAWA BARBARA FRANKLIN, KTÓRA, MÓWIĄC BEZ OGRÓDEK, JEST NIEZNOŚNĄ OSOBĄ, CHOĆ ŁADNĄ W BANALNYM, BOMBONIERKOWYM STYLU. BOYD CARRINGTON SAM BYŁ TAK ŻYWOTNY I DYNAMICZNY, ŻE MOIM ZDANIEM, TAK SCHOROWANA I NEUROTYCZNA KOBIETA POWINNA BY GO WRĘCZ NIECIERPLIWIĆ. BARBARA FRANKLIN JEDNAK BYŁA KIEDYŚ NA PEWNO UROCZĄ DZIEWCZYNĄ, A U wielu mężczyzn, zwłaszcza idealistów, a za takiego uważałem Boyda Carringtona, pierwsze wrażenie nigdy się nie zaciera.

NA DOLE PANI LUTTRELL RZUCIŁA SIĘ NA NAS Z PROPOZYCJĄ BRYDŻA. WYKRĘCIŁEM SIĘ TWIERDZĄC, ŻE muszę zajść do Poirota.

ZASTAŁEM MOJEGO PRZYJACIELA W ŁÓŻKU. CURTISS KRZAŁAŁ SIĘ PO POKOJU, COŚ TAM PORZĄDKUJĄC, ALI zaraz wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

- NIECH CIĘ LICHO, POIROT! CIEBIE I TWOJĄ CHOLERNĄ MANIĘ TAJEMNICZOŚCI! CAŁY WIECZÓR spędziłem, próbując odgadnąć, kto jest Iksem.

- MUSIAŁEŚ WIĘC BYĆ NIECO *distract*. CZY NIKT NIE ZAUWAŻYŁ TWOJEGO ROZTARGNIENIA I NIE ZAPYTAŁ, co chodzi?

ZARUMIENIEM SIĘ LEKKO, PRZYPOMNIAWSZY SOBIE ROZMOWĘ Z JUDITH. POIROT DOSTRZEĞŁ, ŻE JESTEM speszony. Przez jego usta przemknął złośliwy uśmieszek, ale spytał tylko:

- I do jakich wniosków doszedłeś w tej sprawie?

- Powiesz mi, jeśli zgadnę?

- Na pewno nie.

Nie spuszczałem z niego wzroku.

- Myślałem o Nortonie...

Poirot nie zareagował.

- NIE, ŻEBYM MIAŁ JAKIEŚ DANE. PO PROSTU UZNAŁEM GO ZA MNIEJ NIEPRAWDOPODOBNEGO NIŻ INNI. POZA TYM WIDZISZ, ON JEST NIEPOZORNY. A ZDAWAŁOBY SIĘ, ŻE TEGO RODZAJU MORDERCA POWINIEN BYĆ niepozorny.

- To prawda. Ale może być niepozorny w różny sposób.

- Nie rozumiem.

- WYOBRAŹMY SOBIE CZYSTO TEORETYCZNIE TAKI PRZYPADEK: GDYBY PARĘ TYGODNI PRZED MORDERSTWEM POJAWIŁ SIĘ BEZ WIDOMYCH POWODÓW ZŁOWROGI PRZYBYSZ, NA PEWNO ZWRÓCONO BY NA NIEGO UWAGĘ. LEPIEJ WIĘC BYŁOBY, GDYBY ÓW OBCY BYŁ PRZECIĘTNYM, NIE RZUCAJĄCYM SIĘ W OCZY CZŁOWIEKIEM, uprawiającym jakiś niewinny sport, na przykład rybołówstwo.

- Lub obserwację ptaków. To samo przecież mówiłem.

- ALE Z DRUGIEJ STRONY JEST CHYBA JESZCZE LEPIEJ, JEŚLI MORDERCA TO OSOBA ZNANA W OKOLICY - N PRZYKŁAD RZEŹNIK. MIAŁOBY TO DODATKOWO TĘ DOBRĄ STRONĘ, ŻE NIKT NIE ZWRACA UWAGI NA PLAMY KRW kiedy chodzi o rzeźnika!

- ŹARTY SIĘ CIEBIE TRZYMAJĄ... KAŻDY WIEDZIAŁBY PRZECIEŻ, ŻE RZEŹNIK POKŁÓCIŁ SIĘ PRZEDTEM Z piekarzem.

- ALE GDYBY RZEŹNIK ZOSTAŁ RZEŹNIKIEM TYLKO PO TO, ŻEBY MÓC BEZKARNIE ZABIĆ PIEKARZA? ZAWSZE należy cofać się przynajmniej o jeden krok, mój przyjacielu.

PRZYGLĄDAŁEM MU SIĘ BACZNIE, USIŁUJĄC ROZSTRZYGNĄĆ, CZY W TYCH SŁOWACH UKRYTA JEST JAK

ALUZJA. GDYBY ODNOSIŁY SIĘ DO KONKRETNEJ SYTUACJI, NALEŻAŁOBY SIĘ DOMYŚLAĆ, ŻE CHODZI O PUŁKOWNIK LUTTRELLA. CZY PUŁKOWNIK UMYŚLNIE ZAŁOŻYŁ PENSJONAT, ŻEBY ZYSKAĆ SZANSE ZAMORDOWANIA JEDNEGO GOŚCI?

Poirot łagodnie pokręcił głową.

- Nie szukaj odpowiedzi w moich oczach.

- JESTEŚ DOPRAWDY IRYTUJĄCY, POIROT - WESTCHNAŁEM. - W KAŻDYM RAZIE NORTON NIE JEST MOJĄ JEDYNYM KANDYDATAŁEM NA MORDERCĘ. TAKI ALLERTON, NA PRZYKŁAD...

Poirot zapytał z nieprzeniknioną twarzą:

- Nie lubisz go, co?

- Nie lubię.

- Rozumiem. Powiedziałbyś, że to nicpoń?

- Stanowczo. A ty tak nie uważasz?

- Owszem. Tacy mężczyźni bardzo podobają się kobietom.

Żachnąłem się.

- Jak kobiety mogą być aż tak głupie! Co w nim widzą?

- Kto to wie? Ale tak już jest. Mauvais sujet zawsze ma powodzenie u kobiet.

- Ale dlaczego?

Poirot wzruszył ramionami.

- Może dostrzegają coś, czego my nie widzimy?

- Co?

- NA PRZYKŁAD NIEBEZPIECZEŃSTWO... NIEBEZPIECZEŃSTWO, MÓJ PRZYJACIELU, NADAJE SMAK ŻYCIU. NIEKTÓRZY ZNAJDUJĄ JE ZASTĘPCZO - CHOĆBY PATRZĄC NA WALKI BYKÓW. INNI CZYTAJĄ O NIM W KSIĄŻKACH. JESZCZE INNI SZUKAJĄ GO W KINIE. ALE JEDNEGO JESTEM PEWIEN - NATURA LUDZKA NIE ZNOSI NADMIARU BEZPIECZEŃSTWA. MĘŻCZYŹNI RYZYKUJĄ W ROZMAITY SPOSÓB, KOBIETY NAJCZĘŚCIEJ W PRZYGODACH MIŁOSNYCH. I DLATEGO PODNIECA JE CIEŃ RZUCONY PRZEZ TYGRYSA - SCHOWANE PAZURY, PODSTĘPNY SKOK! Nienaganego mężczyznę, pełnego zalet, który byłby dobrym i przykładowym mężem, mijają obojętnie.

PRZEZ CHWILĘ ROZPAMIĘTYWAŁEM W PONURYM MILCZENIU JEGO SŁOWA. POTEM WRÓCIŁEM DO POPRZEDNIEGO TEMATU.

- WIESZ, POIROT, WŁAŚCIWIE DOSYĆ ŁATWO MOGĘ WYKRYĆ, KTO JEST IKSEM. POSZPERAM I ZORIENTUJE SIĘ, KTO TUTAJ ZNAŁ TAMTYCH WSZYSTKICH LUDZI. TYCH Z TWOICH PIĘCIU SPRAW.

Powiedziałem to triumfalnie, ale Poirot odniósł się do moich słów ironicznie.

- NIE PROSIŁEM CIĘ TU, HASTINGS, AŻEBY OBSERWOWAĆ, JAK NIEZDARNIE I Z MOZOLEM PRZEMIERZASZ DROGĘ, KTÓRĄ JA JUŻ ODBYŁEM. I POZWÓL SOBIE POWIEDZIEĆ, ŻE WCALE NIE JEST TO TAKIE PROSTE, JAK TY SOBIE WYOBRAŻASZ. CZTERY Z TYCH SPRAW ZDARZYŁY SIĘ W TYCH OKOLICACH. MIESZKAŃCY TEGO DOMU NIE SĄ ZBIOROWISKIEM OBCYCH SOBIE LUDZI, KTÓRZY ZJECHALI SIĘ TU PRZYPADKOWO, KAŻDY NA WŁASNĄ REKĘ. NIE JEST TO HOTEL W ZWYKŁYM SENSIE TEGO SŁOWA. LUTTRELLOWIE POCHODZĄ Z TYCH STRON; ŹLE IM SIĘ WIODŁO, KUPIŁI TĘ POSIADŁOŚĆ I ROZPOCZĘLI NA LOS SZCZĘŚCIA. ICH GOŚCIE TO ALBO ZNAJOMI, ALBO ZNAJOMI ZNAJOMYCH. SIR WILLIAM NAMÓWIŁ DO PRZYJAZDU FRANKLINÓW. ONI Z KOLEI PODDALI TĘ MYŚL NORTONOWI I ZDAJE SIĘ, PANNIE COLE, I TAK DALEJ. CO OZNACZA, ŻE WEDŁUG WSZELKIEGO PRAWDOPODOBIEŃSTWA OSOBA ZNANA JEDNEMU Z TYCH LUDZI OKAŻE SIĘ TEŻ ZNANA WSZYSTKIM POZOSTAŁYM. IKS TEŻ MOŻE ODPOWIEDNIO MANEWROWAĆ. WEŻ PRZYPADEK RIGGSA. WIEŚ, W KTÓREJ ZDARZYŁA SIĘ TRAGEDIA, JEST W POBLIŻU POSIADŁOŚCI NIEBOSZCZYKA WUJA BOYDA CARRINGTONA. RODZINA PANI FRANKLIN TAKŻE ŻYŁA W SĄSIĘDZTWIE. W GOSPODĘ W WIOSCE LICZNIE ODWIEDZAJĄ TURYSĆCI. NIEKTÓRZY Z PRZYJACIOŁ RODZINY PANI FRANKLIN ZWYKLE TAM NOCOWALI, SAM FRANKLIN TEŻ TAM MIESZKAŁ. NORTON I PANNA COLE RÓWNIEŻ MOGLI ZATRZYMAĆ SIĘ W NIEJ, I CHYBA TAK BYŁO. NIE, NIE, MÓJ PRZYJACIELU. BŁAGAM, PORZUĆ NIEDORZECZNY ZAMYŚŁ PRZEMKNIECIA TAJEMNICY, KTÓREJ NIE CHCĘ CI ZDRADZIĆ.

- TO KOMPLETNA BZDURA! PRZECIEŻ WIESZ, ŻE UMIEM TRZYMAĆ JEZYK ZA ZĘBAMI. POIROT, DOSYĆ JUŻ MAM TYCH ŻARTÓW O MOJEJ WYMOWNEJ TWARZY. TO WCALE NIE JEST ZABAWNE.

Poirot powiedział spokojnie:

- PEWIEN JESTEŚ, ŻE TYLKO O TO CHODZI? CZY NIE UŚWIADAMIASZ SOBIE, PRZYJACIELU, ŻE TAJEMNICA MOŻE OKAZAĆ SIĘ GROŻNA? NIE ROZUMIESZ, ŻE NIEPOKOJĘ SIĘ O TWOJE BEZPIECZEŃSTWO?

OTWORZYŁEM ZE ZDUMIENIA USTA. DO TEJ CHWILI NIE ZASTANAWIAŁEM SIĘ NAD TYM ASPEKTEM SPRAWY. ALE BYŁO TO W GRUNCIE RZECZY DOŚĆ OCZYWISTE. GDYBY SPRYTNY I POMYSŁOWY MORDERCA, SPOKOJNY, ŻE NIKT GO O NIC NIE POSĄDZA, KTÓREMU USZŁO JUŻ NA SUCHO PIĘĆ ZBRODNI, NAGLE NABRAŁ PODEJRZEŃ, ŻE KTO WPADŁ NA JEGO TROP, ISTOTNIE MÓGŁBY STAĆ SIĘ GROŻNY DLA TROPIĄCEGO.

Spytałem gwałtownie:

- A wobec tego, co z tobą, Poirot? Ty też jesteś w niebezpieczeństwie?

Poirot, na ile pozwalało mu jego kalectwo, uczynił gest pełen pogardy.

- JA DO TEGO JESTEM PRYZWYCZAJONY. POTRAFIĘ SIĘ OBRONIĆ. ZRESZTĄ, CZY NIE MA TU MEGO WIERNEGO BRYTANA, KTÓRY TEŻ MNIE BĘDZIE BRONIŁ? MEGO NIEZRÓWNaNEGO, LOJALNEGO HASTINGSA?

ROZDZIAŁ VI

POIROT MIAŁ WCZEŚNIE KŁAŚĆ SIĘ SPAĆ. ZOSTAWIŁEM GO WIĘC I ZSZEDŁEM NA DÓŁ, ZATRZYMUJĄC SIĘ PO DRODZE, BY ZAMIENICIĆ PARĘ SŁÓW Z JEGO SŁUŻĄCYM CURTISSEM.

STWIERDZIŁEM, ŻE JEST TO FLEGMATYCZNY OSOBNIK, MYŚLĄCY POWOLI, ALE GODNY ZAUFANIA I DOBRZ FACHOWIEC. SŁUŻYŁ U POIROTA OD JEGO POWROTU Z EGIPTU. POWIEDZIAŁ MI, ŻE STAN ZDROWIA JEGO PANA NII JEST ZŁY, ALE OD CZASU DO CZASU MIEWA ON NIEPOKOJĄCE ATAKI SERCA, KTÓRE W CIĄGU OSTATNICH PARU MIESIĘCY BARDZO SIĘ OSŁABIŁO. PO PROSTU MOTOR, KTÓRY JUŻ SIĘ ZUŻYŁ.

MIAŁ DOBRE ŻYCIE, TO PRAWDA. ALE SERCE MI SIĘ KRAJAŁO NA MYŚL O MYM STARYM PRZYJACIELU, KTÓRY TAK MĘŻNIE WALCZY O KAŻDY KROK NA OSTATNIEJ W ŻYCIU DRODZE. NAWET TERAZ, SŁABY JUŻ I NIEDOŁĘŻNY, NI PODDAJE SIĘ, WCIAŻ UPRAWIA KUNST, W KTÓRYM BYŁ TAK BIEGŁY.

Z ciężkim sercem schodziłem ze schodów. Trudno mi było wyobrazić sobie życie bez Poirota...

W SALONIE AKURAT SKOŃCZYŁ SIĘ ROBER I ZAPROSZONO MNIE DO GRY. ZGODZIŁEM SIĘ, LICZĄC, ŻI POMOŻE MI TO ODERWAĆ SIĘ OD PRZYKRYCH MYŚLI. WYPADŁ BOYD CARRINGTON I ZASIADŁEM DO STOLIKA Z NORTONEM I PAŃSTWEM LUTTREL.

- NO I CO TERAZ, PROSZĘ PANA? - ZWRÓCIŁA SIĘ DO NORTONA PANI LUTTRELL. - BĘDIEMY GRAŁI RAZI PRZECIWKO TEJ PARZE? W ostatniej partii wcale dobrze nam poszło.

Norton uśmiechnął się uprzejmie, ale szepnął, że może... hm... powinniśmy losować...

PANI LUTTRELL MUSIAŁA NA TO PRZYSTAĆ, CHOĆ MOIM ZDANIEM RACZEJ NIECHĘTNIE. WYPADŁO, ŻE NORT I JA MAMY GRAĆ PRZECIW LUTTRELLOM. ZAUWAŻYŁEM, ŻE PANI LUTTRELL JEST Z TEGO WYRAŹNIE NIEZADOWOLON Zagryzła wargi i jej irlandzki akcent i czarujące maniery gdzieś zniknęły.

NIEBAWEM ZROZUMIAŁEM, CO JEST TEGO PRZYCZYNĄ. W PRZYSZŁOŚCI WIELOKROTNIE MIAŁEM GRYWAĆ Z PUŁKOWNIKIEM LUTTRELLEM I WŁAŚCIWIE NIE BYŁ ON AŻ TAKIM ZŁYM GRACZEM. OKREŚLIŁBYM GO JAK PRZECIĘTNEGO BRYDŻYSTĘ, TYLE ŻE MIAŁ ROZPROSZONĄ UWAGĘ. OD CZASU DO CZASU POPEŁNIAŁ Z TEGO POWOD POWAŻNE BŁĘDY. ALE KIEDY JEGO PARTNERKĄ BYŁA ŻONA, MYLIŁ SIĘ NIEUSTANNIE. WYRAŹNIE BAŁ SIĘ JEJ, CO SPRAWIAŁO, ŻE GRAŁ TRZY RAZY GORZEJ NIŻ NORMALNIE. PANI LUTTRELL BYŁA ISTOTNIE ZNAKOMITĄ BRYDŻY CHOĆ NIEZBYT SYMPATYCZNIE ZACHOWUJĄCĄ SIĘ PRZY STOLIKU. SKWAPLIWIE WYKORZYSTYWAŁA KAŻDĄ MOŻLIWOŚĆ, NIE PRZESTRZEGAŁA PRZEPISÓW, JEŚLI PRZECIWNIK ICH NIE ZNAŁ, I POWOŁYWAŁA SIĘ NA NIE NATYCHMIAST, KIEDY MOGŁY JEJ SIĘ PRZYDAĆ. A TAKŻE Z NIEZWYKŁĄ WPRAWĄ UMIAŁA UKRADKIEM ZERKAĆ W karty kontrpartnerów. Krótko mówiąc, grała, żeby wygrać.

WKRÓTCE ZORIENTOWAŁEM SIĘ, CO MIAŁ NA MYŚLI POIROT, WSPOMINAJĄC O OCCIE. PRZY KARTACI ZAWODZIŁO JĄ ZWYKŁE OPANOWANIE I GŁOŚNO WYMYŚLAŁA SVOJEMU NIESZCZĘSNEMU MĘŻOWI ZA KAŻDĄ POMYŁKĘ. I JA, I NORTON NIE WIEDZIELIŚMY, GDZIE OCZY PODZIAĆ, I POCZUŁEM ULGĘ, KIEDY ROBER WRESZCIE SIĘ SKOŃCZYŁ. OBAJ WYMIGALIŚMY SIĘ OD DALSZEJ GRY POD PRETEKSTEM SPÓŹNIONEJ PORY. GDY wychodziliśmy, Norton, na nic nie zważając, dał wyraz swoim uczuciom.

- DOPRAWDY, KAPITANIE, TO BYŁO WRĘCZ UPIORNE! SKRĘCAM SIĘ CAŁY, WIDZĄC, JAK ONA ZNĘCA SIĘ NAD TYM NIEBORAKIEM. I JAK ON POGODNIE TO ZNOSI! NIC JUŻ W NIM NIE ZOSTAŁO Z PORYWCZEGO PUŁKOWNIKA brytyjskich wojsk kolonialnych.

- CICHU - OSTRZEGŁEM, BO NORTON NIEOSTROŻNIE PODNIÓSŁ GŁOS, I PRZELĄKŁEM SIĘ, ŻE LUTTRELL usłyszy.

- Trudno, to jest po prostu nie do zniesienia.

Sam też byłem przejęty.

- Nie zdziwię się, jeśli on się w końcu zbuntuje.

Norton potrząsnął głową.

- NIE ZROBI TEGO. MA DUSZĘ SKUTĄ KAJDANAMI. NADAL BĘDZIE MAMROTAŁ SVOJE „TAK, MOJA DROGA NIE, MOJA DROGA, PRZEPRASZAM, MOJA DROGA”, SKUBIĄC WĄSY I POBEKUJĄC JAK OWCA, AŻ LEGNIE W TRUMNIE. Nie umiałby zachować się stanowczo, nawet gdyby spróbował.

Nie zaprzeczyłem, bo Norton miał chyba, niestety, rację.

Zatrzymaliśmy się w hallu; boczne drzwi do ogrodu były otwarte i zrobił się przeciąg.

- Może powinniśmy je zamknąć?

Norton zawahał się.

- Ale... hm... zdaje mi się, że jeszcze nie wszyscy są w domu.

Ukłuło mnie nagłe podejrzenie.

- Kogo nie ma?

- Pańskiej córki chyba i... hm... Allertona.

PRÓBOWAŁ NADAĆ GŁOSOWI TON JAK NAJBARDZIEJ NIEDBAŁY, ALE WIADOMOŚĆ TA, ZWŁASZCZA W kontekście mojej niedawnej rozmowy z Poirotem, wyraźnie mnie zdenerwowała.

JUDITH I ALLERTON PRZECIEŻ JUDITH, MOJEJ INTELIGENTNEJ, CHŁODNEJ JUDITH NIE MOŻE PODOBAĆ SIĘ NA serio męczyzna tego pokroju? Przecież na pewno by go przejrzała?

POWTARZAŁEM TO SOBIE PO WIELEKROĆ, ROZBIERAJĄC SIĘ, ALE CIĄGŁE TRAWIŁ MNIE NIEJASNY NIEPOKÓJ. Nie mogłem zasnąć i leżałem, przewracając się z boku na bok.

NOC ZAWSZE WYOLBRZYMIŁA ZMARTWIENIA. OGARNEŁO MNIE UCZUCIE PRZYGNĘBIENIA I ŻAŁU. GDYBY MOJA UKOCHANA ŻONA ŻYŁA! CINDERELLA, NA KTÓREJ ROZSĄDKU POLEGAŁEM PRZEZ TYLE LAT. ZAWSZE, KIEDY chodziło o dzieci, była mądra i wiedziała, jak postąpić.

BEZ NIEJ CZUŁEM SIĘ ROZPACZLIWIE BEZRADNY. PONOSIŁEM ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA ICH SPOKÓJ I SZCZĘŚCIE. CZY SPROSTAM TEMU ZADANIU? NIE JESTEM, BÓG MI ŚWIADKIEM, CZŁOWIEKIEM SPECJALNIE BYSTRYM. BYŁEM NIEZRĘCZNY, POPEŁNIAŁEM BŁĘDY. JEŚLI JUDITH ZMARNUJE SZANSĘ SZCZĘŚCIA, JEŚLI BĘDZIE cierpieć...

Znękany, zapaliłem światło i usiadłem na łóżku.

NIE MA SENSU DALEJ TAK SIĘ DRĘCZYĆ. MUSZĘ TROCHĘ SIĘ PRZESPAĆ. PODSZEDŁEM DO UMYWALKI I spojrziałem z powątpiewaniem na buteleczkę z tabletkami aspiryny.

NIE, POTRZEBOWAŁEM CZEGOŚ MOCNIEJSZEGO NIŻ ASPIRYNA. POMYŚLAŁEM, ŻE POIROT NA PEWNO MA JAKIEŚ ŚRODKI NASENNE. STANAŁEM NIEZDECYDOWANIE POD DRZWIAMI JEGO POKOJU. TROCHĘ WSTYDZIŁEM SIĘ budzić staruszka.

KIEDY SIĘ TAK WAHAŁEM, POSŁYSZAŁEM KROKI I OBEJRZAŁEM SIĘ ZA SIEBIE. W MOJĄ STRONĘ SZEDŁ ALLERTON. KORYTARZ BYŁ SŁABO OŚWIETLONY I W PIERWSZEJ CHWILI ZASTANAWIAŁEM SIĘ, KTO TO JES WRESZCIE ROZPOZNAŁEM GO I CAŁY ZESZTYWNIĄŁEM. BO FACET UŚMIECHAŁ SIĘ DO SIEBIE, UŚMIECHEM, KTÓRY bardzo mi się nie podobał.

Podniósł lekko brwi.

- Cóż to, Hastings, jeszcze pan nie śpi?

- Nie mogłem zasnąć - odparłem szorstko.

- To drobiazg. Zaraz to załatwimy. Proszę iść za mną.

POSZEDŁEM ZA NIM DO JEGO POKOJU, SĄSIADUJĄCEGO Z MOIM. OSOBLIWA FASCYNACJA SPRAWIŁA, ŻE wręcz nie mogłem oderwać od niego oczu.

- Pan też kładzie się późno.

- NIE CIĄGNIE MNIE DO ŁÓŻKA. ZWŁASZCZA KIEDY MOŻNA SOBIE POBRYKAĆ NA WOLNYM POWIETRZU. Szkoda tracić tak piękny wieczór.

Zaśmiał się. Jego śmiech też mi się nie podobał.

Weszliśmy do łazienki. Otworzył szafkę i wyjął buteleczkę.

- TU PAN MA. PRAWDZIWY NARKOTYK. BĘDZIE PAN SPAŁ PO TYM JAK KŁODA I JESZCZE MIAŁ PRZYJEMNE sny. Świetny środek - slumberyl - tak się nazywa.

Raził mnie entuzjazm w jego głosie. Czy na domiar złego używa narkotyków?

Spytałem podejrzliwie:

- Nie jest niebezpieczny?

- Oczywiście, jeśli połknie pan za dużą dozę. To barbiturat, którego dawka trująca nie jest dużo większa od skutecznej. - Był w przykry sposób zadowolony z siebie.

- Sądziłem, że nie można tego dostać bez recepty lekarza.

- Bo i nie można. To znaczy, pan by nie mógł. Ja mam swoje chody.

Może postępuję głupio, ale miewam czasem takie niemądre odruchy. Spytałem:

- Znał pan Etheringtona, jeśli się nie mylę?

NATYCHMIAST DOSTRZEGŁEM, ŻE JESTEM NA WŁAŚCIWYM TROPIE. WZROK MU STWARDNIAŁ I STAŁ SŁABY. Zmienionym głosem powiedział ze sztuczną beztróską:

- TAK, ZNAŁEM ETHERINGTONA. BIEDACZYSKO. - PONIEWAŻ MU NIE PRZERWAŁEM, CIĄGNAŁ DALEJ: - ETHERINGTON OCZYWIŚCIE ZAŻYWAŁ NARKOTYKI I ZAGALOPOWAŁ SIĘ. ZAWSZE TRZEBA W PORĘ PRZESTAĆ. ON NIEMOŻE. NIEDOBRA SPRAWA. TA JEGO ŻONA MIAŁA SZCZĘŚCIE. GDYBY NIE WZBUDZIŁA WSPÓŁCZUCIA U PRZYSIĘGLYCH, POWIESZONO BY JĄ. - PODAŁ MI PARĘ TABLETEK. POTEM DORZUCIŁ OD NIECHCENIA: - A PAN DOBRZE ZNAŁ ETHERINGTONA?

Zaprzeczyłem zgodnie z prawdą.

Przez chwilę nie wiedział, co począć z tą informacją. Potem zbył ją lekkim śmiechem.

- ZABAWNY FACET. MOŻE NIENAJLEPSZY JAKO PRZYKŁAD DLA DZIECI, ALE DOBRY KOMPAN OD CZASU DO CZASU.

Podziękowałem za lekarstwo i wróciłem do swego pokoju.

KIEDY JUŻ POŁOŻYŁEM SIĘ I ZGASIŁEM ŚWIATŁO, ZACZAŁEM SIĘ ZASTANAWIAĆ, CZY NIE POSTĄPIŁEM JAK GŁUPIEC.

BYŁEM GŁĘBOKO PRZEŚWIADCZONY, ŻE TO ALLERTON JEST IKSEM, I POZWOLIŁEM MU ZORIENTOWAĆ SIĘ, ŻE ON O TO PODEJRZEWAM.

ROZDZIAŁ VII

MOJA OPOWIEŚĆ O DNIACH SPĘDZONYCH W STYLES MUSI Z KONIECZNOŚCI BYĆ NIECO ZAWIŁA. OKRES TEN WE WSPOMNIENIU UKŁADA SIĘ W SZEREG ROZMÓW - WIELOZNACZNYCH SŁÓW I ZDAŃ - KTÓRE STOPNIOWO DRAŻYŁY MOJĄ ŚWIADOMOŚĆ.

NAJPIERW, NA SAMYM POCZĄTKU, ZDAŁEM SOBIE SPRAWĘ ZE SŁABOŚCI I ZNIEDOLEŻNIENIA HERKULESA POIROT. WIERZYŁEM, ZGODNIE Z JEGO ZAPEWNIENIAMI, ŻE JEGO MÓZG FUNKCJONUJE NIE GORZEJ NIŻ DAWNIEJ, ALE CIAŁO BYŁO JUŻ TAK NADWAŹLONE, ŻE, RZECZ JASNA, MOJA ROLA MUSIAŁA TYM RAZEM OKAZAĆ SIĘ BARDZIO AKTYWNA NIŻ W INNYCH PRZYPADKACH. W TEJ SYTUACJI TRZEBA BYŁO ZASTĄPIĆ POIROTOWI OCZY I USZY.

KAŻDEGO POGODNEGO DNIA CURTISS ZNOSIŁ OSTROŻNIE SWEGO PANA NA DÓŁ, GDZIE CZEKAŁ JUŻ NA NIEC UPREDNIO PRZYGOTOWANY FOTEL NA KÓŁKACH. POTEM WIOŹŁ POIROTA DO OGRODU I WYSZUKIWAŁ MIEJSCE BEZ PRZECIĄGÓW. JEŚLI POGODA NIE BYŁA ŁASKAWA, POIROT ROZSIADAŁ SIĘ W SALONIE.

GDZIEKOLWIEK SIĘ ZNAJDOWAŁ, ZAWSZE KTOŚ PRZYŁĄCZAŁ SIĘ DO NIEGO I NAWIĄZYWAŁ ROZMOWĘ, ALE, NIESTETY, MINĘŁY CZASY, KIEDY POIROT SAM DOBIERAŁ SOBIE PARTNERÓW NA SPOTKANIE W CZTERY OCZY.

NAZAJUTRZ PO MOIM PRZYJEŹDZIE FRANKLIN ZABRAŁ MNIE DO DAWNEJ PRACOWNI W OGRODZIE, PRZYSTOSOWANEJ OBECNIE DO BADAŃ NAUKOWYCH. MUSZĘ OD RAZU WYJAŚNIĆ, ŻE NIE MAM MENTALNOŚCI NAUKOWCA. OPOWIADAJĄC O PRACY DOKTORA FRANKLINA, NA PEWNO UŻYWAĆ BĘDĘ FAŁSZYWEJ TERMINOLOGII I WZBUDZĘ WZGARDĘ LUDZI NALEŻYCNIE WYKSZTAŁCONYCH W TEJ DZIEDZINIE.

O TYLE, O ILE TAKI LAIK JAKIĄ MÓGŁ SIĘ W TYM POŁAPAĆ, FRANKLIN PROWADZIŁ DOŚWIADCZENIA Z RÓŻNYMI ALKALOIDAMI, ZNAJDUJĄCYMI SIĘ W OWOCU FASOLI KALABARSKIEJ - PHYSOSTIGMA VENENOSUM. ZROZUMIAŁEM NIECO WIĘCEJ Z ROZMOWY, JAKA ODBYŁA SIĘ PEWNEGO DNIA MIĘDZY FRANKLINEM A POIROTEM. JUDITH, KTÓRA PRÓBOWAŁA MI UDZIELIĆ LEKCJI, UŻYWAŁA, JAK TO ZWYKLE BYWA Z POWAŻNĄ MŁODZIEŻĄ, ŻARGONU NIEMOŻLIWIE FACHOWEGO. POWOŁYWAŁA SIĘ UCZENIE NA ALKOLOIDY O PIERŚCIENIU INDOLINOWOPIROLIDYNOWYM, TO ZNACZY FIZOSTYGMINĘ, CZY TEŻ MOŻE EZERYNĘ, A POTEM ZAJĘŁA SIĘ JAKIMIŚ SUBSTANCJAMI, BODAJŻE PROSTYGMINĄ, A TAKŻE ESTREM TAJEMNICZEGO KWASU O NAZWIE NIEMOŻLIWEJ DO WYMÓWIENIA, W KTÓREJ POWTARZAŁ SIĘ TRÓJMETYL CZY MOŻE HYDROXYFENYL, ET CETERA, ET CETERA, CO JAK ZDAJE, BYŁO TĄ SAMĄ SUBSTANCJĄ, TYLKO UZYSKANĄ INNYM SPOSOBEM. WSZYSTKO TO BYŁO DLA MNIE I TĄ AUSTRIACKIM GADANIEM I NARAZIŁEM SIĘ NA POGARDĘ JUDITH, PYTAJĄC, CO TO TEŻ DOBREGO MOŻE PRZYNIEŚĆ LUDZKOŚCI? ŻADNE PYTANIE NIE ZŁOŚCI BARDZIEJ NASZYCH PRAWDZIWYCH UCZONYCH. JUDITH SPOJRZAŁA NA MNIE LEKCEWAŻĄCO I ZNÓW ZABRAŁA SIĘ DO DŁUGIEGO I UCZONEGO WYWODU. SEDNEM SPRAWY, O ILE WYWNIOSKOWAŁEM, BYŁO TO, ŻE JAKIEŚ NIEZNANE PLEMIONA W ZACHODNIEJ AFRYCE WYKAZUJĄ SZCZEGÓLNA ODPORNOŚĆ NA RÓWNIEM MAŁO ZNANĄ, CHOĆ ŚMIERTELNĄ CHOROBE, KTÓREJ NAZWA BRZMIAŁA, O ILE PAMIĘTAŁ, jordanitis - JAKO ŻE PEWIEN ZAPALONY DOKTOR JORDAN PIERWSZY WPADŁ NA JEJ TROP. BYŁA TO NIESŁYCHANI RZADKA TROPICALNA PRZYPADŁOŚĆ, KTÓRĄ PRZY PARU OKAZJACH ZARAZILI SIĘ Z FATALNYM SKUTKIEM BIALI LUDZIE.

ZARYZYKOWAŁEM WŚCIEKŁOŚĆ JUDITH OŚWIADCZAJĄC, ŻE ROZSĄDNIEJ BYŁOBY WYNALEŻĆ ŚRODEK PRZECIW NASTĘPSTWOM ODRY!

TONEM GŁĘBOKIEGO POLITOWANIA JUDITH WYJAŚNIŁA MI, ŻE JEDYNYM CELEM, DO KTÓREGO NALEŻY

dążyć, nie jest dobro rasy ludzkiej, lecz rozszerzenie ludzkiej wiedzy.

POPATRZYŁEM PRZEZ MIKROSKOP NA KILKA PREPARATÓW, OBEJRZAŁEM PARĘ FOTOGRAFII KRAJOWCÓW Z ZACHODNIEJ AFRYKI (NAPRAWDĘ BARDZO ZAJMUJĄCYCH), WYMIENIŁEM SPOJRZENIA Z SENNYM SZCZUREM W klatce i pośpiesznie wyszedłem na świeże powietrze.

JAK JUŻ WSPOMNIAŁEM, PRAWDZIWE ZAINTERESOWANIE WZBUDZIŁ A WE MNIE DOPIERO ROZMOWA Franklina z Poirotem.

- WIE PAN, POIROT, TA SUBSTANCJA DOTYCZY BARDZIEJ PAŃSKIEJ SPECJALNOŚCI NIŻ MOJEJ. JEST TO FASOLA STOSOWANA PRZY SĄDACH BOŻYCH - MA JAKOBY ROZSTRZYGAĆ O WINIE CZY NIEWINNOŚCI. TE SZCZEPY ZACHODNIOAFRYKAŃSKIE WIERZĄ W NIĄ BEZ ZASTRZEŻEŃ, A RACZEJ WIERZYŁY, TERAZ JUŻ SIĘ UNOWOCZEŚNIAJĄ. KAŻDY ŻUJE ZIARNO Z NAMASZCZENIEM, ŚWIĘCIE PRZEKONANY, ŻE ZABIJE GO, JEŚLI JEST WINNY, A NIE wyrządzi krzywdy, jeżeli jest niewinny.

- I potem umiera?

- NIE, NIE WSZYSCY UMIE RAJĄ. I NA TO WŁAŚNIE DOTYCHCZAS NIE ZWRACANO UWAGI... BARDZO DUŻO SIĘ ZA TYM KRYJE - MOIM ZDANIEM, GŁÓWNIEM OSZUSTW TAMTEJSZYCH KAPŁANÓW. SĄ DWIE WYRAŻNE ODMIANY TEJ FASOLI, ALE WYGLĄDAJĄ TAK IDENTYCZNIE, ŻE BARDZO TRUDNO ZAUWAŻYĆ RÓŻNICĘ. ALE RÓŻNICA ISTNIEJE! OBYDWIE ODMIANY ZAWIERAJĄ FIZOSTYGMINĘ, EZERYNĘ I INNE ZWIĄZKI, ALE TYLKO Z JEDNEJ Z NICH MOŻNA WYODRĘBNIĆ, TO ZNACZY, SĄDZĘ, ŻE MNIE SIĘ TO UDA, INNY JESZCZE ALKALOID, KTÓREGO DZIAŁANIE ZAPOBIEGA SKUTKOM POZOSTAŁYCH. CO WIĘCEJ, TA DRUGA ODMIANA JEST SPOŻYWANA REGULARNIE PRZEZ LUDZI Z TAK ZWANEGO „ŚCISŁEGO KRĘGU” W CZASIE TAJEMNYCH OBRZĄDKÓW - I CI LUDZIE NIGDY NIE ZAPADAJĄ NA jordanitis. TA TRZECIA SUBSTANCJA MA ISTOTNY WPŁYW NA MUSKULATURĘ BEZ SZKODLIWYCH EFEKTÓW UBOCZNYCH. TO DIABELNIE CIEKAWE. NIESTETY, ALKALOID W STANIE CZYSTYM ŁATWO SIĘ ULATNIA. MIMO TO MAM JUŻ PEWNE REZULTATY. NAJWAŻNIEJSZE BYŁOBY NOWE INTENSYWNE BADANIE NA MIEJSCU. TO POWINNO BYĆ ZROBIONE! TAK, NIECH TO DIABLI!... DUSZĘ BYM ODDAŁ, ŻEBY... - PRZERWAŁ ZNIENACKA. ZNOWU SIĘ UŚMIECHNĄŁ. - Przepraszam, że mówię o sprawach zawodowych. Za bardzo podniecam się tym wszystkim.

- TO PRAWDA - POWIEDZIAŁ POGODNIE POIROT - ŻE MOJA PRACA BYŁABY O WIELE ŁATWIEJSZA, GDYBYM MÓGŁ W TAK PROSTY SPOSÓB SPRAWDZIĆ, KTO JEST WINNY, A KTO NIE. GDYBY ISTNIAŁA SUBSTANCJA DZIAŁAJĄCA TAK, JAK RZEKOMO DZIAŁA FASOLA KALABARSKA.

- I TAK NIE BYŁBY TO KONIEC PAŃSKICH KŁOPOTÓW. OSTATECZNIE, NA CZYM POLEGA WINA? I CO TO JEST niewinność?

- Przypuszczam, że nie nastęcza to żadnych wątpliwości - wtrąciłem.

Odwrócił się do mnie.

- CO TO JEST ZŁO? A CO DOBRO? POGLĄDY NA TO ZMIENIAJĄ SIĘ W KAŻDYM STULECIU. PAN ZAPEWNIŁ PODDAWAŁBY PRÓBIE POCZUJĄCE WINY LUB PRZEŚWIADCZENIE O NIEWINNOŚCI. NA DOBRĄ SPRAWĘ TEST CAŁKIEM BEZWARTOŚCIOWY.

- Ciekaw jestem, jak pan to uzasadnia?

- DAM PRZYKŁAD. JAKIŚ CZŁOWIEK UWAŻA, ŻE MA ŚWIĘTE PRAWO ZABIĆ DYKTATORA, LICHWIARZA, RAJFURKĘ LUB PO PROSTU KOGOŚ, KTO BUDZI JEGO MORALNE OBURZENIE. I POPEŁNIA TO, CO PAN UZNA ZA CZY KARYGODNY, A ON ZA WRĘCZ SZLACHETNY. CO MA PAŃSKA BIEDNA FASOLA POCZĄĆ W TEJ SYTUACJI?

- Morderstwu chyba zawsze musi towarzyszyć poczucie winy?

- SAM MIAŁBYM OCHOTĘ ZABIĆ MNÓSTWO LUDZI - OZNAJMIŁ Z HUMOREM DOKTOR FRANKLIN. - NIE SĄDZĘ, ŻEBY POTEM SUMIENIE NIE DAWAŁO MI ZASNAĆ. CZASEM MYŚLĘ, ŻE MOŻNA BY SIĘ OBEJŚĆ BEZ MNIEJ WIĘCEJ OSIEMDZIESIĘCIU PROCENT RASY LUDZKIEJ. ŻYŁOBY SIĘ NAM O WIELE LEPIEJ W MNIEJSZYM GRONIE.

WSTAŁ I POWĘDROWAŁ DALEJ, GWIŹDZĄC JAKĄŚ SKOCZNĄ MELODIĘ. Z ZAMYŚLENIA WYRWAŁ MNIE chichot Poirota.

- WYGLĄDASZ, MÓJ PRZYJACIELU, JAKBYŚ ZAJRZAŁ W KLĘBOWISKO ŻMIJ. MIEJMY NADZIEJĘ, ŻE NASZ drogi doktor nie wprowadza swych teorii w życie.

- Tak - westchnąłem. - Ale jeśli to robi?

PO KRÓTKIM WAHANIU ZDECYDOWAŁEM, ŻE MUSZĘ WYBADAĆ JUDITH NA TEMAT ALLERTONA. KONIECZNIE CHCIAŁEM SPRAWDZIĆ JEJ REAKCJĘ. WIEDZIAŁEM, ŻE JEST DZIEWCZYNĄ ZRÓWNOWAŻONĄ, ŻE POTRAFI SAMA DAWAĆ SOBIE RADĘ, I NIE WIERZYŁEM, ŻE TANIA ELEGANCJA TEGO BAWIDAMKA NAPRAWDĘ ROBI NA NIEJ wrażenie. W gruncie rzeczy zagadnąłem ją chyba po to, by usłyszeć potwierdzenie własnego sądu.

NIESTETY, WCALETAK SIĘ NIE STAŁO. MOŻE ZABRAŁEM SIĘ DO TEGO NIEUDOLNIE. MŁODZI LUDZI NAJBARDZIEJ NIE ZNOSZĄ RAD, JAKICH UDZIELAJĄ IM STARSI. CHCIAŁEM NADAĆ MOIM SŁOWOM TON niefrasobliwy i dobroduszny. Sądzę, że mi się to nie udało.

Judith natychmiast się zjeżyła.

- Co to ma znaczyć? Ojciec ostrzega córkę przed dużym, niedobrym wilkiem?

- Nie, Judith, nie o to mi chodzi.

- Domyślam się, że nie lubisz majora Allertona?

- Szczerze mówiąc, nie lubię. Co prawda, myślę, że i ty go nie lubisz.

- Dlaczego?

- No cóż... hm... nie jest chyba w twoim typie?

- A kogo uważasz za mój typ?

JUDITH ZAWSZE POTRAFI MNIE SPESZYĆ. BAŁEM SIĘ OTWORZYĆ USTA. PRZYGLĄDAŁA MI SIĘ Z NIECC wzgardliwym uśmiechem.

- A więc ty go nie lubisz. Ja natomiast lubię. Jest bardzo zabawny.

- Zabawny być może - próbowałem to zbagatelizować.

Judith dorzuciła umyślnie:

- Jest bardzo atrakcyjny. Każda kobieta to przyzna. Mężczyźni oczywiście tego nie dostrzegają.

- JA W KAŻDYM RAZIE NIE. - DALSZE MOJE SŁOWA NIE WYPADŁY ZRĘCZNIE. - POPRZEDNIEGO WIECZORU przechadzałaś się z nim bardzo...

Nie pozwoliła mi skończyć. Rozpętałem burzę.

- DOPRAWDY, OJCZE, ZACHOWUJESZ SIĘ IDIOTYCZNIE. CZY NIE ROZUMIESZ, ŻE W MOIM WIEKU SAMA POTRAFIĘ ZAŁATWIAĆ SWOJE SPRAWY? NIE MASZ ŻADNEGO PRAWA SPRAWDZAĆ, CO ROBIĘ LUB JAKICH PRZYJACIÓŁ SOBIE DOBIERAM. TO WŁAŚNIE JEST TAKIE OKROPNE U MATEK I OJCÓW, ŻE WTRĄCAJĄ SIĘ DO ŻYCIA swoich dzieci. Nie rób z siebie pana Barretta[1].

BYŁEM TAK DOTKNIĘTY JEJ ZŁOŚLIWOŚCIĄ, ŻE NIE ZDOBYŁEM SIĘ NAWET NA ODPOWIEDŹ, I JUDITH ODESZŁA nie czekając.

Zostałem sam z niemiłym uczuciem, że bardziej zaszkodziłem, niż pomogłem sprawie.

OCKNAŁEM SIĘ Z ZADUMY DOPIERO NA DŹWIĘK GŁOSU PIELEŃNIARKI PANI FRANKLIN, KTÓRA ZACZEPIŁA mnie figlarnie:

- Pensa za pana myśli, kapitanie!

Ucieszyłem się, że mi przerwała.

SIOSTRA CRAVEN BYŁA MŁODA I BARDZO PRYZYSTOJNA. ZACHOWYWAŁA SIĘ MOŻE NIECO ZBYT ZALOTNIE, AL BYŁA INTELIGENTNA I SYMPATYCZNA. WŁAŚNIE PRZED CHWILĄ USADOWIŁA SWOJĄ PACJENTKĘ NA SŁONECZNYM miejscu w pobliżu zaimprovizowanego laboratorium.

- Czy pani Franklin interesuje się pracą swojego męża? - spytałem.

Siostra Craven machnęła lekceważąco ręką.

- O, to dla niej o wiele za mądre. Nie jest zbyt inteligentna, kapitanie.

- Mnie też się tak wydaje.

- PRACE DOKTORA FRANKLINA OCZYWIŚCIE MOGĄ BYĆ OCENIONE WYŁĄCZNIE PRZEZ KOGOŚ, KTO ZNA SI choćby trochę na medycynie. Doktor jest wybitnie zdolny. Wspaniały umysł. Biedak, tak mi go żal!

- Żal?

- Właśnie. Tyle razy już to widziałam. Niedobre małżeństwo...

- Sądzi pani, że to małżeństwo jest niedobre?

- A pan jest innego zdania? Nie mają ze sobą nic wspólnego.

- Wygląda, jakby ją bardzo kochał. Dogadza jej, spełnia życzenia...

Siostra Craven uśmiechnęła się ironicznie.

- Już ona tego pilnuje, nie ma obawy.

- Myśli pani, że wykorzystuje w tym celu swój zły stan zdrowia? - zapytałem niepewnie.

- DOBRZE WIE, JAK POSTAWIĆ NA SWOIM. POD TYM WZGLĘDEM NIKT JEJ JUŻ NICZEGO NIE NAUCZY. ZAWSZE JEST TAK, JAK PANI RACZY SOBIE ŻYCZYĆ. BYWAJĄ TAKIE KOBIETY - KUTE NA CZTERY NOGI. JEŚLI KTOŚ IM SIĘ SPRZECIWIĄ, PO PROSTU KŁADĄ SIĘ, ZAMYKAJĄ OCZY I WYGLĄDAJĄ SŁABO I WZRUSZAJĄCO, ALBO TEŻ DOSTAJĄ ATAKU NERWOWEGO. PANI FRANKLIN NALEŻY DO TYCH WZRUSZAJĄCYCH. NIE ŚPI PRZEZ CAŁĄ NOC I RANO JEST bledziutka i znużona.

- Ale poza tym naprawdę choruje? - Byłem zaskoczony.

SIOSTRA CRAVEN OBRZUCIŁA MNIE SZCZEGÓLNYM SPOJRZENIEM. ODRZEKŁA SUCHO: „ALEŻ NATURALNIE” - dość gwałtownie zmieniła temat.

Spytała, czy to prawda, że mieszkałem tutaj dawno temu, podczas pierwszej wojny.

- Owszem, mieszkałem.

Zniżyła głos.

- Kogoś tu zamordowano? Pokojówka mi powiedziała. Jakąś starszą panią?

- Tak.

- I pan był tutaj właśnie wtedy?

- Tak.

Wzdrygnęła się.

- Może tym należy to tłumaczyć?

- Co takiego?

Zerknęła na mnie ukradkiem.

- ATMOSFERĘ TEGO DOMU. NIE CZUJE PAN TEGO? JA CZUJĘ. JAKIEŚ NAPIĘCIE, FERMENT, NIE WIEM, CZY

pan rozumie, co mam na myśli?

PRZEZ CHWILĘ ZASTANAWIAŁEM SIĘ W MILCZENIU. CZY MIAŁA RACJĘ? CZY FAKT, ŻE W JAKIMŚ MIEJSCU KTOŚ UMARŁ ŚMIERCIĄ GWAŁTOWNĄ I ZADANĄ Z PREMEDITACJĄ, POZOSTAWIA ŚLADY, KTÓRE NIE ZNIKAJĄ NAWET PO WIELU LATACH? TAK TWIERDZI PARAPSYCHOLOGIA. A WIĘC STYLES NOSIŁOBY JESZCZE PIĘTNO WYDARZEŃ, KTÓRE ROZEGRAŁY SIĘ TU TAK DAWNO? TUTAJ, WŚRÓD TYCH ŚCIAN, W TYM OGRODZIE ZRODZIŁY SIĘ, OKRZEPLI KOŃCU urzeczywistniły zbrodnicze zamysły. Czy ciągle jeszcze powietrze jest nimi skażone?

Siostra Craven przerwała nagle moje rozważania:

- MIESZKAŁAM KIEDYŚ W DOMU, W KTÓRYM POPEŁNIONO MORDERSTWO. ZAPAMIĘTAŁAM TO NA ZAWSZE. TEGO NIE MOŻNA ZAPOMNIEĆ. CHODZIŁO O MOJĄ PACJENTKĘ. MUSIAŁAM SKŁADAĆ ZEZNANIA I W OGÓLE. Strasznie dziwnie się czułam. Przykre przeżycie dla młodej dziewczyny.

- Na pewno. Sam znam...

ZAMILKŁEM, GDYŻ ZZA NAROŻNIKA DOMU WYLONIŁ SIĘ BOYD CARRINGTON, IDĄCY KU NAM DUŻYM KROKAMI. JAK ZWYKLE, Z WŁAŚCIWĄ SOBIE POGODĄ DUCHA, ROZPROSZYŁ CIENIE I NIEUCHWYTNE TROSKI. TAKI BYŁ DUŻY, RAŻNY, JAKBY OWIANY ŚWIEŻYM POWIETRZEM - SILNY, SYMPATYCZNY CZŁOWIEK, JEDEN Z TYCH, którzy tchną optymizmem i zdrowym rozsądkiem.

- Dzień dobry, panie Hastings, witam, siostrzo! Gdzie pani Franklin?

- DZIEŃ DOBRY, SIR WILLIAMIE. PANI FRANKLIN JEST DALEJ, W GŁĘBI OGRODU. SIEDZI POD BUKIEM KOŁO laboratorium.

- A Franklin naturalnie jest w środku?

- Tak, sir... z panną Hastings.

- NIESZCZĘSNE STWORZENIE. POMYŚLEĆ, ŻE MUSI SIEDZIEĆ W ZADUCHU W TAKI RANEK JAK DZISIAJ! Powinien pan zaprotestować, Hastings!

Siostra Craven uprzedziła mnie:

- O, PANNA HASTINGS JEST CAŁKIEM SZCZĘŚLIWA. ONA TO LUBI, WIE PAN, POZA TYM DOKTOR NIE MOŻE obejść się bez niej.

- BIEDACZYSKO. GDYBYM MIAŁ TAKĄ ŁADNĄ SEKRETARKE JAK JUDITH, WOLAŁBYM PATRZEĆ NA NIĄ NIŻ NA świnki morskie.

TEGO RODZAJU DOWCIPÓW JUDITH SZCZEGÓLNICIE NIE CIERPIAŁA, ALE ZYSKAŁ ON ZA TO PEŁNE UZNANI siostry Craven.

- OCH, SIR WILLIAMIE, DOPRAWDY, NIE POWINIEN PAN MÓWIĆ TAKICH RZECZY. WSZYSCY ŚWIETNIE WIEMY, JAK PAN BY SIĘ ZACHOWAŁ! ALE BIEDNY DOKTOR FRANKLIN JEST TAKI POWAŻNY. PRACA POCHŁANIA GO bez reszty.

Boyd Carrington rzekł wesoło:

- W KAŻDYM RAZIE DZIŚ PANI DOKTOROWA ZAJĘŁA POZYCJĘ, Z KTÓREJ MOŻE MIEĆ MĘŻA NA OKU. ZDAJE mi się, że jest zazdrosna.

- ZA DUŻO PAN WIE, SIR WILLIAMIE! - SIOSTRA CRAVEN BYŁA WYRAŹNIE ZACHWYCONA ŻARCIKAMI SIR WILLIAMA. OCIĄGAJĄC SIĘ, OZNAJMIŁA: - NIE MA RADY, MUSZĘ SPRAWDZIĆ, CO SIĘ DZIEJE Z KOK **tajem** mlecznym pani Franklin!

Szła powoli i Boyd Carrington towarzyszył jej wzrokiem.

- PRZYSTOJNA DZIEWCZYNA. ŁADNE WŁOSY I ZĘBY. NIEZGORSZY OKAZ KOBIECOŚCI. W SUMIE TO NUDNE życie, ciągle tylko doglądać chorych. Taka dziewczyna zasługuje na lepszy los.

- Z czasem chyba wyjdzie za mąż.

- Na pewno.

Westchnął i wydało mi się, że pomyślał o swojej zmarłej żonie. Potem spytał:

- Chciałby pan przespacerować się ze mną do Knatton i obejrzeć je sobie?

- Ależ tak. Bardzo chętnie. Zobaczę tylko wpierw, czy Poirot mnie nie potrzebuje.

Poirot siedział na werandzie opatulony po uszy. Zachęcił mnie do przechadzki.

- IDŹ KONIECZNIE, HASTINGS. TO PODOBNO WSPANIAŁA POSIADŁOŚĆ. STANOWCZO POWINIENEŚ JĄ zobaczyć.

- Mam wielką ochotę, ale nie chciałem zostawiać cię samego.

- Wierny z ciebie przyjaciel. Nie, mój drogi, idź z sir Williamem. Uroczy człowiek, prawda?

- Pierwszorzędny - odrzekłem z zapalem.

Poirot uśmiechnął się.

- No tak, wiedziałem, że ci się spodoba.

Przechadzka sprawiła mi ogromną przyjemność.

NIE TYLKO POGODA BYŁA PIĘKNA - PRAWDZIWIE ROZKOSZNY LETNI DZIEŃ - ALE CIESZYŁO MNIE towarzystwo tego człowieka.

BOYD CARRINGTON MA ROZLEGŁĄ WIEDZĘ O ŻYCIU, MNÓSTWO DOŚWIADCZEŃ Z PODRÓŻY I ÓW OSOBISTY MAGNETYZM, KTÓRY CZYNI Z NIEGO NIEZRÓWNaNEGO ROZMÓWCĘ. KIEDY OPOWIADAŁ MI ANEGDOTY Z OKRESU

SWEGO POBYTU W INDIACH CZY PASJONUJĄCE SZCZEGÓŁY O TAJEMNEJ WIEDZY PLEMION WSCHODNIOAFRYKAŃSKICH, BYŁ TAK INTERESUJĄCY, ŻE SŁUCHAJĄC Z PRZEJĘCIEM, ZAPOMNIAŁEM O zmartwieniach z Judith i o głębokiej rozterce, w jaką wprawiły mnie rewelacje Poirota.

PODOBAŁ MI SIĘ TAKŻE SPOSÓB, W JAKI BOYD CARRINGTON MÓWIŁ O MOIM PRZYJACIELU. MIAŁ DLA NIEGO OGROMNY RESPEKT - ZARÓWNO DLA JEGO OSIĄGNIĘĆ, JAK CHARAKTERU. CHOĆ OBECNY STAN ZDROW POIROTA BYŁ ŻAŁOSNY, SIR WILLIAM ZAOSZCZĘDZIŁ MI WYRAZÓW ŁATWEGO WSPÓŁCZUCIA. ZDAWAŁ SIĘ UWAŻAĆ, ŻE TAK SPĘDZONE ŻYCIE JEST SAMO W SOBIE NAJLEPSZĄ NAGRODĄ I ŻE WSPOMINAJĄC JE, MÓJ PRZYJACIEL znajduje dość powodów do dumy i zadowolenia.

- Co więcej - dodał - założyłbym się, że jego umysł jest równie bystry jak dawniej.

- Zupełnie tak samo - potwierdziłem skwapliwie.

- MYLI SIĘ TEN, KTO SĄDZI, ŻE KIEDY CZŁOWIEK MA UNIERUCHOMIONE NOGI, JEGO GŁOWA GORZEJ PRACUJE. PODESZŁY WIEK MA O WIELE MNIEJSZY WPŁYW NA SPRAWNOŚĆ UMYSŁU NIŻ SIĘ NA OGÓL UWAŻA. Słowo daję, wolałbym nie popełniać morderstwa pod nosem Herkulesa Poirot, nawet obecnie.

- Od razu by pana zdemaskował - uśmiechnąłem się.

- SAM TO WIEM. CO PRAWDA - DORZUCIŁ Z KOMICZNYM ŻALEM - CHYBA W OGÓLE NIE BARDZO NADAJE SIĘ DO TEGO. NIE UMIEM PLANOWAĆ Z GÓRY. NAZBYT JESTEM NIECIERPLIWY. ZAMORDOWAĆ KOGOŚ MÓGŁBYM tylko bez namysłu, pod wpływem chwilowego impulsu.

- Mogłaby to być zbrodnia najtrudniejsza do wykrycia.

- BARDZO WĄTPIĘ. NAJPEWNIJ ZOSTAWIŁBYM WSZĘDZIE ŚLADY WIODĄCE WPROST DO MNIE. NO CÓŻ, NA SZCZĘŚCIE NIE MAM ZBRODNICZYCH SKŁONNOŚCI. Z WŁASNEGO POPEŁU ZABIŁBYM CHYBA TYLKO SZANTAŻYSTĘ. TO JEST NAJWIĘKSZA PODŁOŚĆ. ZAWSZE UWAŻAŁEM, ŻE KAŻDEGO SZANTAŻYSTĘ NALEŻAŁOBY ZASTRZELIĆ. A PAN co na to?

Przyznałem, że podzielał w pewnej mierze jego punkt widzenia.

POTEM, W TOWARZYSTWIE MŁODEGO ARCHITEKTA, KTÓRY WYSZEDŁ NAM NA SPOTKANIE, OBEJRZELIŚMY, JA postępują prace przy remoncie.

DWÓR W KNATTON POCHODZI PRAWIE W CAŁOŚCI Z EPOKI TUDORÓW, Z JEDNYM SKRZYDŁEM DOBUDOWANYM PÓŹNIEJ. NIC W NIM NIE PRZERABIANO ANI NIE UNOWOCZEŚNIANO OD ZAINSTALOWANIA DWÓCH prymitywnych łazienek w 1840 lub coś koło tego.

BOYD CARRINGTON WYJAŚNIŁ MI, ŻE JEGO WUJ BYŁ NIEMAL PUSTELNIKIEM, MIZANTROPEM, KTÓRY ZASZY SIĘ W KĄCIE ROZLEGŁEGO DOMOSTWA. TOLEROWAŁ OBECNOŚĆ BOYDA CARRINGTONA I JEGO BRATA, I OBA spędzali tu wakacje jako młodzi chłopcy, zanim jeszcze sir Everald całkiem zdziwaczał.

STARY ODLUDEK NIE BYŁ NIGDY ŻONATY I WYDAWAŁ ZALEDWIE JEDNĄ DZIESIĄTĄ SWOICH DOCHODÓW, TAK że nawet po zapłaceniu podatku spadkowego obecny baronet poczuł się bogatym człowiekiem.

- Ale bardzo samotnym - dodał z westchnieniem.

MILCZAŁEM. ZBYT DOJMUJĄCO PODZIELAŁEM JEGO ŻAŁ, ŻEBY UJAĆ TO W SŁOWA. JA RÓWNIŻ BYŁEM bardzo samotnym człowiekiem. Odkąd Cinderella umarła, żyłem jakby połową swej istoty.

Z pewnym wahaniem spróbowałem wyrazić trochę z tego, co czułem.

- Tak, Hastings, ale pan zdążył zaznać szczęścia, a ja...

Chwilkę odczekał, a potem urwanymi zdaniami opowiedział mi o swojej tragedii.

O PIĘKNEJ, MŁODZIUTKIEJ ŻONIE, UROCZEJ KOBECIE, UTALENTOWANEJ I PEŁNEJ WDZIĘKU, ALE Z DZIEDZICZNĄ SKAZĄ. W JEJ RODZINIE WSZYSCY PRAWIE BYLI ALKOHOLIKAMI I ONA TEŻ PADŁA OFIARĄ NAŁOGU. W NIESPEŁNA ROK PO ŚLUBIE PRZESTAŁA WALCZYĆ I PO KRÓTKIM CZASIE UMARŁA Z PRZEPICIA. NIE WINIŁ JEJ. Zdawał sobie sprawę, że okazała się bezsilna wobec wrodzonej skłonności.

PO JEJ ŚMIERCI ZDECYDOWAŁ SIĘ NA ŻYCIE SAMOTNE. PO TAK SMUTNYM DOŚWIADCZENIU POSTANOWIŁ nigdy się nie żenić.

- Wołałem być sam. Czułem się bezpieczniej.

- Tak, mogę to zrozumieć... W każdym razie przez dłuższy czas...

- TO BYŁA TAKA STRASZNA TRAGEDIA. WYSZEDŁEM Z NIEJ PRZEDWCZEŚNIE POSTARZAŁY I ZGORZKNIAŁY. POTEM, CO PRAWDA, OMAL NIE ULEGŁEM POKUSIE... ALE ONA BYŁA TAKA MŁODA. NIE CZUŁEM SIĘ W PRAWIE PROPONOWAĆ JEJ, ABY ZWIĄZAŁA SIĘ Z CZŁOWIEKIEM ZAWIEDZIONYM. BYŁEM DLA NIEJ ZA STARY... DLA TEGO dziecka, tak ślicznego i niewinnego...

Potrząsnąłem głową.

- Czy nie powinna była sama rozstrzygnąć?

- NIE WIEM, HASTINGS. UWAŻAŁEM, ŻE NIE. WYGLĄDAŁO NA TO, ŻE MNIE LUBI. ALE PRZECIEŻ BYŁA JESZCZE TAKA DZIECINNA. NA ZAWSZE ZAPAMIĘTAŁEM JĄ TAK, JAK JĄ ZOBACZYŁEM OSTATNIEGO DNIA MOJEGO urlopu. Z głową lekko przechyloną na bok... Jakby dziwiła się czemuś... Jej mała rączka...

PRZERWAŁ. JEGO SŁOWA WYWOŁAŁY PRZED MĄ OBRAZ, KTÓRY WYDAŁ MI SIĘ ZNAJOMY, CHOĆ NIE umiałem go umiejscowić.

Głos Boyda Carringtona lekko zachrypł.

- BYŁEM GŁUPCEM. KAŻDY MEŹCZYZNA, KTÓRY REZYGNUJE Z SZANSY SZCZĘŚCIA, JEST GŁUPCEM. I OT JESTEM TU Z TYM WIELKIM DWORZYSZCZEM, O WIELE ZA OBSZERNYM DLA MNIE SAMEGO, I U SZCZYTU MEGO stołu nie siedzi ukochana kobieta.

TEN NIECO STAROŚWIECKI SPOSÓB WYŚLAWIANIA SIĘ MIAŁ DLA MNIE WIELE UROKU. COFAŁ NAS W przeszłość, w świat spokojny i pełen wdzięku, który dawno przeminął.

- Gdzie teraz znajduje się ta pani?

- ECH, WYSZŁA ZA MAŻ - UCIAŁ KRÓTKO. - FAKTEM JEST, HASTINGS, ŻE JESTEM SKAZANY NA KAWALERSK ŻYCIĘ. MAM SWOJE DROBNE NAWYKI. CHODŹMY OBEJRZEĆ OGRÓD. JEST OKROPNIE ZANIEDBANY, ALE ZUPEŁNIE niebrzydki na swój sposób.

OBESZLIŚMY POSIADŁOŚĆ I TO, CO ZOBACZYŁEM, ZROBIŁO NA MNIE DUŻE WRAŻENIE. BYŁA TO BEZ WĄTPHENIA PIĘKNA REZYDENCJA I NIE DZIWIŁEM SIĘ, ŻE BOYD CARRINGTON JEST Z NIEJ DUMNY. DOBRZE ZNAŁ TI OKOLICE I WIĘKSZOŚĆ SWOICH SĄSIADÓW, CHOĆ OCZYWIŚCIE W CZASIE JEGO NIEOBECNOŚCI PRZYBYŁO TROCHĘ nowych ludzi.

OD DAWNA ZNAŁ PUŁKOWNIKA LUTTRELLA I SZCZERZE MU ŻYCZYŁ, ŻEBY PENSJONAT W STYLES OKAZAŁ S dochodowy.

- BIEDNY STARY GEORGE LUTTRELL JEST CAŁKIEM BEZ FORSY. PORZĄDNY CHŁOP. DOBRY ŻOŁNIERZ I ŚWIE STRZELEC. BYŁEM Z NIM KIEDYŚ NA SAFARI W AFRYCE. TO BYŁY CZASY! MIAŁ JUŻ WTEDY ŻONĘ, ALE JEGO PANI DZIĘKI BOGU, NIE WYBRAŁA SIĘ Z NAMI. ŁADNA BYŁA, ALE JUŻ WTEDY TROCHĘ JĘDZA. ŚMIESZNE, CO MĘŻCZYZNA POTRAFI ZNIEŚĆ OD NIEWIASTY! STARY GEORGE LUTTRELL, WOBEC KTÓREGO PODWŁADNYM ŁYDKI TRZĘŚLY SI STRACHU, TAKIM BYŁ SUROWYM SŁUŻBISTĄ! A TU, PROSZE, SIEDZI POD PANTOFLEM, STERRORYZOWANY I POTULN ŻE BARDZIEJ NIE MOŻNA! NIE MA WĄTPLIWOŚCI, TA KOBIETA ZALEWA MU SADŁA ZA SKÓRĘ. ALE MA GŁOWĘ na karku. Tylko ona potrafi zarobić na tym pensjonacie. Luttrell nigdy nie miał zmysłu do interesów, lecz pani pułkownikowa oskubałaby własną babkę.

- Ale dlaczego jest przy tym taka niemożliwie serdeczna? - poskarżyłem się.

Boyd Carrington wyglądał na rozbawionego.

- Wiem. Sama słodycz. Grał pan z nimi w brydża?

Potwierdziłem z westchnieniem.

- STARAM SIĘ TRZYMAĆ Z DALEKA OD BRYDŻYSTEK - MÓWIŁ DALEJ - I RADZĘ PANU Z GŁĘBI SERCA, NIECH pan ich też unika.

OPOWIEDZIAŁEM MU, JAK PRZYKRO NAM BYŁO OBU Z NORTONEM PIERWSZEGO WIECZORU MOJEGO pobytu.

- WŁAŚNIE. NIE WIADOMO, GDZIE PODZIAĆ OCZY. MIŁY FACET TEN NORTON. BARDZO SPOKOJNY. CIĄGL TYLKO PTAKI I PTAKI. ALE NIE POLUJE NA NIE, GDZIE TAM... SAM MI TO MÓWIŁ. ŻADEN SPORTOWIEC Z NIEGO. OSTRZEGŁEM GO, ŻE WIELE TRACI. NIE MOGĘ ZROZUMIEĆ, CO TO ZA PRZYJEMNOŚĆ BRNAĆ PRZEZ ZIMNY LAS, ŻEBY popatrzeć przez lornetkę na ptaka.

NIE PRZYSZŁO NAM DO GŁOWY, ŻE HOBBY NORTONA MOŻE ODEGRAĆ WAŻNĄ ROLĘ W PRZYSZŁYCH wydarzeniach.

ROZDZIAŁ VIII

MIAŁY DNI. BYŁ TO NIEPRZYJEMNY OKRES, WYPEŁNIONY NIEJASNYM OCZEKIWANIEM NA COŚ, CO MOGŁO KAŻDEJ CHWILI NASTĄPIĆ.

WŁAŚCIWIE NIC SIĘ NIE DZIAŁO. PRZYTRAFIAŁY SIĘ DROBNE INCYDENTY, DOCIERAŁY DO MNIE STRZĘŻĄ PRZYPADKOWYCH ROZMÓW, DODATKOWE INFORMACJE O MIESZKAŃCACH STYLES, ZNAMIENNE ALUZJE. WSZYSTKO to, zebrane razem i odpowiednio zestawione, już wtedy mogło wiele mi wyjaśnić.

To Poirot w dosadnych słowach zwrócił moją uwagę na coś, na co byłem karygodnie ślepy.

SKARŻYŁEM SIĘ PO RAZ NIE WIEM KTÓRY, ŻE UPARCIE NIE CHCE MI ZAUFAC. TŁUMACZYŁEM MU, ŻE TO NIEUCZCIWIE Z JEGO STRONY. ZAWSZE ZNALIŚMY OBAJ TE SAME FAKTY, NAWET JEŚLI JA BYŁEM TĘPY, A ON PRZENIKLIWY W WYCIĄGANIU Z NICH WNIOSKÓW.

Machnął niecierpliwie ręką.

- MASZ RACJĘ, PRZYJACIELU. TO NIEUCZCIWIE! NIESPORTOWO! Wbrew regułom gry! Powiedz sobie to wszystko i skończ z tym wreszcie. To nie jest gra... I to nie jest sport. Ciągłe starasz się odgadnąć na chybił trafił, kto to jest Iks. Nie po to prosiłem, żebyś tu przyjechał. Niepotrzebnie to sobie zaprzętasz głowę. Ja znam odpowiedź na to pytanie. Nie znam odpowiedzi na inne, a muszę ją znać: „Kto ma umrzeć... już wkrótce?”. Problem, mon vieux, nie polega na tym, jak ty masz rozwiązać łamigłówkę, ale jak zapobiec czyjejś śmierci.

Zmieszałem się.

- Oczywiście. No tak... Ja... pamiętam, że już to kiedyś mówiłeś, ale właściwie nie dotarło to do mnie w pełni.

- To niech dotrze... i to natychmiast!

- Dobrze, zaraz, to znaczy, rozumiem już, rozumiem.

- Bien! Powiedz mi więc, Hastings, kto z tych ludzi ma umrzeć?

Popatrzyłem na niego stropiony.

- Doprawdy nie mam pojęcia.

- Ale powinieneś mieć. Po to właśnie tu jesteś!

- Na pewno - prz ERWAŁEM MU, NAWIAZUJĄC DO MOICH POPRZEDNICH ROZWAŻAŃ - MUSI ISTNIEĆ JAKIŚ związek między ofiarą a Iksiem. Gdybyś mi powiedział, kim jest Iks...

Poirot potrzęsnał energicznie głową.

- CZY NIE MÓWIŁEM CI, NA CZYM POLEGA ISTOTA METODY IKSA? ABSOLUTNIE NIC, ŻADNE OGNIWO NIE będzie łączyć Iksa z morderstwem. To jedno jest całkiem pewne.

- Więc uważasz, że to ogniwo będzie ukryte?

- Tak dobrze ukryte, że ani ty, ani ja nie zdołamy go znaleźć.

- Ale przecież, badając przeszłość Iksa...

- W KAŻDYM RAZIE NIE ZNAJDZIEMY GO W PORĘ. LADA MOMENT KTOŚ TU MOŻE PAŚĆ OFIARĄ morderstwa, rozumiesz?

- Ktoś w tym domu?

- Ktoś w tym domu.

- I naprawdę nie wiesz, kto? Ani jak?

- Gdybym wiedział, nie ponaglałbym cię tak, żebyś to dla mnie wytropił.

- Opierasz swoje przypuszczenia wyłącznie na obecności Iksa?

W MOIM GŁOSIE ZABRZMIAŁO POWĄTPIEWANIE. POIROT, KTÓRY GORZEJ PANOWAŁ NAD SOBĄ, ODKĄD stracił władzę w nogach, wręcz na mnie ryknął:

- NA MIŁY BÓG, ILE RAZY MAM CI TO POWTARZAĆ? JEŚLI W JAKIMŚ PUNKCIE EUROPY POJAWIA SIĘ NAGLE MNÓSTWO KORESPONDENTÓW, CO TO OZNACZA? ŻE WYBUCHNIE TAM WOJNA! JEŚLI LEKARZE Z CAŁEGO ŚWIATA ZJEŹDŻAJĄ SIĘ W PEWNYM MIEŚCIE, NA CO TO WSKAZUJE? ŻE ODBĘDZIE SIĘ TAM KONGRES MEDYCZNY. JEŚLI WIDZISZ GDZIEŚ KRAŻĄCEGO SĘPA, TO ZNAJDZIESZ TAM TRUPA. JEŚLI WIDZISZ NAGANIACZY IDĄCYCH PRZEZ TERENY ŁOWIECKIE, TO NIEBAWEM ZACZNIE SIĘ POLOWANIE. JEŚLI JAKIŚ CZŁOWIEK NAGLE PRZYSTAJE, ŚCIAGA Z SIEBIE PŁASZCZ I SKACZE DO WODY, OZNACZA TO, ŻE RATUJE TONAĆCEGO. JEŚLI UJRZYSZ PANIE W ŚREDNIM WIEKU I O SZACOWNYM WYGLĄDZIE ZERKAJĄCE PRZEZ PŁOT, MOŻESZ BYĆ PEWIEN, ŻE DZIEJE SIĘ TAM COŚ NIEPRZYWOITEGO! I WRESZCIE, JEŚLI CZUJESZ SMAKOWITY ZAPACH I LUDZIE SPIESZĄ KORYTARZEM, WSZYSCY W tym samym kierunku, możesz spokojnie uznać, że jest to pora posiłku!

Po chwili zastanowienia podjąłem pierwszy przykład.

- W każdym razie jeden korespondent jeszcze nie czyni wojny.

- OCZYWIŚCIE. I JEDNA JASKÓŁKA NIE CZYNI WIOSNY. ALE, HASTINGS, JEDEN MORDERCA WYSTARCZY, żeby popełnić morderstwo.

TO, RZECZ JASNA, BYŁO BEZSPORNE. PRZYSZŁO MI JEDNAK DO GŁOWY COŚ, O CZYM POIROT CHYBA NIE POMYŚLAŁ; ŻE NAWET MORDERCA CZASAMI ODPOCZYWA. IKS MÓGŁ PRZEBYWAĆ W STYLES PO PROSTU NA WAKACJACH, NIE MAJĄC MORDERCZYCH ZAMIARÓW. POIROT BYŁ JEDNAK TAK WŚCIEKŁY, ŻE NIE OŚMIELIŁEM SIĘ WYSUNĄĆ TEJ SUGESTII. WSPOMNIAŁEM TYLKO, ŻE CAŁA SPRAWA WYDAJE MI SIĘ BEZNADZIEJNA. MUSIMY czekać...

- I ZOBACZYĆ, CO BĘDZIE - DOKOŃCZYŁ POIROT. - JAK WASZ PAN ASQUITH[2] podczas ostatniej wojny. Tego właśnie, mon cher, nie wolno nam robić. Nie twierdź, zauważ, że nam się powiedzie, bo jak ci już mówiłem, kiedy zabójca postanawia zabić, niełatwo jest go podejść. Ale przynajmniej możemy spróbować. Wyobraź sobie, Hastings, że masz przed sobą problem brydżowy w czasopiśmie. Znasz karty wszystkich partnerów. Twoim zadaniem jest przewidzieć wynik rozgrywki.

Zaprotestowałem.

- Nic z tego, Poirot. W tym wypadku nie ma żadnych danych. Gdybym wiedział, kto jest Iksem...

Poirot znów wrzasnął na mnie. Krzyczał tak głośno, że z sąsiedniego pokoju przybiec wyraźnie przestraszony Curtiss. Poirot odprawił go i zwrócił się do mnie w sposób bardziej opanowany:

- Posłuchaj, Hastings, nie jesteś przecież taki głupi, jak czasem lubisz udawać. Przystudiowałeś wszystko, co ci dałem do przeczytania. Możesz nie wiedzieć, kto jest Iksem, ale znasz jego techniki działania.

- Rozumiem...

- Jasne, że rozumiesz. Cały kłopot polega na tym, że masz leniwy umysł. Lubisz gry i zgadywanki, a nie lubisz pracować głową. Jaki jest zasadniczy element metody Ikse? Czy nie ten, że popełniona zbrodnia jest oczywista? To znaczy istnieje motyw morderstwa, jest sposobność, są środki i wreszcie, co najważniejsze, jest winowajca, którego można od razu posadzić na ławie oskarżonych.

Natychmiast podchwyciłem sedno sprawy i uświadomiłem sobie, jakim głupcem byłem, że nie wpadłem na to wcześniej.

- Rozumiem - powtórzyłem. - Mam rozejrzeć się za kimś, kto odpowiada tym wymogom, a kto nadaje się na ofiarę.

Poirot z westchnieniem przechylił się do tyłu.

- *Enfin!* Jestem bardzo zmęczony. Przyślij mi Curtissa. Teraz wiesz, co masz robić. Swobodnie się poruszasz, możesz chodzić, gdzie chcesz, możesz śledzić ludzi, mówić z nimi, podglądać ich, kiedy się tego nie spodziewają. (Omal nie zaprotestowałem z oburzeniem, ale w porę się pohamowałem. Nie warto było wznawiać tak dawnych sporów). Możesz podsłuchiwać rozmowy, masz kolana, które jeszcze się zginają, co pozwala ci klękać i patrzeć przez dziurki od klucza...

- Nie będę patrzeć przez dziurki od klucza! - przerwałem gwałtownie.

Poirot przymknął oczy.

- Doskonale! Nie będziesz patrzył przez dziurki od klucza. Pozostaniesz angielskim dżentelmenem i ktoś będzie zabity. To przecież nieważne. Dla Anglika najważniejszy jest honor.

Twój honor jest ważniejszy niż cudze życie. Bien. Wszystko jest jasne.

- Nie, do licha, Poirot...

Poirot odpowiedział chłodno:

- PRZYŚLIJ MI CURTISSA. IDŹ SOBIE. JESTEŚ UPARTY I BEZGRANICZNIE GŁUPI. CHCIAŁBYM, ŻEBY BYŁ TU KTOŚ INNY, KOMU MÓGŁBYM ZAUFAC, ALE, NIESTETY, MUSZĘ CHYBA CIERPLIWIE ZNOSIĆ CIEBIE I TWOJE ABSURDALNE ZASADY PRZESTRZEGANIA REGUŁ GRY. SKORO NIE MOŻESZ UŻYWAĆ SWOICH SZARYCH KOMÓREK, BO ICH NIE POSIADASZ, UŻYWAJ PRZYNAJMNIEJ OCZU, USZU I NOSA, CHOĆBY W TAKIM STOPNIU, W JAKIM POZWALAJĄ CI NA TO NAKAZY HONORU.

NAZAJUTRZ ODWAŻYŁEM SIĘ PODZIELIĆ Z NIM POMYSŁEM, KTÓRY JUŻ PAROKROTNI PRZYCHODZIŁ MI DO GŁOWY. ZROBIŁEM TO RACZEJ NIEPEWNI, BO NIGDY NIE WIADOMO, JAKA BĘDZIE REAKCJA POIROTA!

- ZASTANAWIAŁEM SIĘ NAD TYM, POIROT... WIEM, ŻE NIE MASZ ZE MNE WIELKIEJ POCIECHY. POWIEDZIAŁEŚ, ŻE JESTEM GŁUPI... NO CÓŻ, TO W PEWNYM SENSIE PRAWDA. I JESTEM TYLKO W POŁOWIE TYM CZŁOWIEKIEM, JAKIM BYŁEM DAWNIEJ. OD ŚMIERCI CINDERELLI... - ZAMILKŁEM. POIROT WYDAŁ Z SIEBIE WSPÓŁCZUJĄCY POMRUK. - ALE JEST TU KTOŚ, KTO MÓGŁBY NAM POMÓC, WŁAŚNIE TAKI CZŁOWIEK, JAKI NAM JES POTRZEBNY. INTELIGENCJA, WYOBRAŹNIA, ZARADNOŚĆ - PRZYWYKŁY DO PODEJMOWANIA DECYZJI, O BOGATYM DOŚWIADCZENIU ŻYCIOWYM. MAM NA MYŚLI BOYDA CARRINGTONA. ON BY NAM SIĘ NADAŁ, POIROT. ZAUFAJ MU. Wciągnij go do tej sprawy.

Poirot otworzył oczy i oświadczył z naciskiem:

- Na pewno nie.

- Dlaczego? Nie możesz zaprzeczyć, że jest wybitnie inteligentny, o wiele zdolniejszy niż ja.

- TO NIE JEST WCALE TRUDNE - STWIERDZIŁ ZGRYŹLIWIE POIROT. - ALE PORZUĆ TEN POMYSŁ, HASTING; PAMIĘTAJ. NIKOMU SIĘ NIE ZWIERZAMY. ZROZUMIAŁEŚ, HĘ? ZABRANIAM CI O TYM Z KIMKOLWIEK MÓWIĆ.

- Dobrze, jeśli tak sobie życzysz, ale doprawdy, Boyd Carrington...

- TRA LA LA LA, BOYD CARRINGTON. OPĘTAŁ CIĘ BOYD CARRINGTON. KIM ON W KOŃCU JEST? ROSŁYM MĘŻCZYŹNĄ, NADĘTYM I ZADOWOLONYM Z SIEBIE, BO LUDZIE GO NAZYWAJĄ EKSCYLENCJĄ. OWSZEM, NIE BRAK MU TAKTU I MA PEWIEN WDZIĘK. ALE WCALE NIE JEST TAKI NADZWYCZAJNY TEN TWÓJ BOYD CARRINGTON. POWTARZA SIĘ, KAŻDĄ HISTORIĘ OPOWIADA KILKAKROTNI, A CO GORSZA, MA TAKĄ ZŁĄ PAMIĘĆ, ŻE SPRZEDAJE CI ANEGDOTE, KTÓRĄ USŁYSHAŁ OD CIEBIE! CZŁOWIEK O WYBITNYCH ZDOLNOŚCIACH? BYNAJMNIEJ! STARY NUDZIAR GADUŁA... enfin, pyszałkowaty bufon!

ROZJAŚNIŁO MI SIĘ W GŁOWIE. RZECZYWIŚCIE, BOYD CARRINGTON NIE MIAŁ DOBREJ PAMIĘCI. I ISTOTNIE POPEŁNIŁ GAFĘ, KTÓRA, JAK TERAZ ZROZUMIAŁEM, DOPROWADZIŁA POIROTA DO PASJI. POIROT OPOWIEDZIAŁ M WYDARZENIE Z CZASÓW SWEJ SŁUŻBY W BELGIJSKIEJ POLICJI I LEDWIE PARĘ DNI PÓŹNIEJ, KIEDY SIEDZIELIŚMY W KILKA OSÓB W OGRODZIE, BOYD CARRINGTON, W SŁODKIEJ NIEWIEDZY, ZWRÓCIŁ SIĘ Z TĄ SAMĄ HISTORYJKĄ DO POIROTA, POPRZEDZAJĄC JĄ SŁOWAMI: „Pamiętam, że szef paryskiej Sûreté mówił mi...”

Teraz pojąłem, jak to rozjątrzyło mego przyjaciela.

Taktownie nic już nie dodałem i wycofałem się.

Postanowiłem przejść się po ogrodzie. W pobliżu nikogo nie było i powędrowałem sobie przez zagajnik w górę, aż do porośniętego pagórka, na którym stała przypominająca nieco stonogę altana w stanie daleko posuniętej ruiny. Tutaj usiadłem, zapaliłem fajkę i pogrążyłem się w rozmyślaniach.

KTO TU W STYLES MIAŁ WYRAŹNY MOTYW, ŻEBY POPEŁNIĆ MORDERSTWO, LUB TEŻ KOMU MOŻNA BYŁO B TAKI MOTYW WMÓWIĆ?

NIE BIORĄC POD UWAGĘ DOŚĆ OCZYWISTEGO PRZYPADKU PUŁKOWNIKA LUTTRELLA, KTÓRY JEDNAK NIGD CHYBA, NIESTETY, NIE RZUCI SIĘ NA ŻONĘ W ŚRODKU ROBRA, CHOĆ TYLE MIAŁBY NA SWOJE USPRAWIEDLIWIENIE, NIKT MI POCZĄTKOWO NIE PRZYCHODZIŁ DO GŁOWY.

KŁOPOT POLEGAŁ NA TYM, ŻE W GRUNCIE RZECZY ZA MAŁO WIEDZIAŁEM O TYCH LUDZIACH. NORTON PRZYKŁAD I PANNA COLE? JAKIE BYWAJĄ NAJCZĘSTSZE MOTYWY MORDERSTWA? PIENIĄDZE? BOYD CARRINGTON JAK MI SIĘ ZDAWAŁO, BYŁ JEDYNYM BOGATYM CZŁOWIEKIEM W TYM GRONIE. GDYBY UMARŁ, KTO ODZIEDZICZYŁBY PO NIM MAJĄTEK? KTOŚ Z OBECNYCH TUTAJ? RACZEJ WĄTPLIWE, ALE BYĆ MOŻE NALEŻAŁOBY TO ROZPATRZYĆ. MÓGL, DAJMY NA TO, ZAPISAĆ SWOJE PIENIĄDZE NA PRACĘ NAUKOWO-BADAWCZĄ, CZYNIĄC FRANKLINA KURATOREM. TO, W POŁĄCZENIU Z NIEOGLĘDNymi UWAGAMI DOKTORA NA TEMAT NADMIERNEJ LICZBY LUDZI NA ŚWIECIE, STANOWIŁOBY WCAŁE NIEZŁĄ PODSTAWĘ AKTU OSKARŻENIA PRZECIW RUDEM U LEKARZOWI. ALBO TEŻ, GDYBY NORTON LUB PANNA COLE DZIEDZICZYLI PO NIM NA ZASADZIE DAŁEKIEGO POKREWIEŃSTWA? BARDZO PROBLEMATYCZNE, ALE NIEWYKLUCZONE. CZY BOYD CARRINGTON ZAPISAŁ COŚ W TESTAMENCIE NA STAREMU PRZYJACIELOWI JAK PUŁKOWNIK LUTTRELL? TE EWENTUALNOŚCI ZDAWAŁY SIĘ WYCZERPYWAĆ MOTYWY NATURY FINANSOWEJ. PRZESZEDŁEM DO BARDZIEJ ROMANTYCZNEJ MOŻLIWOŚCI. FRANKLINOWIE. PANI FRANKLIN JEST CIĄGŁE CHORA. CZY JEST SZANSA, ŻE KTOŚ JĄ POWOLI TRUJE, I ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA JEJ ŚMIERĆ PRZYPISANO BY JEJ MĘŻOWI? FRANKLIN JEST LEKARZEM, MA BEZ WĄTPLIENIA ODPOWIEDNIE ŚRODKI I SPOSOBNOSĆ. A MOTYW? ŚCISNĘŁO MI SIĘ SERCE NA MYŚL, ŻE MOGLĄBY BYĆ W TO WMIESZANA JUDITH. DOBRZE WIEDZIAŁEM, JAK CZYSTO PROFESJONALNE BYŁY STOSUNKI MIĘDZY NIMI. ALE CZY OPINIA PUBLICZNA W TO UWIERZY? CZY UWIERZY W TO PODEJRZLIWY OFICER POLICJI? JUDITH JEST BARDZO PIĘKNĄ KOBIECĄ. POWABNE sekretarki czy asystentki bywały powodem wielu zbrodni. Przestraszyła mnie ta perspektywa.

NASTĘPNIE ZABRAŁEM SIĘ DO ALLERTONA. CZY KTOŚ SKORZYSTAŁBY NA JEJ ŚMIERCI? JEŚLI JI KONIECZNIE MA TU NASTĄPIĆ MORDERSTWO, WOLAŁBYM, ŻEBY OFIARĄ BYŁ ALLERTON. ZNALEZIENIE MOTYWU NI POWINNO NASTRĘCZAĆ SZCZEGÓLNYCH TRUDNOŚCI. PANNA COLE, CHOĆ NIEMŁODA, JEST JESZCZE PRZYSTOJ KOBIECĄ. MOŻNA BY PRZYJĄĆ, ŻE POWODOWAŁA NIĄ ZAZDROŚĆ, GDYBY SIĘ OKAZAŁO, ŻE ONA I ALLERTON UTRZYMYWALI KIEDYS BLIŻSZE STOSUNKI - CHOĆ NIE MIAŁEM DANYCH, ABY PRZYPUSZCZAĆ, ŻE TAK BYŁO ISTOTNIE. Zresztą, jeśli Allerton jest Iksem...

ZDENERWOWAŁEM SIĘ. TO WSZYSTKO NIGDZIE NIE PROWADZIŁO. UWAGĘ MOJĄ ZWRÓCIŁY KROKI NA ŻWIRZE U STÓP PAGÓRKA. FRANKLIN SZEDŁ POSPIESZNIE W STRONĘ DOMU, Z RĘKAMI W KIESZENIACH, Z NAPRZÓD PODANĄ GŁOWĄ. Z CAŁEJ JEJ POSTAWY BIŁO PRZYGNĘBIENIE. UDERZYŁO MNIE, ŻE PRZYŁAPANY W MOMENCIE, KIEDY NIE MA SIĘ NA BACZNOŚCI, SPRAWIA WRAŻENIE CZŁOWIEKA GŁĘBOKO NIESZCĘŚLIWEGO.

PRZYGLĄDAŁEM MU SIĘ TAK INTENSYWNIEM, ŻE NIE DOTARŁY DO MOJEJ ŚWIADOMOŚCI BLIŻSZE ODGŁOSY, I drgnąłem, kiedy odezwała się panna Cole.

- Nie słyszałem, że pani nadchodzi - wyjaśniłem, przepraszająco zrywając się z miejsca.

Spojrzała na altankę.

- Co za wiktoriański zabytek!

- Rzeczywiście. Trochę przypomina stonogę. Proszę usiąść. Wytrę z kurzu ławkę.

UZNAŁEM, ŻE NADARZA MI SIĘ OKAZJA POZNANIA LEPIEJ JEDNEGO Z GOŚCI PENSJONATU. USUWAJĄC resztki pajęczyny, obserwowałem ukradkiem pannę Cole.

BYŁA TO KOBIETA MIĘDZY TRZYDZIESTKĄ A CZTERDZIESTKĄ, MIZERNA, O WYRAZISTYM PROFILU I DOPRAWI BARDZO PIĘKNYCH OCZACH. ZACHOWYWAŁA SIĘ Z PEWNĄ REZERWĄ, WIĘCEJ... Z PODEJRZLIWOŚCIĄ. PRZESZYŁA MNIE PEWNOŚĆ, ŻE TA KOBIETA WIELE WYCIERPIAŁA I PRZEZ TO MA NIEUFNY STOSUNEK DO ŻYCIA. MIAŁEM ochotę dowiedzieć się więcej o Elizabeth Cole.

- Gotowe - rzekłem, strzepnąwszy ostatni raz chusteczką - najlepiej, jak umiałem.

- DZIĘKUJĘ. - UŚMIECHNĘŁA SIĘ I ZAJĘŁA MIEJSCE. SAM USIADŁEM OBOK. ŁAWKA ZŁOWIESZCZO zaskrzypiała, ale nie doszło do katastrofy. Panna Cole spytała:

- PROSZĘ, NIECH MI PAN WYZNA, O CZYM PAN TAK DUMAŁ, KIEDY SIĘ TU ZJAWIŁAM? WYDAWAŁ SIĘ PAN głęboko zatopiony w myślach.

- Przyglądałem się doktorowi Franklinowi.

- Tak?

Nie widziałem powodu, dla którego miałbym zataić przed nią swoje spostrzeżenia.

- Uderzyło mnie, że wygląda jak człowiek bardzo nieszczęśliwy.

Moja rozmówczyni powiedziała spokojnie:

- Jest nieszczęśliwy, oczywiście. Przecież pan chyba wie o tym.

Obawiam się, że okazałem zaskoczenie. Bąknąłem, zacinając się lekko:

- Nnie wiem. Zawsze uważałem go za człowieka pogrążonego po uszy w pracy.

- Bo też tak jest.

- Czy to nazywa pani nieszczęściem? Dla mnie nie ma nic bardziej godnego pozazdrośczenia.

- WCALE SIĘ O TO NIE SPIERAM. NIE WTEDY JEDNAK, KIEDY JEST SIĘ SKRĘPOWANYM I NIE MOŻNA

realizować swego powołania. To znaczy, nie można dawać z siebie wszystkiego, co najlepsze.

Patrzyłem na nią zaintrygowany. Dodała wyjaśniająco:

- JESIENIĄ PRZED DOKTOREM FRANKLINEM WYŁONIŁA SIĘ SZANSA WYJAZDU DO AFRYKI I KONTYNUOWANIA TAM BADAŃ. JEST FANATYCZNIE ODDANY SWEJ PRACY, JAK PAN WIE, I RZECZYWIŚCIE MA JUŻ ZNAKOMITE OSIĄGNIĘCIA W ZAKRESIE MEDYCYNY TROPICALNEJ.

- I nie pojechał?

- NIE. JEJ ŻONA SIĘ SPRZECIWIŁA. NIE CZUŁA SIĘ DOŚĆ DOBRZE, ŻEBY ZNIEŚĆ TAMTEJSZY KLIMAT, A W ŻADEN SPOSÓB NIE CHCIAŁA ZOSTAĆ TUTAJ SAMA, ZWŁASZCZA ŻE MUSIAŁABY ŻYĆ BARDZO OSZCZĘDNIEM. WYNAGRODZENIE, JAKIE MU OFEROWANO, NIE BYŁO WYSOKIE.

- A on przypuszczalnie uznał, że w tym stanie zdrowia nie może jej zostawić?

- Czy dużo pan wie, kapitanie, o jej stanie zdrowia?

- Nie, raczej nie... ale przecież jest ciężko chora?

- Na pewno nie cieszy się dobrym zdrowiem - odparła cierpko panna Cole.

SPOJRZAŁEM NA NIĄ NIEPEWNIEM. ŁATWO BYŁO ODGADNAĆ, ŻE JEJ SYMPATIE SĄ CAŁKOWICIE PO STRONIE MĘŻA.

- W ogóle kobiety wątpliwe są chyba skłonne do egoizmu?

- TAK... MYŚLĘ, ŻE CHOROZY - CHRONICZNIE CHOROZY - SĄ PRZEWAŻNIE BARDZO SAMOLUBNI. MOŻE NIE NALEŻY ICH ZA TO WINIĆ. TO JEST O TYLE ŁATWIEJSZE...

- Więc pani zdaniem, żonie doktora nic poważnie nie dolega?

- NIE, TEGO BYM NIE POWIEDZIAŁA. MAM TYLKO SVOJE WĄTPLIWOŚCI. ONA ZAWSZE JAKOŚ POTRAFI PRZEPROWADZIĆ WSZYSTKO, NA CO MA OCHOTĘ.

PRZEZ DŁUŻSZĄ CHWILĘ ZASTANAWIAŁEM SIĘ W MILCZENIU. ZDZIWIŁO MNIE, ŻE PANNA COLE TAK ŚWIETNIE ORIENTUJE SIĘ W UKŁADZIE STOSUNKÓW W TYM STADLE. SPYTAŁEM NIE BEZ CIEKAWOŚCI:

- Zna pani dobrze doktora Franklina?

- Nie. Zanim spotkaliśmy się tutaj, zetknęłam się z nimi tylko raz czy dwa razy.

- Ale mówił z panią o sobie?

Znowu zaprzeczyła.

- Nie. To, co panu powiedziałam, wiem od pańskiej córki Judith.

Judith, pomyślałem z przelotnym żalem, rozmawia ze wszystkimi oprócz mnie.

- JUDITH - CIĄGNĘŁA PANNA COLE - JEST SZALENIE LOJALNA WOBEC SWEGO SZEFA I BARDZO BOJOWA, kiedy o niego chodzi. Z całą bezwzględnością potępia egoizm pani Franklin.

- A pani też uważa ją za egoistkę?

- TAK, ALE POTRAFIĘ ZROZUMIEĆ JEJ PUNKT WIDZENIA. JA... JA... ROZUMIEM LUDZI CHORYCH. ROZUMIEM TEŻ, DLACZEGO DOKTOR JEJ USTĘPUJE. JUDITH NATURALNIE JEST ZDANIA, ŻE POWINIEN UMIEŚCIĆ GDZIEŚ ŻONĘ, ABY PRACOWAĆ BEZ PRZESZKÓD. PAŃSKA CÓRKA JEST BARDZO ŻARLIWYM NAUKOWCEM.

- WIEM - ZABRZMIAŁO TO DOŚĆ SMUTNO. - CZASEM MARTWIĘ SIĘ TYM. WYDAJE MI SIĘ TO DOŚĆ NIENATURALNE. WOLAŁBYM, ŻEBY BYŁA BARDZIEJ KOBIECA, BARDZIEJ SKORA DO ROZRYWEK. NIECH SIĘ BAWI... NIECH SIĘ ZAKOCHA W JEDNYM CZY DRUGIM MIŁYM CHŁOPCU... W KOŃCU MŁODOŚĆ TO CZAS NA LEKKOMYŚLNOŚĆ, A NIE NA ŚLĘCZENIE NAD PROBÓWKAMI. NIE, TO NIE JEST NATURALNE. W NASZEJ MŁODOŚCI TAŃCZYLIŚMY, FLIRTOWALIŚMY, BYŁO NAM WESOŁO... Wie pani przecież.

Przez chwilę panowała cisza. Potem panna Cole powiedziała chłodnym, zmienionym głosem:

- Nie, nie wiem.

PRZESTRASZYŁEM SIĘ. BEZWIEDNIE MÓWIŁEM TAK, JAKBYŚMY OBOJE, ONA I JA, BYLI RÓWIEŚNIKAMI. NAGLE UŚWIADOMIŁEM SOBIE, ŻE JEST O PONAD DZIESIĘĆ LAT MŁODSZA ODE MNIE I ŻE MIMO WOLI OKAZAŁEM SIĘ OKROPNIE NIETAKTOWNY.

Starałem się ją przeprosić najlepiej, jak umiałem. Przerwała mi w pół słowa:

- KIEDY WCALE NIE O TO MI CHODZI. PROSZĘ, NIECH PAN SIĘ NIE TŁUMACZY. JA MIAŁAM NA MYŚLI DOKŁADNIE TO, CO POWIEDZIAŁAM. NIE WIEM. NIGDY NIE BYŁAM „MŁODA” W TYM SENSIE. NIGDY SIĘ NIE „bawiłam”.

COŚ W JEJ GŁOSIE - GORYCZ, GŁĘBOKI ŻAL - BARDZO MNIE PORUSZYŁO. SZEPIŃAŁEM RACZEJ NIEMĄDRZE, ale szczerze:

- Przykro mi.

Uśmiechnęła się.

- Ależ to nie ma znaczenia. Proszę się nie przejmować. Mówmy o czym innym.

Natychmiast jej posłuchałem.

- PROSZĘ MI COŚ OPOWIEDZIEĆ O MIESZKAŃCACH STYLES. PRZYNAJMNIEJ O TYCH, KTÓRYCH PANI DOBRZE zna.

- LUTTRELLÓW ZNAM OD URODZENIA. WŁAŚCIWIE TO SMUTNE, ŻE NA TO IM PRZYSZŁO - ZWŁASZCZA JE CHODZI O NIEGO. JEST DOPRAWDY POCZCIWY. A ONA TEŻ W GRUNCIE RZECZY MILSZA, NIŻ SIĘ WYDAJE. TO PRZEZ

KONIECZNOŚĆ SKĄPIENIA SOBIE I CIUŁANIA PRZEZ CAŁE ŻYCIE STAŁA SIĘ, NO, JAK BY TO POWIEDZIEĆ - DRAPIEŻNA. TAKA CIĄGŁA GONITWA ZA ZYSKIEM W KOŃCU ROBI SWOJE. NAPRAWDĘ NIE LUBIĘ W NIEJ TEJ NIBY SERDECZNOŚCI.

- A pan Norton? Też go pani zna?

- NIEZBYT DOBRZE. JEST BARDZO MIŁY, RACZEJ NIEŚMIAŁY. MOŻE NIE BARDZO MĄDRY. ZAWSZE BYŁ DOŚĆ WĄTŁY. MIESZKAŁ ZE SWOJĄ MATKĄ, ZRZĘDNĄ, GŁUPIĄ KOBIECĄ. WODZIŁA GO NA PASKU, JESTEM PEWNA UMARŁA PRZED KILKU LATY. UWIELBIA PTAKI, KWIATY I W OGÓLE PRZYRODĘ. JEST DOBRY I NALEŻY DO LUDZI którzy widzą mnóstwo rzeczy.

- Przez tę swoją lornetę?

Panna Cole uśmiechnęła się.

- MOŻE NIE TAK DOSŁOWNIE. PO PROSTU JEST SPOSTRZEGAWCZY. TACY SPOKOJNI LUDZIE BYWAJĄ DOBRZYMI OBSERWATORAMI. JEST ŻYCZLIWY I DELIKATNY JAK NA MEŹCZYZNĘ, ALE RACZEJ NIEUDOLNY. ROZUMIE pan?

- Rozumiem.

W głosie Elizabeth Cole znów zabrzmiała nuta goryczki.

- TO JEST PRZYGNĘBIAJĄCA STRONA TAKICH PENSJONATÓW, PROWADZONYCH PRZEZ PODUPADŁYCH LUDZI Z TOWARZYSTWA. ZAWSZE W NICH PEŁNO LUDZI PRZEGRANYCH, KTÓRZY NICZEGO NIE OSIĄGNĘLI I NIGDY NI OSIĄGNĄ... Których życie pokonało albo złamało, starych, znużonych i skończonych.

ZMILKŁA. OGARNAŁ MNIE DOTKLIWY SMUTEK. JAKIE TO PRAWDZIWE! JESTEŚMY TU WSZYSCY JAKBY SPŁOWIALI. SZARE WŁOSY, SZARE SERCA, SZARE SNY. JA - PRZYBITY I SAMOTNY, TA KOBIECĄ KOŁO MNIE - GORZKA ROZCZAROWANA. DOKTOR FRANKLIN, PEŁEN ZAPAŁU, AMBITNY, KTÓREGO PLANY KRZYŻUJE I UDAREMNIA CHRONICZNA CHOROBA ŻONY. CICHY, MAŁY NORTON, KTÓRY KULEJĄC UGANIA SIĘ ZA PTAKAMI. NAWET POIRC niegdyś tak olśniewający, teraz stary i niedołężny.

JAKŻE INACZEJ BYŁO TU ONGIŚ, KIEDY PO RAZ PIERWSZY PRZYJECHAŁEM DO STYLES. NIE MOGŁEM ZNIEŚĆ tej myśli, stłumiony okrzyk bólu i żalu wyrwał mi się z ust.

Moja towarzyszka zaniepokoiła się.

- Czy coś panu dolega?

- NIE, NIC. PO PROSTU UDERZYŁ MNIE KONTRAST. BYŁEM TU, WIE PANI, WIELE LAT TEMU JAK młodziwiec. Myślałem o różnicy między przeszłością a terażniejszością.

- Rozumiem. Wtedy ten dom był wesoły. Wszyscy tu byli szczęśliwi?

CZASEM MYŚLI PRZESUWAJĄ SIĘ JAK W KALEJDOSKOPIE. TERAZ MI SIĘ TO PRZYTRAFIŁO. PRZEŻYCIA I WSPOMNIENIA, KTÓRE NAKŁADAJĄ SIĘ NA SIEBIE, GROMADZĄ, ZNÓW SIĘ ROZPRASZAJĄ. WRESZCIE MOZAIKA

UŁOŻYŁA SIĘ W PRAWIDŁOWY WZÓR. MÓJ ŻAL DOTYCZYŁ PRZESZŁOŚCI JAKO TAKIEJ, A NIE TEGO, CO SIĘ WTEŁ NAPRAWDĘ DZIAŁO. GDYŻ NAWET W OWYCH DAWNO MINIONYCH CZASACH NIE BYŁO W STYLES SZCZĘŚCIA. BEZNAMIĘTNIE ROZPAMIĘTYWAŁEM OBIEKTYWNE FAKTY. MÓJ PRZYJACIEL JOHN I JEGO ŻONA, OBOJE PRZYBICI I ROZDRAŻNIENI ŻYCIEM, JAKIE MUSIELI WIEŚĆ, LAURENCE CAVENDISH POGRAŻONY W MELANCHOLII. CYNTHIA, KTÓREJ DZIEWCZĘCĄ ŻYWOŚĆ TLUMIŁA ZALEŻNA POZYCJA, INGLETHORP, KTÓRY DLA PIENIĘDZY POŚLUBIŁ BOGA KOBIECĘ. NIE, NIKT Z NICH NIE BYŁ SZCZĘŚLIWY. I TERAZ ZNOWU NIKT TUTAJ NIE JEST SZCZĘŚLIWY. W STYLES mieszka ją wybrańcy losu.

Powiedziałem to pannie Cole.

- ULEGŁEM FAŁSZYWYM SENTYMENTOM. TO NIGDY NIE BYŁ RADOSNY DOM. I NADAL NIE JEST. WSZYSTCY czymś się trapią...

- Wcale nie. Pańska córka...

- Judith też nie jest szczęśliwa.

Nagle uświadomiłem to sobie ponad wszelką wątpliwość. Nie, Judith nie czuje się szczęśliwa.

- TYLKO BOYD CARRINGTON - ZAWAHAŁEM SIĘ. - SKARŻYŁ MI SIĘ KIEDYŚ NA SAMOTNOŚĆ... ALE Z DRUGIEJ strony myślę, że bardzo go to wszystko cieszy - nowa posiadłość, urządzenie domu i w ogóle...

- I JA TAK PRZYPUSZCZAM, ALE PRZECIEŻ SIR WILLIAM TO CO INNEGO. ON NIE JEST JEDNYM Z NAS PRZYCHODZI Z ZEWNĄTRZ, ZE ŚWIATA SUKCESU I WOLNOŚCI. POWIODŁO MU SIĘ W ŻYCIU I WIE O TYM. ON NIE należy do przetrąconych.

Wybrała raczej szczególne słowo. Spojrzałem na nią pytająco.

- Czy może mi pani wytłumaczyć, dlaczego użyła pani tego właśnie określenia?

- PONIEWAŻ - ZAWOŁAŁA PORYWCZO - TO JEST PRAWDA! W KAŻDYM RAZIE PRAWDA O MNIE. JA JESTEM przetrącona.

- Domyślam się - powiedziałem łagodnie - że dużo pani przeszła w życiu.

Odrzekła cicho:

- Pan nie wie, kim ja jestem, prawda?

- Hm... znam pani nazwisko...

- Cole to nie jest moje nazwisko... to nazwisko mojej matki. Przybrałam je potem.

- Potem?

- Naprawdę nazywani się Litchfield.

Zabrzmiało to znajomo, ale początkowo nie wiedziałem, dlaczego. Potem dopiero skojarzyłem.

- Matthew Litchfield?

Skinęła głową.

- WIDZĘ, ŻE ZNA PAN TĘ SPRAWĘ. WŁAŚNIE TO MIAŁAM PRZEDTEM NA MYŚLI. MÓJ OJCIEC BYŁ KALEKĄ I TYRANEM. NIE POZWALAŁ NAM NA NORMALNE ŻYCIE. NIE WOLNO NAM BYŁO ZAPRASZAĆ PRZYJACIÓŁ DO DOMU. SKĄPIŁ NAM PIENIĘDZY. BYŁYŚMY... W WIĘZIENIU. - JEJ PIĘKNE OCZY ROZSZERZYŁY SIĘ JAKBY I POCIEMNIAŁY.
- I moja siostra... Moja siostra...

- PROSZĘ, NIECH PANI JUŻ NIC NIE MÓWI. TO ZBYT BOLESNE. WIEM WSZYSTKO. NIE TRZEBA MI NIC tłumaczyć.

- ALE PAN NIE WIE. NIE MOŻE PAN. MAGGIE. TO NIE DO POJĘCIA, NIE DO WIARY. WIEM, ŻE POSZŁA NA POLICJĘ, ŻE ODDAŁA SIĘ W JEJ RĘCE, ŻE SIĘ PRZYZNAŁA. LECZ CZASEM PO PROSTU W TO NIE WIERZĘ. CZUJĘ, ŻE to nieprawda, że to się nie zdarzyło, nie mogło się zdarzyć tak jak ona twierdziła.

- Uważa pani - zająknąłem się - że było inaczej?...

Przerwała mi gwałtownie:

- NIE, NIE O TO CHODZI. CHODZI O SAMĄ MAGGIE. TO DO NIEJ NIE PASUJE. TO NIE BYŁA... TO NIE BYŁA Maggie!

SŁOWA DRŻAŁY MI JUŻ NA USTACH, ALE SIĘ POWSTRZYMAŁEM. JESZCZE NIE NADESZŁA PORA, KIEDY BĘDĘ mógł ją zapewnić: „Ma pani rację, to nie była Maggie...”.

ROZDZIAŁ IX

DOCHODZIŁA CHYBA SZÓSTA, KIEDY NA ŚCIEŻCE UKAZAŁ SIĘ PUŁKOWNIK LUTTRELL. MIAŁ ZE SOBĄ STRZELIĆ I NIÓSŁ PARĘ MARTWYCH DZIKICH GOŁĘBI.

Drgnął, kiedy go pozdrowiłem, i był jakby zaskoczony naszym widokiem.

- SKĄD SIĘ TU WZIĘLIŚCIE? TA RUDERA NIE JEST ZUPEŁNIE BEZPIECZNA. WALI SIĘ JUŻ. MOGŁA WAM RUNĄĆ NA GŁOWY. Elizabeth, cała się ubrudzisz.

- NIE BÓJ SIĘ. KAPITAN HASTINGS POŚWIĘCIŁ CHUSTECZKĘ DO NOSA DLA TAK WAŻNEJ SPRAWY, JAK ZACHOWANIE W CZYSTOŚCI MOJEJ SUKNI.

Pułkownik bąknął niezbyt przytomnie:

- Doprawdy? No to w porządku.

STAŁ, SKUBIĄC GÓRNĄ WARGĘ, I OBOJE PODNIEŚLIŚMY SIĘ Z ŁAWKI. WYDAWAŁ SIĘ TEGO WIECZORU BŁĄDZIĆ DALEKO MYŚLAMI. Ocknął się, żeby oznajmić:

- Dobrałem się do tych cholernych gołębi. Straszne szkodniki...

- Podobno wyśmieniony strzelec z pana?

- ECH! KTO TO PANU POWIEDZIAŁ? A, BOYD CARRINGTON KIEDYŚ BYŁEM, NIE PRZECZĘ. TERAZ TROCHĘ ZARDZEWIAŁEM. Wiek robi swoje.

- Wzrok się popsuł? - podsunąłem.

Zaprzeczył stanowczo.

-BZDURA. WZROK MAM TAK SAMO DOBRY JAK DAWNIEJ. TO ZNACZY, CZYTAM OCZYWIŚCIE W OKULARACH. ALE Z DALEKA WIDZĘ JAK NALEŻY. - PO CHWILI POWTÓRZYŁ: - TAK, WŁAŚNIE JAK NALEŻY. CO PRAWDA, WSZYSTKO JEDNO... - Coś tam jeszcze mamrotał w roztargnieniu.

Panna Cole rozejrzała się dookoła.

- Piękny wieczór dzisiaj.

WIECZÓR BYŁ NAPRAWDĘ PIĘKNY. SŁOŃCE CHYLIŁO SIĘ KU ZACHODOWI I POWIETRZE, NASYCONY ZŁOTEM, POŁYSKLIWĄ POŚWIATĄ PODKREŚLAŁO CIEMNE KONTURY ZIELONYCH DRZEW. CICHY I SPOKOJNY, TYPOWY ANGIELSKI WIECZÓR, JAKI LUDZIE WSPOMINAJĄ W DALEKICH, EGZOTYCZNYCH KRAJACH. POWIEDZIAŁEM TO GŁOŚNO.

Pułkownik Luttrell potwierdził z przejęciem.

- TAK, TAK, MNIE TEŻ SIĘ TO ZDARZAŁO. NAWET CZĘSTO. W INDIACH MYŚLI SIĘ O TAKICH WIECZORACH. PRZEZ TO CZŁOWIEK NIE MOŻE DOCZekać SIĘ EMERYTURY I MARZY, ŻEBY OSIĄĆ TU NA STAŁE...

Kiwnąłem głową. Luttrell mówił dalej zduszonym głosem:

- TAK, WRÓCIĆ DO DOMU, ŻYĆ W STARYM KRAJU. NIC NIE WYGLĄDA TAK, JAK SOBIE Z GÓRY WYOBRAŻASZ. NIC A NIC...

POMYŚLAŁEM, ŻE W JEGO WYPADKU BYŁO TO SZCZEGÓLNIIE PRAWDZIWE. NA PEWNO NIE SĄDZIŁ, ŻE BĘDZIE PROWADZIŁ PENSJONAT I W TEN SPOSÓB ZARABIAŁ NA ŻYCIE, DRĘCZONY PRZEZ GDERLIWĄ ŻONĘ, KTÓRA STAŁE NA NIEGO WARCZY I NARZEKA.

POSZLIŚMY WOLNO W STRONĘ DOMU. NORTON I CARRINGTON SIEDZIELI NA TARASIE, PUŁKOWNIK I PRZYŁĄCZYLIŚMY SIĘ DO NICH, PANNA COLE WESZŁA DO ŚRODKA.

GAWĘDZILIŚMY PRZEZ PARĘ MINUT. PUŁKOWNIK LUTTRELL JAKBY SIĘ TROCHĘ ROZPOGODZIŁ. KILKA RAZ ZAŻARTOWAŁ I WYDAWAŁ SIĘ WESELSZY I BARDZIEJ PRZYTOMNY NIŻ ZWYKLE.

- Spragniony jestem po tym upale - powiedział Norton.

- Napijmy się panowie. Na koszt gospodarza! - Pułkownik rozochocił się wyraźnie.

Podziękowaliśmy z góry. Luttrell pośpieszył do domu.

Siedzieliśmy w części tarasu przytykającej do jadalni, której okno było uchylone.

SŁYSZELIŚMY, JAK PUŁKOWNIK OTWIERA KREDENS, SKRZYP KORKOCIĄGU I STŁUMIONY ODGŁOS WYCIĄGANEGO Z BUTELKI KORKA.

A potem dobiegł nas ostry i wysoki, nieoficjalny głos pani pułkownikowej:

- Co tu robisz, George?

PUŁKOWNIK MÓWIŁ SZEPTEM, Z KTÓREGO ROZRÓZNIĆ MOŻNA BYŁO TYLKO POJEDYNCZE SŁOWA: „, panowie tam na tarasie... napić się...”.

Przenikliwy, irytujący głos wybuchnął z oburzeniem:

- MOWY NIE MA, GEORGE. TEŻ POMYŚL! ŁADNIE SIĘ DOROBIMY NA TYM PENSJONACIE, JEŚLI BĘDZIESZ KAŻDEMU STAWIAŁ! TUTAJ ZA PICIE SIĘ PŁACI. JEŚLI TY NIE MASZ GŁOWY DO INTERESÓW, TO JA MAM. A JAKŻE, JUTRO BYŚ ZBANKRUTOWAŁ, GDYBY NIE JA! MUSZĘ CIĘ PILNOWAĆ, JAKBYŚ BYŁ MAŁYM DZIECKIEM. TAK, WŁAŚNIE DZIECKIEM! NIE MASZ ANI ŻDZBŁA ROZUMU. ODDAJ MI TĘ BUTELKĘ. DAJ MI JĄ, MÓWIĘ.

Znowu dotarł do nas cichy, ale pełen rozpaczy protest. Pani Luttrell syknęła jadowicie:

- NIC MNIE NIE OBCHODZI, CO ONI POMYŚLĄ. TA BUTELKA WRACA DO KREDENSU, A KREDENS ZAMYKAM. I DOŚĆ GADANIA. - Rozległ się zgrzyt przekręcane go klucza. - Teraz dobrze. I tak odtąd będzie.

Tym razem słowa pułkownika brzmiały wyraźniej:

- Za daleko się posuwasz, Daisy. Nie zniosę tego.

- TY TEGO NIE ZNIESIESZ? A KIM TY JESTEŚ, CHCIAŁABYM WIEDZIEĆ? KTO PROWADZI TEN DOM? JA. NIE zapominaj o tym.

Szelest kotary świadczył, że pani Luttrell wyszła z pokoju.

UPLYNEŁO PARĘ CHWIL, NIM PUŁKOWNIK DO NAS WRÓCIŁ. WYDAWAŁO MI SIĘ, ŻE PRZEZ TEN KRÓTKI CZAS postarzał się i zgarbił.

WSZYSCY BEZ WYJĄTKU WSPÓLCZULIŚMY MU Z GŁĘBI SERCA I KAŻDY Z NAS CHĘTNIE ZAMORDOWAŁBY panią Luttrell.

- OGROMNIE MI PRZYKRO, CHŁOPCY - POWIEDZIAŁ SZTUCZNYM, DREWNIANYM GŁOSEM. - ZABRAKŁO MI whisky.

MUSIAŁ ZDAWAĆ SOBIE SPRAWĘ, ŻE PODSLUCHIWALIŚMY Z KONIECZNOŚCI. ZRESZTĄ, GDYBY SIĘ NIE ZORIENTOWAŁ, NATYCHMIAST POZNAŁBY TO PO NASZYM ZACHOWANIU. BYLIŚMY WSZYSCY STRASZNIE ZAKŁOPOTAŃ I NORTON CAŁKIEM STRACIŁ GŁOWĘ, NAJPIERW MÓWIĄC, ŻE WŁAŚCIWIE NIE MIAŁ OCHOTY SIĘ NAPIĆ, BO ZARAZ PRZECIEŻ BĘDZIE KOLACJA, A POTEM W KUNSZTOWNY SPOSÓB ZMIENIAJĄC TEMAT I ROBIĄC SZEREG CAŁKIEM ZE SOBĄ NIE ZWIĄZANYCH UWAG. BYŁ TO RZECZYWIŚCIE PRZYKRY MOMENT. JA CZUŁEM SIĘ JAK SPARALIŻOWANY, A BOYD CARRINGTON, JEDYNY SPOŚRÓD NAS, KTÓRY ZDOŁAŁBY PRZYPUSZCZALNIE JAKOŚ TO NAPRAWIĆ, NIE MÓGŁ przedrzeć się przez paplaninę Nortona.

KĄTEM OKA ZOBACZYŁEM NA JEDNEJ ZE ŚCIEŻEK PANIĄ LUTTRELL IDĄCĄ DUMNYM KROKIEM KU TRAWNIKOWI W RĘKAWICACH OGRODNICZYCH I Z WYPIELACZEM MLECZY W DŁONI. BYŁA TO NA PEWNO ZARADNA KOBIETA, ALE AKURAT W TEJ CHWILI BYNAJMNIEJ NIE BUDZIŁA WE MNIE SYMPATII. ŻADEN CZŁOWIEK NIE MA PRAWA PONIŻAĆ DRUGIEGO CZŁOWIEKA. NORTON CIĄGŁE JESZCZE ROZPRAWIAŁ GORĄCZKOWO. PODNIÓSŁ GOŁĘBIŁ I OPOWIEDZIAŁ NAM NAJPIERW, JAK WYŚMIIEWANO SIĘ Z NIEGO W SZKOLE PODSTAWOWEJ, BO ZWYMIOTOWAŁ NA WIDOK ZABITEGO KRÓLIKA, PO CZYM PRZERZUCIŁ SIĘ NA SZKOCKIE KUROPATWY, WYGŁASZAJĄC DŁUGĄ I RACZEJ POZBAWIONĄ POINTY HISTORIĘ O TYM, JAK KIEDYŚ W SZKOCJI ZABITO PRZYPADKIEM NAGANIACZA. Rozmawialiśmy o różnych znanych nam wypadkach na polowaniach. Boyd Carrington odchrząknął.

- OPOWIEM WAM DOŚĆ ZABAWNĄ PRZYGODĘ. MIAŁEM ORDYNANSA IRLANDCZYKA. POJECHAŁ NA URLOP DO IRLANDII. KIEDY WRÓCIŁ, SPYTAŁEM GO, CZY PRZYJEMNIE SPĘDZIŁ WAKACJE. „O, PEWNIKIEM, EKSCELENCJO. TAKICH FAJNYCH WAKACJI W ŻYCIU NIE MIAŁEM”. „CIESZĘ SIĘ” - POWIEDZIAŁEM, TROCHĘ ZDZIWIONY TYM WYBUCEM ENTUZJAZMU. „TAK, TAK, TO BYŁY FAJNE WAKACJE! ZASTRZELIŁEM BRATA”. „ZASTRZELIŁEŚ BRATA?” WYKRZYKNAŁEM. „A JAKŻE! OD LAT CHCIAŁEM TO ZROBIĆ. I NARAZ SIEDZĘ SOBIE NA DACHU W DUBLINIE, PATRZĘ, A TU KTO NADCHODZI, JAK NIE MÓJ BRAT. NO, A JA MAM STRZELBĘ W RĘKU. JA TAM SIĘ NIE CHWAŁĘ, ALE DOBRY był to strzał! Trafiłem go czyściutko jak ptaka. To był wspaniały moment i nigdy go nie zapomnę”.

Boyd Carrington opowiedział swą anegdotę dobrze, z dramatyczną emfazą. Pobudził nas do śmiechu i wszyscy poczuliśmy się swobodniej. Kiedy odszedł, mówiąc, że ledwie zdąży się wykapać przed kolacją, Norton wyraził nasze uczucia, wołając z zapałem:

- Jaki to wspaniały człowiek!

Zgodziłem się z nim i Luttrell dodał:

- Tak, tak, porządny z niego chłop.

- ZAWSZE I WSZĘDZIE ODNOSI SUKCESY - CIĄGNAŁ NORTON. - O ILE WIEM, WSZYSTKO, DO CZEGO przyłożył rękę, z miejsca mu się udawało. Ma otwartą głowę, wie, czego chce... To przede wszystkim człowiek czynu. Prawdziwy szczęściarz.

- SĄ TACY LUDZIE. - LUTTRELL MÓWIŁ BARDZO WOLNO. - UDAJE IM SIĘ WSZYSTKO, CZEGO DOTKNĄ. N mogą zbłądzić. Niektórzy... mają szczęście.

Norton zaprzeczył energicznie.

- Nie, pułkowniku. TO WCALE NIE KWESTIA SZCZĘŚCIA - ZACYTOWAŁ Z PRZEJĘCIEM: - „NIE W NASZYCH gwiazdach, drogi Brutusie, ale w nas samych”.

- Może i racja.

Wtrąciłem się do rozmowy:

- W KAŻDYM RAZIE MIAŁ SZCZĘŚCIE, DZIEDZICZĄC KNATTON. CO ZA POSIADŁOŚĆ! ALE POWINIEN SIĘ koniecznie ożenić. Bez żony będzie się tam czuł samotnie.

Norton roześmiał się.

- Ożenić się i ustatkować? A jeśli żona będzie go wodzić za nos...

BYŁ TO ZWYKŁY PECH. ŻARCIK, JAKI KAŻDY MÓGŁ RZUCIĆ, LECZ WYJĄTKOWO NIEFORTUNNY W TY OKOLICZNOŚCIACH, I NORTON UŚWIADOMIŁ TO SOBIE, JESZCZE ZANIM PRZEBRZMIAŁY JEGO SŁOWA. PRÓBOWAŁ JE cofnąć, zawahał się, zająknął i przerwał, zakłopotany. Pogorszyło to jeszcze sytuację.

OBAJ, I ON, I JA, ZACZĘLIŚMY MÓWIĆ JEDNOCZEŚNIE. JA ZROBIŁEM JAKĄS IDIOTYCZNĄ UWAGĘ O ogrodzie w świetle zachodzącego słońca. Norton bąkał coś o brydżu po kolacji.

Pułkownik Luttrell wcale nas nie słuchał. Odezwał się dziwnym, pozbawionym wyrazu głosem:

- NIE, ŻONA BOYDA CARRINGTONA NIE BĘDZIE GO WODZIĆ ZA NOS. TACY LUDZIE NIE POZWALAJĄ SOBĄ komenderować. On jest jak należy, on jest mężczyzną.

BYŁO TO NIESŁYCHANIE ŻENUJĄCE. NORTON ZNOWU ZACZAŁ MAMROTAĆ COŚ O BRYDŻU. NAGLE DUŻY DZI gołąb zatrzepotał nad naszymi głowami i usiadł na pobliskim drzewie.

Pułkownik podniósł strzelbę.

- Znowu ten szkodnik!

ZANIM ZDAŻYŁ WYCELOWAĆ, PTAK ODFRUNAŁ W STRONĘ GĘSZYCH DRZEW, GDZIE NIE MOŻNA BYŁ DOSIĘGNĄĆ GO STRZAŁEM.

W tej samej chwili uwagę pułkownika zwrócił jakiś ruch dalej na zboczu.

- DO DIABŁA, TE PRZEKŁĘTE KRÓLIKI OBGRYZAJĄ KORĘ MŁODYCH DRZEWEK! MÓWIŁEM, ŻE TRZEBA T OGRODZIĆ!

Zobaczyłem, jak podnosi strzelbę do oka. Padł strzał.

ROZLEGŁ SIĘ PRZENIKLIWY KRZYK KOBIECY I PRZESZEDŁ W PRZECIĄGLY JĘK. BROŃ WYPADŁA Z RĘKI PUŁKOWNIKA, ZAPADŁ SIĘ W SOBIE, CHWYCIŁ PALCAMI WARGĘ...

- Mój Boże... To Daisy...

BIEGŁEM JUŻ PRZEZ TRAWNIK, NORTON ZA MNĄ. TO BYŁA PANI LUTTRELL. NA KOLANACH PRZYWIĄZYWAŁ PODPÓRKĘ DO DRZEWA OWOCOWEGO. TRAWA TU ROSŁA WYSOKO I ZROZUMIAŁEM, DLACZEGO PUŁKOWNIK NIE WIDZIAŁ JEJ WYRAŹNIE I ZOBACZYŁ TYLKO, ŻE COŚ SIĘ RUSZA. ŚWIATŁO TEŻ BYŁO MYLĄCE. KULA DRASNEŁA RAMIĘ I Z RANY TRYSKAŁA KREW.

NACHYLIŁEM SIĘ, ŻEBY OBEJRZEĆ RANĘ Z BLISKA, I ZWRÓCIŁEM SIĘ DO NORTONA. STAŁ OPARTY O DRZEWO Z TWARZĄ ZIELONKAWĄ, JAKBY MIAŁ ZAMIAR ZARAZ ZWYMİOTOWAĆ. POWIEDZIAŁ PRZEPRASZAJĄCO:

- Nie znoszę widoku krwi.

- Niech pan natychmiast ściągnie Franklina. Albo siostrę.

Skinął głową i ruszył pędem.

SIOSTRA CRAVEN PIERWSZA POJAWIŁA SIĘ NA SCENIE. ZNALAZŁA SIĘ TU W NIEWIARYGODNIE KRÓTKIM CZASIE I NIE ZWLEKAJĄC, PRZYSTĄPIŁA FACHOWO DO TAMOWANIA KRWI. W CHWILĘ POTEM PRZYBIEGŁ DOKTOR FRANKLIN. RAZEM ZANIEŚLI JĄ DO DOMU I POŁOŻYLI DO ŁÓŻKA. FRANKLIN OPATRZYŁ I ZABANDAŻOWAŁ RANĘ, P CZYM ZADZWONIŁ PO DOMOWEGO LEKARZA PANI LUTTRELL, ZOSTAWIWSZY JĄ NA RAZIE POD OPIEKĄ SIOSTRY Craven.

Zastałem doktora jeszcze przy telefonie.

- Jak ona się miewa?

- Wygrzebie się z tego. Na szczęście kula nie uszkodziła żadnego organu. Jak to się stało?

Opowiedziałem mu.

- ROZUMIEM. GDZIE JEST STARY? NIE ZDZIWIŁBYM SIĘ, GDYBY SIĘ ZAŁAMAŁ. CHYBA BARDZIEJ potrzebuje pomocy niż ona. Dałbym głowę, że jego serce nie jest w najlepszym stanie.

ZNALEŻLIŚMY PUŁKOWNIKA LUTTRELLA W PALARNI. WARGI MU POSINIAŁY I WYGLĄDAŁ JAK OGŁUSZONY.

Wyjąkał z trudem:

- Daisy? Czy ona... Jak się czuje?

Franklin szybko go uspokoił.

- Wyjdzie z tego, pułkowniku. Niech się pan nie martwi.

- MYŚLAŁEM... KRÓLIK... OBGRYZA KORĘ... NIE WIEM, JAK MOGŁEM TAK SIĘ POMYLIĆ. STAŁEM POD ŚWIATŁO. Byłem oślepiiony.

- TO SIĘ ZDARZA - POWIEDZIAŁ SUCHO FRANKLIN. - ZNAM TAKIE PRZYPADKI. PUŁKOWNIKU, NIECH PAN WYPJE COŚ NA WZMOCNIENIE. Nie wygląda pan najlepiej.

- Nic mi nie jest. Czy ja... czy mogę iść do niej?

- JESZCZE NIE TERAZ. JEST Z NIĄ SIOSTRA CRAVEN. ALE NIECH SIĘ PAN NIE PRZEJMUJE. BĘDZIE DOBRZE. Doktor Oliver zaraz przyjedzie i powtórzy panu to samo.

ZOSTAWIŁEM ICH I WYSZEDŁEM ODETCNAĆ WIECZORNYM POWIETRZEM. ŚCIEŻKĄ ZBLIŻALI SIĘ JUDITH I Allerton. Major nachylał ku niej głowę i oboje śmiali się głośno.

NA TEN WIDOK, TUŻ PO TAK DRAMATYCZNYM WYDARZENIU, PORUSZYŁA SIĘ WE MNIE ŻÓŁĆ. ZAWOŁAŁEM ostro Judith, która zdziwiona podniosła wzrok. W paru słowach opowiedziałem jej, co się stało.

- Dziwaczna historia - skomentowała moja córka.

Wcale nie okazała przejęcia, jakiego się po niej spodziewałem.

Zachowanie Allertona wołało o pomstę do nieba. Całą sprawę traktował jak dobry dowcip.

- Dobrze tak tej babie z piekła rodem - oznajmił. - Staruszek zrobił to na pewno umyślnie?

- Ależ skąd! - odrzekłem szorstko. - To był przypadek.

- TAK, TAK, ZNAM TAKIE PRZYPADKI. DIABELNIE DOGODNE CZASAMI. SŁOWO DAJĘ, JEŚLI STARY STRZELIŁ DO niej z rozmysłem, pierwszy bym mu pogratulował.

- Nic podobnego tu nie zaszło - byłem już zły.

- NIECH PAN NIE BĘDZIE TAKI PEWNY. ZNAŁEM DWÓCH MĘŻCZYZN, KTÓRZY ZASTRZELILI SWOJE ŻONY. JEDEN CZYŚCIŁ REWOLWER. DRUGI BEZ ŻADNYCH CEREMONII STRZELIŁ DO NIEJ „DLA KAWAŁU”, JAK TWIERDZIŁ NIE WIEDZIAŁ JAKOBY, ŻE BROŃ JEST NAŁADOWANA. OBU SIĘ UPIEKŁO. NIENAJGORSZY SPOSÓB ODZYSKANIA wolności, nie uważa pan?

- Pułkownik Luttrell - oświadczyłem zimno - nie jest człowiekiem tego pokroju.

- ALE PRZYZNAJE PAN, ŻE TO BYŁOBY DLA NIEGO BŁOGOSŁAWIENSTWO? - OBSTAWAŁ PRZY SWOIM Allerton. - Przypadkiem nie pokłócili się przedtem czy coś w tym rodzaju?

ODWRÓCIŁ SIĘ WŚCIEKŁY, PRÓBUJĄC JEDNOCZEŚNIE UKRYĆ WZBURZENIE. PO RAZ PIERWSZY W MOIM umyśle zrodziły się wątpliwości.

NIE ROZPROSZYŁO ICH SPOTKANIE Z BOYDEM CARRINGTONEM. WRACAŁ ZNAD JEZIORA, GDZIE BYŁ spacerze. Kiedy opowiedziałem mu nowiny, zareagował natychmiast:

- Hastings, nie myśli pan chyba, że chciał ją zastrzelić?

- Ależ, człowieku!

- PRZEPRASZAM, CHYBA PŁO TĘ OD RZECZY. TO TYLKO W PIERWSZEJ CHWILI PRZYSZŁO MI NA MYŚL... DOŚĆ silnie go sprowokowała, wie pan przecież.

Zamilkliśmy, rozpamiętując podsluchaną mimo woli scenę.

POSZEDŁEM NA GÓRĘ PRZYBITY I ZATROSKANY, I ZAPUKAŁEM DO DRZWI POIROTA. SŁYSZAŁ JUŻ OD CURTIS O WYPADKU, ALE ŁAKNAŁ WSZYSTKICH SZCZEGÓŁÓW. OD PRZYJAZDU DO STYLES PRYZWYCZAŁEM SIĘ SKRUPULATNIE ZDAWAĆ MU SPRAWĘ Z MOICH CODZIENNYCH ROZMÓW I SPOTKAŃ. UWAŻAŁEM, ŻE DZIĘKI TEMU MÓJ PRZYJACIEL NIE BĘDZIE CZUŁ SIĘ ODCIĘTY OD ŚWIATA. DAWAŁO MU TO ZŁUDZENIE WSPÓŁUCZESTNICTWA WE WSZYSTKIM, CO TU SIĘ DZIAŁO. ZAWSZE MIAŁEM DOBRĄ I DOKŁADNĄ PAMIĘĆ I POWTÓRZENIE ROZMOWY SŁOWO W SŁOWO nie sprawiało mi trudności.

POIROT SŁUCHAŁ W SKUPIENIU. MIAŁEM NADZIEJĘ, ŻE WYŚMIEJE OKROPNE PODEJRZENIE, KTÓRE ZDAŻYŁO JUŻ OPANOWAĆ MÓJ ZNĘKANY UMYŚL, ALE ZANIM JESZCZE PODZIELIŁ SIĘ ZE MNĄ WNIOSKAMI, ROZLEGŁO SIĘ lekkie pukanie do drzwi.

Była to siostra Craven. Przeprosiła, że nam przeszkadza.

- STRASZNIE MI PRZYKRO, ALE MYŚLAŁAM, ŻE JEST TU MOŻE DOKTOR FRANKLIN. STARSZA PANI ODZYSKAŁA PRZYTOMNOŚĆ I MARTWI SIĘ O MEŻA. CHCE GO ZOBACZYĆ. NIE WIE PAN, GDZIE ON SIĘ PODZIEWA? Nie chciałabym zostawiać mojej pacjentki samej.

Podjąłem się go poszukać. Poirot mi przytaknął i siostra Craven serdecznie mi podziękowała.

ZNALAZŁEM PUŁKOWNIKA LUTTRELLA W MAŁYM POKOJU ŚNIADANIOWYM, KTÓREGO RZADKO UŻYWANO. STAŁ przy oknie i wyglądał na dwór.

KIEDY WSZEDŁEM, ODWRÓCIŁ SIĘ GWAŁTOWNIE. SPOJRZAŁ NA MNIE PYTAJĄCYM WZROKIEM. Pomyślałem, że sprawia wrażenie przestraszonego.

- Pańska żona jest już przytomna, pułkowniku, i chce pana zobaczyć.

- OCH... - KREW NAPŁYNYŁA MU DO POLICZKÓW I DOPIERO TERAZ UŚWIADOMIŁEM SOBIE, JAK BARDZO BYŁ PRZEDTEM BLADY. POWIEDZIAŁ NIESŁYCHANIE WOLNO, SZUKAJĄC NIEPORADNIE SŁÓW JAK STARY, ZUPEŁNIE

stary człowiek: - Ona... ona pyta o mnie? Idę... natychmiast... już... w tej chwili.

POCZŁAPAŁ DO DRZWI NA TAK CHWIEJNYCH NOGACH, ŻE MUSIAŁEM GO PODTRZYMAĆ. NA SCHODACH WSPIERAŁ SIĘ NA MNIE CIĘŻKO. ODDYCHAŁ Z TRUDEM. SZOK, ZGODNIE Z ZAPOWIEDZIĄ DOKTORA FRANKLINA, okazał się poważny.

ZAPUKAŁEM DO DRZWI POKOJU, W KTÓRYM LEŻAŁA, I ROZLEGŁ SIĘ JASNY, ENERGICZNY GŁOS SIOSTY Craven:

- Proszę.

CIĄGLE GO PODTRZYMUJĄC, WSZEDŁEM Z NIM DO ŚRODKA. WOKÓŁ ŁÓŻKA STAŁ PARAWAN. OBESZLIŚMY GO dookoła.

PANI LUTTRELL WYGLĄDAŁA NA CIĘŻKO CHORĄ - BLADA I KRUCHA, Z ZAMKNIĘTYMI OCZAMI. ODEZWAŁA SIĘ cieniutkim, zadyszonym głosem:

- George... George...

- Daisy, kochana moja...

JEDNĄ RĘKĘ, ZABANDAŻOWANĄ, MIAŁA NA TEMBLAKU. DRUGĄ, WOLNĄ, WYCIĄGNĘŁA DO NIEGO NIEPEWNIIE. Zrobił krok naprzód i zamknął w swej dłoni jej drobne, słabe palce. Powtórzył:

- Daisy. - A potem ochryple: - Dzięki Bogu, że żyjesz.

PATRZĄC NA NIEGO, KIEDY TAK STAŁ Z ZAŁZAWIONYMI OCZAMI, PEŁNYMI CZULEJ MIŁOŚCI I GŁĘBOKIEGO niepokojem, zawstydzilem się z powodu naszych koszmarnych pomysłów.

PO CICHU WYMKNAŁEM SIĘ Z POKOJU. UPOZOROWANY WYPADEK, RZECZYWIŚCIE! TAK SZCZEREGO akcentu wdzięczności nikt nie umiałby podrobić. Poczulem niezmierną ulgę.

NA KORYTARZU ZASKOCZYŁ MNIE DŹWIĘK GONGU. CAŁKIEM ZATRACIŁEM POCZUCIE CZASU. WYPADEK WSZYSTKO WYWRÓCIŁ DO GÓRY NOGAMI. TYLKO KUCHARKA, NA NIC NIE BACZĄC, PRZYGOTOWAŁA KOLACJĘ zwykłej porze.

PRAWIE NIKT Z NAS SIĘ NIE PRZEBIERAŁ, A PUŁKOWNIK LUTTRELL WCALE NIE ZSZEDŁ DO JADALNI. ALE PAN FRANKLIN, BARDZO POWABNA W BŁADORÓŻOWEJ WIECZOROWEJ SUKNI, BYŁA TYM RAZEM NA DOLE, WESOŁA I jakby zdrowsza. Franklin za to wydał mi się ponury i roztargniony.

ZDENERWOWAŁO MNIE, ŻE PO KOLACJI JUDITH I ALLERTON RAZEM WYSZLI DO OGRODU. PRZEZ CHWILĘ JESZCZE SIEDZIAŁEM PRZY STOLE, SŁUCHAJĄC, JAK FRANKLIN I NORTON DYSKUTUJĄ O CHOROBYCH TROPICALNY NORTON TO ŚWIETNY SŁUCHACZ, UWAŻNY I PEŁEN DOBRYCH CHĘCI, NAWET KIEDY NIE BARDZO ZNA SIĘ NA temacie.

PANI FRANKLIN I BOYD CARRINGTON ROZMAWIALI W DRUGIM KOŃCU POKOJU. OGLĄDALI JAKIEŚ PRÓBK materiałów na zasłony czy pokrowce.

ELIZABETH COLE CZYTAŁA KSIĄŻKĘ I WYDAWAŁA SIĘ ZATOPIONA W LEKTURZE. ODNIOSŁEM WRAŻENIE, ŻE CZUJE SIĘ PRZY MNIE NIESWOJO I JEST JAKBY ZMIESZANA. MOŻE BYŁA TO NATURALNA REAKCJA PO DZISIEJSZYCH ZWIERZENIACH. MIMO TO BYŁO MI Z TEGO POWODU PRZYKRO I MIAŁEM NADZIEJĘ, ŻE NIE ŻAŁUJE SWEJ SZCZEROŚCI. WOLAŁBYM JĄ UPEWNIĆ, ŻE USZANUJĘ JEJ WYZNANIA I NIKOMU ICH NIE POWTÓRZĘ, ALE NIE DAŁA MI OKAZJI.

PO PEWNYM CZASIE UDAŁEM SIĘ NA GÓRĘ DO POIROTA. ZASTAŁEM TAM PUŁKOWNIKA LUTTRELI siedzącego w kręgu światła, jakie rzucała jedyna zapalona lampka.

Pułkownik mówił bardziej do siebie niż do swego słuchacza:

- DOBRZE PAMIĘTAM... TAK, TO BYŁ BAL MYŚLIWSKI. MIAŁA NA SOBIE BIAŁĄ SUKNIĘ Z JAKIEGOŚ CHYBA TIULU. SPOWIJAŁ JĄ CAŁĄ. TAKA ŚLICZNA DZIEWCZYNA... Z MIEJSCA MI ZAWRÓCIŁA W GŁOWIE. POWIEDZIAŁEM SOBIE: „OŻENIĘ SIĘ Z NIĄ”. I UDAŁO MI SIĘ. MIAŁA WDZIEK, SZELMA, CZUPURNA BYŁA, ROZUMIE PAN, UMIAŁA SIĘ ODCIĄĆ. Nikomu nie zostawała dłużna, niech jej Bóg da zdrowie.

Odchrząknął.

WIDZIAŁEM TĘ SCENĘ OCZYMA DUSZY. NIETRUDNO BYŁO WYOBRAZIĆ SOBIE DAISY LUTTRELL Z MŁODĄ FILUTERNĄ BUZIĄ I Z TYM OSTRYM JĘZYKIEM - TAK CZARUJĄCĄ WÓWCZAS I TAK SZYBKO MAJĄCĄ PRZEOBRAZIĆ SIĘ W SEKUTNICĘ.

ALE DZISIEJSZEGO WIECZORU DLA SWEGO MĘŻA BYŁA ZNOWU TAMTĄ DZIEWCZYNĄ. JEJ PIERWSZĄ MIŁOŚCIĄ. Jego Daisy.

I znów zawstydziłem się naszych niedawnych podejrzeń.

Kiedy pułkownik wreszcie poszedł się położyć, wszystko to z siebie wyrzuciłem.

Poirot słuchał bardzo spokojnie. Wyraz jego twarzy nic mi nie mówił.

- Więc przyszło ci do głowy, Hastings, że strzał został oddany rozmyślnie?

- Tak. Teraz się tego wstydzę...

Poirot machnął ręką na moje wyrzuty sumienia.

- Czy sam wpadłeś na ten pomysł, czy ktoś ci go podsunął?

- ALLERTON POWIEDZIAŁ COŚ W TYM RODZAJU - ODRZEKŁEM NIECHĘTNIE. - PO NIM MOŻNA BYŁO SIĘ TEGO spodziewać.

- Jeszcze ktoś?

- Napomknął o tym Boyd Carrington.

- Ach, Boyd Carrington!

- A to jest ostatecznie człowiek bywały i doświadczony.

- Bez wątplenia. Ale on nie widział, jak to się stało?

- Nie, był na spacerze. Chciał rozprostować nogi, zanim przebierze się do kolacji.

- Rozumiem.

Ciągle jeszcze byłem skruszony.

- I chyba w to naprawdę nie wierzyłem. To było tylko...

Poirot przerwał mi:

- NIE KAJAJ SIĘ, HASTINGS. W TYCH OKOLICZNOŚCIACH U KAŻDEGO POWINNY SIĘ BYŁY ZRODZIĆ podejrzenia. To przecież zrozumiałe.

W ZACHOWANIU SIĘ POIROTA BYŁO COŚ NIEUCHWYTNEGO, CZEGO NIE MOGŁEM POJAĆ. JAKAŚ REZERWA. Obserwował mnie z osobliwym wyrazem twarzy.

Powiedziałem z namysłem:

- Może. Ale teraz, kiedy widzę, jak szczerze jest jej oddany...

- WŁAŚNIE. CZĘSTO TAK SIĘ ZDARZA, PAMIĘTAJ. CODZIENNE KLÓTNIE, NIEPOROZUMIENIA, WZAJEMNA wrogość, a w głębi trwa prawdziwe i wierne uczucie.

MIAŁ RACJĘ. PAMIĘTAŁEM ŁAGODNE I CZUŁE SPOJRZENIE MAŁEJ PANI LUTTRELL, KIEDY SPOGLĄDAŁA MĘŻA NACHYLAJĄCEGO SIĘ NAD JEJ ŁÓŻKIEM. ŻADNYCH KWASÓW, ŻADNEJ NIECIERPLIWOŚCI ANI ZŁYCH humorów.

Kładąc się spać myślałem o tym, jak skomplikowaną sprawą jest małżeństwo.

TRAPIŁEM SIĘ JESZCZE ZASTANAWIAJĄCYM ZACHOWANIEM POIROTA. TO DZIWNE, BADAWCZE spojrzenie... jakby czekał, że zrozumiem... co?

Leżałem już, kiedy przyszło na mnie olśnienie. Prawda biła w oczy.

GDYBY PANI LUTTRELL ZOSTAŁA ZABITA, BYŁABY TO SPRAWA IDENTYCZNA JAK TAMTE PIĘĆ SPRAW. NIKT NI WĄTPILBY, ŻE PUŁKOWNIK LUTTRELL ZABIŁ ŻONĘ. UZNANO BY TO ZA WYPADEK, ALE JEDNOCZEŚNIE NIKT NI MIAŁBY PEWNOŚCI, CZY BYŁ TO RZECZYWIŚCIE WYPADEK, CZY TEŻ PUŁKOWNIK STRZELIŁ UMYŚLNIE. ZBYT MAŁO dowodów, żeby go oskarżyć o morderstwo, ale dość, żeby go o nie podejrzewać.

Wobec tego... Wobec tego...

Wobec tego, jeśli rozumować logicznie, nie pułkownik zranił panią Luttrell, ale Iks.

A TO BYŁO ABSOLUTNIE NIEMOŻLIWE. MOŻE ZRESZTĄ NIE TAK CAŁKIEM NIEMOŻLIWE... PO PROSTU WYSOCE NIEPRAWDOPODOBNE. A JEDNAK MOŻLIWE... ZAŁÓŻMY, ŻE KTOŚ INNY WYCZEKIWAŁ NA STOSOWNY MOMENT I W TEJ SAMEJ CHWILI, KIEDY LUTTRELL WYMIERZYŁ DO KRÓLIKA, ÓW OSOBNIK STRZELIŁ DO PANI LUTTRELL. W WYPADKU SŁYCHAĆ BYŁO TYLKO JEDEN STRZAŁ. EWENTUALNĄ NIEWIELKĄ RÓŻNICĘ PRZYPISANO BY ECHU. TERAZ MYŚLĄC O TYM, NABRAŁEM PEWNOŚCI, ŻE BYŁO TAM ECHO.

ALE NIE. TO BZDURA. PRZECIEŻ MOŻNA USTALIĆ DOKŁADNIE, Z JAKIEJ BRONI WYSTRZELONO KULĘ. ZNAKI NA KULI MUSZĄ ODPOWIADAĆ SKRĘTOM GWINTU W LUFIE.

EKSPERTYZĘ JEDNAK PRZEPROWADZANO, TYLKO JEŚLI POLICJI ZALEŻAŁO NA STWIERDZENIU, Z JAKIEJ BRONI PADŁ STRZAŁ. W TYM WYPADKU NIE BYŁOBY DOCHODZENIA. PUŁKOWNIK LUTTRELL, TAK JAK ZRESZTĄ WSZYSCY BYŁBY PEWIEN, ŻE TO ON PONOSI WINĘ ZA FATALNY STRZAŁ. FAKT NIE PODLEGAŁBY DYSKUSJI I NIE BYŁOBY MOWY O ŻADNEJ EKSPERTYZIE. ZACHODZIŁABY TYLKO WĄTPLIWOŚĆ, CZY STRZAŁ ZOSTAŁ ODDANY PRZYPADKOWO, CZY ZAMIARZE ZBRODNICZYM - KWESTIA, KTÓREJ NIGDY BY NIE ROZSTRZYGNIĘTO. W TEN SPOSÓB POWTÓRZYŁABY SIĘ SYTUACJA Z TAMTYCH SPRAW - ROBOTNIKA RIGGSA, KTÓRY NIE PAMIĘTAŁ, ALE SĄDZIŁ, ŻE JEST WINNY; MAGGIE COLE, KTÓRA W PRZYSTĘPIE OBŁĘDU PRZYZNAŁA SIĘ DO ZBRODNI NIEPOPEŁNIONEJ.

TAK, TEN PRZYPADEK PASOWAŁ DO POZOSTAŁYCH I WIEDZIAŁEM JUŻ, DLACZEGO POIROT TAK SIĘ ZACHOWYWAŁ. CZEKAŁ, ŻEBYM SOBIE TO UŚWIADOMIŁ.

ROZDZIAŁ X

NAZAJUTRZ RANO WSZCZĄŁEM NA TEN TEMAT ROZMOWĘ Z POIROTEM. TWARZ MU SIĘ ROZJAŚNIŁA I POKIWAŁA Z UZNANIEM GŁOWĄ.

- ZNAKOMICIE, HASTINGS. CIEKAW BYŁEM, CZY DOSTRZEŻESZ PODOBIENSTWO. NIE CHCIAŁEM CI NIC SUGEROWAĆ, rozumiesz przecież.

- To znaczy, że mam rację? To jeszcze jedna sprawa Iksa?

- Niewątpliwie.

- Ale dlaczego, Poirot? Jaki tu może być motyw?

Poirot wzruszył ramionami.

- Nie wiesz? Nie masz żadnej koncepcji?

Odpowiedziałem powoli:

- Owszem, mam koncepcję.

- Domyślasz się, co łączy te wszystkie przypadki?

- Chyba tak.

- A więc?

Z trudem hamowałem niecierpliwość.

- Więc powiedz mi!

- Nie, Hastings.

- Ale muszę przecież wiedzieć!

- O wiele lepiej będzie, jeśli się nie dowiesz.

- Dlaczego?

- Uwierz mi, że tak jest.

- JESTEŚ NIEPOPRAWNY. POKRĘCONY PRZEZ ARTRETYZM. STARY I BEZSILNY. I CIĄGLE JESZCZE PRÓBUJESZ działać wyłącznie na własną rękę.

- ZAPEWNIAM CIĘ, ŻE WCALE NIE DZIAŁAM NA WŁASNĄ REKĘ. WRĘCZ PRZECIWNIE, TY, HASTINGS, BIERZESZ W TYM ŻYWY UDZIAŁ. ZASTĘPUJESZ MI OCZY I USZY. ODMAWIAM TYLKO UDZIELENIA CI INFORMACJI, która może się okazać niebezpieczna.

- Dla mnie?

- Jeśli zaalarmuje mordercę.

- BO NIE POWINIEN PODEJRZEWAC, ŻE JESTEŚ NA JEGO TROPIE? O TO CI CHODZI? CZY UWAŻASZ, ŻE NIE potrafię zachować ostrożności?

- W KOŃCU, HASTINGS, POWINIENES JUŻ TO WIEDZIEĆ. CZŁOWIEK, KTÓRY ZABIŁ RAZ, ZABIJE JESZCZE RAZ, i jeszcze raz, i jeszcze raz.

- CO PRAWDA, W TYM WYPADKU OBESZŁO SIĘ BEZ MORDERSTWA. PRZYNAJMNIEJ JEDNA KULA OMINĘŁA cel.

- Całe szczęście. Los był łaskaw. Mówiłem ci, jak trudno tu cokolwiek przewidzieć.

Westchnął. Jego twarz przybrała zatroskany wygląd.

ODSZEDŁEM PO CICHU, ZE SMUTKIEM ZDAJĄC SOBIE SPRAWĘ, JAK DALECE MÓJ PRZYJACIEL JEST TERAZ NIEZDOLNY DO DŁUGOTRWAŁYCH WYSIŁKÓW. MIAŁ CIĄGLE JESZCZE PRZENIKLIWY UMYSŁ, ALE BYŁ TO CHORY zmęczony starzec.

POIROT OSTRZEGL MNIĘ, ŻEBYM NIE PRÓBOWAŁ ODGADNAĆ, KIM JEST IKS. W GŁĘBI DUSZY BYŁEM PRZEKONANY, ŻE UDAŁO MI SIĘ ROZSZYFROWAĆ ZAGADKĘ. TYLKO JEDNA OSOBA W STYLES WYDAWAŁA MI SIĘ ZDECYDOWANIE ZŁA. ZA POMOCĄ PROSTEGO PYTANIA MOGŁEM JESZCZE COŚ SPRAWDZIĆ. TEST MIAŁ CHARAKTER negatywny, ale nie był pozbawiony wartości.

Zatrzymałem Judith po śniadaniu.

- Gdzie byłaś wczoraj wieczorem, zanim was spotkałem, ciebie i Allertona?

NAJGORSZE JEST, ŻE KIEDY KOGOŚ POCHŁANIA JEDNA STRONA ZAGADNIENIA, ZAPOMINA ZWYKLE O JEJ innych aspektach. Osłupiałem wprost, kiedy Judith wybuchnęła:

- Doprawdy, tato, nie rozumiem, co to ciebie obchodzi?

Stropiony wpatrywałem się w nią tępo.

- Ja... ja... tylko spytałem.

- TAK, ALE DLACZEGO? DLACZEGO MUSISZ BEZ PRZERWY ZADAWAĆ MI PYTANIA? CO ROBIŁAM? GDZIE byłam? Z kim poszłam? Przecież to jest nie do zniesienia!

WŁAŚCIWIE BYŁO TO ŚMIESZNE, BO PRZECIEŻ WCALE NIE CHODZIŁO MI O TO, CO ROBIŁA JUDITH.

Interesował mnie wyłącznie Allerton.

Próbowałem ją ułagodzić.

- Ależ, kochanie, nie rozumiem, dlaczego nie wolno mi całkiem zwyczajnie o coś cię zapytać.

- A ja nie rozumiem, po co chcesz to wiedzieć.

- NIE ZALEŻY MI NA TYM SPECJALNIE. ZDZIWIŁO MNIE TYLKO, ŻE ŻADNE Z WAS DWOJGA NIE WIEDZIAŁO, co się tutaj przydarzyło.

- MASZ NA MYŚLI TEN WYPADEK? SKORO JESTEŚ TAKI CIEKAWY, BYŁAM W WIOSCE PO ZN aczki pocztowe.

Użyła pierwszej osoby liczby pojedynczej.

- Allerton nie poszedł z tobą?

Judith nieomal zgrzytnęła zębami.

- NIE, NIE POSZEDŁ - POWIEDZIAŁA Z ZIMNĄ WŚCIEKŁOŚCIĄ. - JEŚLI CI O TO CHODZI, SPOTKALIŚMY SIĘ TUŻ KOŁO DOMU, ZALEDWIE DWIE MINUTY WCZEŚNIEJ, ZANIM TY NADSZEDŁEŚ. MAM NADZIEJĘ, ŻE JESTEŚ WRESZCIE ZADOWOLONY. ALE OŚWIADCZAM CI, ŻE GDYBYM SPĘDZIŁA CAŁY DZIEŃ SPACERUJĄC Z MAJOREM ALLERTONEM, TO I TAK NIE JEST TO TWOJA SPRAWA. MAM DWADZIEŚCIA JEDEN LAT, SAMA SIĘ UTRZYMUJĘ I MOGI SPĘDZAĆ CZAS, JAK MI SIĘ ŻYWNIE PODOBA.

- Niewątpliwie - wtrąciłem szybko, usiłując zażegnać burzę.

- MIŁO MI, ŻE SIĘ ZE MNĄ ZGADZASZ. - JUDITH WYDAWAŁA SIĘ NIECO UDOBRUCHANA. ZDOBYŁA SIĘ NA PÓLUŚMIECH. - TATO, NAJMILSZY, NIE UDAWAJ OJCA-TYRANA. NAWET NIE WIESZ, JAKIE TO IRYTUJĄCE. BŁAGAM, przestań mnie zamęczać!

- Już nie będę, naprawdę, przyrzekam.

W tym momencie nadszedł długimi krokami doktor Franklin.

- Dzień dobry, Judith. Idziemy. Jest później niż zwykle.

ODNOSIŁ SIĘ DO NIEJ SZORSTKO, PRAWIE NIEGRZECZNIE. WYWOŁAŁO TO WE MNIE MIMOWOLNY ODRUCH GNIEWU. WIEDZIAŁEM, ŻE FRANKLIN JEST SZEFEJEM JUDITH I ŻE PŁACĄC ZA JEJ CZAS, MA PRAWO WYDAWAĆ JEJ POLECENIA. NIE WIDZIAŁEM JEDNAK POWODU, DLA KTÓREGO NIE MÓGLBY JEJ TRAKTOWAĆ Z NORMALNĄ GRZECZNOŚCIĄ. NIE MIAŁ W OGÓLE ZBYT GŁADKICH MANIER, ALE OSTATECZNIE WOBEC WIĘKSZOŚCI LUDZI ZACHOWYWAŁ SIĘ PRZYNAJMNIEJ POPRAWNIE. WOBEC JUDITH ZAŚ, ZWŁASZCZA OSTATNIO, BYŁ OPRYSKLIWY I APODYKTYCZNY, ŻE BARDZIEJ NIE MOŻNA. MÓWIĄC DO NIEJ, PRAWIE NA NIĄ NIE PATrzyŁ I TYLKO WYRZUCAŁ Z SIEBIE ROZKAZY. JUDITH ZDAWAŁA SIĘ NIE MIEĆ MU TEGO WCALE ZA ZŁE, JA JEDNAK CZUŁEM SIĘ URAŻONY W JEJ IMIENIU. PRZEMKNEŁO MI TEŻ PRZEZ GŁOWĘ, ŻE JEST TO SZCZEGÓLNNIE NIEFORTUNNE PRZEZ ZNAMIENNY KONTRAST PRZESADNIE UGRZECZNIONYM ALLERTONEM. NIEWĄTPLIWIE JOHN FRANKLIN BYŁ DZIESIĘCIOKROTNNIE BARDZIE

WARTOŚCIOWYM CZŁOWIEKIEM NIŻ ALLERTON, ALE NIE MÓGŁ SIĘ Z NIM RÓWNAĆ, KIEDY CHODZIŁO O UROK osobisty.

PRZYGLĄDAŁEM SIĘ FRANKLINOWI, IDĄCEMU ŚCIEŻKĄ W STRONĘ LABORATORIUM. KANCIASTY MĘŻCZYZNA (NIEZBORNÝCH RUCHACH, Z TWARZĄ O WYSTAJĄCYCH KOŚCIACH POLICZKOWYCH, Z GRUZŁOWATĄ CZASZKĄ, RUDY PIEGOWATY. BYŁ BRZYDKI I NIEZGRABNY. OWSZEM, ŚWIETNY UMYŚŁ. ALE KOBIETY RZADKO POCIĄGA JEDYNIÉ UMYŚŁ. UPRZYTOMNIŁEM SOBIE Z PRZYKROŚCIĄ, ŻE JUDITH, PRACUJĄC W TAKICH WARUNKACH, PRAKTYCZNIE W OGÓLE NIE MA KONTAKTÓW Z INNYMI MĘŻCZYZNAMI. BRAK JEJ OKAZJI DO PORÓWNAŃ. OBOK SZORSTKIEGO I BRZYDKIEGO FRANKLINA ALLERTON ZE SWĄ TANIĄ GALANTERIĄ WYDAWAŁ SIĘ WRĘCZ OLSNIEWAJĄCY. MOJA BIEDN. córeczka nie miała możliwości osądzać go tak, jak na to zasługiwał.

A JEŻELI DOJDZIE DO TEGO, ŻE NA SERIO SIĘ W NIM ZAKOCHA? ROZDRAŻNIENIE, JAKIE PRZED CHWILĄ OKAZAŁA, BYŁO NIEPOKOJĄCYM SYGNAŁEM. A ALLERTON, WIEDZIAŁEM O TYM, JEST PRAWDZIWYM ŁAJDAKIEM. Może nawet gorzej. Bo jeśli Allerton jest Iksem...?

Mógł nim być. W momencie, kiedy padł strzał, nie był jeszcze z Judith.

ALE JAKI BYŁ MOTYW WSZYSTKICH TYCH POZORNIE BEZCELOWYCH ZBRODNI? BYŁEM PEWIEN, ŻE ALLERTON nie ma w sobie nic z wariata. Był zdrowy, całkiem zdrowy i całkiem wyzuty z zasad.

A Judith, moja Judith o wiele za często go widywała.

DO TEJ CHWILI, CHOCIAŻ MARTWIŁEM SIĘ TROCHĘ O SWOJĄ CÓRKĘ, UMYŚŁ MIAŁEM CAŁKOWICIE ZAPRZĄTNIĘTY IKSEM, I ZBRODNIĄ, KTÓRA MOGŁA WYDARZYĆ SIĘ LADA CHWILA, Z POWODZENIEM ODSUWAŁA ODE mnie bardziej osobiste problemy.

TERAZ, KIEDY CIOS PADŁ I PRÓBA MORDERSTWA NA SZCZĘŚCIE SIĘ NIE UDAŁA, MOGŁEM WRÓCIĆ DO SWOICH SPRAW. IM BARDZIEJ SIĘ W NIE ZAGŁĘBIAŁEM, TYM BARDZIEJ MNIE TO WYPROWADZAŁO Z RÓWNOWAGI. Przypadkowo zasłyszane zdanie ujawniło fakt, że Allerton jest żonaty.

BOYD CARRINGTON, KTÓRY WIEDZIAŁ WSZYSTKO O WSZYSTKICH, WYJAŚNIŁ MI WIĘCEJ. ŻONA ALLERTO BYŁA BARDZO POBOŻNĄ KATOLICZKĄ. OPUŚCIŁA GO WKRÓTCE PO ŚLUBIE. ALE Z POWODÓW RELIGIJNYCH NIGDY nie było mowy o rozwodzie.

- MOIM ZDANIEM - POWIEDZIAŁ SZCZERZE BOYD CARRINGTON - ODPOWIADA TO TEMU GAGATKOWI JAK NAJBARDZIEJ. JEJEGO ZAMIARY NIGDY NIE SĄ UCZCIWE I ŻONA W ODWODZIE JEST W TAKIM WYPADKU NADER wygodna.

Przyjemnie usłyszeć coś takiego, kiedy chodzi o własną córkę!

NASTĘPNE DNI PO POSTRZELENIU PANI LUTTRELL MIJAŁY BEZ ŻADNYCH WSTRZĄSÓW, JA JEDNAK CZUŁE coraz większe napięcie.

PULKOWNIK LUTTRELL SPĘDZAŁ CZAS PRZEWAŻNIE W SYPIALNI ŻONY. PACJENTKI DOGLĄDAŁA NOW przybyła pielęgniarka i siostra Craven znowu mogła podjąć swoje zabiegi przy pani Franklin.

NIE CHCĘ BYĆ ZŁOŚLIWY, ALE MUSZĘ WYZNAĆ, ŻE ZAOBSERWOWAŁEM U PANI FRANKLIN OZNAKI ROZDRAŻNIENIA, PONIEWAŻ PRZESTAŁA BYĆ GŁÓWNĄ CHORĄ. CAŁY TEN SZUM KOŁO PANI LUTTRELL WYRAŹNIE I PODOBAŁ SIĘ PANI BARBARZE, PRYZYWCZAJONEJ, ŻE JEJ WŁASNE ZDROWIE JEST NAJWAŻNIEJSZYM TE matem dnia.

UKŁADAŁA SIĘ NA LEŻAKU Z RĘKĄ PRZYCIŚNIĘTĄ DO BOKU, SKARŻĄC SIĘ NA BICIE SERCA. KAŻDA POTRAWA jej szkodziła i pod maską cierpliwej rezygnacji nieustannie czegoś się domagała.

- TAK NIE LUBIĘ NIKOMU ZAWRACAĆ GŁOWY - SKARŻYŁA SIĘ CICHU POIROTOWI. - WSTYDZĘ SIĘ WŁASNEJ SŁABOŚCI. TO TAKIE UPOKARZAJĄCE... BYĆ ZDANYM NA CUDZĄ POMOC. CZASEM MYŚLĘ, ŻE CHOROBA TO WYSTĘPEK. TYLKO LUDZIE NAPRAWDĘ ZDROWI I NIEWRAŻLIWI NADAJĄ SIĘ DO TEGO ŚWIATA, INNYCH NALEŻAŁOBY z niego bezboleśnie usunąć.

- ALEŻ NIE, MADAME. - POIROT BYŁ RYCERSKI, JAK ZAWSZE. - DELIKATNE EGZOTYCZNE KWIATY MUSZĄ BYĆ HODOWANE POD SZKŁEM. NIE MOGĄ SPROSTAĆ ZIMNYM WIATROM. TYLKO ZWYKŁE CHWASTY PIENIĄ SIĘ MIMO CHŁODU, A PRZECIEŻ NIE SĄ PRZEZ TO CENNIEJSZE. PROSZĘ SPOJRZEĆ NA MNIE - ZGIĘTY, POKRZYWIONY, NIEZDOLNY DO PORUSZANIA SIĘ, ALE BYNAJMNIEJ NIE CHCĘ POŻEGNAĆ SIĘ Z ŻYCIEM. CIESZĘ SIĘ TYM, CO MI zostało: jedzeniem, piciem, sprawnością umysłu.

Pani Franklin westchnęła.

- ALEŻ U PANA TO CAŁKIEM CO INNEGO. PAN MOŻE BRAĆ POD UWAGĘ TYLKO SIEBIE. W MOIM WYPADKU CHODZI JESZCZE O MOJEGO BIEDNEGO JOHNA. WIEM AŻ ZA DOBRZE, JAKIM JESTEM DLA NIEGO CIĘŻAREM. Chorowita, do niczego nie nadająca się żona. Kamień młyński zawieszony na jego szyi.

- Przecież na pewno nigdy pani tego nie wypominał?

- OCH NIE, NIE POWIEDZIAŁ TEGO GŁOŚNO. OCZYWIŚCIE. ALE MĘŻCZYŹNI SĄ TACY NIESKOMPLIKOWANI! JOHN ZUPEŁNIE NIE POTRAFI UKRYĆ SWOICH UCZUĆ. NIE CHCE NATURALNIE BYĆ NIEDOBRY, ALE JEST... NO CÓŻ, N. SZCZĘŚCIE DLA SIEBIE JEST BARDZO NIEWRAŻLIWYM CZŁOWIEKIEM. SAM NIC NIE CZUJE I NIE WYOBRAŻA SOBIE, że ktoś może być inny. To taka wygoda urodzić się z grubą skórą!

- Nie określiłbym doktora Franklina jako gruboskórnego.

- NIE? ALE NIE ZNA GO PAN TAK DOBRZE JAK JA. PRZECIEŻ WIEM, ŻE GDYBY NIE JA, BYŁBY O WIELE SWOBODNIEJSZY. CZASEM, WIE PAN, WPADAM W TAKĄ STRASZNĄ DEPRESJĘ, ŻE MYŚLĘ SOBIE: JAKĄ ULGĄ byłoby zrobić z tym koniec.

- Ależ, madame...

- BO OSTATECZNIE NA CO JA KOMU JESTEM POTRZEBNA? OCH, OPUŚCIĆ TEN ŚWIAT, PRZEJŚĆ W WIELKIE Nieznane... - Potrząsnęła głową. - I John byłby wreszcie wolny.

- WIERUTNE BAJDY - ORZEKŁA SIOSTRA CRAVEN, KIEDY POWTÓRZYŁEM JEJ TĘ ROZMOWĘ. - NIE MA OBAWY, NIC SOBIE NIE ZROBI. NIECH PAN SIĘ NIE MARTWI, KAPITANIE. TAKIM, CO TO MÓWIĄ O „SKOŃCZENIU Z TYM wszystkim” omdlewającym głosem, nawet się nie śni, że mogliby to zrealizować.

I RZECZYWIŚCIE, LEDWIE PODNIECENIE WYWOŁANE WYPADKIEM PANI LUTTRELL PRZYGASŁO I SIOSTRA Craven wróciła do swych zwykłych obowiązków, w panią Franklin wstąpiła nowa otucha.

PEWNEGO SZCZEGÓLNIPIĘKNEGO PORANKA CURTISS USADOWIŁ POIROTA W LASKU BUKOWYM W POBLIŻU LABORATORIUM. MÓJ PRZYJACIEL UPODOBAŁ SOBIE TO MIEJSCE, OSŁONIĘTE NIE TYLKO PRZED WSCHODNIM WIATREM, ALE NAWET PRZED NAJLŹEJSZYMI PODMUCHAMI. POIROTOWI, KTÓRY NIENAWIDZIŁ PRZECIĄGÓW I ZAWSZE ODNOŚIŁ SIĘ PODEJRZLIWIE DO ŚWIEŻEGO POWIETRZA, BARDZO TO ODPOWIADAŁO. PRAWDĘ MÓWIĄC, SĄDZĘ, ŻE W OGÓLE WOLAŁ PRZEBYWAĆ WŚRÓD CZTERECH ŚCIAN, ALE DOBRZE OPATULONY W PLEDY NAUCZYŁ SIĘ znosić otwartą przestrzeń.

SKIEROWAŁEM SIĘ W JEGO STRONĘ I KIEDY STANAŁEM OBOK, AKURAT PANI FRANKLIN WYSZŁA z laboratorium.

BYŁA BARDZO TWARZOWO UBRANA I NIEBYWALE WESOŁA. OZNAJMIŁA NAM, ŻE JEDZIE Z BOYDEM CARRINGTONEM OBEJRZEĆ JEGO DOM I UDZIELIĆ FACHOWEJ PORADY PRZY WYBORZE MATERIAŁÓW NA ZASŁONY I obicia.

- ZOSTAWIŁAM WCZORAJ W LABORATORIUM TOREBKĘ, KIEDY ROZMAWIAŁAM Z JOHNEM. BIEDAK, MUSIAŁ POJECHAĆ Z JUDITH DO TADCASTER. ZABRAKŁO IM JAKIEGOŚ ODCZYNNIKA CHEMICZNEGO, CZY CZEGOŚ W TYM rodzaju.

Opadła na krzesło koło Poirota i pokiwała głową ze śmieszną miną.

- BIEDACTWO! WŁAŚCIWIE JESTEM ZADOWOLONA, ŻE NIE MAM ZACIĘCIA NAUKOWEGO. W TAKI POGODNY dzień jak dzisiaj wszystko, co oni robią, wydaje się po prostu dziecinne.

- Żeby tylko naukowcy nie usłyszeli, co pani mówi, madame...

- JASNE. - SPOWAŹNIAŁA I ZNIŻYŁA GŁOS: - PROSZĘ, NIECH PAN NIE MYŚLI, ŻE NIE PODZIWIAM SWOJEGO MĘŻA. PODZIWIAM GO. PRZECIEŻ TEN CZŁOWIEK ŻYJE WYŁĄCZNIE PRACĄ I UWAŻAM, ŻE JEGO SAMOZAPARCIE jest wprost wstrząsające.

Głos jej drżał.

NABRAŁEM PODEJRZEŃ, ŻE PANI FRANKLIN LUBI ODGRYWAĆ ROZMAITE ROLE. W TYM MOMENCIE BYŁA lojalną i pełną uwielbienia małżonką.

Nachyliła się i przejęta położyła Poirotowi dłoń na kolanie.

- John w gruncie rzeczy jest swego rodzaju świętym. Chwilami mnie to aż przeraża.

NAZWANIE FRANKLINA ŚWIĘTYM WYDAŁO MI SIĘ LEKKĄ PRZESADĄ, ALE BARBARA FRANKLIN MÓWIŁA DALEJ z błyszczącymi oczami:

- ZROBI WSZYSTKO, PODEJMIE KAŻDE RYZYKO, ŻEBY POWIĘKSZYĆ ZASÓB LUDZKIEJ WIEDZY. CZY NIE uważa pan, że to jest imponujące?

- Z całą pewnością - pośpieszył ją zapewnić Poirot.

- ALE CZASEM, WIE PAN, NIEPOKOJĘ SIĘ O NIEGO. OTO, DO JAKICH GRANIC GOTÓW JEST SIĘ POSUNĄĆ. TA PASKUDNA FASOLA NA PRZYKŁAD, Z KTÓRĄ TERAZ EKSPERYMENTUJE. TAK SIĘ BOJĘ, ŻE ZABIERZE SIĘ DO DOŚWIADCZEŃ NA SOBIE SAMYM.

- Ale przecież zachowa wszelkie środki ostrożności - zaproponowałem.

Potrząsnęła głową z leciutkim, żalonym uśmiechem.

- Nie zna pan Johna. Nie słyszał pan nigdy o tej historii z gazem?

Przyznałem się do niewiedzy.

- TO BYŁ JAKIŚ DOPIERO WYNALEZIONY GAZ I BADANO JEGO WŁAŚCIWOŚCI. JOHN ZGŁOSIŁ SIĘ NA OCHOTNIKA. ZAMKNIĘTO GO W SZCZELNEJ KOMORZE NA TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ GODZIN, SPRAWDZAJĄC MU PULS, TEMPERATURĘ I ILOŚĆ WYDZIELANEGO POTU, ŻEBY STWIERDZIĆ, JAKIE SĄ NASTĘPSTWA WDYCHANIA GAZU I CZY TAKIE SAME DLA LUDZI I ZWIERZĄT. TO BYŁO STRASZNE RYZYKO, JAK MI POTEM POWIEDZIAŁ JEDEN PROFESOR JOHN MÓGŁ OD TEGO UMRZEĆ. ALE TAKI ON JUŻ JEST - ZUPEŁNIE NIE ZWAŻA NA WŁASNE BEZPIECZEŃSTWO. Myślę, że to cudownie mieć tak mocny charakter. Ja nigdy bym się na to nie odważyła.

- Taka decyzja podjęta z zimną krwią - rzekł Poirot - istotnie wymaga wielkiej odwagi.

- WIEM O TYM. JESTEM OKROPNIE DUMNA Z NIEGO, ALE I DENERWUJĘ SIĘ. BO, ROZUMIE PAN, W PEWNYM MOMENCIE ŚWINKI MORSKIE I ŻĄBY PRZESTAJĄ SIĘ NADAWAĆ. POTRZEBNA JEST REAKCJA LUDZKA. DLATEGO DRŻĘ CAŁA, ŻE JOHN ZDECYDUJE SIĘ POŁKNAĆ TĘ OBRZYDLIWĄ FASOLĘ I STANIE SIĘ COŚ STRASZNEGO. WESTCHNĘŁA. - ALE ON TYLKO SIĘ ŚMIEJE Z MOICH OBAW. JOHN DOPRAWDY JEST SWEGO RODZAJU ŚWIĘTYM, mówię panu.

Przerwało jej nadejście Boyda Carringtona.

- Dzień dobry, Babs, gotowa?

- Tak, Bill, czekam na ciebie.

- Mam nadzieję, że nie zmęczysz się za bardzo?

- Na pewno nie. Od wieków nie czułam się tak dobrze jak dzisiaj.

Wstała i pożegnała nas obu czarującym uśmiechem.

- Doktor Franklin jako nowoczesny święty... Hm... - mruknął Poirot.

- Zdaje się, że przedtem była innego zdania. Ale ona już taka jest.

- Jaka?

- SKŁONNA DO DRAMATYZOWANIA WŁASNEJ OSOBY W ROZMAITYCH ROLACH. JEDNEGO DNIA NIEZROZUMIANA ŻONA, KTÓRĄ MAŻ ZANIEDBUJE, KIEDY INDZIEJ OFIARNA, CIERPIĄCA KOBIETA, KTÓRA ROZPACZA, ŻE JEST CIĘŻAREM DLA UKOCHANEGO CZŁOWIEKA. DZIŚ BYŁA PEŁNĄ UWIELBIENIA TOWARZYSZKĄ ŻYCIA. NIESTETY, WSZYSTKIE TE role są nieco przeszarżowane.

Poirot powiedział z namysłem:

- Czy uważasz, że pani Franklin jest głupia?
- Może nie aż tak, choć na pewno nie odznacza się wybitną inteligencją.
- Ona nie jest w twoim typie?
- A kto jest? - parsknąłem.

Poirot odpowiedział nieoczekiwanie:

- Zamknij oczy, otwórz usta, wróżki torba nie jest pusta...

NIM ZDAŻYŁEM SPYTAĆ, O CO MU CHODZI, UKAZAŁA SIĘ SIOSTRA CRAVEN, IDĄCA PRĘŻNYM KROKIEM PRZEZ TRAWNIK. UŚMIECHNĘŁA SIĘ DO NAS, BŁYSKAJĄC WSPANIAŁYMI ZĘBAMI, WESZŁA DO LABORATORIUM I POJAWIŁA SIĘ ZNOWU Z PARĄ RĘKAWICZEK W DŁONI.

- NAJPIERW CHUSTECZKA, TERAZ RĘKAWICZKI, ZAWSZE COŚ GDZIEŚ ZOSTAWI - POSKARŻYŁA SIĘ, SPIESZĄC DO MIEJSCA, GDZIE CZEKALI NA NIĄ BARBARA FRANKLIN I BOYD CARRINGTON.

PANI FRANKLIN NALEŻAŁA DO KOBIET, KTÓRE STAŁE COŚ GUBIĄ, ROZSIEWAJĄC SWOJE RZECZY, OCZEKIWAŁA, ŻE KAŻDY BĘDZIE ICH DLA NIEJ SZUKAŁ. NIE TYLKO UWAŻAŁA TO ZA RZECZ NORMALNĄ, ALE NAWET BYŁA DUMNA, ŻE TAK POSTĘPUJE. NIERAZ SŁYSZAŁEM, JAK ZADOWOLONA Z SIEBIE SZEPCZE:

- Cóż robić, mam głowę jak sito.

ODPROWADZIŁEM WZROKIEM BIEGNĄCĄ PRZEZ TRAWNIK SIOSTRĘ CRAVEN. MIAŁA ŁADNE RUCHY, BYŁA ZWINNA I ŚWIETNIE ZBUDOWANA. POWIEDZIAŁEM IMPULSYWNIEM:

- CO TO ZA ŻYCIE DLA DZIEWCZYNY! NAWET NIE MA KOGO PIELEGNOWAĆ, TYLKO CIĄGLE MUSI COŚ PRZYNOŚIĆ I ODNOŚIĆ. A NIE SĄDZĘ, ŻEBY PANI FRANKLIN BYŁA SZCZEGÓLNIEM UPRAJEMNĄ CZY DELIKATNĄ.

Odpowiedź Poirota była zdecydowanie irytująca. Bez żadnego powodu zamknął oczy i szepnął:

- Kasztanowe włosy.

SIOSTRA CRAVEN MIAŁA RZECZYWIŚCIE KASZTANOWE WŁOSY, ALE NIE MOGŁEM POJAĆ, DLACZEGO POIROT WYBRAŁ SOBIE WŁAŚNIE TEN MOMENT, ŻEBY TO PODKREŚLIĆ.

Nic nie odpowiedziałem.

ROZDZIAŁ XI

WYDAJE MI SIĘ, ŻE TO WŁAŚNIE NAZAJUTRZ PRZED POŁUDNIEM, TUŻ PRZED OBIADEM, MIAŁA MIEJSCE rozmowa, która wzbudziła we mnie pewien niepokój.

Było nas czworo - Judith, Boyd Carrington, Norton i ja.

NIE PRZYPOMINAM SOBIE JUŻ, JAK DO TEGO DOSZŁO, ALE W PEWNYM MOMENCIE ROZMOWA ZESZŁA NA temat eutanazji.

BOYD CARRINGTON, JECZ PROSTA, MÓWIŁ NAJWIĘCEJ, NORTON WTRĄCAŁ JEDYNIE OD CZASU DO CZASU JEDNO CZY DWA ZDANIA, A JUDITH MILCZAŁA. WIDAĆ JEDNAK BYŁO, ŻE BARDZO UWAŻNIE PRZYSŁUCHUJE SIĘ naszym argumentom.

JEŻELI CHODZI O MNIE, TO PRZYNAŁEM SIĘ, ŻE CHOCIAŻ UZNAJĘ RÓŻNE RACJE, PRZEMAWIAJĄCE ZA PRAKTYKOWANIEM TEJ METODY, TO PRZECIEŻ WZDRYGAM SIĘ NA SAMĄ MYŚL O MOŻLIWOŚCI WPROWADZENIA JEJ W ŻYCIU. JEDNOCZEŚNIE WYDAJE MI SIĘ, ŻE ZALEGALIZOWANIE JEJ MOGŁOBY DAĆ RODZINIE ZBYT WIELKĄ władzę nad losem chorego krewnego.

Norton zgadzał się ze mną. DODAŁ JEDNAKŻE, ŻE JEGO ZDANIEM, MOŻNA BY JĄ STOSOWAĆ NA WYRAŹNE życzenie pacjenta, i to w przypadku niewątpliwie śmiertelnej choroby.

Boyd Carrington powiedział:

- No tak, ale to nie jest takie proste. Wcale nie jestem pewny, czy ktokolwiek ma ochotę rozstać się dobrowolnie ze światem.

NASTĘPNIE PRZYSTĄPIŁ DO OPOWIEŚCI O PEWNYM CZŁOWIEKU, KTÓRY CIERPIAŁ STRASZLIWIE NA SKUTEK CHOROBY NOWOTWOROWEJ, TAK ZAAWANSOWANEJ, ŻE NIE MOŻNA GO NAWET BYŁO OPEROWAĆ. CZŁOWIEK TEN BŁAGAŁ SWOJEGO LEKARZA, ŻEBY MU DAŁ „COŚ, CO POZWOLIŁOBY MU SKOŃCZYĆ WRESZCIE Z TYM WSZYSTKIM”. LEKARZ ODPARŁ NA TO: „NIESTETY, NIE MOGĘ TEGO UCZYNIĆ”. ALE ZANIM OPUŚCIŁ POKÓJ PACJENTA, POŁOŻYŁ NA NOCNYM STOLIKU KILKA TABLETEK MORFINY, MÓWIĄC MU BARDZO WYRAŹNIE, ILE WYNOŚI BEZPIECZNA DAWKA, A JAKA ILOŚĆ TABLETEK SPROWADZI ŚMIERĆ. TAK WIĘC PACJENT MIAŁ PEŁNĄ SZANSĘ SKOŃCZENIA ZE SOBĄ, ALE Z NIEJ NIE SKORZYSTAŁ. DOWODZĄC TYM SAMYM - DODAŁ BOYD CARRINGTON - ŻE POMIMO WSZELKICH ZAKŁĘ wolał cierpieć, niż szybko i bezboleśnie położyć kres swojemu życiu.

W TYM MOMENCIE JUDITH PO RAZ PIERWSZY ZABRAŁA GŁOS, I TO W SPOSÓB ŻARLIWY, A NAWET agresywny.

- To nonsens! - krzyknęła. - Nie należało go obarczać taką decyzją.

Boyd Carrington zażądał bliższych wyjaśnień.

- UWAŻAM, ŻE CZŁOWIEK POWAŻNIE CHORY - OSŁABIONY I ZBOLAŁY - NIE MA DOŚĆ SIŁY NA TO, ŻEBY

ZDOBYĆ SIĘ NA TAKI KROK. TO ZUPEŁNIE WYKLUCZONE. TRZEBA TO ZROBIĆ ZA NIEGO. TO JEST OBOWIĄZEK TYCH, którzy go kochają.

- Obowiązek? - zdziwiłem się.

Judith spojrzała na mnie z niechęcią.

- TAK, OBOWIĄZEK. OBOWIĄZEK CZŁOWIEKA, KTÓRY JEST W PEŁNI WŁADZ UMYSŁOWYCH. ON MUSI GO wziąć na siebie.

Boyd Carrington potrząsnął głową.

- I wyładować na ławie oskarżonych jako morderca.

- Niekoniecznie. A zresztą, jeżeli się kogoś kocha, to trzeba ryzykować.

- NIECHŻE PANI DA SPOKÓJ, PANNO JUDITH - ODEZWAŁ SIĘ NORTON. - KTÓŻ ZECHCIAŁBY BRAĆ NA SIEBIE tak wielką odpowiedzialność.

- NO WŁAŚNIE. LUDZIE ZAWSZE BOJĄ SIĘ ODPOWIEDZIALNOŚCI. OWSZEM, BIORĄ JĄ NA SIEBIE, KIEDY chodzi o psa. Czemu więc mają opory, kiedy w grę wchodzi człowiek?

- No cóż! Jest jednak pewna różnica.

- Owszem. Człowiek jest ważniejszy - odparła Judith.

- Nie jestem w stanie odpowiedzieć na to - szepnął Norton.

- JEDNYM SŁOWEM, PANI NIE ZAWAHAŁABY SIĘ PRZED TAKĄ DECYZJĄ? - ZAPYTAŁ BOYD CARRINGTON wielkim zainteresowaniem.

- Chyba nie. Nie boję się ryzyka.

Boyd Carrington potrząsnął głową.

- NIE ZGADZAM SIĘ Z PANIĄ. NIE WOLNO DOPUŚCIĆ DO TEGO, ŻEBY BYLE KTO MÓGL DECYDOWAĆ O cudzym losie, o sprawach cudzego życia i cudzej śmierci.

- WYDAJE MI SIĘ, ŻE PRZECIĘTNY CZŁOWIEK NIE MIAŁBY ODWAGI NA TAKI CZYN. - NORTON UŚMIECHAŁ SIĘ blado i spojrzał na Judith. - Moim zdaniem i pani cofnęłaby się w ostatniej chwili.

- NIKT NIE MOŻE BYĆ ABSOLUTNIE PEWNY, JAK POSTĄPIŁBY W TAKIM WYPADKU. MYŚLĘ JEDNAK, ŻE zrobiłabym to - powiedziała Judith spokojnie.

Norton znów się uśmiechnął.

- Chyba - powiedział - że byłaby pani osobiście zainteresowana w śmierci tego człowieka.

Judith zarumieniła się gwałtownie i krzyknęła ostro:

- TO TYLKO ŚWIADCZY O TYM, ŻE PAN NIC, ALE TO NIC NIE ROZUMIE! GDYBYM MIAŁA OSOBISTY INTERES W ŚMIERCI TEGO CZŁOWIEKA, NIGDY NIE ZDOBYŁABYM SIĘ NA PODOBNY POSTĘPEK. TO CHYBA ZROZUMIAŁE - ZWRÓCIŁA SIĘ DO NAS WSZYSTKICH. - TO MUSI BYĆ CAŁKOWICIE BEZINTERESOWNY UCZYNEK. TAKĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ MOŻNA WZIĄĆ NA SIEBIE JEDYNIĘ WÓWCZAS, KIEDY NIE DZIAŁAJĄ ŻADNE UBOCZNE motywy, kiedy żadna korzyść nie wchodzi w grę.

- A JEDNAKŻE ŚMIEM TWIERDZIĆ - UPIERAŁ SIĘ NORTON - ŻE NIE ZROBIŁABY PANI TEGO W ŻADNYCH okolicznościach.

- ZAPEWNIAM PANA, ŻE TAK. PRZEDE WSZYSTKIM DLA MNE ŻYCIE LUDZKIE NIE MA TAK WIELKIEJ CENY, JAKĄ MU SIĘ NA OGÓŁ PRZYPISUJE. LUDZIE BEZUŻYTECZNI, LUDZIE NIEPRZYSTOSOWANI NIE BUDZĄ WE MNIE WSPÓŁCZUCIA. - ZWRÓCIŁA SIĘ ZNIENACKA DO BOYDA CARRINGTONA: - SPODZIEWAM SIĘ, ŻE PAN SIĘ ZE MNĄ zgadza.

- W ZASADZIE TAK - ODPARŁ Z NAMYSŁEM. - TEŻ WOLAŁBYM, ŻEBY TYLKO LUDZIE NAPRAWDĘ wartościowi mieli prawo do egzystencji.

- Niech się pan przyzna. Gdyby to było konieczne, zdobyłby się pan na pewno na taką decyzję?

- BO JA WIEM. NIE MOGĘ TEGO WYKLUCZYĆ... JEST WIELE OSÓB, KTÓRE TEORETYCZNIE ZGODZIŁYBY SIĘ takim poglądem. Ale praktyka... to zupełnie inna sprawa...

- Cóż za brak logiki!

- NIC PODOBNEGO - ZACHNAŁ SIĘ NORTON. - WSZYSTKO SPROWADZA SIĘ W KOŃCU DO ZAGADNIENIA odwagi. Nie wszyscy mają po prostu dość odwagi.

Judith nie odpowiadała, a Norton ciągnął dalej:

- JESTEM PRZEKONANY, JUDITH, ŻE I Z PANIĄ BYŁOBY DOKŁADNIE TAK SAMO. KIEDY DOSZŁOBY DO działania, nerwy odmówiłyby pani posłuszeństwa.

- Tak pan myśli?

- Jestem nawet pewny.

- SĄDZĘ, ŻE MYLI SIĘ PAN - WTRĄCIŁ BOYD CARRINGTON. - MOIM ZDANIEM, JUDITH JEST OSOB. niezwykle odważną. Na szczęście, takie sytuacje zdarzają się niezmiernie rzadko.

Rozległ się gong, zapowiadający południowy posiłek.

Judith wstała.

- A JEDNAK JEST PAN W BŁĘDZIE - RZUCIŁA NORTONOWI Z NACISKIEM. - MAM WIĘCEJ ODWAGI, NIŻ PAN sobie wyobraża.

Ruszyła szybkim krokiem w stronę domu. Boyd Carrington pośpieszył za nią, wołając:

- Niech pani zaczeka na mnie, Judith!

I JA POSZEDŁEM W KIERUNKU DOMU. BYŁEM PRZYGNĘBIONY. NORTON, CZŁOWIEK NIEZMIERNIE WRAŻLIWY na cudze nastroje, powiedział, najwyraźniej, żeby mnie pocieszyć:

- ONA TEGO PRZECIEŻ NIE MÓWIŁA NA SERIO. WSZYSCY CI MŁODZI WYPOWIADAJĄ TAKIE NIEDORZECZNE myśli, ale, na szczęście, nigdy nie wprowadzają ich w czyn. To tylko takie ich gadanie.

WYDAJE MI SIĘ, ŻE JUDITH DOSŁYSZAŁA JEGO SŁOWA, GDYŻ RZUCIŁA NAM PRZEZ RAMIĘ SPOJRZENIE PEŁNE nieskrywanego gniewu.

Norton zniżył głos.

- Nie należy się przejmować teoriami - szepnął. - Ale z innej beczki. Czy pan...?

- Słucham?

- NIE LUBIĘ SIĘ WTRĄCAĆ DO CUDZYCH SPRAW, ALE CZY PAN DOBRZE ZNA TEGO ALLERTONA? - ROBIŁ wrazenie zaambarasowanego.

- Allertona? Nie. A o co chodzi?

- PRZYKRO MI. NAPRAWDĘ Z ZASADY NIGDY NIE WTYKAM NOSA W NIE SWOJE SPRAWY, ALE NIECH MI PAN WYBACZY, ŻE COŚ POWIEM... GDYBYM BYŁ NA PANA MIEJSCU, NIE POZWOLIŁBYM, ŻEBY MOJA CÓRKA ZADAWAŁA SIĘ Z TYM CZŁOWIEKIEM. TO... JAK BY TO POWIEDZIEĆ... WIDZI PAN, TEN CZŁOWIEK MA BARDZO zaszarganą reputację.

- Zdążyłem się już zorientować, co to za osobnik - westchnąłem. - Ale czasy się zmieniły.

- WIEM, WIEM. DZIEWCZĘTA DZISIAJ ŚWIETNIE SOBIE RADZĄ Z TAKIMI TYPAMI. W KAŻDYM RAZIE większość z nich. No... ale... Allerton ma raczej swoistą technikę.

Zamilkł, a po chwili dodał:

- CHYBA POWINIENEM PANU COŚ POWIEDZIEĆ. BYŁBYM WDZIĘCZNY, GDYBY PAN ZECHCIAŁ ZACHOWAĆ to przy sobie. Ale, widzi pan, znam jedną jego bardzo paskudną sprawkę.

WYSLUCHAŁEM GO. SPRAWDZIŁEM PÓŹNIEJ WSZYSTKO, W KAŻDYM SZCZEGÓLE. HISTORIA BYŁA RZECZYWIŚCIE RACZEJ OBRZYDLIWA. O DZIEWCZYNIE BARDZO PEWNEJ SIEBIE, BARDZO NOWOCZESNEJ, BARDZO NIEZALEŻNEJ. ALLERTON OMOTAŁ JĄ ZA POMOCĄ WSZYSTKICH SWOICH WYPRÓBOWANYCH SZTUCZEK. SKUTK niedługo dały na siebie czekać. Koniec był tragiczny. Dziewczyna zażyła śmiertelną dawkę weronalu.

NAJGORSZE W TYM WSZYSTKIM BYŁO TO, ŻE OFIARA ALLERTONA BARDZO PRZYPOMINAŁA JUDITH - BY NIEZALEŻNA, WYKSZTAŁCONA, PEWNA SIEBIE. KIEDY TAKA SIĘ ZAKOCHA, TO BEZ MIARY I BEZ PAMIĘCI. Miłością, jakiej nigdy nie zazna bezmyślna trzpiotka.

Wszedłem do jadalni pełen jak najgorszych przeczuć.

ROZDZIAŁ XII

1

- Czy trapi cię coś, mon ami? - zapytał Poirot, gdy przyszedłem do niego tegoż popołudnia.

W MILCZENIU POTRZĄSNAŁEM GŁOWĄ. CZUŁEM, ŻE NIE MAM PRAWA OBCIĄŻAĆ POIROTA CZYSTO osobistymi kłopotami. W końcu nie potrafiłby mi i tak nic poradzić.

GDYBY NAWET ZECHCIAŁ POROZMAWIAĆ Z JUDITH, JESTEM PEWIEN, ŻE ZAREAGOWAŁABY NA JEGO RADY UŚMIECHEM I PUŚCIŁABY JE MIMO USZU, TAK JAK TO ZAWSZE CZYNIĄ MŁODZI W STOSUNKU DO - ICH ZDANIEM - „starych nudziarzy”.

Judith, moja Judith...

TRUDNO MI DZISIAJ OPISAĆ DOKŁADNIE, CO PRZEŻYŁEM OWEGO DNIA. KIEDY ZASTANAWIAŁEM SIĘ NAD TYM PÓZNIJ, DOSZEDŁEM DO WNIOSKU, ŻE DUŻĄ ROLEJ ODEGRAŁA SAMA ATMOSFERA STYLES. ŁATWO TAM BYŁO ZŁOWROGIE PRZECZUCIA. SAME SIĘ CZŁOWIEKOWI NASUWAŁY. W KOŃCU TRUDNO BYŁO ZAPOMNIEĆ O TYM, CO STAŁO SIĘ TUTAJ PRZED LATY, ZWŁASZCZA ŻE CHWILA OBECNA NIE BYŁA POZBAWIONA GROZY. PRZECIEŻ NIE TYLK CIEŃ TAMTEGO ZBRODNIARZA SNUŁ SIĘ PO TYM PONURYM GMACHU, ALE MIESZKAŁ W NIM W TEJ CHWILI TAKŻE żywy, groźny morderca.

BYŁEM NIEOMAL ŻE PEWIEN, ŻE JEST NIM ALLERTON, A TU MOJA JUDITH TRACI DLA NIEGO GŁOWĘ. WYDAJ mi się to niewiarygodne... wręcz monstrualne - nie wiedziałem, co czynić!

NATYCHMIAST PO OBIEDZIE PODSZEDŁ DO MNIE BOYD CARRINGTON I ODCIĄGNĄŁ MNIE NA STRONIE Chrząknął, przełknął ślinę i wreszcie się odezwał:

- NIE CHCIAŁBYM BYĆ POSĄDZONY O MIESZANIE SIĘ DO NIE SWOICH SPRAW, ALE WIDZI PAN, WYDAJE MI SIĘ, ŻE POWINIEN PAN POWAŻNIE POMÓWIĆ ZE SWOJĄ CÓRKĄ. OSTRZEC JĄ, ŻE TAK POWIEM. WIE PAN CHYBA... TEN ALLERTON... TO CZŁOWIEK O FATALNEJ REPUTACJI... A ONA... NO CÓŻ, WYDAJE MI SIĘ, ŻE ONA ZACZYNA SIĘ NI interesować.

Jak łatwo jest mówić tak ludziom, którzy nigdy nie mieli dzieci! Ostrzec ją?

MOŻE BY TO I MIAŁO SENS? A MOŻE TYLKO POGORSZY CAŁĄ SPRAWĘ? ACH, GDYBY ŻYŁA MOJA UKOCHANA żona! Już ona wiedziałaby, jak postąpić.

MIAŁEM W GRUNCIE RZECZY TRZYMAĆ JĘZYK ZA ZĘBAMI I NIE INGEROWAĆ. ALE PO NAMYŚLE DOSZEDŁEM DO WNIOSKU, ŻE RÓWNAŁOBY SIĘ TO ZWYKŁEMU TCHÓRZOSTWU. JEDNAKŻE WSZYSTKO WE MNIE WZDRYGAŁO SIĘ PRZED ROZMOWĄ Z JUDITH O JEJ OSOBISTYCH SPRAWACH. BO, PRAWDĘ POWIEDZIAWSZY, BAŁEM SIĘ TEJ MOJEJ pięknej, nieco wyniosłej córki.

PRZECHADZAŁEM SIĘ TAM I Z POWROTEM PO OGRODOWEJ ŚCIEŻCE, CORAZ BARDZIEJ ZDENERWOWANY. W

PEWNYM MOMENCIE ZBLIŻYŁEM SIĘ DO OGRODU RÓŻANEGO, GDZIE - ŻE SIĘ TAK WYRAŻĘ - RZECZYWISTOŚĆ PRZESĄDZIŁA SPRAWĘ. ALBOWIEM TAM NA ŁAWCE SIEDZIAŁA JUDITH Z WYRAZEM NIEOPISANEGO PRZYGNĘBIENIA na twarzy.

Była teraz bez maski. Widziałem, że jest głęboko nieszczęśliwa.

ZEBRAŁEM SIĘ WIĘC NA ODWAGĘ I PODSZEDŁEM DO NIEJ. NIE SŁYSZAŁA MOICH KROKÓW I DOPIERO kiedy stanąłem tuż przy niej, podniosła głowę.

- Judith - odezwałem się. - Na litość boską, dziecko, nie przejmujże się tak.

Spojrzała na mnie ze zdumieniem.

- Tato, skąd się tutaj wzięłeś?

WIDZIAŁEM, ŻE JEŻELI DOPUSZCZĘ, ABY NASZA ROZMOWA PRZYBRAŁA CODZIENNY, ZDAWKOWY charakter, to nie zdobędę się na powiedzenie tego, co zamierzałem, więc przerwałem jej:

- DZIECKO KOCHANE, NIE MYŚL, ŻE JESTEM GŁUCHY I ŚLEPY. TEN CZŁOWIEK NIE JEST CIEBIE WART... możesz mi wierzyć... zapewniam cię, że to...

Patrzyła na mnie badawczo, zaniepokojona i zdumiona zarazem.

- Tato, czy ty jesteś pewien, że wiesz, o czym mówisz?

- Wiem, wiem na pewno. Widzę, jak ci na nim zależy. Ale, kochanie, to nicpoń!

Uśmiechnęła się bez cienia wesołości. A mnie aż zakłuło w sercu.

- Skąd ta pewność, że nie zdaję sobie z tego sprawy?

- BO TO NIEMOŻLIWE. OCH, JUDITH, POMYŚL TYLKO. ZASTANÓW SIĘ NA CHWILĘ. ON JEST ŻONATY. Czy wiesz, co cię czeka, dziewczyno?... Tylko rozczarowanie i wstyd... a na koniec wyrzuty sumienia.

Judith wciąż patrzyła na mnie z tym swoim coraz smutniejszym uśmiechem.

- Tak, łatwo ci mówić.

- Skończ z tym, Judith. Proszę cię.

- Nie!

- On nie jest cię wart, kochanie.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Z wściekłością w głosie syknęła:

- JAK ŚMIESZ, TATO? JAKIM PRAWEM MIESZASZ SIĘ DO MOICH SPRAW? NIE ŻYCZĘ SOBIE TEGO. NIE CHCĘ WIĘCEJ ŻADNYCH ROZMÓW NA TEN TEMAT. NIENAWIDZĘ CIĘ, NIENAWIDZĘ. CHODZI O MOJE ŻYCIE, TAK CZY

nie? Nie o twoje, ale o moje. O moje własne, wewnętrzne, sekretne życie!

WSTAŁA. ODEPCHNĘŁA MNIE SILNYM RAMIENIEM I ODESZŁA. PUŚCIŁA SIĘ BIEGIEM W STRONĘ DOMU, JAK gdyby ją goniły furie. Patrzyłem za nią w przerażeniu.

2

W KWADRANS PÓŹNIEJ WCIAŻ STAŁEM JAK WRYTY NA TYM SAMYM MIEJSCU, OSZOŁOMIONY I BEZRADNY, niezdolny do sformułowania jednej logicznej myśli.

W takim stanie znaleźli mnie Elizabeth Cole i Norton.

ZACHOWALI SIĘ - JAK SIĘ PÓŹNIEJ ZORIENTOWAŁEM - BARDZO ŁADNIE. NA PEWNO ZAUWAŻYLI NATYCHMIAST, ŻE JESTEM BARDZO WZBURZONY. JEDNAKŻE - BARDZO TAKTOWNIE - NIE ZROBILI ŻADNEJ ALUZJI NA TEN TEMAT. ZAPROSILI MNIE NATOMIAST NA SPACER. OBYDWOJE BYLI MIŁOŚNIKAMI PRZYRODY. ELIZABETH COLE ZWRACAŁA MI UWAGĘ NA NAJROZMAITSZE POLNE KWIATY, A NORTON NA PTAKI, KTÓRE OBSERWOWAŁ ZA POMOCĄ silnej lornetki.

MÓWILI CICHYMI GŁOSAMI WYŁĄCZNIE O OKOLICZNEJ FLORZE I O SKRZYDLATYCH MIESZKAŃCACH LASU ZACZYNAŁEM POWOLI PRZYCHODZIĆ DO SIEBIE, CHOCIAŻ NIELATWO MI BYŁO OTRZĄSNAĆ SIĘ Z WRAŻENIA, JAKIE zrobiła na mnie rozmowa z Judith.

ALE WSZYSTKO, CO DZIAŁO SIĘ DOKOŁA, KOJARZYŁO MI SIĘ Z MOIMI WŁASNYMI, NIESPOKOJNYMI MYŚLAMI. TOTEŻ KIEDY NORTON NAGLE WYKRZYKNAŁ: ...„OHO, CZYŻBY TO BYŁ PSTRY DZIĘCIOŁ... TAM... TAMTYM...?” I NAGLE URWAŁ, WZBUDZIŁY SIĘ WE MNIE NATYCHMIAST NIEJASNE PODEJRZENIA I WYCIĄGNAŁEM rękę po lornetkę.

- Chcę zobaczyć - zażądałem gwałtownie.

Norton ociągał się, po czym powiedział dziwnym, niepewnym jakimś głosem:

- JA... WIDZI PAN... CHYBA MI SIĘ ZDAWAŁO. ZRESZTĄ PTASZEK JUŻ ODFRUNAŁ. TO BYŁ CHYBA JEDNAK najzwyczajniejszy na świecie zielony dzięcioł.

Zbladł. Wydawał się zmieszany i zakłopotany. Unikał naszego wzroku.

NAWET W TEJ CHWILI NIE MOGĘ SIĘ OPRZEĆ WRAŻENIU, ŻE NORTON DOJRZAŁ PRZEZ TĘ SWOJĄ SILNĄ lornetkę coś, co wolał przede mną ukryć.

Cokolwiek zobaczył, faktem jest, że go to wzburzyło. Zauważyła to także panna Cole.

Pomyślałem, że warto by nawet teraz obejrzeć to miejsce.

- Niech pan da mi to na chwilę - zażądałem.

Niemalże wyrwałem mu lornetkę z rąk. Bronił się niezdarnie, ale dał za wygraną.

- TAM NAPRAWDĘ NIC NIE BYŁO - POWIEDZIAŁ BEZ PRZEKONANIA. - NO, A PTASZEK I TAK ODLECIAŁ. Wolałbym...

LEKKO ROZDYGOTANYMI RĘKAMI NASTAWIŁEM LORNETKĘ NA SWÓJ WZROK. BYŁA RZECZYWIŚCIE BARDZO silna. Nakierowałem ją mniej więcej w ten sam punkt.

NIE ZOBACZYŁEM NIC - NIC, Z WYJĄTKIEM BIAŁEJ SMUGI (BIAŁEJ SUKIENKI?), KTÓRA MIGNEŁA POMIĘDZY drzewami i znikła.

Bez słowa oddałem lornetkę Nortonowi. Odwrócił wzrok. Był wyraźnie stropiony i zmieszany.

Wszyscy troje powróciliśmy do domu. Norton milczał przez całą drogę.

3

WKRÓTCE PO NASZYM POWROCIE DO DOMU ZJAWIŁA SIĘ PANI FRANKLIN W TOWARZYSTWIE BOYDA Carringtona. Okazało się, że wrócili samochodem z Tadcaster, gdzie robili zakupy.

I TO JAKIE! W WOZIE LEŻAŁY CAŁE STERTY PACZEK. PANI FRANKLIN ROBIŁA WRAŻENIE WIELKO zadowolonej. Była wesoła, zarumieniona, ożywiona i bardzo rozmowna.

POPROSIŁA BOYDA CARRINGTONA, ŻEBY ZANIÓSŁ NA GÓRĘ JAKIEŚ PUDŁO, ZAWIERAJĄCE PODOBNO BARDZO kruchy przedmiot. Ja także zaofiarowałem swoją pomoc.

Pani Franklin mówiła dziś szybciej i chyba z większym podnieceniem niż zazwyczaj.

- CÓŻ ZA UPAŁ, NIEPRAWDAŻ? JESTEM PEWNA, ŻE BĘDZIEMY DZIŚ MIELI BURZĘ. TO SIĘ MUSI TAK skończyć. Słyszałam, że grozi nam brak wody. Od lat nie było takiej suszy.

Zwróciła się do Elizabeth Cole:

- A coście państwo robili przez całe popołudnie? Gdzie John? Powiedział mi, że boli go głowa I WYBIERA SIĘ NA DŁUŻSZY SPACER. TO ZUPEŁNIE DO NIEGO NIEPODOBNE. WYDAJE MI SIĘ, ŻE MA JAKIEŚ kłopoty w laboratorium. Coś mu się tam nie klei. Ale czy on kiedy powie dokładnie, o co chodzi?

Zamilkła na moment, a potem zwróciła się do Nortona:

- PAN SIĘ DZIŚ W OGÓLE NIE ODZYWA, PANIE NORTON. CZY STAŁO SIĘ COŚ? JEST PAN JAKIŚ TAKI... BO JA wiem?... wystraszony? Jak gdyby pan zobaczył ducha starej pani Jakiejtam?

- NIE, NIE. SKĄDŻE! - PRZERAZIŁ SIĘ NORTON. - NIE WIDZIAŁEM ŻADNEGO DUCHA. PO PROSTU zamysliłem się na chwilę.

W TYM WŁAŚNIE MOMENCIE W DRZWIACH UKAZAŁ SIĘ POIROT W SWOIM FOTELU NA KÓLKACH, PCHANY przez Curtissa.

Curtiss zatrzymał fotel, żeby zanieść Poirota na górę.

Poirot spojrział na nas swoim bystrym wzrokiem i zapytał:

- Czy coś się stało? Proszę mi powiedzieć.

ŻADNE Z NAS NIE ZAREAGOWAŁO OD RAZU I DOPIERO PO CHWILI BARBARA FRANKLIN ROZEŚMIAŁA SIĘ nieco sztucznie.

- GDZIEŻ TAM! A CÓŻ BY SIĘ MIAŁO STAĆ? PO PROSTU W POWIETRZU WISI BURZA I WSZYSCY SĄ JACYŚ podenerwowani. A JA... JA JESTEM STRASZNIE ZMĘCZONA. CZY MÓGLBY MI PAN ZANIEŚĆ TE PACZKI NA GÓRĘ, kapitanie? Bardzo będę panu wdzięczna.

RUSZYŁEM ZA NIĄ PO SCHODACH I UDALIŚMY SIĘ DO WSCHODNIEGO SKRZYDŁA DOMU. POKÓJ PANI Franklin znajdował się na samym końcu korytarza.

Pani Franklin otworzyła drzwi. Stałem za nią z naręczem paczek.

ZATRZYMAŁA SIĘ GWALTOWNIE W PROGU. POD OKNEM STALI BOYD CARRINGTON I SIOSTRA CRAVEN. Pielęgniarka trzymała jego otwartą dłoń w swojej i studiowała ją uważnie.

Boyd Carrington podniósł wzrok i uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem.

- Siostra Craven wróży mi z ręki - powiedział. - Okazuje się, że zna się na tym doskonale.

- NAPRAWDĘ? NIE MIAŁAM POJĘCIA - MRUKNĘŁA USZCZYPLIWIE PANI FRANKLIN. BYŁA NAJWYRAŹNIEJ ZGORSZONA POSTĘPOWANIEM SWOJEJ PIELĘGNIARKI. - SIOSTRO - DODAŁA - NIECH SIOSTRA ODBIERZE PANU TE PACZKI. NAPIŁABYM SIĘ MLEKA Z MIODEM. I PROSIŁABYM O WOREK Z GORĄCĄ WODĄ. PRZEMĘCZYŁAM SIĘ TYMI zakupami. Chciałabym się położyć do łóżka.

- Oczywiście, proszę pani.

Siostra Craven podeszła do swojej pacjentki z zawodową skwapliwością.

- Proszę cię, Bill - rzuciła pani Franklin w stronę Boyda Carringtona. - Zostaw mnie teraz.

Boyd Carrington spieszył się.

- OCH, MOJA DROGA, OBAWIAM SIĘ, ŻE TO BYŁ DLA CIEBIE ZBYT WIELKI WYSIŁEK. JAKŻE MI PRZYKRO. Jestem naprawdę bezmyślnym durniem. Jak mogłem pozwolić, żebyś tak biegała po sklepach.

Pani Franklin rzuciła mu spojrzenie udęconego anioła.

- Cóż, nie chciałam nic mówić. Nie lubię nikomu zawracać głowy moim stanem zdrowia.

Wyszliśmy więc - nieco speszeni - z pokoju.

Boyd Carrington był rzeczywiście zmartwiony.

- IDIOTA ZE MNIE. BARBARA BYŁA TAKA WESOŁA PRZEZ CAŁE POPOŁUDNIE. ZDAWAŁO MI SIĘ, ŻE TAKA WYCIECZKA DOBRZE JEJ ZROBI. ZUPEŁNIE ZAPOMNIAŁEM, JAK JEST DELIKATNA I JAK ŁATWO SIĘ MĘCZY. MAM nadzieję, że się nie rozchoruje.

- Jestem pewien, że jak się wyśpi, to wszystko będzie dobrze - powiedziałem dość bezmyślnie.

BOYD CARRINGTON ZACZAŁ SCHODZIĆ ZE SCHODÓW, JA ZAŚ POSZEDŁEM NA DRUGI KONIEC KORYTARZ GDZIE ZNAJDOWAŁ SIĘ MÓJ POKÓJ, JAK RÓWNIEŻ POKÓJ POIROTA. WIEDZIAŁEM, ŻE MÓJ PRZYJACIEL NA PEWNO JUŻ NA MNIE CZEKA. PO RAZ PIERWSZY OCIĄGAŁEM SIĘ Z ODWIEDZENIEM GO. BYŁEM TAK BARDZO POCHŁONIĘTY własnymi myślami, a pod sercem miałem wciąż jeszcze uczucie lekkiego niepokoju.

Bezwiednie zwolniłem kroku.

PRZECHODZĄC KOŁO DRZWI ALLERTONA, USŁYSZAŁEM Z GŁĘBI JEGO POKOJU JAKIEŚ GŁOSY. AUTOMATYCZNIE - BEZ ŚWIADOMEGO ZAMIARU PODSŁUCHIWANIA - ZATRZYMAŁEM SIĘ. W TYM SAMYM MOMENCIE DRZWI otworzyły się gwałtownie i wypadła z nich moja Judith.

Na mój widok zamarła. Chwyciłem ją za ramię i wciągnąłem do mojego pokoju. Ogarnęła mnie nagle straszliwa złość.

- CO TO MA ZNACZYĆ? DLACZEGO ODWIEDZASZ TEGO ŁAJDAKA W POKOJU? - POTRZAŚNAŁEM JĄ ramieniem. - Nie pozwalam, rozumiesz?! Nie pozwalam! Czy ty masz źle w głowie?

- Masz sprośne myśli, tato - odpowiedziała Judith głosem cichym i pełnym sarkazmu.

- MAM, RZECZYWIŚCIE MAM. TO JEST NAJCZĘSTSZY ZARZUT, JAKI NAM STAWIA TWOJE POKOLENIE. NO, ALE TRZYMAMY SIĘ NA SZCZĘŚCIE JESZCZE JAKICH TAKICH NORM POSTĘPOWANIA. POSŁUCHAJ MNIE, JUDITH, stanowczo zabraniam ci widywać się z tym człowiekiem.

Przez dłuższą chwilę patrzyła mi prosto w oczy, a potem powiedziała:

- Rozumiem. Doskonale rozumiem.

- Czy możesz zaprzeczyć, że zadurzyłaś się w nim?

- Nie.

- Ale nie masz pojęcia, co to za gagatek. Zresztą, skąd mogłabyś wiedzieć?

OPOWIEDZIAŁEM JEJ NASTĘPNIE, Z LICZNYMI SZCZEGÓLAMI, WSZYSTKO, CZEGO DOWIEDZIAŁEM SIĘ O Allertonie.

- Teraz już chyba wiesz, z kim masz do czynienia - zakończyłem.

JUDITH ZAREAGOWAŁA NA MOJĄ OPOWIEŚĆ CAŁKOWITĄ OBOJĘTNOŚCIĄ. UŚMIECHNĘŁA SIĘ IRONICZNIE I powiedziała:

- Nigdy nie uważałam go za świętego, zapewniam cię.

- MÓJ TY BOŻE, CZY TO MOŻE CI BYĆ ZUPEŁNIE OBOJĘTNE? NIE JESTEŚ CHYBA DO TEGO STOPNIA zdeprawowana?

- Możesz to i tak nazwać, jeżeli chcesz.

- Judith, na litość boską, chyba nie...?

Nie potrafiłem się zdobyć na wyrażenie moich podejrzeń.

- POSŁUCHAJ, TATO. TO GADANIE NA NIC SIĘ NIE ZDA. MAM ZAMIAR POSTĘPOWAĆ, JAK MI SIĘ ŻYWNIE PODOBA. PRZESTAŃ MNĄ KOMENDEROWAĆ. I TAK Z TEGO NIC NIE WYJDZIE. BĘDĘ ŻYŁA TAK, JAK MI WYGODNIE, I tyle. A ty na pewno nie powstrzymasz mnie przed niczym.

Zanim zdążyłem na to zareagować, obróciła się na pięcie i odeszła.

Poczułem, jak nogi uginają się pode mną.

OPADŁEM NA FOTEL. JEST GORZEJ, MYŚLAŁEM, ZNACZNIE GORZEJ, NIŻ MI SIĘ ZDAWAŁO. DZIEWCZYNA JEST PO USZY ZAKOCHANA I NIE MA NIKOGO, KTO MÓGŁBY Z NIĄ POMÓWIĆ. JEDYNA OSOBA, KTÓRA WIEDZIAŁABY, JAK DO NIEJ PODEJŚĆ - JEJ MATKA - LEŻY W GROBIE. CAŁA ODPOWIEDZIALNOŚĆ SPOCZYWA WIĘC NA MOICH barkach.

Nigdy w życiu - ani przedtem, ani potem - nie cierpiałem chyba tak strasznie, jak w tej chwili.

4

PO PEWNYM CZASIE ZMOBILIZOWAŁEM SIĘ, WSTAŁEM, UMYŁEM RĘCE, OGOLIŁEM SIĘ I PRZEBRAŁEM DO KOLACJI. PRZY STOLE ZACHOWYWAŁEM SIĘ CHYBA TAK JAK ZWYKLE. W KAŻDYM RAZIE NIKT NIE ZAUWAŻYŁ mojego przygnębienia.

KILKA RAZY POCZUŁEM NA SOBIE UWAŻNE SPOJRZENIE JUDITH. PRZYPUSZCZAM, ŻE ZASTANAWIAŁA SIĘ, W jaki sposób zdołałem się tak szybko uspokoić.

JEDNAKŻE NIE PRZESTAWAŁEM ANI NA CHWILĘ MYŚLEĆ O JEJ SPRAWIE. I NARASTAŁO WE MNIE ŚMIAŁE postanowienie.

Do wykonania mojego zamiaru potrzebna była odwaga - odwaga i rozwaga.

PO KOLACJI WYSZLIŚMY NA CHWILĘ DO OGRODU. NIEBO ZACIĄGNĘŁO SIĘ, W POWIETRZU WCIAŻ TRWAŁA duchota. Wszyscy marzyliśmy o deszczu i zmianie pogody. Na pewno będzie burza, twierdziły panie.

KĄTEM OKA SPOSTRZEGŁEM JUDITH, ZNIKAJĄCĄ ZA WĘGŁEM. PO CHWILI ALLERTON UDAŁ SIĘ POWOLNYMI krokiem w tym samym kierunku.

Skończyłem szybko rozmowę z Boydem Carringtonem i podążyłem za nimi.

O ILE PAMIĘTAM, NORTON PRÓBOWAŁ MNIE ZATRZYMAĆ. CHWYCIŁ MNIE POD RAMIĘ. ZDAJE SIĘ, ŻE PROPONOWAŁ MI SPACER DO OGRODU RÓŻANEGO. PRZEPROSILEM GO JEDNAKŻE I RUSZYŁEM NAPRZÓD. PAMIĘTAM, że szedł za mną, ale nie zwracałem na niego uwagi.

PO CHWILI ZOBACZYŁEM ICH. TWARZ JUDITH ZWRÓCONĄ KU GÓRZE. POCHYŁONY NAD NIĄ ALLERTON Widziałem, jak bierze ją w ramiona, jak ją całuje.

NIEMAL NATYCHMIAST ODERWALI SIĘ OD SIEBIE. ZROBIŁEM JESZCZE JEDEN KROK NAPRZÓD I WTĘDY Norton chwycił mnie bardzo mocno za ramię i pociągnął z powrotem do domu.

- Nie może pan chyba... - zaczął.

Przerwałem mu.

- Mogę - syknąłem. - Właśnie, że mogę.

- TO NIE MA SENSU, DROGI PANIE. ROZUMIEM, ŻE SPRAWA JEST DLA PANA PRZYKRA, ALE NIC PAN NA TO nie poradzi, niech mi pan wierzy.

Milczałem. Niech mu się tak zdaje. Ja wiedziałem swoje.

- ZNAM TO UCZUCIE - POWIEDZIAŁ NORTON CICHU. - BEZSILNOŚĆ, ZŁOŚĆ. ALE TO NIGDY DO NICZEGO NI PROWADZI. TRZEBA UZNAĆ SIĘ ZA POKONANEGO, I TO MOŻLIWIE JAK NAJSZYBCIEJ. NIECH SIĘ PAN Z TYM pogodzi!

NIE CHCIAŁEM SIĘ Z NIM SPIERAĆ. CZEKAŁEM TYLKO, ŻEBY SIĘ WYGADAŁ. A POTEM WRÓCIŁEM NA TO SAMO MIEJSCE. NIE ZASTAŁEM JUŻ NIKOGO. ALE WIEDZIAŁEM, DOKĄD POSZLI. WIEDZIAŁEM, BO OPODAŁ, ZA kępą bzu, znajdowała się altanka.

Podszedłem pod nią i rzeczywiście usłyszałem głosy. Zatrzymałem się. Mówił Allerton:

- W TAKIM RAZIE, MOJA DROGA, JESTEŚMY UMÓWIENI. PRZESTAŃ SIĘ WRESZCIE UPIERAĆ. POJEDZIESZ JUTRO DO MIASTA. JA OŚWIADCZĘ PO POŁUDNIU, ŻE WYBIERAM SIĘ NA DWA, TRZY DNI DO PRZYJACIELA DO IPSWICH. TY ZADEPESZUJESZ Z LONDYNU, ŻE NIE MOŻESZ WRÓCIĆ PRZED PONIEDZIAŁKIEM. ZJEMY SOBIE U

mnie dobrą kolacyjkę. Zobaczysz, że nie pożałujesz. Przyrzekam ci.

POCZUŁEM, ŻE NORTON CHWYTA MNIE ZA KLAPY MARYNARKI. POTULNIE POZWOLIŁEM SIĘ ODPROWADZIĆ DO DOMU. UDAWAŁEM, ŻE SIĘ BRONIĘ, ALE TYLKO DLATEGO, ŻE PRZED CHWILĄ POWZIĄŁEM DECYZJĘ. Wiedziałem już, co robić.

- PROSZĘ SIĘ O MNIE NIE MARTWIĆ, MÓJ DROGI - POWIEDZIAŁEM DO NORTONA SPOKOJNYM I BARDZO STANOWCZYM TONEM. - NIE ZROBIĘ ŻADNYCH GŁUPSTW. PRZEKONAŁ MNIE PAN. MA PAN RACJĘ. NIC SIĘ TU NIE zwojuje. Nie można komenderować dorosłymi dziećmi. Poddaję się.

Norton odetchnął z ulgą. Śmieszny człowiek.

W KWADRANS PÓŹNIEJ OŚWIADCZYŁEM MU, ŻE MNIE ROZBOLAŁA GŁOWA I ŻE CHCIAŁBYM SIĘ WCZEŚNIE położyć do łóżka.

Na pewno nawet nie podejrzewał, co zamierzam.

5

ZATRZYMAŁEM SIĘ NA CHWILĘ W KORYTARZU. PANOWAŁA ZUPEŁNA CISZA. ANI ŻYWEJ DUSZY. WE WSZYSTKICH POKOJACH ŁÓŻKA ZOSTAŁY JUŻ ROZŚCIELONE. NORTON, KTÓRY RÓWNIEŻ MIESZKAŁ NA MOIM KORYTARZU, BYŁ - JAK WIEDZIAŁEM - NA DOLE. ELIZABETH COLE GRAŁA W BRYDŻA. CURTISS BYŁ NA PEWNO W kuchni na kolacji. Mogłem więc przystąpić do dzieła.

NIE NA PRÓŻNO PRZEPRACOWAŁEM TYLE LAT POD KIERUNKIEM POIROTA, WINSZOWAŁEM SOBIE W DUCHU. Nauczył mnie, jak trzeba się zachowywać w podobnych okolicznościach.

Allerton nie spotka się z Judith w Londynie jutro wieczorem.

Allerton jutro nigdzie nie pojedzie...

Można to było załatwić w śmiesznie prosty sposób.

POSZEDŁEM DO MEGO POKOJU I WZIĄŁEM BUTELECKĘ Z ASPIRYNĄ. NASTĘPNIE UDAŁEM SIĘ DO SYPIALNI ALLERTONA, A POTEM DO JEGO ŁAZIENKI. W MAŁEJ SZAFCE ZNALAZŁEM TABLETKI SLUMBERYLU. OSIEM POWINNO WYSTARCZYĆ, ZDECYDOWAŁEM. NORMALNA DAWKA WYNOŚIŁA JEDNĄ - DWIE TABLETKI. SAM ALLERTON POWIEDZIAŁ, ŻE TOKSYCZNOŚĆ TEGO LEKU JEST BARDZO SILNA. NA NALEPCE WIDNIAŁ NAPIS: „PRZEKROCZENIE zalecanej dawki jest groźne dla życia”.

Uśmiechnąłem się do siebie.

OWINAŁEM RĘKĘ JEDWABNĄ CHUSTECZKĄ DO NOSA, ZDJAŁEM ZAKRĘTKĘ Z BUTELECKI I OPRÓŻNIŁEM JĄ. PRZYJRZAŁEM SIĘ TABLETKOM. WYGLĄDAŁY IDENTYCZNIE JAK ASPIRYNA. WSYPAŁEM NA DNO BUTELECKI OSIEI

ASPIRYN I WYPEŁNIŁEM JĄ SLUMBERYLEM. POZOSTAŁO MI OSIEM SZTUK. BUTELEczKA WYGLĄDAŁA TERA dokładnie tak jak przedtem. Allerton nie zauważy różnicy.

NASTĘPNIE POWRÓCIŁEM DO SIEBIE. W SZAFIE TRZYMAŁEM BUTELKĘ WHISKY. PRAWIE WSZYSCY mieszkańcy pensjonatu mieli ten zwyczaj. Ustawiłem na tacy syfon i dwie szklanki.

BYŁEM PEWIEN, ŻE ALLERTON JESZCZE W ŻYCIU NIE ODMÓWIŁ NIKOMU, KTO PROPONOWAŁ MU DRINKA. Jak przyjdzie na górę, zaproszę go do siebie na jednego.

ROZPUŚCIŁEM JEDNĄ TABLETKĘ W ODROBINIE WHISKY. WZIĄŁEM MAŁY ŁYK TEJ MIKSTURY. TROCHĘ MOŻE GORZKIE, ALE BYNAJMNIEJ NIE PODEJRZANE. PLAN MÓJ BYŁ TAKI: KIEDY USŁYSZĘ KROKI ALLERTONA, NALEJĘ SOBI WHISKY DO SZKLANKI. ZAPROSZĘ GO DO SIEBIE, WRĘCZĘ MU MOJĄ SZKLANKĘ, A SOBIE NALEJĘ DRUGĄ. RZECZ cała wydała mi się nad wyraz łatwa i prosta.

NIE MÓGŁ MIEĆ ZIELONEGO POJĘCIA O MOICH UCZUCIACH - CHYBA ŻE JUDITH MU COŚ POWIEDZIAŁA. ZASTANAWIAŁEM SIĘ PRZEZ CHWILĘ NAD TAKĄ EWENTUALNOŚCIĄ, ALE DOSZEDŁEM DO WNIOSKU, ŻE NIE MA SIĘ czego obawiać. Judith z zasady nie udzielała informacji dobrowolnie.

Najprawdopodobniej nie przyjdzie mu nawet do głowy, że ich o cokolwiek posądzam.

NIE POZOSTAWAŁO MI NIC INNEGO, JAK CZEKAĆ. WIEDZIAŁEM, ŻE TO MOŻE POTRWAĆ GODZINĘ, A MOŻE I dwie, bo Allerton był nocnym markiem.

Siedziałem więc i czekałem.

Zbudziło mnie stukanie do drzwi. Był to jednakże tylko Curtiss, którego przysłał Poirot.

Z PRZYKROŚCIĄ UPRZYTOMNIŁEM SOBIE, ŻE ANI RAZU O NIM NIE POMYŚLAŁEM PRZEZ CAŁY TEN WIECZÓR. MUSIAŁ SIĘ ZAPEWNE ZASTANAWIAĆ, TO SIĘ ZE MNĄ DZIEJE. SPESZYŁEM SIĘ. PRZEDE WSZYSTKIM DLATEGO, ŻE go zaniedbałem, ale nie chciałem też, żeby nabrał podejrzeń.

Podążyłem więc za Curtissem.

- Eh bien! - zawołał Poirot na mój widok. - A więc opuściłeś mnie, hein?

Ziewnąłem przeciągle i uśmiechnąłem się.

- PRZYKRO MI, MÓJ DROGI - POWIEDZIAŁEM - ALE SZCZERZE MÓWIĄC, MAM FATALNY BÓL GŁOWY I LEDWO WIDZĘ NA OCZY. CHYBA ZBIERA SIĘ NA BURZĘ, CZY CO? JESTEM TAK SKOŁOWANY, ŻE NAWET ZAPOMNIAŁEM przyjść do ciebie na dobranoc.

POIROT - TAK JAK SIĘ SPODZIEWAŁEM - NATYCHMIAST ZANIEPKOILI SIĘ STANEM MOJEGO ZDROWIA I ZACZAŁ MI PROPONOWAĆ NAJROZMAITSZE LEKI. JAK ZWYKLE, OKAZYWAŁ PRZESADNĄ TROSKLIWOŚĆ. OSKARŻYŁ MNIE O TO, ŻE SIEDZIAŁEM W OGRODZIE, I TO NA PEWNO W PRZECIĄGU. (W NAJUPALNIEJSZY DZIEŃ LATA!) ODMÓWIŁEM WZIĘCIA ASPIRYNY, TŁUMACZĄC, ŻE ZAŻYŁEM JUŻ DWIE TABLETKI, ALE MUSIAŁEM SIĘ, CHCĄC NIE chcąc, zgodzić na wypicie filiżanki mocno słodzonej czekolady.

- To uspokaja nerwy - tłumaczył mi Poirot.

WYPIŁEM TEN WSTRĘTNY NAPÓJ, GDYŻ WOLAŁEM NIE WDAWAĆ SIĘ Z NIM W DYSKUSJĘ, ŻYCZYŁEM MU dobrej nocy i oddaliłem się przy akompaniamencie czułych i pełnych troski słów przyjaciela.

WRÓCIŁEM DO MOJEGO POKOJU I OSTENTACYJNIE ZAMKNAŁEM DRZWI. NIECO PÓŹNIEJ UCHYLIŁEM JE. Po to, oczywiście, by słyszeć kroki nadchodzącego Allertona.

Siedziałem więc i czekałem. Myślami byłem przy zmarłej żonie.

- Ty mnie na pewno rozumiesz, kochanie - szepnąłem. - Nie bój się, uratuję ją.

Powierzyła mi opiekę nad Judith. Nie mogę jej zawieść.

Było cicho i ciemno i nagle wydało mi się, że czuję obecność mojej drogiej Cinderelli.

Zacisnąłem zęby z jeszcze większą determinacją.

ROZDZIAŁ XIII

1

JEST RZECZĄ NIEWĄTPLIWĄ, ŻE OPISYWANIE PONIESIONYCH KŁĘSK NIE NALEŻY DO NAJWIĘKSZYCH przyjemności. To zabieg zabójczy dla naszej miłości własnej.

Albowiem, co tu ukrywać, kiedy tak siedziałem i czekałem na Allertona - usnąłem!

NIE NALEŻY SIĘ TEMU ZBYTNIO DZIWIĆ, PONIEWAŻ, SZCZERZE MÓWIĄC, POPRZEDNIEJ NOCY PRAWIE NIE ZMRUŻYŁEM OKA, A NIEMAL CAŁY W CZORAJSZY DZIEŃ SPĘDZIŁEM NA ŚWIEŻYM POWIETRZU. BYŁEM WYCZERPANY NĘKAJĄCĄ MNIE TROSKĄ O JUDITH I NAPIĘCIEM, W KTÓRYM PRZYSZŁO MI ŻYĆ OD KILKU DNI. NIE NALEŻY TEŻ ZAPOMINAĆ O TYM, ŻE POGODA BYŁA NIEZNOŚNA, ŻE NIEUSTANNIE ZBIERAŁO SIĘ NA BURZĘ. WYSIŁEK PRZY koncentracji myśli, do której zmuszały mnie okoliczności, też widać zrobił swoje.

NO I ZMORZYŁ MNIE SEN. USNAŁEM, SIEDZĄC W FOTELU, A KIEDY SIĘ OBUDZIŁEM, POD MOIMI OKNAMI ĆWIERKAŁY W NAJLEPSZE PTASZKI, SŁOŃCE STAŁO JUŻ DOŚĆ WYSOKO NA NIEBIE, A JA ZSUNAŁEM SIĘ NIEMAL NA podłogę. W ustach miałem straszny niesmak. A na sobie smoking.

OGARNEŁO MNIE UCZUCIE WSTRĘTU, ZDUMIENIA, POTEM ROZCZAROWANIA, ALE NA KONIEC POCZUŁEM SIĘ lepiej.

NIE WIEM, KTO WYMYŚLIŁ PORZEKADŁO „CO WIECZÓR SMAKUJE, TO RANO BIESOWI SIĘ GODZI”, ALE MIAŁ NIEWĄTPLIWIE RACJĘ. W TEJ CHWILI WIDZIAŁEM JASNO I WYRAŹNIE, ŻE MOJE W CZORAJSZY PLANY BYŁY ZUPEŁNIE BEZSENSOWNE, PO PROSTU PŁODY ZBYT ROZHUŚTANEJ WYOBRAŹNI. PODDAŁEM SIĘ MELODRAMATYCZNEMU NASTROJOWI, STRACIŁEM WIDĄC WSZELKIE POCZUCIE PROPORCJI. BO PRZECIEŻ zamierzałem z zimną krwią zabić człowieka.

WZROK MÓJ SPOCZAŁ NA SZKLANCE WHISKY, STOJĄCEJ PRZED MĄ NA STOLIKU. WZDRYGNĄŁEM SIĘ WSTAŁEM, ODSUNĄŁEM ROLETY I WYLAŁEM CAŁĄ ZAWARTOŚĆ SZKLANKI PRZEZ OKNO. CZYŻBYM W CZORAJ ROZU stracił?

OGOLIŁEM SIĘ, WZIĄŁEM KĄPIEL I UBRAŁEM SIĘ. POCZUŁEM SIĘ OD RAZU LEPIEJ I POWĘDROWAŁEM PROSTO DO POIROTA. WIDZIAŁEM, ŻE MÓJ PRZYJACIEL BUDZI SIĘ BARDZO WCZEŚNIE. USIADŁEM PRZY JEGO łóżku i wyznałem mu wszystko.

Muszę stwierdzić, że przyniosło mi to wielką ulgę.

Pokiwał głową nad moją głupotą.

- Cóż to za pomysły - powiedział. - Cieszę się, że wyznałeś mi swoje grzechy. Ale powiedz mi, przyjacielu, dlaczego nie zwierzyłeś mi się wczorajszej nocy?

- Bałem się zapewne, że zechcesz mnie powstrzymać od mojego zamiaru.

- Z całą pewnością. Czy wyobrażasz sobie, że dopuściłbym do tego, żebyś zawisł na szubienicy z powodu takiej kreatury jak major Allerton?

- Zapewniam cię, że nie zostałbym przyłapany. Przedsięwzięłem wszelkie środki ostrożności.

- TAK SĄDZĄ WSZYSCY MORDERCY. KIEROWAŁEŚ SIĘ TYPOWYM ROZUMOWANIEM POTENCJALNEGO przestępcy. Ale widzisz, mon ami, zdawało ci się jedynie, że jesteś taki przebiegły.

- Skądże, byłem naprawdę niezwykle ostrożny. Wytarłem moje odciski palców z buteleczki.

- OCZYWIŚCIE. I JEDNOCZEŚNIE ODCISKI PALCÓW ALLERTONA. WYOBRAŻMY SOBIE, ŻE ZNAJDUJĄ JEGO ZWŁOKI. I CO SIĘ DZIEJE? SEKCJA WYKAZUJE, ŻE ZMARŁ NA SKUTEK SILNEJ DAWKI SLUMBERYLU. NARZUCA SIĘ PYTANIE, CZY ŚMIERĆ BYŁA UMYŚLNA, CZY PRZYPADKOWA. Tiens, NA BUTELECZCE NIE MA ODCISKÓW PALCÓW DENATA. A DLACZEGO? GDYBY TO BYŁ WYPADEK, WZGLĘDNIE SAMOBÓJSTWO, NIE USUNĄŁBY ICH Z CAŁĄ PEWNOŚCIĄ. ANALIZA POZOSTAŁYCH W BUTELECZCE TABLETEK WYKAZUJE, ŻE NIEMAL POŁOWA Z NICH TO aspiryna.

- No cóż - broniłem się niezbyt energicznie - prawie każdy człowiek ma zapas aspiryny.

- ALE NIE KAŻDY MA CÓRKĘ, O KTÓREJ WIADOMO, ŻE JEST PRZEDMIOTEM USILNYCH I NIEDWUZNACZNYCH ZABIEGÓW MAJORA - ŻE WYRAŻĘ SIĘ W SPOSÓB RACZEJ STAROSWIECKI I MELODRAMATYCZNY. WIADOMO, ŻE W DNIU POPRZEDZAJĄCYM JEGO ŚMIERĆ POKŁÓCIŁEŚ SIĘ Z JUDITH WŁAŚNIE NA JEGO TEMAT. DWAJ LUDZIE - BOYD CARRINGTON I NORTON - ZEZNAJĄ POD PRZYSIĘGĄ, ŻE ŻYWISZ WOBEC NIEGO NIEZBYT PRZYJAZNE UCZUCIA. NIE, HASTINGS, TO NIE WYGLĄDA ZA DOBRZE. UWAGA ORGANÓW ŚLED CZYCH SKIEROWAŁABY SIĘ NIECHYBNI NA CIEBIE, PRZY CZYM BYŁBYŚ JUŻ W FATALNYM STANIE NERWÓW - A MOŻE ODCZUWAŁBYŚ NAWET SKRUCHE - WYTRAWNY WIĘC I DOŚWIADCZONY INSPEKTOR POLICJI Z CAŁĄ PEWNOŚCIĄ WYWNIOSKOWAŁBY, ŻE JESTEŚ WINOWAJCĄ. POZA TYM NIE JEST WYKLUCZONE, ŻE KTOŚ CIĘ WIDZIAŁ, JAK PRZESYPYWAŁEŚ TABLETKI Z JEDNEJ buteleczki do drugiej.

- Ależ skąd! To niemożliwe!

- NIE ZAPOMINAJ, ŻE ZA OKNAMI ŁAZIENKI ALLERTONA JEST BALKON. SKĄD WIESZ, ŻE NIKT NA NIM NIE stał, a poza tym ktoś mógł ci się przyglądać przez dziurkę od klucza.

- POIROT, DZIURKI OD KLUCZA RZUCIŁY CI SIĘ CHYBA NA MÓZG. ZAPEWNIAM CIĘ, ŻE LUDZIE NIE SPĘDZAJĄ dni na podglądaniu swoich bliźnich.

Poirot przymknął zmęczone oczy i odparł słabym głosem, że zawsze byłem zbyt dobrego zdania o moich bliźnich.

- POZWÓL MOŻE, ŻE CI JESZCZE COŚ POWIEM - OŻYWIŁ SIĘ PO CHWILI. - W TYM DOMU DZIEJĄ SIĘ BARDZO DZIWNE RZECZY Z KLUCZAMI. JEŚLI CHODZI O MNIE, TO ZAWSZE LUBIŁEM ZAMYKAĆ SIĘ NA NOC OD ŚRODKA. ROBIĘ TO NAWET TERAZ, KIEDY W DRUGIM POKOJU SYPIA POCZCIWY CURTISS. NO I WKRÓTCE PO MOIM przyjeździe zginął klucz od moich drzwi, i to bez śladu. Byłem zmuszony dorobić drugi.

- NO, NA SZCZĘŚCIE SKOŃCZYŁO SIĘ DOBRZE - WESTCHNAŁEM, IGNORUJĄC OPowieść POIROTA O KLUCZU ODETCHNAŁEM RAZ JESZCZE GŁĘBOKO I Z ULGĄ. - AŻ STRACH POMYŚLEĆ, ŻE CZŁOWIEK MOŻE SIĘ SAM

DOPROWADZIĆ DO TAKIEGO STANU. POIROT, POSŁUCHAJ, CZY WYDAJE CI SIĘ MOŻLIWE - TU ZNIŻYŁEM GŁOS - ŻE tamto morderstwo sprzed lat zakaziło atmosferę tego domu?

- Wirus gwałtownej śmierci? Czy ja wiem? Pomysł jest nawet interesujący.

- NIEKTÓRE DOMY MAJĄ WŁASNĄ ATMOSFERĘ - ZAMYŚLIŁEM SIĘ. - A TEN DOM MA W DODATKU BARDZO ponurą przeszłość.

Poirot skinął głową.

- O TAK. MIESZKALI W NIM LUDZIE, KTÓRZY USILNIE ŻYCZYLI ŚMIERCI KILKU SWOIM BLIŹNIM. TO prawda.

- WIESZ, WYDAJE MI SIĘ, ŻE TEN NASTRÓJ SIĘ UDZIELA. A TERAZ PROSZĘ CIĘ, PORADŹ MI. CO ROBIĆ? MAM NA MYŚLI JUDITH I TEGO OBRZYDLIWEGO ALLERTONA. TO ZNACZY, JAK POWSTRZYMAĆ DALSZY ROZWÓJ TEN romansu. Czy sądzisz, że mógłbym jakoś wpłynąć na to?

- Nie rób nic - powiedział Poirot z naciskiem.

- Kiedy...

- Radzę ci szczerze. Nie rób nic. To najlepsze wyjście.

- A gdybym tak rozmówił się z Allertonem?

- Co mu powiesz? Judith skończyła dwadzieścia jeden lat i może robić, co jej się podoba.

- Ale przecież można by coś...

Poirot znowu przerwał mi w pół słowa.

- NIE, HASTINGS. WYBIJ SOBIE Z GŁOWY, ŻE UDA CI SIĘ PRZEKONAĆ KTÓREKOLWIEK Z NICH O TWOJEJ RACJI. ALLERTON PRYZWYCZAŁ SIĘ DO ROZMÓW ZE ZDENERWOWANYMI I BEZRADNYMI OJCAMI, I PRAWDOPODOBNIENIE KPI SOBIE Z NICH. A JUDITH NIE JEST DZIEWCZYNA, KTÓRĄ ŁATWO NASTRASZYĆ. RADZĘ CI - JEŻELI MI W OGÓLE WOLNO RADZIĆ - ŻEBYŚ ZROBIŁ RZECZ WRĘCZ ODWROTNA. NA TWOIM MIEJSCU ZAUFALBYM jej.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

- JUDITH TO ISTOTA ULEPIONA Z BARDZO SZLACHETNEJ GLINY. PODZIWIAM JĄ - POWIEDZIAŁ POIROT namaszczaniem.

- Ja też ją podziwiam - odparłem nieco drżącym głosem. - Ale jednocześnie boję się o nią.

Poirot podniósł głowę w przyływie naglej energii.

- JA TEŻ SIĘ O NIĄ BOJĘ - PRYZNAŁ - ALE Z ZUPEŁNIE INNYCH POWODÓW. BOJĘ SIĘ, I TO BARDZO. A NA

DODATEK JESTEM BEZSILNY. A RACZEJ PRAWIE BEZSILNY. A TYMCZASEM CZAS PŁYNIE. NIEBEZPIECZEŃSTWO czyha, Hastings, czyha i jest coraz bliższe.

2

O TYM, ŻE NIEBEZPIECZEŃSTWO JEST BLISKIE, WIEDZIAŁEM RÓWNIIE DOBRZE JAK POIROT, MOŻE NAWET lepiej, bo to w końcu ja podsłuchałem poprzedniego wieczoru rozmowę tych dwojga.

MIMO TO, SCHODZĄC NA ŚNIADANIE, ZASTANAWIAŁEM SIĘ INTENSYWNIE NAD SŁOWAMI POIROTA, ŻE „NA moim miejscu zaufałyby Judith”.

NIE SPODZIEWAŁEM SIĘ TAKIEJ RADY, ALE - PRAWDĘ MÓWIĄC - DODAŁA MI OTUCHY. NA DODATEK ZOSTAŁA NIEMAL NATYCHMIASTPOTWIERDZONA PRZEZ ŻYCIE. ALBOWIEM JUDITH Z NIEWIADOMYCH POWODÓW zmieniła swoje zamiary i widać postanowiła nie jechać do Londynu.

UDAŁA SIĘ NATOMIAST PO ŚNIADANIU, JAK CO DZIEŃ, Z FRANKLINEM DO LABORATORIUM, I Z TONU, JAKIM rozmawiali ze sobą, można było wnosić, że czeka ich intensywna i ciekawa praca.

Ogarnęło mnie uczucie wielkiej wdzięczności. LOS BYŁ DLA NIE ŁASKAWY. JAKIŻ SZALONY, JAKIŻ NIEOBLICZALNY BYŁEM WCZORAJSZEGO WIECZORU! DZIAŁAŁEM W PEŁNYM PRZEKONANIU, ŻE JUDITH ULEGŁA NAMOWOM ALLERTONA. ALE, ZASTANAWIAŁEM SIĘ TERAZ, PRZECIEŻ W GRUNCIE RZECZY I WCZORAJ NIE MIAŁEM ŻADNYCH KONKRETNÝCH DOWODÓW. O NIE, JUDITH BYŁA ZBYT MĄDRA, ZBYT DELIKATNA I WRAŻLIWA NA TO, ŻEBY ulec takiemu człowiekowi jak Allerton. Nie zgodziła się na londyńskie rendez-vous.

OKAZAŁO SIĘ, ŻE ALLERTON ZJADŁ WCZEŚNIE ŚNIADANIE I JUŻ ODJECHAŁ DO IPSWICH. INNYMI SŁOWY, POSTĄPIŁ ZGODNIE Z PLANEM I PRAWDOPODOBNIE W PEŁNYM PRZEKONANIU, ŻE JUDITH PO POŁUDNIU WYRUSZY do Londynu.

No cóż, myślałem z satysfakcją, pan major będzie rozczarowany.

W JADALNI ZJAWIŁ SIĘ BOYD CARRINGTON I ZAUWAŻYŁ RACZEJ USZCZYPLIWIE, ŻE MAM DZIWNIE zadowoloną minę.

- Owszem - uśmiechnąłem się - miałem dobre wiadomości.

OZNAJMIŁ, ŻE JEŻELI CHODZI O NIEGO, TO SPRAWY MAJĄ SIĘ WRĘCZ ODWROTNIE. PRZED CHWILĄ ZATELEFONOWAŁ DO NIEGO ARCHYTEKT, ŻE SĄ TRUDNOŚCI Z MATERIAŁAMI BUDOWLANÝMI I Z MIEJSCOWÝM PRZEDSIĘBIORSTWEM INSTALACYJNYM. POCZTA TEŻ NIE PRZYNIOSŁA DOBRYCH NOWIN. A POZA TYM OBAWIAŁ SIĘ, że wczorajsza wycieczka do miasta zaszkoziła zdrowiu pani Franklin.

PANI FRANKLIN RZECZYWIŚCIE ODRABIAŁA Z NAWIĄZKĄ KRÓTKI OKRES LEPSZEGO SAMOPOCZUCIA. JEJ PIELĘGNIARKA, SIOSTRA CRAVEN, POTWIERDZIŁA TO, DODAJĄC, ŻE PACJENTKA DAJE JEJ SIĘ OD WCZORAJ DOBRZY we znaki.

SIOSTRA CRAVEN MUSIAŁA ZREZYGNOWAĆ Z WOLNEGO DNIA, MIMO ŻE UMÓWIŁA SIĘ Z PRZYJACIÓŁMI, I NAJWYRAŹNIEJ NIE BYŁO JEJ TO W SMAK. OD WCZESNEGO RANA PANI FRANKLIN GONIŁA JĄ PO SOLE TRZEŹWIĄCE PO WORKI Z GORĄCĄ WODĄ, PO NAJROZMAITSZE NAPOJE I LEKI I NIE ZGADZAŁA SIĘ NAWET NA TO, ŻEBY JEJ OPIEKUNKA NA CHWILĘ ODDALIŁA SIĘ Z POKOJU. TWIERDZIŁA, ŻE CIERPI NA NERWOBÓLE, ŻE GNIECIE JĄ W OKOLICY SERCA, ŻE MA SKURCZE W NOGACH, DRESZCZE I BÓG WIE, CO JESZCZE.

SZCZERZE MÓWIĄC, NIKT NIE PRZEJMOWAŁ SIĘ ZBYTNIO TYMI JEJ DOLEGLIWOŚCIAMI. PANOWAŁO OGÓLNE przekonanie, że pani Franklin ma duże skłonności do hipochondrii.

Siostra Craven i doktor Franklin też tak myśleli.

DOKTOR ZOSTAŁ WKRÓTCE WYWOŁANY PRZEZ ŻONĘ Z LABORATORIUM. WYSLUCHAŁ JEJ SKARG, ZAPYTAŁ, ŻYCZYŁABY SOBIE, ŻEBY ZBADAŁ JĄ MIEJSCOWY LEKARZ (CO ZOSTAŁO STANOWCZO ODRZUCONE), PODAŁ JEJ JAKĄS miksturkę, porozmawiał z nią uspokajająco i powrócił do pracy.

- DOSKONALE WIE, ŻE ONA UDAJE - POWIEDZIAŁA SIOSTRA CRAVEN, KIEDY ZNALEŻLIŚMY SIĘ NA CHWILĘ sami.

- Pani jest przekonana, że nic poważnego jej nie dolega?

- MA NORMALNĄ TEMPERATURĘ, DOBRY PULS. MOIM ZDANIEM, ONA SIĘ PO PROSTU PIEŚCI. - SIOSTRA CRAVEN BYŁA ZŁA, A WIĘC SKŁONNA DO WIĘKSZEJ SZCZEROŚCI NIŻ ZAZWYCZAJ. - TA KOBIETA LUBI PSUĆ INNYM ZABAWĘ. DAŻY DO TEGO, ŻEBY MAŻ ZAJMOWAŁ SIĘ WYŁĄCZNIE JEJ ZDROWIEM, A JA ŻEBYM BIEGAŁA CIĄGLE DOKOŁA JEJ ŁOŻA BOLEŚCI. NAWET SIR WILLIAM ZOSTAŁ DOPROWADZONY DO TEGO, ŻE CZUJE SIĘ JAK „BRUTAŁ” ponieważ pozwolił, żeby się wczoraj przemęczyła. Takiej pacjentki to ja jeszcze nie miałam.

SIOSTRA CRAVEN ZOSTAŁA WIDAĆ DZISIAJ RZECZYWIŚCIE WYPROWADZONA Z RÓWNOWAGI. PANI FRANKLIN WYRAŹNIE PRZEHOŁOWAŁA. POMYŚLAŁEM SOBIE, ŻE SŁUŻBA NIEMALŻE INSTYKNTOWNIE NIENAWIDZI KOBIET TEGO pokroju, i to nie dlatego, że mają zbyt wielkie wymagania, ale po prostu ponieważ źle traktują ludzi.

Tak więc, jak już wspomniałem, żadne z nas nie brało jej dolegliwości na serio.

JEDYNYM WYJĄTKIEM BYŁ BOYD CARRINGTON, KTÓRY SNUL SIĘ PO DOMU Z OPUSZCZONĄ GŁOWĄ, JA skarcony uczeń.

IŁEŻ TO RAZY OD TEGO CZASU ROZTRZAŚAŁEM WYPADKI TAMTEGO DNIA, USIŁUJĄC PRZYPOMNIEĆ SOBIE KAŻDY NAJDROBNIJSZY SZCZEGÓŁ, KAŻDY GEST, KAŻDE SŁOWO WYPOWIEDZIANE PRZEZ MOICH WSPÓLTOWARZYSZY. CHCIAŁEM SOBIE UPRZYTOMNIĆ, CZY KTÓREŚ Z NICH ZACHOWYWAŁO SIĘ INACZEJ NIŻ zwykle, czy wykazywało objawy zdenerwowania.

Chciałbym raz jeszcze przekazać wszystko, co pamiętam.

BOYD CARRINGTON, JAK JUŻ WSPOMNIAŁEM, MIAŁ WYGLĄD CZŁOWIEKA SKŁOPOTANEGO I TRAPIONEG WYRZUTAMI SUMIENIA. ZARZUCAŁ SOBIE ZAPEWNE, ŻE POPRZEDNIEGO DNIA DAŁ SIĘ PONIEŚĆ TEMPERAMENTOWI I ZAPOMNIAŁ O DELIKATNYM ZDROWIU PANI FRANKLIN. KILKAKROTNIENIE UDAWAŁ SIĘ NA GÓRĘ I WYPYTYWAŁ PIEŁĘGNIARKĘ, MIMO ŻE TA ODPOWIADAŁA MU KRÓTKO I OPRYSKLIWIE. POSZEDŁ NAWET DO WIOSKI PO bombonierkę. Została mu jednak zwrócona. „Pani Franklin nie cierpi czekoladek”.

ZJAWIŁ SIĘ WIĘC Z BOMBONIERKĄ W PALARNI, GDZIE SIEDZIAŁEM Z NORTONEM, I POCZĘSTOWAŁ NAS uroczyście.

WYDAJE MI SIĘ TERAZ, ŻE TEGO PRZEDPOŁUDNIA NORTON BYŁ BARDZIEJ NIŻ ZAZWYCZAJ ZAMYŚLONY. OI czasu do czasu marszczył czoło, jak gdyby się nad czymś intensywnie zastanawiał.

Bardzo lubił słodczyce, bo niemal automatycznie jadł czekoladkę za czekoladką.

NASTĄPIŁA WRESZCIE ZMIANA POGODY. LAŁO JAK Z CEBRA. DESZCZOWE DNI ZWYKLE NIOSĄ ZE SOBĄ melancholijny nastrój, ale dzisiaj wszyscy byli odprężeni.

CURTISS ZNIÓSŁ POIROTA NA DÓŁ GDZIEŚ OKOŁO POŁUDNIA I USADOWIŁ GO WYGODNIE W SALONI WKRÓTCE PRZYŁĄCZYŁA SIĘ DO NIEGO ELIZABETH COLE, SIADŁA DO PIANINA I ZACZEŁA GRAĆ BACHA I MOZARTA, ulubionych kompozytorów mojego przyjaciela.

FRANKLIN I JUDITH WRÓCILI Z LABORATORIUM MNIEJ WIĘCEJ KWADRANS PO DWUNASTEJ. JUDITH BYŁA BLADA I ZMĘCZONA. PRZEZ CHWILĘ STAŁA, ROZGLĄDAJĄC SIĘ TROCHĘ NIEPRZYTOMNYM WZROKIEM, A POTEM POSZŁA DO SIEBIE. FRANKLIN PRZYSIADŁ SIĘ DO NAS. I ON MIAŁ WYGLĄD CZŁOWIEKA WYCZERPANEGO, zatroskanego i bardzo napiętego.

Powiedziałem coś na temat gwałtownej zmiany pogody, na co odparł:

- Tak, tak, jak coś za długo trwa, to w końcu musi pęknąć...

NIE WIEM DLACZEGO, ALE ODNIOSŁEM NIEJASNE WRAŻENIE, ŻE NIE CHODZI MU TYLKO O POGODĘ. ZROBIŁ - JAK TO ON - NIEZRĘCZNY RUCH I BOMBONIERKA SPADŁA NA PODŁOGĘ. PRZESTRASZYŁ SIĘ I... PRZEPROSIŁ bombonierkę.

- Przepraszam najmocniej...

EFEKT POWINIEN BYŁ BYĆ ŚMIESZNY, ALE - NIE WIADOMO DLACZEGO - NIE BYŁ. FRANKLIN NACHYLIŁ SIĘ I pośpiesznie zaczął zbierać rozsypane czekoladki.

Norton zapytał go, czy ma jakieś trudności w pracy.

Wtedy Franklin uśmiechnął się żywym, chłopięcym, promiennym niemal uśmiechem.

- O NIE - ZAWOŁAŁ - WCALE NIE! ALE WIDZI PAN, ZORIENTOWAŁEM SIĘ WŁAŚNIE DZISIAJ, ŻE OD MIESIĘCY IDĘ FAŁSZYWYM TROPEM. ŻE MOŻNA ZASTOSOWAĆ METODĘ ZNACZNIE PROSTSZĄ. I BARDZIEJ skuteczną.

WSTAŁ, ZAMYŚLIŁ SIĘ, A POTEM - Z OCZAMI WBITYMI W JAKIŚ ODLEGŁY PUNKT - POWTÓRZYŁ GŁOSEM cichym, ale stanowczym:

- Krótszą i skuteczniejszą.

CHOĆ PRZEZ CAŁE PRZEDPOŁUDNIE WSZYSCY BYLI RACZEJ PODENERWOWANI I ZAGUBIENI, TO POPOŁUDNIE PRZEBIEGŁO NIESPODZIEWANIE PRZYJEMNIE. NA NIEBIE POKAZAŁO SIĘ SŁOŃCE, POWIETRZE STAŁO SIĘ CHŁODNE I RZEŚKIE. SPROWADZONO NA WERANDE PANIĄ LUTTRELL I USADOWIONO JĄ W WYGODNYM FOTELU. BYŁA W DOSKONAŁEJ FORMIE - ROZTACZAŁA SVOJE UROKI ZE ZNACZNIE MNIEJSZĄ EMFAZĄ NIŻ ZAZWYCZAJ I BYŁA STANOWCZO ZNACZNIE MNIEJ USZCZYPLIWA. WPRAWDZIE STROFOWAŁA, JAK TO ONA, MEŻA, ALE Z WIDOCZNĄ SYMPATIA, CO DOSKONALE NA NIEGO DZIAŁAŁO. AŻ MIŁO BYŁO POPATRZEĆ NA TĘ ZAPRZYJAŻNIONĄ ZE SOBĄ W gruncie rzeczy parę.

POIROT TAKŻE KAZAŁ SIĘ WYNIĘĆ NA POWIETRZE I BYŁ W DOSKONAŁYM NASTROJU. I JEMU WIDOK MAŁŻEŃSTWA LUTTRELLÓW SPRAWIAŁ PRZYJEMNOŚĆ. PUŁKOWNIK LUTTRELL JAKBY ODMŁODNIAŁ O KILKA LAT. ZNACZNIE BARDZIEJ PEWNY SIEBIE I ZNACZNIE RZADZIEJ SKUBAŁ WĄSY. ZAPROPONOWAŁ NAM NAWET PARTIĘ brydża na wieczór.

- Daisy, stęskniłem się za małym brydżykiem - oświadczył.

- Jeszcze jak! - dodała jego żona.

Norton zapytał, czy nie byłoby to dla niej zbyt wyczerpujące.

- ZAGRAM TYLKO JEDNEGO ROBRA - POWIEDZIAŁA PANI LUTTRELL I DORZUCIŁA Z FIGLARNYM BŁYSKIEM oku: - I przyrzekam, że nie będę się złościła na mojego biednego George'a.

- Ależ, kochanie - protestował pułkownik. - Przecież wiem, że jestem fatalnym graczem.

- NO I DOBRZE - ROZEŚMIAŁA SIĘ PANI LUTTRELL. - PRZYNAJMNIEJ BĘDĘ MIAŁA OKAZJĘ, ABY CI DOKUCZYĆ i ponaigrawać się z ciebie.

Rozśmieszyło nas to, a pani Luttrell dodała:

- O TAK, ZNAM SWOJE WADY, ALE TRUDNO, JESTEM ZA STARA NA TO, ŻEBY SIĘ ZMIENIĆ. GEORGE BĘDZIE musiał się już męczyć ze mną do grobowej deski.

Pułkownik Luttrell patrzył na żonę wzrokiem pełnym czułości.

SĄDZĘ, ŻE WIDOK TYCH DWOJGA POGODZONYCH ZE SOBĄ STARYCH LUDZI NAPROWADZIŁ ROZMOWĘ NA zagadnienie małżeństwa i rozwodu.

CZY OBECNE UŁATWIENIA W OTRZYMANIU ROZWODU SĄ SŁUSZNE, CZY TEŻ LEPIJ BYŁO, KIEDY - MIMO CHWILOWYCH TARĆ CZY NIEPOROZUMIEŃ - TRZEBA BYŁO SOBIE RADZIĆ WE DWOJE. JAKŻE CZĘSTO WYGASŁE uczucia powracają albo przekształcają się w przyjaźń. Taki był temat naszych rozważań.

IŁE TO RAZY ZAOBSERWOWAŁEM, ŻE POGLĄDY LUDZI BYWAJĄ CAŁKOWICIE SPRZECZNE Z ICH OSOBISTYM życiem.

MOJE MAŁŻEŃSTWO BYŁO NIEZWYKLE SZCZĘŚLIWE. MAM RACZEJ KONSERWATYWNE POGLĄDY, A MIMO TO

JESTEM ZWOLENNIKIEM STOSUNKOWO ŁATWYCH ROZWODÓW. UWAŻAM, ŻE TO DAJE SZANSE UNIKNIĘCIA PEŁNEGO BANKRUCTWA ŻYCIOWEGO I STWORZENIA SOBIE NOWEJ EGZYSTENCJI. BOYD CARRINGTON, KTÓREGO MAŁŻEŃSTWO BYŁO KATASTROFALNE, STAŁ NA STANOWISKU NIEROZERWALNOŚCI WIĘZÓW MAŁŻEŃSKICH. ŻYWIŁ GŁĘBOKI SZACUNEK DLA TEJ INSTYTUCJI, JEST ONA BOWIEM PODSTAWOWĄ KOMÓRKĄ SPOŁECZEŃSTWA.

NORTON, KTÓRY NIGDY NIE BYŁ ŻONATY, STANAŁ PO MOJEJ STRONIE. FRANKLIN - NOWOCZESNY NAUKOWIEC BYŁ, KU MOJEMU ZDUMIENIU, STANOWCZYM PRZECIWNIKIEM ROZWODU. TAKIE MIAŁ WIDAĆ ZASADY ŻYCIOWE. CZŁOWIEK, KTÓRY BIERZE NA SIEBIE JAKĄS ODPOWIEDZIALNOŚĆ, TWIERDZIŁ, MUSI PONOSIĆ WYNIKAJĄCE Z NIEJ KONSEKWENCJE. UMOWA, DODAŁ, JEST UMOWĄ. ZAWIERA SIĘ JĄ Z WŁASNEJ, NIENAPRZYMUSZONEJ WOLI, TRZEBA JEJ PRZESTRZEGAĆ. WSZYSTKO INNE STAJE SIĘ ŹRÓDŁEM ROZKŁADU I STWARZA DWUZNACZNE SYTUACJE I CHAOS.

Wcisnął się w oparcie fotela i bezwiednie stuknął czubkiem buta w nogę stolika.

- MĘŻCZYŻNA WYBIERA SOBIE ŻONĘ I JEJ OBOWIĄZKIEM JEST OPIEKOWANIE SIĘ NIĄ DO ŚMIERCI. JEJ ŚMIERCI ALBO JEJ.

- Licząc na szczęśliwe zrządzenie losu - zażartował Norton.

Roześmieliśmy się, a Boyd Carrington zawołał:

- Panu dobrze mówić, pan nigdy nie był żonaty.

- A teraz jest już za późno - powiedział Norton nie bez żalu.

- Czyżby? - uśmiechnął się Boyd Carrington. - A może nie?

W tym właśnie momencie przyłączyła się do nas Elizabeth Cole. Wracła od pani Franklin.

NIE WIEM, CZY WYOBRAZIŁEM TO SOBIE, CZY TAK NAPRAWDĘ BYŁO, ALE ZDAWAŁO MI SIĘ, ŻE BOYD CARRINGTON spojrzął na Nortona wymownym wzrokiem, a Norton się zarumienił.

TO MI DAŁO WIELE DO MYŚLENIA. PRZYJRZAŁEM SIĘ UWAŻNIEJ ELIZABETH COLE. BYŁA TO RZECZYWIŚCIE KOBIETA JESZCZE ZUPEŁNIE MŁODA, A DO TEGO WCALE PRZYSTOJNA, SYMPATYCZNA I PEŁNA WDZIĘKU. JESTEM PEWIEN, ŻE POTRAFIŁABY DAĆ SZCZĘŚCIE SAMOTNEMU MĘŻCZYŹNIE. SPĘDZAŁA OSTATNIO WIELE CZASU W TOWARZYSTWIE NORTONA. RAZEM SZUKALI NIEZNANYCH ODMIAN POLNYCH KWIATÓW I PTAKÓW. PRZYJAŹNILI SIĘ. PRZYPOMNIAŁO MI SIĘ, ŻE NIEDAWNO WSPOMNIAŁA COŚ O ŁAGODNYM USPOSOBIENIU NORTONA.

NO CÓŻ, JEŻELI TAK JEST, POMYŚLAŁEM, TO MOŻNA JEJ TYLKO POWINSZOWAĆ. MIAŁA ZA SOBĄ GŁODNE SMUTNE DZIECIŃSTWO I MŁODOŚĆ. TRAGEDIA, JAKA ZNISZCZYŁA JEJ ŻYCIE, PRZESTANIE BYĆ WRESZCIE PRZESZKODĄ NA DRODZE DO SZCZĘŚCIA OSOBISTEGO. WYGLĄDAŁA TERAZ NA OSOBĘ ZNACZNIE - TAK, TAK WESELSZĄ I ZADOWOLONĄ NIŻ ZALEDWIE KILKA DNI TEMU.

ELIZABETH COLE I NORTON? CZEMU NIE? WTEM NAGLE I NIESPODZIEWANIE OGARNEŁO MNIE UCZUCIE NIEPOKOJU. TUTAJ, W TYM DOMU, NIE WOLNO MYŚLEĆ O SZCZĘŚCIU. W ATMOSFERZE STYLES BYŁO COŚ NIEDOBREGO. CZUŁEM TO W TEJ CHWILI BARDZO WYRAŹNIE. CZUŁEM SIĘ STARY, ZMĘCZONY I... TAK, PRZERAŻONY.

UCZUCIE TO OPUŚCIŁO MNIE PO NIESPEŁNIA MINUCIE. JESTEM PEWIEN, ŻE NIKT, POZA, BYĆ MOŻE,

BOYDEM CARRINGTONEM, NIE ZAUWAŻYŁ TEJ NAGLEJ ZMIANY NASTROJU. ALBOWIEM PO KILKU MINUTACH ZWRÓCIŁ SIĘ DO MNIE SZEPTEM:

- Wszystko w porządku, Hastings?

- Tak, ale o co chodzi?

- Bo ja wiem. Wyglądał pan przez chwilę tak jakoś...

- Miałem taki moment... Jakieś dziwne wrażenie...

- Przeczucie, że stanie się coś złego?

- Można to i tak określić.

- TO CIEKAWE. MNIE SIĘ TO KILKAKROTNIENIE W ŻYCIU PRZYTRAFIŁO. CZY MA PAN MOŻE KONKRETNE PODSTAWY DO OBAW?

Przyglądał mi się bacznie.

POTRZĄSNAŁEM GŁOWĄ. RZECZYWIŚCIE NIE MIAŁEM NIC KONKRETNEGO NA MYŚLI. PO PROSTU OGARNEJ MNIE FALA PRZYGNĘBIENIA I NIEJASNEGO LĘKU.

Z domu wyszła Judith. Była zamyślona, ale trzymała się prosto i wyglądała prześlicznie.

POMYŚLAŁEM, ŻE JEST NIEPODOBNA ANI DO MNIE, ANI DO SWOJEJ MATKI. PRZYPOMINAŁA TERAZ MŁODĄ KAPŁANKĘ. NORTON WIDAĆ TAKŻE MIAŁ PODOBNE SKOJARZENIE.

- Wygląda pani jak jej imienniczka, kiedy się zastanawiała, czy odciąć głowę Holofernesowi.

Judith uśmiechnęła się, lekko uniosła brwi.

- Nie przypominam sobie, dlaczego to zrobiła.

- Jej motywy były całkowicie altruistyczne. Chodziło wyłącznie o dobro ogółu.

FRYWOLNY TON NORTONA WIDOCZNIE ZIRYTOWAŁ MOJĄ CÓRKĘ. ZARUMIENIŁA SIĘ I BEZ SŁOWA USIADŁA przy Franklinie.

- PAŃSKA ŻONA CZUJE SIĘ ZNACZNIE LEPIEJ - POWIEDZIAŁA. - PROSI NAS WSZYSTKICH DZIŚ WIECZOREM do siebie na kawę.

Pani FRANKLIN JEST RZECZYWIŚCIE OSOBĄ BARDZO KAPRYŚNĄ, POMYŚLAŁEM SOBIE, KIEDY PO KOLACJI SZLIŚMY DO JEJ POKOJU. PRZEZ CAŁY DZIEŃ ZAMĘCZAŁA OTOCZENIE SWOJĄ CHOROBA, A TERAZ JEST SŁODKA JAK MIÓD.

LEŻAŁA NA KANAPIE W SELEDYNOWYM NEGLIŻU. PRZED NIĄ STAŁ OBROTOWY STOLICZEK-BIBLIOTECZKA, A NAD NIM TACA Z SERWISEM DO KAWY. ZWINNYMI, BIAŁYMI RĘKAMI ODPRAWIAŁA RYTUAŁ ROZLEWANIA KAWY DO FILIŻANEK, A SIOSTRA CRAVEN POMAGAŁA JEJ. PRZYBYLI WSZYSCY Z WYJĄTKIEM POIROTA, KTÓRY TERAZ ZAWSZE WRACAŁ DO SIEBIE PRZED KOLACJĄ, I ALLERTONA, KTÓRY BYŁ JESZCZE W IPSWICH, ORAZ PAŃSTWA LUTTRELLÓW.

Piękny aromat dobrej kawy łaskotał nam nozdrza. Kawa w Styles była bezbarwną lurą, ale pani Franklin częstowała nas wspaniałym czarnym naparem ze świeżo zmielonych ziaren.

FRANKLIN USIADŁ NAPRZECIWKO ŻONY I ROZDAWAŁ NAPEŁNIONE FILIŻANKI. BOYD CARRINGTON STAŁ U SPOKOJÓW, A PIELEŃNIARKA USUNĘŁA SIĘ POZA ZASIĘG LAMPY W GŁĘB POKOJU. SIEDZIAŁEM W WYGODNYM FOTELU I USIŁOWAŁEM ROZWIĄZYWAĆ KRZYŻÓWKĘ W „TIMESIE”.

- „Jedną kocha potajemnie, a wiele otwarcie” - przeczytałem na głos. - Pięć liter.

- Nie mamy jeszcze żadnej - rzekł Franklin.

Zastanawialiśmy się przez minutę.

- „Nie rób drugiemu, co tobie niemiłe”.

- Przysłowie! - zawołał szybko Boyd Carrington.

- Teraz cytat: „A Echo zapytane odpowiada...” Brak słowa. Tennyson. Sześć liter.

- „Głośno” - podsunęła pani Franklin. - Na pewno tak ma być. „Echo odpowiada głośno”.

- Wtedy wyraz pionowy będzie się kończył na „g”...

- Nie szkodzi. Mnóstwo wyrazów kończy się na „g”. Wróg, pług, ożóg.

Od okna odezwała się Elizabeth Cole:

- Cytat z Tennysona brzmi: „A Echo zapytane odpowiada: śmierć”.

USŁYSZAŁEM, JAK KTOŚ ZA MNĄ GWALTOWNIE WCIĄGA ODDECH. OBEJRZAŁEM SIĘ. BYŁA TO JUDITH. MINĘŁA NAS I WYBIEGŁA NA BALKON.

- W „jedną kocha potajemnie” drugą literą jest „m”.

- Jak to brzmiało?

- „Jedną kocha potajemnie, a wiele otwarcie”. Pięć liter, druga „m”.

- Amant - rzekł Boyd Carrington.

Barbara Franklin mieszała łyżeczką kawę w filiżance.

- „Zazdrość to zielonooki potwór”. Kto to powiedział?

- Szekspir! - zawołał Boyd Carrington.

- No tak, ale czy włożył to w usta Otella czy Emilii? - zapytała pani Franklin.

- Obydwa te imiona są za długie. Mam do dyspozycji tylko cztery litery.

- Jago.

- Ja jestem pewna, że to był Otello.

- NIC PODOBNEGO. MOIM ZDANIEM, TEN CYTAT POCHODZI Z „ROMEA I JULII”. TO ROMEO TAK MÓWI DO Julii.

Tak zabawialiśmy się przez dłuższą chwilę, aż z balkonu rozległ się głos Judith:

- Popatrzcie państwo. Spadające gwiazdy! Jedna. Proszę, druga!

- Trzeba szybko wyrazić jakieś życzenie! - krzyknął Boyd Carrington.

RUSZYŁ NA BALKON, GDZIE JUŻ BYLI ELIZABETH COLE, NORTON I JUDITH, A WKRÓTCE POTEM PRZYŁĄCZ SIĘ DO NICH SIOSTRA CRAVEN I DOKTOR FRANKLIN. ROZMAWIALI WESOŁO I PODNOSZĄC RĘCE KU NIEBU, pokazywali sobie spadające gwiazdy.

NIE RUSZYŁEM SIĘ Z FOTEŁA I DALEJ BIEDZIŁEM SIĘ NAD MOJĄ KRZYŻÓWKĄ. CO MI PO SPADAJĄCYCH gwiazdach. Nie miałem żadnych życzeń.

Nagle zjawił się z powrotem Boyd Carrington.

- Barbara! - zawołał. - Musisz wyjść na balkon.

- Ani mi się śni - odparła pani Franklin kapryśnie. - Jestem zmęczona.

- Nonsens, moja złota. Musisz wypowiedzieć jakieś życzenie! No, nie broń się. Zaniosę cię!

Nachylił się szybko i wziął ją na rękę.

- Bill, puść mnie w tej chwili! Nie bądźże dziecinny.

Mimo protestów Boyd Carrington zaniósł ją na balkon.

POCHYLIŁEM GŁOWĘ. O CZAMI DUSZY ZOBACZYŁEM RAZ JESZCZE TAMTEN WIECZÓR... PIĘKNA, TROPIKALNA NOC., KUMKANIE ŻAB... I SPADAJĄCA GWIAZDA. STAŁEM WTEDY PRZY OKNIE, A POTEM POSZEDŁEM DO FOTEŁA, NA

KTÓRYM SIEDZIAŁA CINDERELLA, WZIAŁEM JĄ W RAMIONA I ZANIOSŁEM NA TARAS... PATRZYLIŚMY W GWIAZDY I marzyliśmy po cichu.

Mgła przysłoniła mi oczy. Nie widziałem kratek krzyżówki.

Do pokoju weszła młoda kobieta... Judith?

NIE TRZEBA, ŻEBY WIDZIAŁA, ŻE MAM OCZY PEŁNE ŁEZ. SZYBKO NACHYLIŁEM SIĘ NAD STOLIKIEM-BIBLIOTECZKĄ I UDAWAŁEM, ŻE SZUKAM JAKIEJŚ KSIĄŻKI. PAMIĘTAŁEM, ŻE STOI TAM PIĘKNE STARE WYDANIE dzieł Szekspira. Odnalazłem je bez trudu. Wyjąłem „Otella”.

- Czego szukasz, tato?

Mruknąłem coś na temat krzyżówki. Oczywiście, to były słowa Jagona:

Strzeż się, panie, zazdrości! O, strzeż się

Tego potwora zielonookiego,

Co pożerając ofiarę - z niej szydzi.

Judith zacytowała inny fragment:

Ni wyskok z maku, ni sok mandragory,

Ni żadna siła ziół usypiających

Już mu nie wróci tego snu błogiego,

Jakim spał wczoraj[3].

Jej głos brzmiał pięknie i melodyjnie.

POWOLI WSZYSCY WRACALI DO POKOJU, ROZMAWIAJĄC I ŚMIEJĄC SIĘ. PANI FRANKLIN ZNÓW POŁOŻYŁA SIĘ NA KANAPIE. MAŻ JEJ USIADŁ NA SWOIM MIEJSCU I SIĘGNAŁ PO WYSTYGLĄ KAWĘ. NORTON I ELIZABETH pożegnali się mówiąc, że przyrzekli Luttrellom partyjkę brydża.

PANI FRANKLIN DOPIŁA KAWĘ, A NASTĘPNIE ZAŻADAŁA SWOICH „KROPELEK”. JUDITH PRZYNIOSŁA JE łazienki, gdyż siostra Craven poszła po coś do kuchni.

FRANKLIN ZACZAŁ SIĘ NERWOWO PRZECHADZAĆ PO POKOJU I W PEWNYM MOMENCIE POTKNAŁ SIĘ O MAŁY stoliczek.

- Boże, jaki z ciebie niezdara, John - syknęła jego żona.

- Bardzo cię przepraszam, kochanie, ale zamyśliłem się.

Pani Franklin widać się opamiętała, gdyż rzekła łagodnym tonem:

- Prawdziwy z ciebie słoń trąbalski, kochanie.

Franklin spojrział na nią nieprzytomnie.

- Taki piękny wieczór - powiedział. - Chyba pójdę na małą przechadzkę.

I wyszedł z pokoju.

- ON JEST AUTENTYCZNYM GENIUSZEM - DEZWAŁA SIĘ NIESPODZIEWANIE PANI FRANKLIN. - NAWET JEGO zachowanie o tym świadczy. Podziwiam go wprost nieskończenie. Co za pasja do nauki!

- Tak, tak, to wspaniały facet - zgodził się Boyd Carrington bez większego entuzjazmu.

Judith raptownie opuściła pokój i w drzwiach o mały włos nie zderzyła się z siostrą Craven.

- A może byśmy tak zagrali w pikietę, Babs? - zapytał Boyd Carrington.

- Cudownie! Siostra na pewno znajdzie nam talię kart.

Pielęgniarka ponownie wyszła z pokoju, a ja wstałem i podziękowałem pani Franklin za kawę.

NA PODEŚCIE SCHODÓW ZOBACZYŁEM FRANKLINA I JUDITH. STALI W MILCZENIU POD OKNEM I KIEDY zbliżyłem się, Franklin spojrział przez ramię.

- Pójdziemy się przejść, Judith? - zapytał.

Moja córka potrząsnęła przecząco głową.

- Dzisiaj chyba nie. Idę do łóżka. Dobranoc.

Franklin ruszył na dół, ja za nim. Pogwizdywał cichutko i uśmiechał się do siebie.

- WIDZĘ, ŻE JEST PAN W DOSKONAŁYM HUMORZE - POWIEDZIAŁEM ZŁOŚLIWIE, MOŻE DLATEGO, ŻE SAM byłem w dość kiepskim.

- OWSZEM. UDAŁO MI SIĘ PRZEPROWADZIĆ COŚ, O CZYM OD DAWNA MYŚLAŁEM. TO WIELKA satysfakcja.

NA DOLE ROZSTALIŚMY SIĘ. ON POSZEDŁ NA SPACER, A JA ZAJRZAŁEM DO SALONU. NORTON ZROBIŁ DO MN

oko za plecami pani Luttrell. Miałem wrażenie, że wśród graczy panuje niezwykle harmonia.

Allerton wciąż jeszcze nie wrócił z Ipswich. Zdawało mi się, że bez niego nastrój w domu jest lepszy, a przynajmniej nie tak przygnębiający.

Poszedłem na górę do Poirota. Zostałem tam Judith. Uśmiechnęła się na mój widok.

- Ona ci już wybaczyła, mon ami - odezwał się Poirot.

- Rzeczywiście! - zachnąłem się oburzony. - No, cóż...

Judith podeszła do mnie, objęła mnie i pocałowała.

- BIEDNY TATA - POWIEDZIAŁA. - WUJ HERKULES NIE POWINIEN NARAŻAĆ NA SZWANK TWOJEGO POCZUCIA godności. To ja ciebie przepraszam. No więc jak? Wybaczysz mi?

Zupełnie nie wiem, jak mi się to wymknęło, ale powiedziałem:

- Strasznie mi przykro, moje dziecko. No, nie gniewaj się już...

Judith przerwała mi:

- ALEŻ, TATO. ZAPOMNIJMY O TEJ CAŁEJ GŁUPIEJ SPRAWIE. WSZYSTKO SIĘ UŁOŻYŁO. - UŚMIECHNĘŁA SIĘ ŁAGODNYM, NIEMAL DZIECINNYM UŚMIECHEM. - WSZYSTKO SIĘ NAPRAWDĘ DOBRZE UŁOŻYŁO - POWTÓRZYŁA I cichutko opuściła pokój Poirota.

Ten spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

- No i jak? - zapytał. - Opowiesz mi, co się tam działo przez cały wieczór?

Rozłożyłem ręce.

- Nic. Nic się nie stało i na pewno nic się już nie stanie.

JAKŻE SIĘ MYLIŁEM. TEJ NOCY COŚ SIĘ ZDARZYŁO. PANI FRANKLIN DOSTAŁA SILNYCH TORSJI. WEZWANO dwóch lekarzy, ale nadaremno. Umarła nad ranem.

DOPIERO PO DWUDZIESTU CZTERECH GODZINACH DOWIEDZIELIŚMY SIĘ, ŻE ŚMIERĆ NASTĄPIŁA NA SKUTEK zatrucia fizostygminą.

ROZDZIAŁ XIV

1

W DWA DNI PÓŹNIEJ ODBYŁA SIĘ ROZPRAWA WSTĘPNA. PRZEŻYWAŁEM WIĘC PO RAZ DRUGI W ŻYCIU podobną sytuację na tej samej sali.

KORONER OKAZAŁ SIĘ INTELIGENTNYM MĘŻCZYZNĄ W ŚREDNIM WIEKU. MIAŁ BADAWCZE SPOJRZENIE I wyrażał się krótko i zwięźle.

NAJPIERW ZEZNAWAŁ LEKARZ POLICYJNY. ŚMIERĆ, JEGO ZDANIEM, NASTĄPIŁA NA SKUTEK ZATRUCIA FIZOSTYGMINĄ. POZA TYM SEKCJA WYKAZAŁA W ORGANIZMIE ŚLADY INNYCH ALKALOIDÓW, WYSTĘPUJĄCYCH W FASOLI KALABARSKIEJ. ORZEKŁ, ŻE TRUCIZNA MUSIAŁA BYĆ ZAŻYTA POMIĘDZY GODZINĄ SIÓDMĄ WIECZÓR A północą. Zarówno lekarz, jak i jego asystent nie chcieli precyzyjnie określić, kiedy nastąpił zgon.

NASTĘPNYM ŚWIADKIEM BYŁ DOKTOR FRANKLIN. ZROBIŁ DOBRE WRAŻENIE NA SĄDZIE. MÓWIŁ W SPOSÓB JASNY I DOKŁADNY. ZEZNAŁ, ŻE PO ŚMIERCI ŻONY UDAŁ SIĘ DO LABORATORIUM I SPRAWDZIŁ WSZYSTKIE ZNAJDUJĄCE SIĘ TAM ODCZYNY. ZORIENTOWAŁ SIĘ NATYCHMIAST, ŻE BUTELKA, DO KTÓREJ NALAŁ UPREDNĄ ROZTWÓR ALKALOIDÓW, POCHODZĄCYCH Z FASOLI KALABARSKIEJ, ZAWIERA ZWYKŁĄ WODĘ. TRUDNO MU stwierdzić, kiedy mogło to się stać, ponieważ od kilku dni butelki tej nie otwierał.

NASTĘPNIE ZAJĘTO SIĘ SPRAWĄ DOSTĘPU DO LABORATORIUM. DOKTOR FRANKLIN OŚWIADCZYŁ, ŻE DRZWI BYŁY ZAZWYCZAJ ZAMKNIĘTE NA KLUCZ, JEDEN KLUCZ ZNAJDOWAŁ SIĘ ZAWSZE W JEGO KIESZENI, A DRUGI U JEGO ASYSTENTKI, PANNY HASTINGS. MOŻNA WIĘC BYŁO PRZYPUSZCZAĆ, ŻE OSOBA, KTÓRA DOSTAŁA SIĘ I laboratorium, wzięła klucz od któregoś z nich.

JEGO ŻONA CZYNIŁA TO WIELOKROTNI, GDYŻ ODWIEDZAJĄC GO TAM, ZOSTAWIAŁA CZĘSTO PRZEZ NIEUWAGI JAKIEŚ PRZEDMIOTY. ON SAM Z ZASADY NIE WYNOŚIŁ Z LABORATORIUM ŻADNYCH ODCZYNNIKÓW. A NA PEWNO NIE PRZYNIÓSŁBY ICH DO POKOJU ŻONY. WYRAZIŁ JEDNAKŻE PEŁNE PRZEKONANIE, ŻE TRUCIZNA NIE ZNALAZŁA SIĘ tam przypadkowo.

NASTĘPNIE ODPOWIADAŁ NA DALSZE PYTANIA KORONERA. ŻONA JEGO, STWIERDZIŁ, ZNAJDOWAŁA SIĘ OSTATNIO W NIEZBYT DOBRYM STANIE ZDROWIA I BYŁA BARDZO NERWOWA. NIE MIAŁA ŻADNEJ ORGANICZNEJ choroby. Cierpiała na depresję i w pewnych okresach jej nastrój zmieniał się z minuty na minutę.

W OSTATNICH DNIACH BYŁA RACZEJ W NIEZŁYM HUMORZE. NIE, NIE KLÓCILI SIĘ I STOSUNKI POMIĘDZY nimi układały się harmonijnie. Ostatniego wieczoru żona była w dobrej formie.

PRZYZNAŁ, ŻE OD CZASU DO CZASU NAPOMYKAŁA O MOŻLIWOŚCI ODEBRANIA SOBIE ŻYCIA, ALE NIGDY NIE BRAŁ TYCH JEJ UWAG NA SERIO. ZAPYTANY WPROST, ODPAŘŁ, ŻE JEGO ZDANIEM ŻONA NIE BYŁA TYPEM PSYCHICZNYM O WYRAŻNYCH TENDENCJACH SAMOBÓJCZYCH. BYŁO TO JEGO PRZEKONANIE ZARÓWNO JAKO człowieka, jak i lekarza.

PO NIM ZEZNAWAŁA SIOSTRA CRAVEN. WYGLĄDAŁA BARDZO ELEGANCKO I SCHLUDNIE W DOBRZ

SKROJONYM STROJU PIEŁĘGNIARSKIM, A ODPOWIADAŁA NA PYTANIA GŁOSEM STANOWCZYM I BUDZĄCYM ZAUFANIE. PRZEZ DWA OSTATNIE MIESIĄCE OPIEKOWAŁA SIĘ PANIĄ FRANKLIN. PANI FRANKLIN CIERPIAŁA NA OSTRĄ DEPRESJĘ. WIELOKROTNIE, I TO PRZY ŚWIADKACH, WSPOMINAŁA O SAMOBÓJSTWIE. CZĘSTO MÓWIŁA, ŻE POWINNA „SKOŃCZYĆ JUŻ Z TYM WSZYSTKIM”, ŻE JEJ ŻYCIE JEST BEZUŻYTECZNE, ŻE JEST KULĄ U NOGI SWOJEGO męża.

- Dlaczego tak mówiła? Czy kłócili się ze sobą?

- O NIE, BYNAJMNIEJ, ALE PANI FRANKLIN ZDAWAŁA SOBIE SPRAWĘ, ŻE MAŻ JEJ, OTRZYMAWSZY propozycję pracy za granicą, odmówił ze względu na stan jej zdrowia.

- I była z tego powodu rozstrojona?

- Tak. Narzekała gorzko, że jest tak chorowita. Bardzo była przez to nieszczęśliwa.

- Czy doktor Franklin zdawał sobie z tego sprawę?

- Wydaje mi się, że mało rozmawiała z nim na ten temat.

- Ale miewała okresy ostrej depresji?

- Jak najbardziej.

- Czy przypomina pani sobie, żeby mówiła wyraźnie o popełnieniu samobójstwa?

- „Powinnam skończyć z tym wszystkim” było jej ulubionym powiedzeniem.

- Czy wspominała kiedykolwiek, jak chciałaby to zrobić?

- Nie. Mówiła raczej ogólnikowo.

- Czy w ostatnim czasie zdarzyło się coś, co mogło wpłynąć na nią w sposób deprymujący?

- Nie. Była nawet w dość dobrym nastroju.

- CZY ZGADZA SIĘ PANI Z DOKTOREM FRANKLINEM, ŻE POPRZEDZAJĄCEGO JEJ ZGON WIECZORU PANI Franklin była w lepszej niż zwykle formie?

Siostra Craven zastanawiała się przez moment.

- BO JA WIEM. BYŁA PODNIECONA. MIAŁA DOŚĆ MARNY DZIEŃ. MÓWIŁA, ŻE MA BÓLE I ZAWROTY GŁOWY. Wieczorem poczuła się lepiej, ale, moim zdaniem, ten jej dobry humor był udany.

- Czy zauważyła pani w jej pokoju butelkę czy inne naczynie, które mogłoby zawierać truciznę?

- Nie.

- Co pani pacjentka jadła i piła tego dnia?

- NA KOLACJĘ ZJADŁA ZUPĘ, KOTLET, ZIELONY GROSZEK I PUREE Z KARTOFLI. A NA DESER KAWALEK PLACKA wiśniami. Do tego kieliszek burgunda.

- Czy wino nalane zostało z butelki?

- TAK JEST. BUTELKA ZOSTAŁA W JEJ SYPIALNI. BYŁO TAM JESZCZE TROCHĘ WINA NA DNIĘ. PODDANO analizie. Jest w porządku.

- Czy pacjentka mogła wlać truciznę do kieliszka tak, żeby pani tego nie zauważyła?

- O TAK. BEZ TRUDU. WCHODZIŁAM I WYCHODZIŁAM Z JEJ POKOJU WIELOKROTNIEM W CZASIE KOLACJI. ROBIŁAM PORZĄDKI, PRZYNOŚIŁAM JEJ RÓŻNE RZECZY. PANI FRANKLIN MIAŁA PRZY ŁÓŻKU NESESEREK I TOREBKI MOGŁA, MOIM ZDANIEM, BARDZO ŁATWO WRZUCIĆ COŚ DO SWOJEGO KIELISZKA LUB PÓŹNIEJ DO KAWY. PRZED snem podałam jej szklankę ciepłego mleka.

- Czy nie domyśla się pani, co pacjentka mogła zrobić z flakonikiem, który zawierał truciznę?

- NIE JEST WYKLUCZONE, ŻE WYRZUCIŁA GO PÓŹNIEJ PRZEZ OKNO - ZASTANAWIAŁA SIĘ SIOSTRA CRAVEN. MOGŁA ZRESZTĄ WRZUCIĆ GO DO KOSZA NA PAPIERY LUB PRZEPLUKAĆ W ŁAZIENCIE I ODSTAWIĆ NA PÓŁKĘ. TYLKO tam najrozmaitszych buteleczek. Przechowuje je, bo zawsze mogą się przydać.

- O której godzinie widziała pani panią Franklin po raz ostatni?

- O DZIESIĄTEJ TRZYDZIEŚCI. PRZYGOTOWAŁAM JĄ DO SNU. PODAŁAM JEJ CIEPŁE MLEKO I NA JEJ WŁASNE żądanie dałam tabletkę aspiryny.

- W jakiej była formie?

Świadek zastanawiał się przez chwilę.

- Jak zwykle... No, może trochę bardziej podniecona.

- Ale nie przybita?

- NIE. PO PROSTU CHYBA BARDZIEJ NIŻ ZWYKLE NIESPOKOJNA. MOŻE WŁAŚNIE DLATEGO, ŻE MYŚLAŁA O popełnieniu samobójstwa?

- Czy zdaniem pani była to osoba zdolna do odebrania sobie życia?

SIOSTRA CRAVEN MILCZAŁA PRZEZ DŁUŻSZĄ CHWILĘ. WIDAĆ BYŁO, ŻE ZDAJE SOBIE SPRAWĘ Z WAGI pytania.

- NO CÓŻ - ODEZWAŁA SIĘ W KOŃCU. - SAMA NIE WIEM. I TAK, I NIE. ALE RACZEJ TAK. BYŁA BARDZO niezrównoważona.

NASTĘPNIE ZEZNAWAŁ SIR WILLIAM BOYD CARRINGTON. BYŁ NIEWĄTPLIWIE ZBOLAŁY, ALE ODPOWIADA rzeczowo i logicznie.

WIECZÓR POPRZEDZAJĄCY ŚMIERĆ PANI FRANKLIN SPĘDZIŁ GRAJĄC Z NIĄ W PIKIETĘ. NIE ZAUWAŻYŁ W NIEJ WÓWCZAS ŻADNYCH OBJAWÓW DEPRESJI, ALE KILKA DNI PRZEDTEM NIEBOSZCZKA SAMA PORUSZYŁA TEMAT SAMOBÓJSTWA. BYŁA TO, ZDANIEM ŚWIADKA, KOBIETA SKŁONNA DO ALTRUIZMU. BARDZO PRZYGNĘBIAŁ JĄ FAKT, ŻE - JAK JEJ SIĘ ZDAWAŁO - STOI NA DRODZE DO KARIERY MĘŻA. BYŁA ODDANA MĘŻOWI I OGROMNIE AMBITNA NA jego punkcie. Często skarżyła się na zły stan zdrowia.

Następnie wywołano Judith, ale ona niewiele miała do powiedzenia.

NIE MIAŁA POJĘCIA, KTO MÓGŁ WYNIEŚĆ FIZOSTYGMINĘ Z LABORATORIUM. OSTATNIEGO WIECZORU PRZEJĄCĄ TRAGEDIĄ PANI FRANKLIN BYŁA, JEJ ZDANIEM, TAKA SAMA JA ZAWSZE. MOŻE NIECO BARDZIEJ OŻYWIONA. PRZY niej nigdy nie wspominała o samobójstwie.

OSTATNIM ŚWIADKIEM BYŁ HERKULES POIROT. ZEZNAWAŁ Z WIELKĄ PEWNOŚCIĄ SIEBIE I ZROBIŁ NIEWĄTPLIWIE WIELKIE WRAŻENIE. W DZIEŃ POPRZEDZAJĄCY ZGON PANI FRANKLIN ODBYŁ Z NIĄ DŁUŻSZĄ rozmowę. Pani Franklin była bardzo strapiona i KILKAKROTNIENIE WYRAZIŁA NADZIEJĘ, ŻE JUŻ WKRÓTCE BĘDZIE miała to wszystko za sobą. Była zaniepokojona swoim zdrowiem i wyznała mu, że miewa częste ataki MELANCHOLII I ŻE ŻYCIE WYDAJE JEJ SIĘ JEDNYM PASMEM UDRĘKI. POWIEDZIAŁA TAKŻE, ŻE BYŁOBY RZECZĄ cudowną, gdyby można było zasnąć i nigdy się nie obudzić.

Odpowiedzi Poirota na kilka następnych pytań wywołały jeszcze większą sensację.

- CZY PRAWDĄ JEST, ŻE W DNIU DZIESIĄTYM CZERWCA, WCZESNYM POPOŁUDNIEM, SIEDZIAŁ PAN TUŻ przy drzwiach laboratorium?

- Tak.

- Czy widział pan wychodzącą stamtąd panią Franklin?

- Tak.

- Czy miała coś w ręku?

- Niosła małą buteleczkę w zaciśniętej prawej dłoni.

- Czy jest pan tego absolutnie pewien?

- Tak.

- Czy zmieszała się na pana widok?

- Speszyła się. Tak.

KORONER PRZYSTĄPIŁ DO PODSUMOWANIA. WERDYKT, POWIEDZIAŁ, POWINIEN ORZEC, CZY PANI FRANKLIN ZGINEŁA Z WŁASNEJ RĘKI, CZY ZOSTAŁA OTRUTA PRZEZ OSOBĘ POSTRONNĄ. PRZYCZYNA JEJ ŚMIERCI NIE ULE WĄTPLIWOŚCI. WYNIKI SEKCJI SĄ JEDNOZNACZNE. ŚMIERĆ NASTĄPIŁA NA SKUTEK ZATRUCIA SULFATEM FIZOSTYGMINY. PRZYSIĘGLI MUSZĄ STWIERDZIĆ NA PODSTAWIE ZEZNAŃ ŚWIADKÓW, CZY TRUCIZNA ZOSTAŁA ZAŻYTA PRZYPADKOWO, Z PEŁNĄ ŚWIADOMOŚCIĄ, CZY TEŻ ZOSTAŁA PODANA ZMARŁEJ PRZEZ OSOBĘ LUB OSOBY TRZECIE.

ZMARŁA MIEWAŁA NAPADY MELANCHOLII, BYŁA SŁABEGO ZDROWIA I MIMO IŻ NIE CIERPIAŁA NA ŻADNE SCHORZENIA ORGANICZNE, BYŁA SILNIE ZNERWICOWANA. PAN HERKULES POI-ROT, KTÓREGO SŁOWA MAJ NAJWYŻSZĄ WAGĘ, ZEZNAŁ, ŻE W DNIU POPRZEDZAJĄCYM JEJ ŚMIERĆ PANI FRANKLIN ODWIEDZIŁA LABORATORIUM MĘŻA I ŻE WIDZIAŁ JĄ WYCHODZĄCĄ STAMTĄD Z MAŁĄ BUTELECKĄ W RĘKU. NA JEGO WIDOK SPESZYŁA SIĘ. NIE JEST WIĘC WYKLUCZONE, ŻE PRZYSIĘGLI DOJDĄ DO WNIOSKU, IŻ PANI FRANKLIN WYKRADŁA TRUCIZNĘ Z LABORATORIUM, PONIEWAŻ ZAMIERZAŁA JĄ ZAŻYĆ W CELACH SAMOBÓJCZYCH. WIERZYŁA, JAK SIĘ WYDAJE, OBSESYJNIE, ŻE STOI MĘŻOWI NA ZAWADZIE. NALEŻY PODKREŚLIĆ, ŻE PAN FRANKLIN BYŁ MĘŻEM niezwykle uważającym i dobrym, ŻE NIGDY NIE OKAZYWAŁ ZNIECIERPLIWIEŃ STANEM ZDROWIA ŻONY I NIE WYRZUCAŁ JEJ, ŻE UNIEMOŻLIWIA MU KARIERĘ. BYŁA TO JEJ WŁASNA IDEE FIXE. KOBIETY NERWOWE CZĘSTO ULEGAJĄ TEGO RODZAJU UROJENIOM. NIE MA, CO PRAWDA, NIEZBITYCH DOWODÓW NA TO, W JAKICH OKOLICZNOŚCIACH I W JAKI SPOSÓB TRUCIZNA ZOSTAŁA ZAŻYTA. FAKT, ŻE BUTELECKA NIE ZOSTAŁA ODNALEZIONA KOMPLIKUJE NIECO SPRAWĘ, ALE - JAK TO SUGEROWAŁA SIOSTRA CRAVEN - NIE JEST WYKLUCZONE, ŻE PANI FRANKLIN WYPŁUKAŁA JĄ I POSTAWIŁA NA JEDNEJ Z PÓLEK W ŁAZIENCIE, SKĄD PRAWDOPODOBNIIE WZIĘŁA JĄ, ZANIM UDAŁA SIĘ DO LABORATORIUM. PRZYSIĘGLI BĘDĄ MUSIELI ODPOWIEDZIEĆ SOBIE NA TE WSZYSTKIE pytania, zanim wydadzą werdykt.

Stało się to w rekordowo krótkim czasie.

PRZYSIĘGLI ORZEKLI ZGODNIE, ŻE PANI FRANKLIN TARGNĘŁA SIĘ NA WŁASNE ŻYCIE W MOMENCIE chwilowej niepoczytalności.

2

W PÓŁ GODZINY PÓŹNIEJ ZNAJDOWAŁEM SIĘ WRAZ Z POIROTEM W JEGO POKOJU. WYGLĄDAŁ NA CZŁOWIEKA SKRAJNIE WYCZERPANEGO. CURTISS POŁOŻYŁ GO DO ŁÓŻKA I PODAŁ MU JAKIEŚ LEKARSTWO N WZMOCNIENIE.

MARZYŁEM O TYM, ŻEBY Z NIM POROZMAWIAĆ, ALE MUSIAŁEM CIERPLIWIE CZEKAĆ, AŻ JEGO SŁUŻĄCY wreszcie wyjdzie z pokoju.

Wtedy dopiero wybuchnąłem:

- CZY TO PRAWDA, POIROT, CO IM TAM NAGADAŁEŚ? CZY RZECZYWIŚCIE WIDZIAŁEŚ NA WŁASNE OCZY T. buteleczkę w ręku pani Franklin?

Na posiniąłych wargach mojego przyjaciela zakwitł słaby uśmiech.

- A czy ty jej nie widziałeś, drogi przyjacielu?

- Ależ skąd!

- Ale mogłeś jej przecież nie zauważyć, prawda?

- OCZYWIŚCIE, ŻE TAK. TRUDNO BY MI BYŁO PRZYSIĄC, ŻE NIE MIAŁA BUTELECZKI W RĘKU. - SPOJRZAŁEM podejrzliwie na Poirota. - To nieważne. Chodzi o to, czy widziałeś tą buteleczkę, czy nie?

- Nie posądzasz mnie chyba o kłamstwo, przyjacielu?

- Po tobie spodziewam się wszystkiego.

- HASTINGS, TY CHYBA NIGDY NIE PRZESTANIESZ MNIE ZADZIWIĄĆ! GDZIE SIĘ PODZIAŁA TWOJA WIARA WE mnie?

- No cóż - skapitulowałem. - Nie sędzę, że mógłbyś posunąć się aż do krzywoprzysięstwa.

- Przecież nie składałem przysięgi.

- A więc to było kłamstwo?

Poirot machnął ręką.

- Co powiedziałem, mon ami, to powiedziałem. Nie warto się nad tym rozwodzić.

- Ja ciebie już zupełnie nie rozumiem! - krzyknąłem.

- Czego znowu nie rozumiesz?

- TWOICH ZEZNAŃ. ŻE JAKOBY PANI FRANKLIN ROZMAWIAŁA Z TOBĄ O SAMOBÓJSTWIE I OPOWIEŚCI O tym, że była w głębokiej depresji.

- Enfin, przecież słyszałeś na własne uszy, że tak mówiła.

- Owszem, ale tylko w przystępie złego humoru. Ty tego tak nie sformułowałeś.

- Bo może nie chciałem.

- Jednym słowem, chciałeś, żeby stwierdzono samobójstwo?

Poirot milczał przez chwilę.

- WYDAJE MI SIĘ, HASTINGS, ŻE TY NIE ZDAJESZ SOBIE SPRAWY Z POWAGI SYTUACJI. NO WIĘC, DOBRZE, jeżeli wolisz... rzeczywiście liczyłem na orzeczenie, że pani Franklin zginęła z własnej ręki.

- Ale sam wcale nie jesteś o tym przekonany, prawda?

Poirot bardzo powoli pokręcił głową.

- Jesteś pewien, że została zamordowana, mów!

- Tak jest, Hastings. Ta kobieta została zamordowana.

- WIĘC DLACZEGO PRZYCZYNIASZ SIĘ DO ZAFARCIA ŚLADÓW? DLACZEGO CHCESZ, ŻEBY JEJ ŚMIERĆ ZOSTAŁA uznana za samobójstwo? Przecież z chwilą, kiedy zapada werdykt, zamyka się śledztwo.

- Właśnie.

- I to ci jest na rękę?

- Tak.

- Ale dlaczego?

- CZY TO MOŻLIWE, ŻE TY TEGO NIE ROZUMIESZ? W TAKIM RAZIE DAJMY SOBIE JUŻ SPOKÓJ. MUSISZ MI WIERZYĆ NA SŁOWO. TO BYŁO MORDERSTWO. ZAMIERZONE, ZAPLANOWANE, STARANNIE WYKONANE MORDERSTWO PRZECIEŻ UPREDZEAŁEM CIĘ OD POCZĄTKU, HASTINGS, ŻE W TYM DOMU ZOSTANIE POPEŁNIONA ZBRODNIA I ŻE NAJPRAWDOPODOBNIJ NIE UDA NAM SIĘ JEJ ZAPOBIEC, PONIEWAŻ MORDERCA JEST RÓWNIEM BEZWZGLĘDNY, CO zdecydowany.

Wzdrygnąłem się.

- A co będzie dalej?

Poirot uśmiechnął się.

- NO CÓŻ. ZAGADKA ŚMIERCI PANI FRANKLIN ZOSTAŁA WYJAŚNIONA, OPATRZONA ETYKIETKĄ SKLASYFIKOWANA JAKO SAMOBÓJSTWO. ALE MY, HASTINGS, TY I JA, NIE MOŻEMY SPOCZAĆ. BĘDIEMY DRAŻYĆ dalej, i to pod ziemią, jak krety. I prędzej czy później Iks wpadnie w nasze ręce.

- A jeżeli tymczasem jeszcze kogoś zamorduje, to co wtedy?

Poirot potrząsnął głową.

- NIE WYDAJE MI SIĘ TO MOŻLIWE. CHYBA ŻE KTOŚ COŚ WIE ALBO WIDZIAŁ, ALE WÓWCZAS UJAWNIŁOBY się to na pewno w czasie rozprawy wstępnej...

ROZDZIAŁ XV

1

DNI, JAKIE NASTĄPIŁY BEZPOŚREDNIO PO ŚMIERCI PANI FRANKLIN, ZATARŁY SIĘ NIECO W MOJEJ PAMIĘCI. ODBYŁ SIĘ, OCZYWIŚCIE, POGRZEB, NA KTÓRY PRZYBYŁA SPORA GROMADA CIEKAWSKICH PARAFIAN MIEJSCOWEGO kościoła.

KIEDY WYCHODZILIŚMY Z CMENTARZA, PODESZŁA DO MNIE STARA KOBIETA O PRZYKRYM GŁOSIE I wyblakłych oczach.

- Chyba pana już tu kiedyś widziałam? - zagadnęła.

- To niewykluczone - odparłem.

- PEWNIEMIE ZE DWADZIEŚCIA LAT TEMU, A MOŻE I WIĘCEJ - CIĄGNĘŁA. - CO TO SIĘ ZMARŁO STARSZEJ PANI Z MAJĄTKU. TO BYŁO NASZE PIERWSZE MORDERSTWO W STYLES. ALE NIE OSTATNIE. ZAWSZE TO MÓWIŁAM. WSZYSCY WTEDY WIEDZIELI, ŻE MĄŻ WYPRAWIŁ JĄ NA TAMTEN ŚWIAT. STARĄ PANIĄ INGLETHORP, JEŻELI PAN SOBIE PRZYPOMINA. WRÓBLE NA DACHU O TYM ĆWIERKAŁY... - UŚMIECHNĘŁA SIĘ CHYTRZE. - MOŻE TYM RAZEM to też robota mężulka?

- Co też pani plecie! - warknąłem. - Czy nie czytała pani, że stwierdzono samobójstwo?

- NO TAK. ALE PRZECIEŻ BYWAJĄ POMYŁKI, CO? - STARA SZTURCHNĘŁA MNIE ŁOKCIEM W BOK. - Doktory... ci już wiedzą, jak się pozbyć człowieka, a podobno za dobrą żoną to ona nie była.

SPOJRZAŁEM NA NIĄ Z TAKĄ FURIĄ, ŻE COFNĘŁA SIĘ O KILKA KROKÓW, MRUCZĄC POD NOSEM, ŻE PRZECIEŻ NIE MIAŁA NIC ZŁEGO NA MYŚLI, ALE ŻE TO PRZECIEŻ NIE JEST ZWYCZAJNA RZECZ, JAK DWA RAZY Z RZĘDU ZDARZA SIĘ taka sama historia.

- No i że pan tym razem też się tutaj znalazł. Ciekawe!

PRZEZ JEDNĄ SZALONĄ CHWILĘ ZASTANAWIAŁEM SIĘ, CZY ONA MNIE PRZYPADKIEM NIE POSADZA O POPEŁNIENIE OBYDWU ZBRODNI. ZDENERWOWAŁO MNIE TO. BOŻE, JAKŻE NIESAMOWITĄ BYWA PODEJRZLIWOŚĆ mieszkańców małych miasteczek.

A PODSTAWY DO PODEJRZLIWOŚCI SĄ, NIE MA CO! I FAKTEM JEST, ŻE PANI FRANKLIN ZOSTAŁA zamordowana.

JAK JUŻ POWIEDZIAŁEM, NIEWIELE PAMIĘTAM Z TYCH KILKU DNI. PRZEDĘ WSZYSTKIM MOŻE DLATEGO, ŻE CORAZ BARDZIEJ NIEPOKOIŁEM SIĘ STANEM ZDROWIA POIROTA. CURTISS ZAWIADOMIŁ MNIE, ŻE MÓJ PRZYJACIEL miał w nocy niepokojący atak serca. Służący był tym nieco wzburzony.

- Moim zdaniem, proszę pana, powinniśmy wezwać lekarza.

NATYCHMIAST UDAŁEM SIĘ DO POKOJU POIROTA, KTÓRY ZAPROTESTOWAŁ JAK NAJGWAŁTOWNIEJ PRZECIWK TEMU POMYSŁOWI. TO NIE BYŁO W JEGO STYLU. ZAWSZE AŻ NADMIERNIE TROSZCZYŁ SIĘ O SWOJE ZDROWIE. JAK OGNIĄ BAŁ SIĘ PRZECIĄGÓW, OWIJAŁ GARDŁO JEDWABNYMI I WEŁNIANYMI SZALIKAMI, PRZEMOCZENIE NÓG UWAŻAŁ ZA RZECZ NIEZMIERNIE NIEBEZPIECZNA, A PRZY BYLE KICHNIĘCIU MIERZYŁ TEMPERATURĘ I KŁADŁ SIĘ DO ŁÓŻKA.

- W przeciwnym wypadku - twierdził - grozi mi fluxion de poitrine!

Wiedziałem również, że radził się lekarzy przy najlżejszym nawet przeziębieniu.

A teraz, kiedy był naprawdę chory, wpadł w odwrotną przesadę.

MOŻE TU WŁAŚNIE ZNAJDOWAŁ SIĘ KLUCZ DO ZAGADKI? MOŻE DLATEGO NIE CHCIAŁ SIĘ PODDAĆ BADANIOM, ŻE WSZYSTKIE JEGO POPRZEDNIE PRZYPADŁOŚCI BYŁY BŁAHE, A TERAZ BAŁ SIĘ PRAWDY? Lekcewał swoją chorobę, gdyż nie chciał dopuścić myśli o tym, że może być śmiertelna.

Na moje protesty zareagował ostro i z dużą dozą goryczy:

- ILUŻ TO JA JUŻ MIAŁEM LEKARZY! CAŁE TUZINY! BYŁEM U IKSA I U YGREKA (TU WYMIENIŁ DWA BARDZO ZNANE NAZWISKA) I CO? POSŁALI MNIE DO EGIPITU, GDZIE MI SIĘ NATYCHMIAST POGORSZYŁO. POSZEDŁEM DO profesora R...

R. był wybitnym kardiologiem.

- I co ci powiedział?

Poirot spojrzał na mnie z ukosa z takim wyrazem twarzy, że mi serce zabiło.

- ZROBIŁ DLA MNIE WSZYSTKO, CO W JEGO MOCY... MAM ZAWSZE RÓŻNE LEKI POD RĘKĄ. POWINIENEM SIĘ SZANOWAĆ. I TYLE. Nic się już nie da zrobić. WIDZISZ WIĘC, HASTINGS, ŻE WZYWANIE NOWYCH LEKARZY NIE MA ŻADNEGO SENSU. SERCE, PODOBNIEM JAK KAŻDA MASZYNA, ZUŻYWA SIĘ, mon ami. NIE MOŻEMY SOBIE, niestety, kazać wstawić nowego silnika, tak jak to bywa w samochodach.

- Dajże spokój, Poirot, może jednak dałoby się... Curtiss...

- Co Curtiss? - zapytał.

- No tak. Przyszedł do mnie, bo był niespokojny. Miałeś przecież w nocy atak serca...

- MIEWAM OD CZASU DO CZASU TE ATAKI. NIE JEST TO MIŁY WIDOK. CURTISS NIE JEST PRYZWYCZAJONY do chorych ludzi.

- A więc odmawiasz wezwania lekarza?

- Bo to nie ma sensu.

MÓWIŁ TONEM ŁAGODNYM, ALE BARDZO STANOWCZYM. I ZNOWU POCZUŁEM UCISK W SERCU. POIROT

położył mi rękę na kolanie.

- WIDZISZ, HASTINGS, TO JEST OSTATNIA ZAGADKA, JAKĄ ROZWIĄZUJĘ. OSTATNIA, ALE CHYBA I NAJBARDZI PASJONUJĄCA. O TAK. JEST TO MOJA NAJBARDZIEJ INTERESUJĄCA ZBRODNIA I NAJBARDZIEJ INTERESUJĄC ZBRODNIARZ. IKS POSŁUGUJE SIĘ WSPANIAŁĄ METODĄ, KTÓRA MIMO WOLI BUDZI MÓJ PODZIW. DOTYCHCZAS, MON AMI, NIE POPEŁNIŁ NAJMNIEJSZEGO BŁĘDU. WYKAZUJE TYLE TALENTU, ŻE NAWET JA, HERKULES POIROT, N mogę go przygwoździć. Stosuje taktykę, na którą nie potrafię znaleźć odpowiedzi.

- Gdybyś był zdrowy... - zacząłem.

Ale widać nie trzeba było tego mówić, bowiem mój przyjaciel natychmiast wybuchnął:

- ILE RAZY MAM CI POWTARZAĆ, CZŁOWIEKU, ILE RAZY, ŻE MYŚLENIE NIE JEST FIZYCZNYM WYSIŁKIEM? Ale trzeba myśleć!! Rozumiesz?

- No... naturalnie... a ty to świetnie robisz.

- ŚWIETNIE? JA ROZUMUJĘ FENOMENALNIE PRAWIDŁOWO! MAM SPARALIŻOWANE NOGI, SERCE PŁATA MI przykre figle, ale mój mózg, Hastings, mój mózg funkcjonuje bezbłędnie.

- No to znakomicie.

KIEDY SCHODZIŁEM DO JADALNI, MYŚLAŁEM SOBIE, ŻE JEDNAK MÓZG POIROTA NIE DZIAŁA TAK SPRAWNIE JAK DAWNIEJ. OSTATECZNIE NIEMNIE BRAKOWAŁO, BY PANI LUTTRELL ZOSTAŁA ZABITA, A PANI FRANKLIN LEŻAŁ przecież w grobie.

2

Nazajutrz rano Poirot odezwał się ni stąd, ni zowąd:

- Wczoraj uważałeś, że potrzebna mi jest porada lekarska?

- O tak. I dalej to podtrzymuję.

- Eh bien. Zgadzam się. Pozwolę, żeby mnie zbadał Franklin.

- Franklin? - zdziwiłem się.

- No cóż, przecież to lekarz.

- No tak, ale zajmuje się wyłącznie pracą naukową.

- NIEWĄTPLIWIE. NIE WYOBRAŻAM SOBIE, ŻEBY MÓGŁ ZAJĄĆ SIĘ PRAKTYKĄ LEKARSKĄ. JEGO TAK ZWANE

„PODEJŚCIE DO PACJENTA” POZOSTAWIAŁOBY WIELE DO ŻYCZENIA. ALE JEST TO WYSOCE WYKWALIFIKOWANY SPECJALISTA. ZARYZYKOWAŁBYM TWIERDZENIE, ŻE PRAWDOPODOBNIIE MA LEPSZĄ INTUICJĘ NIŻ WIĘKSZOŚĆ JEGO KOLEGÓW.

NIE BYŁEM CAŁKOWICIE PRZEKONANY. NIE WĄPIEM BYNAJMNIEJ O WYSOKICH KWALIFIKACJACH FRANKLINA, ALE ZROBIŁ NA MNIE WRAŻENIE NAUKOWCA, KTÓREGO POWSZEDNIE LUDZKIE PRZYPADŁOŚCI MAŁO INTERESUJĄ. JEST MOŻE BARDZO GORLIWYM BADACZEM, ALE NA PEWNO NIE NADAJE SIĘ DO BEZPOŚREDNICH KONTAKTÓW Z CHORYMI.

UZNAŁEM JEDNAK, ŻE NALEŻY KUĆ ŻELAZO, PÓKI GORĄCE, BO I TAK BYŁO TO DUŻE USTĘPSTWO ZE STRONY POIROTA. PONIEWAŻ POIROT NIGDY NIE RADZIŁ SIĘ ŻADNEGO Z MIEJSCOWYCH LEKARZY. FRANKLIN ZGODZIŁ SIĘ ZBADAĆ GO, DODAJĄC, ŻE JEŻELI STWIERDZI COŚ NIEPOKOJĄCEGO, BĘDZIE MUSIAŁ WEZWAĆ SPECJALISTĘ.

Udał się więc do Poirota i pozostał tam przez dłuższy czas.

Czekałem na niego pod drzwiami. Kiedy wyszedł, wciągnąłem go do swojego pokoju.

- No i co? - zapytałem.

- To bardzo niezwykły człowiek - rzekł w zamyśleniu Franklin.

- No tak. Oczywiście... ale co z jego sercem?

Franklin spojrzał na mnie, jak gdybym mówił od rzeczy.

- Naturalnie. No tak, proszę pana, ten człowiek ma zupełnie zrujnowany organizm.

NIE BRZMIAŁO TO JAK FACHOWA DIAGNOZA. PRZECIEŻ JUDITH TWIERDZIŁA, ŻE TEN CZŁOWIEK JEST PIERWSZORZĘDNYM NAUKOWCEM.

- Czy z nim bardzo niedobrze?

Spojrzał na mnie badawczo.

- Czy pan naprawdę chce wiedzieć?

- Oczywiście.

Ma mnie chyba za durnia, pomyślałem ze złością.

- BO WIDZI PAN, LUDZIE NA OGÓL BOJĄ SIĘ WYROKU. WOLĄ WIADOMOŚCI USPOKAJAJĄCE. PO LEKARZU SPODZIEWAJĄ SIĘ SŁÓW OTUCHY I NADZIEI. WOLĄ ŁAGODNY SYROPEK OD GORZKIEJ PRAWDY. I TO SYROPEK PODAWANY MAŁYMI PORCJAMI. W KOŃCU ZDARZAJĄ SIĘ CZASEM CUDA. ALE W PRZYPADKU POIROTA NIE LICZYŁBYM NA CUD.

- Czy pana zdaniem...

Znowu poczułem ucisk w sercu.

Franklin skinął potakująco głową.

- NO TRUDNO, NIE BĘDĘ UKRYWAŁ, ŻE NIE JEST DOBRZE. SĄDZĘ, ŻE DŁUGO NIE POCIĄGNIE. NIE POWIEDZIAŁBYM PANU TEGO, GDYBY PACJENT MNIE DO TEGO SAM NIE UPOWAŻNIŁ.

- A więc Poirot wie?

- OCZYWIŚCIE. JEGO SERCE MOŻE SIĘ ZATRZYMAĆ KAŻDEJ CHWILI. TRUDNO JEDNAK PRZEWIDZIEĆ DOKŁADNIE, KIEDY. - PO CHWILI CISZY FRANKLIN DODAŁ: - ODNIOSŁEM WRAŻENIE, ŻE MA COŚ WAŻNEGO DO ZAŁATWIENIA, ŻE CHODZI MU O KAŻDY DZIEŃ. TWIERDZI, ŻE STOI PRZED NIM ZADANIE... NIE BARDZO ZROZUMIAŁEM, O CO CHODZI. Czy pan się orientuje?

- Tak - odparłem. - Orientuję się.

Franklin spojrział na mnie z zainteresowaniem.

- Poirot chciałby za wszelką cenę skończyć pewną pracę.

- Rozumiem.

ZASTANAWIAŁEM SIĘ KRÓTKO NAD TYM, CZY DOKTOR FRANKLIN CHOCIAŻBY W PRZYBLIŻENIU DOMYŚLA SIĘ O CO CHODZI.

- MAM NADZIEJĘ, ŻE MU SIĘ TO UDA. Z TEGO, CO ZDOŁAŁEM WYWNIOSKOWAĆ, ZALEŻY MU NA TYM BARDZO, ALE TO BARDZO. Jaki ten człowiek ma precyzyjny umysł - dodał.

- Czy można jeszcze coś dla niego zrobić... w sensie medycznym... jakieś lekarstwo...?

Franklin potrząsnął głową.

- NIE, NIC. MA PRZY SOBIE STALE NITROGLICERYNĘ, KTÓRĄ MOŻE ZAŻYĆ, GDYBY POCZUŁ, ŻE ZBLIŻA SIĘ ATAK. - A POTEM POWIEDZIAŁ COŚ BARDZO DZIWNEGO: - TEN CZŁOWIEK MA GŁĘBOKI SZACUNEK DLA LUDZKIEGO ŻYCIA, PRAWDA?

- No tak. Tak mi się wydaje.

Ile TO RAZY POIROT POWTARZAŁ: „NIE POCHWAŁAM MORDERSTWA”. TO DZIWNE SFORMUŁOWANIE ZAWSZE PORUSZAŁO MOJĄ WYOBRAŹNIĘ.

- WIDZI PAN, NA TYM WŁAŚNIE POLEGA RÓŻNICA POMIĘDZY NIM A MNĄ - CIĄGNAŁ FRANKLIN - BO JA ODWROTNIE...

Zaskoczył mnie, spojrziałem na niego ze zdumieniem. Uśmiechnął się blado.

- NIECH SIĘ PAN NIE DZIWI. SKORO ŚMIERĆ LUDZKA JEST NIEUCHRONNA I NIKOGO NIE OMINIE, CZY NIE

wszystko jedno, kiedy nastąpi? Różnica jest naprawdę minimalna.

- Jeżeli pan rzeczywiście tak myśli, to co, u Boga Ojca, skłoniło pana do zostania lekarzem?

- ALEŻ, DROGI PANIE, ROLA LEKARZA NIE POLEGA WYŁĄCZNIE NA POMAGANIU LUDZIOM W WYMYKANIU SIĘ NIECHYBNEJ ŚMIERCI. JEST ZNACZNIE WIĘKSZA. CHODZI O POPRAWĘ JAKOŚCI SAMEGO ŻYCIA. JEŻELI UMIERA CZŁOWIEK NORMALNY - NIE MA TO WIĘKSZEGO ZNACZENIA. JEŻELI UMIERA KRETYN, IDIOTA - JEST TO NAWET ZJAWISKO POZYTYWNE. ALE GDYBY PRZEZ ZASTOSOWANIE ODPOWIEDNIEGO LEKU UDAŁO SIĘ NAM ZMIENIĆ KRETYNA W NORMALNEGO, PRAWIDŁOWO ROZUMUJĄCEGO CZŁOWIEKA, BYŁOBY TO NAPRAWDĘ WIELKIM OSIĄGNIĘCIEM. MOŻE SIĘ OKAZAĆ, ŻE GŁUPOTA JEST PO PROSTU WYWOŁANA NIEWYDOLNOŚCIĄ TARCZYCY - wystarczy podać odpowiedni hormon.

SPOJRZAŁEM NA FRANKLINA ZE WZMOŻONYM ZAINTERESOWANIEM. POMYŚLAŁEM, ŻE GDYBYM ZAPADŁ NA INFLUENCĘ, TO NA PEWNO NIE WEZWAŁBYM GO DO SIEBIE, ALE NIE MOGŁEM OPRZEĆ SIĘ UCZUCIU SZACUNKU DLA JEGO SZCZEROŚCI I SIŁY PRZEKONAŃ. OD ŚMIERCI ŻONY NASTĄPIŁY W NIM PEWNE ZMIANY. NIE NOSIŁ PO NIEJ KONWENCJONALNEJ ŻAŁOBY. WYDAWAŁ SIĘ NAWET PRZYTOMNIEJSZY, MNIEJ ROZTARGNIONY, ZNACZNIE BARDZIEJ OŻYWIONY I DYNAMICZNY. Przerwywając ciąg moich myśli, powiedział niespodziewanie:

- Pan i Judith nie jesteście zbyt do siebie podobni, prawda?

- Nie sędzę.

- Czy ona jest podobna do matki?

Zastanowiłem się nad tym przez moment, a potem potrząsnąłem głową:

- RACZEJ NIE. MOJA ŻONA BYŁA OSOBĄ WESOŁĄ, SKŁONNĄ DO ŚMIECHU. NIE BRAŁA NICZEGO ZBYT SERIO. Próbowala i mnie do tego skłonić, ale, niestety, bez większego powodzenia.

- NO TAK, PAN PODCHODZI DO SWOICH OJCOWSKICH OBOWIĄZKÓW BARDZO POWAŻNIE, NIEPRAWDAŻ? TAK TEŻ TWIERDZI JUDITH. JUDITH RZECZYWIŚCIE RZADKO SIĘ ŚMIEJE. BARDZO Z NIEJ POWAŻNA OSOBA. ZA DUŻO pracuje. Ale to moja wina. - Franklin zadumał się.

- Pańska praca jest chyba bardzo interesująca - powiedziałem, bo trzeba było coś powiedzieć.

- Proszę?

- Mówiłem, że pańska praca musi być bardzo ciekawa.

- MOŻE DLA KILKU OSÓB, WSZYSCY INNI UZNALIBY JĄ ZA ŚMIERTELNIE NUDNĄ. I PEWNIENIE MIELIBY RACJĘ. Ale co tam...

Odrzucił głowę, wyprostował się. Wyglądał nagle na to, czym był w rzeczywistości. Na bardzo silnego i energicznego mężczyznę.

- O BOŻE, ALE MI SIĘ UDAŁO! MÓGŁBYM KRZYCZEĆ Z RADOŚCI. OTRZYMAŁEM DZISIAJ WIADOMOŚĆ Z MINISTERSTWA. MOGĘ OBEJRZEĆ TĘ PLACÓWKĘ, KIEDY TYLKO ZECHCĘ. POSTANOWIŁEM WYJECHAĆ ZA DZIESIĘĆ

dni.

- Do Afryki?

- Tak. To moja wielka szansa.

- Tak szybko?

Byłem nieco zgorszony jego pośpiechem.

- JAK TO SZYBKO? AHA, ROZUMIEM. CHODZI PANU O ŚMIERĆ BARBARY. ALE, PROSZĘ PANA, PO CÓZ MIAŁBYM CZEKAĆ? PO CO UDAWAĆ? PRZECIEŻ TO CHYBA JASNE DLA KAŻDEGO, ŻE JEJ ŚMIERĆ JEST DLA MNIE wyzwoleniem.

Wyraz mojej twarzy najwidoczniej go rozśmieszył.

- NIE MAM CZASU NA KONWENCJONALNE POZY. ZAKOCHAŁEM SIĘ W BARBARZE PRZED LATY - BYŁA PRZEŚLICZNĄ DZIEWCZYNĄ - OŻENIŁEM SIĘ Z NIĄ, A PO ROKU NIE CZUŁEM JUŻ DLA NIEJ NIC. JEŻELI CHODZI O NIĄ, TO JEJ UCZUCIE DO MNIE WYGASŁO JESZCZE WCZEŚNIEJ. NIE DZIWIĘ SIĘ, ŻE JĄ ROZCZAROWAŁEM. BYŁA PEWNA, ŻE POTRAFI MNIE ZMIENIĆ. ALE NIC Z TEGO NIE WYSZŁO. JESTEM BARDZO WIELKIM EGOISTĄ, TO PRAWDA, I DO tego upartym, i zawsze robię dokładnie to, na co mam ochotę.

- A MIMO TO WYRZEKŁ SIĘ PAN TEJ SWOJEJ WIELKIEJ AFRYKAŃSKIEJ SZANSY ZE WZGLĘDU NA STAN JEJ zdrowia?

- NO TAK, ALE Z POWODÓW CZYSTO FINANSOWYCH. ZAWIERAJĄC ZWIĄZEK MAŁŻEŃSKI, ZOBOWIĄZAŁEM SIĘ UTRZYMYWAĆ BARBARĘ NA POZIOMIE, DO KTÓREGO BYŁA PRYZWYCZAJONA. GDYBYM POJECHAŁ DO AFRYKI, MUSIAŁABY SIĘ BARDZO OGRANICZAĆ. TERAZ ZA TO - UŚMIECHNĄŁ SIĘ SZCZERYM, CHŁOPIĘCYM UŚMIECHEM - wszystko układa się dla mnie jak najpomyślniej.

BYŁEM OBURZONY. WIEM DOSKONALE, ŻE WIELU MĘŻCZYŹN NIE ROZPACZA Z POWODU UTRATY ŻONY. TO rzecz powszechnie znana. Ale żeby się do tego otwarcie przyznawać?

Doktor Franklin wyczuł, co się we mnie dzieje, lecz nie był tym wcale speszony.

- PRAWDA RZADKO POPŁACA. ALE POZWALA NAM OSZCZĘDZIĆ WIELE CZASU, A SZCZEGÓLNIENIE MNÓSTWA obłudnych słów.

- Czy fakt, że pańska żona odebrała sobie życie, nie dręczy pana? - zapytałem dość sucho.

- Wie pan, jakoś nie mogę w to uwierzyć - zamyślił się Franklin. - To nie w jej stylu...

- Więc co pan myśli?

- Nie mam pojęcia. Nie wiem... a co więcej, nie chcę wiedzieć. Rozumie pan?

Co za niebwywały człowiek. Patrzył przed siebie ze ściągniętymi brwiami.

- Nie chcę wiedzieć - powtórzył. - Nic mnie to nie obchodzi. Rozumie pan?

Rozumiałem, owszem, ale zachwycony nie byłem.

3

NIE PAMIĘTAM JUŻ DOKŁADNIE, KIEDY SIĘ ZORIENTOWAŁEM, ŻE STEPHEN NORTON JEST CZYMŚ POWAŻNIE ZANIEPOKOJONY. PO ROZPRAWIE WSTĘPNEJ, A SZCZEGÓLNIE PO POGRZEBIE, TRZYMAŁ SIĘ JAKBY Z DALA OD NAS WSZYSTKICH I PRZECHADZAŁ SIĘ GODZINAMI PO OGRODZIE Z OCZAMI WBITYMI W ZIEMIĘ. CORAZ CZEŚCIEJ, JAK TO BYŁO JEGO ZWYCZAJEM, ROZCZESYWAŁ PALCAMI SWOJE KRÓTKO OSTRZYŻONE SIWE WŁOSY, AŻ W KOŃCU WYGLĄDAŁ JAK STRACH NA WRÓBLE. RUCH TEN BYŁ TYM ŚMIESZNIJSZY, ŻE BEZWIEDNY, I DOWODZIŁ NIEWĄTPLIWIE, ŻE NORTON JEST CZYMŚ CAŁKOWICIE POCHŁONIĘTY. NA PYTANIA ODPOWIADAŁ BEZ ŁADU I SKŁADU, TAK ŻE W KOŃCU ZROZUMIAŁEM, ŻE COŚ GO GRYZIE. ZAPYTAŁEM GO MIMOCHODEM, CZY ABY NIE OTRZYMAŁ JAKICHŚ ZŁYCH WIADOMOŚCI, ALE ZAPRZECZYŁ KATEGORYCZNIE. NA TYM NA RAZIE POPRZESTAŁEM NIECO PÓŹNIEJ JEDNAKŻE NORTON USIŁOWAŁ WYCIĄGNAĆ ZE MNIE, CO MYŚLĘ O PEWNEJ SPRAWIE, I TO W sposób bardzo zawiły.

JĄKAJĄC SIĘ - CO CZYNIŁ ZAWSZE, KIEDY ZACZYNAŁ MÓWIĆ POWAŻNIE - WDAŁ SIĘ W SZALENIE skomplikowane rozumowanie natury etycznej.

- WIE PAN, HASTINGS, WYDAWAŁOBY SIĘ, ŻE ROZRÓŻNIENIE, CO JEST DOBRE, A CO ZŁE, NIE POWINNO BYĆ NAZBYT TRUDNE - ZACZAŁ - ALE JAK DOCHODZI DO TEGO, OKAZUJE SIĘ ZAZWYCZAJ, ŻE NIC NIE JEST PROSTE. I ZNACZY, CHCĘ POWIEDZIEĆ, ŻE CZŁOWIEK MOŻE SIĘ NATKNAĆ ZUPEŁNIE PRZYPADKOWO NA INFORMACJĘ, KTÓRA NIE JEST DLA NIEGO PRZEZNACZONA. ROZUMIE PAN? CZYSTY PRZYPADEK, SYTUACJA, Z KTÓREJ NIE MOŻNA BY WYCIĄGNAĆ DLA SIEBIE ŻADNYCH KORZYŚCI, NAWET GDYBY SIĘ CHCIAŁO, ALE KTÓRA MOŻE MIEĆ KOŁOSALNE znaczenie dla osób trzecich. Czy pan rozumie, co mam na myśli?

- Obawiam się, że niezupełnie - przyznałem się.

NORTON ŚCIAĞNAŁ BRWI. PO RAZ NIE WIEDZIEĆ KTÓRY PRZECZESAŁ PALCAMI WŁOSY I ZROBIŁ Z SIEBIE istne czupiradło.

- TRUDNO MI TO PANU WYTŁUMACZYĆ. DAM PRZYKŁAD. POWIĘDZMY, ŻE PRZECZYTAŁ PAN CUDZY LIST OTWORZYŁ GO PAN, OCZYWIŚCIE, PRZEZ POMYŁKĘ. ZACZAŁ GO PAN CZYTAĆ W PEŁNYM PRZEKONANIU, ŻE JEST SKIEROWANY DO PANA, I W REZULTACIE PRZECZYTAŁ PAN COŚ, CO NIE BYŁO PRZEZNACZONE DLA PAŃSKICH OCZU. Taka rzecz może się zdarzyć, prawda?

- Oczywiście.

- No i co powinno by się wtedy zrobić?

- BO JA WIEM - ZAMYŚLIŁEM SIĘ. - NALEŻAŁOBY CHYBA PÓJŚĆ DO TEJ OSOBY I POWIEDZIEĆ: „SZALENIE

mi przykro, ale otworzyłem ten list przez pomyłkę”.

Norton westchnął.

- A jeżeli przy tej okazji dowiedziałby się pan czegoś kompromitującego o adresacie?

- W TAKIM RAZIE TRZEBA BY UDAWAĆ, ŻE SIĘ LISTU NIE CZYTAŁO. JA NA PRZYKŁAD POWIEDZIAŁBYM, ŻE otworzyłem go przez pomyłkę, lecz spostrzegłem się w porę.

- NO TAK - ZGODZIŁ SIĘ NORTON BEZ PRZEKONANIA. - A JEDNAK WCIAŻ ZASTANAWIAM SIĘ, CO ROBIĆ - dodał po chwili.

Oświadczyłem raz jeszcze, że widzę tylko jedno wyjście z tej sytuacji.

Norton myślał intensywnie.

- NIECH PAN POSŁUCHA, HASTINGS, BO TO JEST BARDZIEJ ZAWIŁE. PROSZĘ SOBIE WYOBRAZIĆ, ŻE TO, CO pan przeczytał, ma duże znaczenie dla osoby trzeciej.

Straciłem cierpliwość.

- PANIE KOCHANY - ZACHNAŁEM SIĘ - DAJŹE PAN SPOKÓJ. PO PROSTU NIE TRZEBA CZYTAĆ CUDZYCH LISTÓW i tyle.

- NATURALNIE, ŻE NIE. NIE TO MIAŁEM NA MYŚLI. A POZA TYM, W TYM WYPADKU WCALE NIE CHODZI O LIST. DAŁEM TO JEDYNNIE ZA PRZYKŁAD, ALE W RZECZYWISTOŚCI JEST TO ZUPEŁNIE INNA SPRAWA. SAM WIEM DOSKONALE, ŻE NIE WOLNO ROZPOWSZECHNIAĆ INFORMACJI, JAKIE SIĘ ZDOBYŁO PRZEZ PRZYPADEK. NAWET JEŚLI chodzi o coś, co się niechcący widziało, na własne oczy, chyba że...

- Chyba że co?

- Chyba że jest to absolutnie konieczne - powiedział Norton powoli i z naciskiem.

Spojrzałem na niego z większym zainteresowaniem.

- Powiedzmy - ciągnął dalej Norton - że zobaczył pan coś... przez dziurkę od klucza...

Poirot ma zawsze rację, pomyślałem w panice. Norton mówił dalej:

- ZAŁÓŻMY, ŻE W TYM WYPADKU PATRZENIE PRZEZ DZIURKĘ OD KLUCZA BYŁO CAŁKOWICIE UZASADNIONE. Klucz mógł się zaciąć albo coś w tym rodzaju... no i nagle człowiek widzi coś...takiego... czego się w życiu nie spodziewał...

NA PARĘ MINUT STRACIŁEM WĄTEK JEGO NIESKŁADNEJ OPOWIEŚCI, ALBOWIEM ZAŚWITAŁO MI NAGLE W GŁOWIE. PRZYPOMNIAŁ MI SIĘ ÓW MOMENT W PARKU, KIEDY TO W POSZUKIWANIU PSTREGO DZIĘCIOŁA NORTON NAKIEROWAŁ SVOJĄ LORNETKĘ NA KĘPĘ DRZEW. ZMIESZAŁ SIĘ WTEDY I ZA NIC NIE CHCIAŁ MI DAĆ LORNETKI. DOSZEDŁEM WÓWCZAS DO WNIOSKU, ŻE ZOBACZYŁ COŚ, CO MOGŁO MIEĆ JAKIŚ ZWIĄZEK ZE MNĄ. SZCZERZE

MÓWIĄC, BYŁEM PRZEKONANY, ŻE CHODZI O JUDITH I ALLERTONA. ALE JEŻELI TAK NIE BYŁO? JEŻELI NORTON ZOBACZYŁ COŚ ZUPEŁNIE INNEGO? A JA BYŁEM TAK ZAPRZĄTNIĘTY TAMTĄ SPRAWĄ, ŻE TYLKO TO CHODZIŁO MI O GŁOWIE?

- CZY CHODZI O COŚ, CO PAN PRZYPADKOWO ZOBACZYŁ PRZEZ TĘ PAŃSKĄ LORNETKĘ? - ZAPYTAŁEM obcesowo.

Na twarzy Nortona ukazał się wyraz zdumienia i ulgi.

- Jakże się pan domyślił? - zawołał.

- To było tego dnia, kiedyśmy z Elizabeth poszli na spacer, prawda?

- Tak, oczywiście.

- I kiedy pan nie chciał mi pożyczyć lornetki?

- No tak... bo to... no, to, co zobaczyłem, nie było przeznaczone dla cudzych oczu.

- Co to było?

- NO WŁAŚNIE. W TYM CAŁA RZECZ. NIE POWINIENEM O TYM MÓWIĆ. JA NAPRAWDĘ NIKOGO NIE SZPIEGOWAŁEM... TAM RZECZYWIŚCIE SIEDZIAŁ PSTRY DZIĘCIOŁ... BARDZO PIĘKNY I RZADKI OKAZ. NO, A NA tamten widok natrafiłem przez czysty przypadek.

Zamilkł, ale mimo że rosła we mnie ciekawość, czułem, że nie wolno mi zbyt silnie nalegać.

- Czy było to coś naprawdę ważnego? - zapytałem tylko.

- TO MOŻE SIĘ OKAZAĆ BARDZO WAŻNE - ZAMYŚLIŁ SIĘ. - I WŁAŚNIE DLATEGO TAK SIĘ TRAPIĘ. SAM NIE wiem, co robić.

- Czy to ma coś wspólnego ze śmiercią pani Franklin?

- Jak pan odgadł? - krzyknął Norton zaskoczony.

- A więc tak?

- NIE... MOŻE NIE BEZPOŚREDNIO. CHOĆ NA PEWNO DAJE WIELE DO MYŚLENIA. BO W TAKIM RAZIE... ALE dajmy już temu spokój. Jestem naprawdę w szalonym kłopotcie!

JA TEŻ, POMYŚLAŁEM. POŻERAŁA MNIE CIEKAWOŚĆ I WIDZIAŁEM, ŻE NORTON NIE POWIE NIC KONKRETNEGO. ROZUMIAŁEM JEGO PUNKT WIDZENIA. NA JEGO MIEJSCU TEŻ BYŁBYM W KŁOPOCIE. BYĆ przypadkowym posiadaczem cudzej tajemnicy nie należy do przyjemności, to pewne.

Nagle olśniła mnie znakomita myśl.

- A może chciałby się pan poradzić Poirota?

- Poirota? - zdziwił się Norton.

- No tak. Na pana miejscu porozmawiałbym z nim.

- To dobry pomysł. Tyle że... że to cudzoziemiec... - Zamilkł, lekko zawstydzony.

WIEDZIAŁEM DOBRZE, O CO MU CHODZI. SARKASTYCZNE UWAGI POIROTA NA TEMAT „ANGIELSKIEGO KODEKSU HONOROWEGO” I MNIE NIERAZ DENERWOWAŁY. ZASTANAWIAŁEM SIĘ PRZEZ CHWILĘ, DLACZEGO POIROT WŁAŚCIWIE NIGDY NIE PRÓBOWAŁ PODGLĄDAĆ LUDZI PRZEZ LORNETKĘ. PRAWDOPODOBNIENIE NIE PRZYSZŁO MU TO po prostu do głowy.

- ON JEST NIEZWYKLE DYSKRETNY - ZAPEWNIŁEM. - A POZA TYM NIC PANA NIE ZMUSZA DO postępowania według jego rady.

- To prawda - zgodził się Norton. - Wie pan co, Hastings, chyba pana posłucham.

4

Reakcja Poirota na moją opowieść była zdumiewająca.

- POWTÓRZ TO JESZCZE RAZ, HASTINGS! - WYPUŚCIŁ Z RĘKI GRZANKĘ, KTÓRĄ WŁAŚNIE PODNOSIŁ DO US wysunął głowę naprzód. - Mówże, człowieku! Szybko!

Powtórzyłem mu wszystko, czego dowiedziałem się od Nortona.

- A WIĘC ZOBACZYŁ COŚ PRZEZ SWOJĄ LORNETKĘ, ALE NIE POWIEDZIAŁ CI, CO TO BYŁO? CZY JESTEŚ pewien, że nie zwierzył się nikomu innemu?

- Chyba nie. Na pewno nie.

- BĄDŹ BARDZO OSTROŻNY, HASTINGS. NIKT NIE ŚMIE SIĘ O TYM DOWIEDZIEĆ. NIECH ON O TYM JU nikomu nie mówi. Bo to mogłoby być bardzo niebezpieczne.

- Niebezpieczne?

- TAK. PRZYPROWADŹ MI GO ZARAZ PO KOLACJI, MON AMI. NA ZWYCZAJNĄ PRZYJACIELSKĄ WIZYTKĘ, ROZUMIESZ? ZALEŻY MI NA TYM, ŻEBY NIKOMU NIE WPADŁO DO GŁOWY, ŻE ON SIĘ ZE MNĄ NARADZA. I UWAŻAJ, Hastings, błagam cię, bądź ostrożny. Kto tam był z wami jeszcze tego dnia?

- Elizabeth Cole.

- Czy zauważyła coś?

Usiłowałem sobie przypomnieć.

- Nie wiem. Może zauważyła. Mogę zapytać...
- Ani mi się waź... żadnych rozmów na ten temat.

ROZDZIAŁ XVI

1

Przekazałem Nortonowi zaproszenie Poirota.

- OCZYWIŚCIE, CHĘTNIE ODWIEDZĘ GO ZARAZ PO KOLACJI. NAWET BARDZO CHĘTNIE. ALE WIE PAN CO, Hastings? Żałuję, że nawet panu wspomniałem o tamtej historii.

- Przy okazji, Norton, chciałem pana zapytać, czy rozmawiał pan o tym z kimś poza mną?

- Nie... chyba że... nie, właściwie z nikim.

- Czy jesteś pan pewny?

- Tak. Z nikim nie rozmawiałem.

- TO DOBRZE. I NIECH PAN DALEJ TRZYMA JĘZYK ZA ZĘBAMI. PRZYNAJMNIEJ DOPÓKI NIE ROZMÓWI SIĘ pan z Poirotem.

ZAUWAŻYŁEM, ŻE SIĘ ZAWAHAŁ, ZANIM ODPOWIEDZIAŁ NA MOJE PIERWSZE PYTANIE. ALE JUŻ NA DRUGIE ZAREAGOWAŁ Z CAŁKOWITĄ PEWNOŚCIĄ SIEBIE. W KILKA DNI PÓŹNIEJ PEWNE OKOLICZNOŚCI SPRAWIŁY, ŻE sobie o tym przypomniałem.

2

PO TEJ ROZMOWIE UDAŁEM SIĘ SPACERKIEM NA TO SAMO MIEJSCE, NA KTÓRYM STALIŚMY OWEGO pamiętnego dnia z Nortonem i Elizabeth Cole. Panna Cole była tam właśnie.

- Czy coś się stało? - zapytała. - Jest pan zdenerwowany.

Opanowałem się.

- NIE, WCALE NIE. ZADYSZAŁEM SIĘ PO PROSTU, BO SZEDŁEM BARDZO SZYBKIM KROKIEM. MYŚLĘ, ŻE będzie deszcz - dodałem możliwie obojętnym tonem.

Spojrzała w niebo.

- Chyba tak.

POSTALIŚMY PRZEZ KILKA CHWIL W MILCZENIU. PODOBAŁA MI SIĘ TA KOBIETA. BYŁO W NIEJ COŚ

NIEZMIERNIE UJMUJĄCEGO. OD CHWILI, KIEDY WYZNAŁA MI, KIM JEST, I OPowiedziała mi swoje tragiczne dzieje, polubiłem ją jeszcze bardziej. Ludzie, którzy mają za sobą wielki dramat, zawsze czują się sobie bliżsi. Poza tym zdawało mi się, że panna Cole przeżywa teraz drugą wiosnę swojego życia.

- PRZYznam się pani, że mam bardzo niedobre wiadomości dotyczące stanu zdrowia starego przyjaciela.

- Czyżby chodziło o pana Poirota?

Jej życzliwe zainteresowanie skłoniło mnie do zwierzeń. Powtórzyłem jej, co mi powiedział doktor Franklin. Kiedy skończyłem, odezwała się cichym głosem:

- Rozumiem. Koniec może nastąpić... każdej chwili.

Trudno mi było mówić. Skinąłem więc tylko głową.

- Kiedy on odejdzie, zostanę zupełnie sam - dodałem po chwili milczenia.

- Skądże, ma pan przecież Judith. I inne dzieci.

- MOJE DZIECI SĄ ROZSIANE PO CAŁYM ŚWIECIE, A JUDITH?... JUDITH MA SWOJĄ PRACĘ. NIE JESTEM JEJ potrzebny.

- Moim zdaniem, dzieci nigdy nie potrzebują rodziców, chyba że wpadną w kłopoty. Trzeba się z tym pogodzić, gdyż jest to jedna z podstawowych życiowych prawd. Jestem bardziej samotna niż pan. Mam dwie siostry, ale jedna jest w Ameryce, a druga we Włoszech.

- Pani życie dopiero się zaczyna.

- Skończyłam trzydzieści pięć lat!

- A cóż to za wiek? Jakżebym chciał mieć dzisiaj trzydzieści pięć lat! NIE JESTEM CAŁKIEM śLEPY - dodałem nie bez złości.

Panna Cole zarumieniła się po uszy.

- PAN SIĘ MYLI... STEPHEN NORTON I JA JESTEŚMY PO PROSTU PARĄ PRZYJACIÓŁ. MAMY WIELE wspólnych zainteresowań...

- Tym lepiej.

- On... on jest bardzo dobry...

- Na pewno, ale to nie jest kwestia dobroci. My mężczyźni mamy zupełnie inną mentalność.

Elizabeth Cole przybladła i powiedziała głosem cichym, ale pełnym goryczy:

- JAKIŻ PAN OKRUTNY, JAKI ŚLEPY. MNIE NIE WOLNO NAWET MYŚLEĆ O MAŁŻEŃSTWIE. PAN NAJLEPIEJ ZNA MOJĄ PRZESZŁOŚĆ. SIOSTRA MORDERCZYNI ALBO... OBLĄKANEJ. Z DWOJGA ZŁEGO, SAMA NIE WIEM JUŻ, CO GORSZE.

- BŁAGAM PANIĄ, NIECH PANI PRZESTANIE O TYM MYŚLEĆ. PRZECIEŻ NIE JEST WYKLUCZONE, ŻE TO WSZYSTKO NIEPRAWDA.

- Ja wiem, że to prawda.

- Czy pamięta pani, że mi pani kiedyś powiedziała: „To na pewno nie była Maggie”?

- Tak mi się zawsze zdawało - westchnęła.

- To, co nam się zdaje, często jest prawdą.

- Niech pan się jaśniej wyraża, błagam.

- Siostra pani - powiedziałem z pełnym przekonaniem - nie zabiła swego ojca.

Panna Cole zasłoniła sobie ręką usta i spojrzała na mnie wielkimi, przerażonymi oczami.

- Pan chyba oszalał - szepnęła. - Pan na pewno oszalał. Kto to panu powiedział?

- Mniejsza z tym - odparłem. - To szczerą prawdą. Udowodnię ją pani w najbliższym czasie.

3

Wracając do domu, natknąłem się tuż pod gankiem na Boyda Carringtona.

- To mój ostatni wieczór z wami - oświadczył z miejsca. - Jutro się wyprowadzam.

- Do Knatton?

- Tak.

- To nadzwyczajna nowina. Chyba się pan cieszy?

- Owszem. Naturalnie. No, a w każdym razie nie martwię się, że stąd wyjeżdżam.

- Jedzenie jest rzeczywiście nieszczerłone i obsługa pozostawia wiele do życzenia.

- NIE O TO MI CHODZI. OSTATECZNIE JEST TU TANIO, NO I W OGÓLE NIE NALEŻY SIĘ SPODZIEWAĆ ZBYT WIELE PO TYCH WIEJSKICH PENSJONATACH. NIE, HASTINGS, MNIE NIE CHODZI O NIWYGODY. PO PROSTU NIE ZNOSZĘ TEGO DOMU. Ma fatalną aurę. Tutaj ciągle dzieje się coś niedobrego.

- To prawda.

- NIE WIEM, NA CZYM TO POLEGA. BYĆ MOŻE, ŻE DOM, W KTÓRYM RAZ POPELNIONO MORDERSTWO, NIGDY JUŻ POTEM NIE BYWA TAKI SAM... NIE PODOBA MI SIĘ TO WSZYSTKO. NAJPIERW BYŁ WYPADEK PANI LUTTRELL. A TERAZ TA HISTORIA Z NIESZCZĘSNĄ BARBARĄ. TO CHYBA OSTATNIA OSOBA NA ŚWIECIE, KTÓRĄ DAŁOBY S POSĄDZIĆ O SAMOBÓJCZE ZAMIARY. PRZYNAJMNIEJ TAK MI SIĘ WYDAJE.

- No, nie wiem. Tego bym może nie powiedział z całą stanowczością.

Przerwał mi.

- A JA TAK. PANIE KOCHANY, PRZECIEŻ SPĘDZIŁEM Z NIĄ CAŁY POPRZEDNI DZIEŃ. BYŁA W ŚWIETNYM HUMORZE, ŻARTOWAŁA BEZ PRZERWY. JEDYNA RZECZ, KTÓRA JĄ MARTWIŁA, TO FAKT, ŻE JEJ MAŻ JE PRZEPRACOWANY, ŻE NIE ZNA UMIARU I ŻE MOŻE SIĘ OD TEGO ROZCHOROWAĆ. NAJBARDZIEJ SIĘ BAŁA, ŻEBY NIE WPADŁO MU DO GŁOWY WYPRÓBOWAĆ JEDNEJ Z TYCH JEGO MIESZANEK NA SOBIE SAMYM. HASTINGS, CZY WIE PAN, CO JA MYŚLĘ?

- Nie.

- OTÓŻ MOIM ZDANIEM, TO WŁAŚNIE JEJ MAŻ JEST ODPOWIEDZIALNY ZA TO, CO SIĘ STAŁO. NA PEWNO STALE JEJ DOKUCZAŁ. KIEDY BYŁA W MOIM TOWARZYSTWIE, NIGDY ŹLE SIĘ NIE CZUŁA. ON NA PEWNO WYPOMINAŁ JEJ TO WIECZNE CHOROWANIE, OSKARŻAŁ JĄ O TO, ŻE RUJNUJE MU KARIERĘ NAUKOWĄ. JUŻ JA BYM MU DAŁ KARIERĘ! I TO JĄ ZAŁAMAŁO. A W OGÓLE CO TO ZA ZIMNY DRAŃ! NAWET NIE NOSI PO NIEJ ŻAŁOB! POWIEDZIAŁ MI PRZED CHWILĄ, ŻE WYJEŻDŻA DO AFRYKI. PO TAK KRÓTKIM CZASIE. NIE ZDZIWIŁBYM SIĘ, GDYBY SIĘ OKAZAŁO, ŻE JĄ ZAMORDOWAŁ.

- Głupstwa pan wygaduje - zareagowałem ostro.

- CHYBA SĄ TO NAPRAWDĘ GŁUPSTWA. ALE TYLKO DLATEGO, ŻE GDYBY CHCIAŁ JĄ ZAMORDOWAĆ, T ZROBIŁBY TO NIEWĄTPLIWIE SPRYTNIJ. OSTATECZNIE WSZYSCY WIEDZĄ O TYM, ŻE PRACUJE NAD TĄ TRUCIZNĄ. JAK JEJ TAM?... WIĘC MUSIAŁBY MIEĆ ŹLE W GŁOWIE, ŻEBY ZA JEJ POMOCĄ ZABIĆ ŻONĘ. NO, ALE JAK BY NIE BYŁO, JEST TO PODEJRZANY TYP. MAM PEWNE KONCEPCJE I TO OD KOGOŚ, KTO NA PEWNO ORIENTUJE SIĘ W sytuacji.

- A kto to taki?

- Siostra Craven - szepnął mi do ucha.

- Niemożliwe! - zdziwiłem się.

- CISZEJ! ROZUMIE PAN, TO ONA PODDAŁA MI TĘ MYŚL. TO BARDZO INTELIGENTNA DZIEWCZYNA. MA dobrze ułożone w głowie. Nie znosi Franklina. Nigdy go nie lubiła.

Trudno było mi w to uwierzyć. Moim zdaniem, siostra Craven nie lubiła swojej pacjentki. Jest niegłupia i chyba bardzo dużo wie o małżeństwie Franklinów, pomyślałem.

- Ona jeszcze tu jest - oświadczył Boyd Carrington.

- Co takiego?

BYŁEM ZDZIWIONY, WIEDZIAŁEM BOWIEM, ŻE SIOSTRA CRAVEN OPUŚCIŁA STYLES NATYCHMIAST PO pogrzebie.

- Chce tu przenocować, bo dopiero jutro obejmuje pieczę nad następną pacjentką.

- Rozumiem.

DECYZJA SIOSTRY CRAVEN WZBUDZIŁA WE MNIE NIEPOKÓJ, CHOCIAŻ TRUDNO BYŁOBY MI POWIEDZIEĆ DLACZEGO. ZASTANAWIAŁEM SIĘ NAD PRAWDZIWĄ PRZYCZYNĄ JEJ POWROTU. NIE LUBIŁA FRANKLINA, JAK oświadczył przed chwilą Carrington.

- JAKIM PRAWEM TA DZIEWCZYNA RZUCA PODEJRZENIA NA DOKTORA FRANKLINA? - KRZYKNAŁEM W NAGŁYM PRZYPLÝWIE GNIEWU. - W KOŃCU TO PRZECIEŻ JEJ ZEZNANIA W GRUNCIE RZECZY NAJBARDZIEJ PRZYCZYNIŁY SIĘ DO PRZEKONANIA SĄDU O TYM, ŻE TA ŚMIERĆ BYŁA SAMOBÓJCZA. NO I JESZCZE TO, ŻE POIROT WIDZIAŁ BARBARĘ Franklin, jak wychodziła z laboratorium z buteleczką w ręku.

- CO TAM BUTELECZKA! - WARKNAŁ BOYD CARRINGTON. - KOBIETY ZAWSZE MAJĄ JAKIEŚ BUTELECZKI. TO PERFUMAMI, A TO Z SZAMPONEM DO WŁOSÓW, A TO Z LAKIEREM DO PAZNOKCI. PAŃSKA CÓRKA NA PRZYKŁAD TEŻ LATAŁA TEGO WIECZORU Z JAKĄS BUTELKĄ W RĘKU. SAM JĄ WIDZIAŁEM. CZY TO DOWODZI, ŻE NOSIŁA SIĘ z zamiarami samobójczymi? Przecież to nonsens.

PRZERWAŁ NA WIDOK ZBLIŻAJĄCEGO SIĘ DO NAS ALLERTONA. I W TEJ SAMEJ CHWILI - JAK NA ZAMÓWIENIE - ROZLEGŁ SIĘ Z ODDALI POMRUK GRZMOTU. BARDZO MELODRAMATYCZNA SCENA. ALLERTON, POMYŚLAŁEM SOBIE po raz nie wiedzieć który, idealnie nadawałby się do roli zbrodniarza.

Nie było go jednakże w Styles owego wieczoru. Poza tym nie miał chyba żadnego motywu.

NO, ALE IKS DZIAŁAŁ, JAK WIEDZIAŁEM, BEZ MOTYWÓW. NA TYM POLEGAŁA JEGO PRZEWAGA. WYŁĄCZNIE TEN FAKT UNIEMOŻLIWIŁ NAM ROZPLATANIE TEJ POTWORNEJ GMATWANINY SPRAW, ALE LADA CHWILA MOGŁO NA SIĘ rozjaśnić w głowach.

4

W TYM MIEJSCU PRAGNAŁBYM PRZERWAĆ MOJĄ OPowieŚĆ I OŚWIAADCZYĆ, ŻE ANI PRZEZ CHWILĘ W CIĄGU TYCH DNI NIE POMYŚLAŁEM O MOŻLIWOŚCI PORAŻKI POIROTA. W KONFLIKCIE POMIĘDZY NIM A IKSEM ZWYCIĘŻYĆ MUSIAŁ - MOIM ZDANIEM - NIEWĄTPLIWIE MÓJ PRZYJACIEL. POMIMO JEGO FIZYCZNEJ SŁABOŚCI I ROZWIJAJĄCEJ SIĘ NIEUBŁAGANIE CHOROBY, WIERZYŁEM, ŻE TO ON JEST Z NICH SILNIEJSZY. BYŁEM przyzwyczajony do tego, że Poirot zawsze pokonuje swoich wrogów.

Tak się złożyło, że on sam zasiał pierwszą wątpliwość w mojej duszy.

WSTĄPIŁEM DO NIEGO PRZED SAMĄ KOLACJĄ I NIE PAMIĘTAM JUŻ, JAK DO TEGO DOSZŁO, ALE W PEWNYM momencie użył w rozmowie wyrażenia, „gdyby mi się coś złego przytrafiło”.

Zaprotestowałem głośno i energicznie. Nic mu się nie przytrafi, nie może się przytrafić.

- Eh bien, w takim razie nie słuchałeś uważnie tego, co mówił ci doktor Franklin.

- Franklin nie jest miarodajny. Pożyjesz jeszcze długie lata, Poirot.

- TO NIE JEST WYKLUCZONE, CHOCIAŻ WIELCE NIEPRAWDOPODOBNE, PRZYJACIELU. JEDNAKŻE W TEJ CHWILI MÓWIĘ NIE W SENSIE OGÓLNYM, ALE BARDZO KONKRETNIE. MOJA NATURALNA ŚMIERĆ JEST, BYĆ MOŻE, JUŻ bardzo niedaleka, ale dla naszego przyjaciela Iksa mimo to nie dość bliska.

- Co takiego? - przeraziłem się.

Poirot skinął poważnie głową.

- TAK, TAK, HASTINGS. IKS JEST CZŁOWIEKIEM INTELIGENTNYM. NIEWĄTPLIWIE WIE O TYM, ŻE IM PRĘDZEJ umrę, tym lepiej dla niego. Każdy dzień się liczy.

- Ale... ale... - jąkałem się. - Co wtedy?

- KIEDY GINIE PUŁKOWNIK, MON AMI, KOMENDĘ OBEJMUJE JEGO NASTĘPCA. W TYM WYPADKU TY, przyjacielu.

- To niemożliwe! Ja nic nie wiem.

- O TYM TEŻ POMYŚLAŁEM. JEŻELI STANIE MI SIĘ COŚ ZŁEGO, TO ZNAJDZIESZ O TU, W TEJ TECZCE wszystkie informacje, jakie mogą ci być potrzebne. Jak widzisz, przewidziałem różne ewentualności.

- Po co te komplikacje, Poirot? Powiedz mi po prostu teraz, o co chodzi.

- O nie, mój drogi. Fakt, że nie wiesz tego, co ja wiem, daje nam w tej chwili dużą przewagę.

- A WIĘC NAPISAŁEŚ WSZYSTKO W SPOSÓB JASNY I PROSTY, TAK ŻEBYM MÓGL SIĘ Z MIEJSCA zorientować?

- Ależ skąd! Iks może się przecież dostać do mojej teczki i co by było wtedy?

- Więc co tam znajdę?

- WSKAZÓWKI, KTÓRE DLA IKS A SĄ BEZ ZNACZENIA, A DLA CIEBIE POWINNY BYĆ NA TYLE JASNE, ŻEBY skierować cię na właściwy trop.

- TO NIE JEST WCALE PEWNE. JAKIŻ TY MASZ POKRĘTNY UMYSŁ, POIROT. ZAWSZE WSZYSTKO MUSISZ

skomplikować. Zawsze. Całe życie.

- A TERAZ DOSZEDŁEM DO PRZESADY? TO CHCIAŁEŚ POWIEDZIEĆ? MOŻE I MASZ RACJĘ. ALE ZAPEWNIAM cię, że idąc po linii mojego rozumowania, dojdiesz niechybnie do prawdy.

Zamilkł, a po chwili dodał:

- I wtedy, być może, będziesz żałował, że ją odkryłeś. Pomyślisz, że lepiej byłoby spuścić na to wszystko kurtynę.

W GŁOSIE JEGO ZABRZMIAŁA ZNOWU TA SAMA NUTA, KTÓRA W CIĄGU OSTATNICH DNI WYWOŁYWAŁA W MNIE PRZYPLYW FALI NIEUCHWYTNEGO LĘKU. ODCZUWAŁEM TO TAK, JAK GDYBY TUŻ OBOK LEŻAŁ KLUCZ D ZAGADKI, O KTÓREJ WOLAŁEM NIE WIEDZIEĆ - DO PRAWDY, KTÓREJ NIE POTRAFIŁBYM ZNIEŚĆ - A KTÓRA CZAIŁA SI na dnie mojej duszy... którą znałem..

Otrząsnąłem się z trudem i udałem się na kolację.

ROZDZIAŁ XVII

1

KOLACJA UPŁYNEŁA W STOSUNKOWO WESOŁEJ ATMOSFERZE. PANI LUTTRELL ZNOWU JADŁA Z NAM ROZTACZAŁA AURĘ RACZEJ SZTUCZNEJ IRLANDZKIEJ WESOŁOŚCI. SIOSTRĘ CRAVEN ZOBACZYŁEM PO RAZ PIERWSZY W CYWILU, A NIE W STROJU PIELEŃNIARKI. WRAZ Z MUNDURKIEM ZRZUCIŁA Z SIEBIE SWOJĄ ZAWODOWĄ POSTAWĘ I BYŁA CHYBA JESZCZE ŁADNIEJSZA NIŻ ZAZWYCZAJ.

PO KOLACJI PANI LUTTRELL, JAK ZWYKLE, ZAPROPONOWAŁA PARTIĘ BRYDŻA, ALE SKOŃCZYŁO SIĘ NA GRACI TOWARZYSKICH. OKOŁO WPÓŁ DO DZIESIĄTEJ NORTON OŚWIADCZYŁ, ŻE WYBIERA SIĘ W ODWIEDZINY DO Poirota.

- ŚWIETNY POMYSŁ - ODEZWAŁ SIĘ BOYD CARRINGTON. - PÓJDĘ Z PANEM. PODOBNO PAN POIROT MA SIĘ niezbyt dobrze?

Musiałem interweniować.

- PROSZĘ PANÓW - WTRĄCIŁEM SIĘ - WYDAJE MI SIĘ, ŻE MÓJ PRZYJACIEL NIE POWINIEN PRZYJMOWAĆ więcej niż jedną osobę na raz.

Norton, zorientowawszy się szybko, dodał:

- Pójdę do niego tylko na chwilę. Przyrzekłem pożyczyć mu pewną książkę o ptakach.

- TRUDNO - POWIEDZIAŁ BOYD CARRINGTON I ZWRÓCIWSZY SIĘ DO MNIE, ZAPYTAŁ: - CZY PAN JESZCZE wróci na dół, kapitanie?

- Tak jest.

POSZEDŁEM NA GÓRĘ Z NORTONEM. POIROT CZEKAŁ NA NAS. ZAMIENILIŚMY KILKA SŁÓW, PO CZYM zostawiłem ich samych i wróciłem do salonu. Zaczęliśmy grać w remika.

Jestem PRZEKONANY, ŻE BOYD CARRINGTON BYŁ ZGORSZONY BEZTROSKĄ ATMOSFERĄ, JAKA PANOWAŁA TE WIECZORU W STYLES. ZAPEWNE BYŁ ZDANIA, ŻE TAK SZYBKO PO ŚMIERCI BARBARY FRANKLIN NIE NALEŻAŁO ZACHOWYWAĆ SIĘ TAK SWOBODNIE I WESOŁO. NIE UWAŻAŁ, GRAŁ FATALNIE, ZAPOMINAŁ O SWOJEJ KOLEJCE I PO niedługim czasie przeprosił nas i wycofał się z gry.

PODSZEDŁ DO OKNA, OTWORZYŁ JE, A WTEDY Z ODDALI USŁYSZELIŚMY POMRUKI ZBLIŻAJĄCEJ SIĘ BURZY BOYD CARRINGTON ZAMKNAŁ OKNO I WRÓCIŁ DO STOLIKA. STAŁ I PRZEZ KILKA MINUT PRZYGLĄDAŁ SIĘ NASZEJ GRI po czym opuścił pokój.

O DZIESIĄTEJ CZTERDZIEŚCI PIĘĆ JA TEŻ UDAŁEM SIĘ DO SIEBIE. NIE WSTĄPIŁEM DO POIROTA, ŻEBY ŻYCZYĆ MU DOBREJ NOCY, GDYŻ OBAWIAŁEM SIĘ, ŻE ŚPI, A NIE CHCIAŁEM GO NIEPOTRZEBNIE BUDZIĆ. POZA TYM

NIE MIAŁEM JUŻ DZISIAJ OCHOTY NA ROZMOWĘ, A NAWET ROZMYŚLANIA NA TEMAT NIESZCZĘSNEGO STYLES I JEGO problemów. Byłem senny. Marzyłem o tym, żeby usnąć i zapomnieć o wszystkim.

WŁAŚNIE ZASYPIAŁEM, KIEDY USŁYSZAŁEM DZIWNY DŹWIĘK, JAK GDYBY KTOŚ STUKAŁ DO MOICH DRZWI. ZAWOŁAŁEM „PROSZĘ”, ALE NIE BYŁO ODPOWIEDZI. ZAPALIŁEM WIĘC ŚWIATŁO, WSTAŁEM I WYSZEDŁEM NA korytarz.

ZOBACZYŁEM OPUSZCZAJĄCEGO WŁAŚNIE ŁAZIENKĘ NORTONA. WSZEDŁ DO SWOJEGO POKOJU I ZAMKNAŁ ZA SOBĄ DRZWI. MIAŁ NA SOBIE SZLAFROK Z MATERIAŁU W WYJĄTKOWO BRZYDKĄ KRATĘ I - JAK ZWYKLE - ZJEŻONI WŁOSY. USŁYSZAŁEM, JAK PRZEKRĘCA KLUCZ W ZAMKU. I ZNOWU DŁUGI, PRZECIĄGLY GRZMOT. BURZA ZBLIŻAŁA S niewątpliwie, choć bardzo powoli.

POŁOŻYŁEM SIĘ DO ŁÓŻKA Z UCZUCIEM LEKKIEGO NIEPOKOJU, WYWOŁANEGO DŹWIĘKIEM OWEGO PRZEKRĘCANEGO W ZAMKU KLUCZA. NASUNEŁY MI SIĘ DOŚĆ PRZYKRE SKOJARZENIA. CZY NORTON ZAWSZE ZAMYKAŁ SIĘ NA NOC NA KLUCZ? A MOŻE DOPIERO PO DZISIEJSZEJ ROZMOWIE Z POIROTEM? CZY POIROT GO OSTRZEGL? PRZYPOMNIAŁEM SOBIE TEŻ, ŻE KLUCZ OD PIERWSZEGO POKOJU POIROTA ZNIKNAŁ W TAJEMNICZY sposób.

LEŻAŁEM WIĘC W ŁÓŻKU CORAZ BARDZIEJ ZDENERWOWANY. WRESZCIE WSTAŁEM I ZARYGLOWAŁEM drzwi. Po niedługim czasie usnąłem.

2

Nazajutrz w drodze na śniadanie wstąpiłem do Poirota.

LEŻAŁ W ŁÓŻKU. WYGLĄDAŁ RZECZYWIŚCIE FATALNIE. TWARZ MIAŁ POORANĄ GŁĘBOKIMI BRUZDAMI, świadczącymi o wielkim wyczerpaniu.

- Jak się dzisiaj masz, stary?

Uśmiechnął się do mnie żałośnie.

- Egzystuję, przyjacielu, egzystuję.

- Boli cię coś?

- Nie, nie. Jestem tylko straszliwie zmęczony - westchnął.

- POWIEDZ MI, CZEGO SIĘ DOWIEDZIAŁEŚ OD NORTONA. CZY POWIEDZIAŁ CI, CO ZOBACZYŁ PRZEZ TĘ swoją lornetkę?

- Tak jest.

- Więc co to było?

Poirot zmierzył mnie badawczym wzrokiem.

- Naprawdę nie wiem, czy powinienem ci powiedzieć. Mógłbyś to jeszcze źle zrozumieć.

- O czym ty mówisz, człowieku?

- Norton powiedział mi - ciągnął powoli Poirot - że widział dwoje ludzi...

- Judith i Allertona! - krzyknąłem. - Tak myślałem od początku.

- Eh bien, MYLISZ SIĘ. TO NIE BYŁA ANI JUDITH, ANI ALLERTON. WIEDZIAŁEM, ŻE LEPIJ CI NIE MÓWIĆ. Masz tylko jedno w głowie.

- Wybacz - uśmiechnąłem się. - Ale powiedz mi, kto to był?

- Powiem ci jutro. Teraz muszę się zastanowić nad wieloma sprawami.

- Czy to... czy to, czegoś się dowiedział, przyda się do rozwiązania naszej zagadki?

Poirot skinął głową, zamknął oczy i opadł na poduszki.

- ZAGADKA JEST JUŻ WYJAŚNIONA. O TAK. I TO BEZ RESZTY. SPRAWA SKOŃCZONA. POZOSTAŁO MI ZALEDWI kilka luźnych nitek do zasupłania. Idź na śniadanie, mój drogi, ale przedtem przyślij mi tu Curtissa.

UCZYNIŁEM TO I ZSZEDŁEM NA DÓŁ. CHCIAŁEM JAK NAJPRZEDZEJ ZOBACZYĆ NORTONA. BYŁEM OGROMNI ciekawy tego, co powiedział Poirotowi.

JEDNAKŻE NIE OPUSZCZAŁ MNIE NIEPOKÓJ. UDERZYŁO MNIE, ŻE POIROT W OGÓLE SIĘ NIE CIESZY. A POZA TYM, DLACZEGO BYŁ WCIAŻ TAKI STRASZNIE TAJEMNICZY? I SMUTNY ZARAZEM? WŁAŚNIE. SKĄD TEN SMUTEK, I nie leżący w jego naturze? Jak dowiedzieć się prawdy?

Norton nie przyszedł na śniadanie.

ZJADŁSZY, WYSZEDŁEM NA PRZECHADZKĘ DO OGRODU. PO NOCNEJ BURZY POWIETRZE BYŁO ŚWIEŻE I RZEŚKIE. NA ŚCIEŻKACH STAŁY KAŁUŻE. PO TRAWNIKU PRZECHADZAŁ SIĘ BOYD CARRINGTON. UCIESZYŁEM SIĘ I JEGO WIDOK. MIAŁEM WIELKĄ OCHOTĘ WTAJEMNICZYĆ GO W MOJE PROBLEMY. I TO OD DAWNA. ZASTANAWIAŁEM SIĘ TERAZ POWAŻNIE NAD TYM, CZY TEGO NIE ZROBIĆ. POIROT Z CAŁĄ PEWNOŚCIĄ SAM SOBIE nie zdoła poradzić.

BOYD CARRINGTON BYŁ TAK PEŁEN ENERGII, WYGLĄDAŁ NA CZŁOWIEKA TAK ŻYWOTNEGO I PEWNEGO SIEBI że zrobiło mi się raźniej na duszy.

- Ależ pan się dziś późno wygrzebał - przywitał mnie.

- No tak. Zaspałem.

- Nie lada mieliśmy burzę w nocy, co? Zbudziła pana?

Uświadomiłem sobie, że przez sen rzeczywiście słyszałem huk grzmotów.

- WCZORAJ WIECZOREM CZUŁEM SIĘ NIE NAJLEPIEJ - POWIEDZIAŁ TERAZ CARRINGTON - ALE DZISIAJ jestem jak nowo narodzony.

Przeciągnął się i ziewnął szeroko.

- Nie widział pan Nortona? - spytałem.

- Myślę, że jeszcze nie wstał. To kawał lenia.

OGARNIĘCI WIDAĆ TĄ SAMĄ MYŚLĄ SPOJRZELIŚMY JEDNOCZEŚNIE W OKNA POKOJU NORTONA. ONE JEDNE w całej fasadzie domu zasłonięte były jeszcze okiennicami.

- Dziwne - zauważyłem. - Prawdopodobnie zapomniano go obudzić.

- Rzeczywiście dziwne. Mam nadzieję, że się nie rozchorował. Chodźmy na górę.

POSZLIŚMY WIĘC I NA PODEŚCIE PIERWSZEGO PIĘTRA NATKNELIŚMY SIĘ NA POKOJÓWKĘ. BYŁA TO DOŚĆ BEZMYŚLNIE WYGLĄDAJĄCA WIEJSKA DZIEWCZYNA. NA NASZE ZAPYTANIE ODPOWIEDZIAŁA, ŻE WPRAWDZIE ZAPUKAŁA O ZWYKŁEJ I PORZE DO POKOJU PANA NORTONA, ALE NIKT NIE ODPOWIEDZIAŁ. SPRÓBOWAŁA NAWET wejść, ale drzwi są zamknięte od środka.

Ogarnięty jak najgorszym przeczuciem, zacząłem gwałtownie stukać w drzwi, wołając:

- Norton... Norton... - A po chwili z rosnącym lękiem: - Niechże się pan odezwie!

3

KIEDY JUŻ NABRALIŚMY PEWNOŚCI, ŻE NIE DOCZEKAMY SIĘ ODPOWIEDZI, POSZLIŚMY PO PUŁKOWNIKA LUTTRELLA. WYŚLUCHAŁ NAS Z PRZERAŻENIEM W WYBLĄKŁYCH NIEBIESKICH OCZACH. ZAAMBARASOWANY SKUBAŁ raz po raz wąsy.

Pani Luttrell - jak zawsze energiczna i rzeczowa - nie ukrywała zdenerwowania.

- Trzeba będzie jakoś wyważyć te drzwi - zdecydowała. - Nie widzę innego wyjścia.

Po raz drugi w życiu byłem świadkiem, jak wyważano drzwi w Styles.

A ZA TYMI DRZWIAMI ZASTALIŚMY DOKŁADNIE TO SAMO, CO ZA PIERWSZYM RAZEM. ZWŁOKI zamordowanego człowieka.

NORTON LEŻAŁ NA ŁÓŻKU. MIAŁ NA SOBIE SZLAFROK. KLUCZE OD DRZWI POKOJU ZNAJDOWAŁY SIĘ W KIESZENI JEGO SZLAFROKA. W RĘKĘ DENAT TRZYMAŁ NIEWIELKI PISTOLET, ISTNĄ ZABAWKĘ, KTÓRA JEDNAK DOKONAŁA DZIAŁA. DOKŁADNIE POŚRODKU CZOŁA NORTONA WIDNIAŁ MAŁY, CIEMNY OTWÓR.

PRZEZ KRÓTKĄ CHWILĘ NIE MOGŁEM SOBIE UŚWIADOMIĆ, Z CZYM MI SIĘ TEN WIDOK KOJARZY. CHYBA Z JAKIMŚ BARDZO ODLEGŁYM WYDARZENIEM... BYŁEM ZBYT ZMĘCZONY, ŻEBY SKUPIĆ MYŚLI.

KIEDY WSZEDŁEM DO POKOJU POIROTA, TEN ZORIENTOWAŁ SIĘ PO WYRAZIE MOJEJ TWARZY, ŻE STAŁO SIĘ COŚ BARDZO NIEDOBREGO.

- Norton? - krzyknął.

- Nie żyje - odparłem.

- Jak? Kiedy?

Opowiedziałem mu wszystko.

- STWIERDZONO NA RAZIE SAMOBÓJSTWO - DODAŁEM NA KONIEC. - NO, ALE CO INNEGO MOGLI POWIEDZIEĆ? DRZWI ZAMKNIĘTE OD ŚRODKA. OKIENNICE TEŻ. KLUCZ W KIESZENI SZLAFROKA. POWIEM CI WIĘCEJ. SAM WIDZIAŁEM, JAK WCHODZIŁ DO SWEGO POKOJU, I SŁYSZAŁEM ZGRZYT KLUCZA PRZEKRĘCONEGO W ZAMKU.

- Widziałeś go na własne oczy?

Opowiedziałem mu dokładnie wczorajszą wieczorną scenę.

- Czy jesteś pewien, że to był Norton?

- Oczywiście. Poznałbym ten jego ohydny szlafrok na końcu świata.

Przez chwilę mój przyjaciel przypominał dawnego Poirota.

- ALEŻ, MON AMI - KRZYKNĄŁ - NIE CHODZI PRZECIEŻ O TO, ŻEBY ROZPOZNAĆ SZLAFROK, ALE OSOBE! Ma foi! Każdy może włożyć cudzy szlafrok!

- TO PRAWDA - ZAMYŚLIŁEM SIĘ. - TO PRAWDA, ŻE TWARZY JEGO NIE WIDZIAŁEM. ALE WŁOSY BYŁY NA PEWNO JEGO, NO A TEN LEKKO UTYSKAJĄCY CHÓD...

- Każdy może utykać, jeśli zechce. Mon Dieu!

- Czy sugerujesz, że człowiek, którego widziałem na korytarzu, nie był Nortonom?

- JA NICZEGO NIE SUGERUJĘ. PO PROSTU DENERWUJE MNIE TWÓJ BRAK NAUKOWEGO PODEJŚCIA. MÓWISZ, ŻE WIDZIAŁEŚ NORTONA, ALE NIE DAJESZ NA TO ŻADNYCH DOWODÓW. WCALE NIE PODEJRZEWAM, ŻE KTOŚ PRZEBRAŁ SIĘ ZA TEGO CZŁOWIEKA. BYŁOBY TO ZRESZTĄ TRUDNE. WSZYSCY MIESZKAŃCY TEGO DOMU SĄ WYSOCY ZNACZNIE WYŻSI NIŻ ON, A ENFIN UDAWANIE, ŻE JEST SIĘ WYŻSZYM NIŻ W RZECZYWISTOŚCI, JEST NIEMOŻLIWE.

NORTON MA NAJWYŻEJ METR SZEŚĆDZIESIĄT WZROSTU. PRZYNAJMNIEJ NA OKO. TOUT DE MÊME, CAŁA TA HISTORIA JEST ABSURDALNA. BO JAKŻE TO? CZŁOWIEK WCHODZI DO SWOJEGO POKOJU, ZAMYKA DRZWI NA KLUCZ I WKŁADA KLUCZ DO KIESZENI, A NAZAJUTRZ ZNAJDUJE SIĘ GO ZASTRZELONEGO, Z PISTOLETEM W RĘKU I TYMŻE KLUCZEM W KIESZENI.

- Wynika z tego, że nie wierzysz w samobójstwo Nortona?

Poirot powoli potrząsnął głową.

- NATURALNIE, ŻE NIE. NORTON NIE ZABIŁ SIĘ, ALE ZOSTAŁ Z CAŁĄ PREMEDITACJĄ ZAMORDOWANY przez Chera Ami.

4

SCHODZIŁEM PO SCHODACH W STANIE WIELKIEGO WZBURZENIA. FAKT, ŻE NIE PRZEWIDZIAŁEM NASTĘPNEGO, LOGICZNEGO WYDARZENIA, MOŻNA BY USPRAWIEDLIWIĆ JEDYNIE TYM, ŻE CAŁA TA HISTORIA BYŁA tak nieprawdopodobna. Mieszało mi się w głowie. Mój umysł nie funkcjonował prawidłowo.

A PRZECIEŻ WSZYSTKO BYŁO TAK LOGICZNE. NORTON ZOSTAŁ ZAMORDOWANY. DLACZEGO? ZAKŁADAŁEM oczywiście, że po to, aby nie mógł zwierzyć się nikomu z tego, co zobaczył przez swoją lornetkę.

Ale przecież już się komuś zwierzył.

W takim razie życie tego człowieka znajdowało się również w niebezpieczeństwie.

Na dodatek człowiek ten był zupełnie bezbronny.

I powinienem był przewidzieć, co się stanie.

Powinienem był to przewidzieć.

- CHER AMI - OTO JAK BRZMIĄŁY OSTATNIE SŁOWA POIROTA, GDY OPUSZCZAŁEM PRZED CHWILĄ JEGO pokój.

BYŁY TO - JAK SIĘ NIEBAWEM OKAZAŁO - RÓWNIEŻ OSTATNIE SŁOWA, JAKIE MIAŁEM USŁYSZEĆ Z JEGO UST. ALBOWIEM KIEDY CURTISS W CHWILĘ PÓŹNIEJ WSZEDŁ DO POKOJU SWOJEGO PANA, ZASTAŁ JUŻ TYLKO JEGO zwłoki...

ROZDZIAŁ XVIII

1

Nie mam ochoty pisać, co było potem.

WOLAŁBYM MYŚLEĆ O TYM MOŻLIWIE NAJMNIJ. HERKULES POIROT ODSZEDŁ NA ZAWSZE, A WRAZ Z NIM umarła część Artura Hastingsa.

PODAJĘ WIĘC TYLKO NAGIE FAKTY, BEZ UPIĘKSZEŃ CZY KOMENTARZY. TO WSZYSTKO, NA CO MNIE W TEJ chwili stać.

ŚMIERĆ POIROTA UZNANA ZOSTAŁA ZA NATURALNĄ. TO ZNACZY, STWIERDZONO, ŻE ZMARŁ NA ATAK SERCA. FRANKLIN SPODZIEWAŁ SIĘ, ŻE TAK WŁAŚNIE - WCZEŚNIEJ CZY PÓŹNIEJ - PRZYJACIEL MÓJ ZAKOŃCZY ŻYCIE. BEZPOŚREDNIĄ PRZYCZYNĄ JEGO ZGONU BYŁ NIEWĄTPLIWIE SZOK, WYWOŁANY WIADOMOŚCIĄ O ŚMIERCI NORTONA. OKAZAŁO SIĘ TEŻ, ŻE Z NIEWIADOMYCH POWODÓW TABLETKI Z NITROGLICERYNĄ ZNIKŁY ZE STOLI przy jego łóżku.

CZY PRZEZ NIEUWAGĘ CURTISSA? CZY KTOŚ NAUMYŚLNIE JE USUNĄŁ? NIE, TO NIE MOGŁO BYĆ TAKI proste. Iks nie mógł przecież liczyć na to, że Poirot w dogodnej dla niego chwili dostanie ataku serca.

BO JA, PROSZĘ MI WIERZYĆ, BYŁEM CAŁKOWICIE PRZEKONANY, ŻE ŚMIERĆ POIROTA NIE NASTĄPIŁA Z PRZYCZYŃ NATURALNYCH. ZAMORDOWANO GO, PODOBNIIE JAK ZAMORDOWANO NORTONA, PODOBNIIE ZRESZTĄ, JAK ZAMORDOWANO BARBARĘ FRANKLIN. NIE WIEDZIAŁEM JEDNAK, DLACZEGO ZOSTALI ZAMORDOWANI ANI TEŻ KTO był ich mordercą!

ODBYŁA SIĘ ROZPRAWA WSTĘPNA DLA USTALENIA PRZYCZYŃ ŚMIERCI NORTONA I ZAPADŁ WERDYKT, ŻE ZGINĄŁ Z WŁASNEJ RĘKI. TYLKO LEKARZ POLICYJNY WYRAZIŁ PEWNE WĄTPLIWOŚCI TWIERDZĄC, ŻE NIKT NI POTRAFIŁBY STRZELIĆ SOBIE DOKŁADNIE W ŚRODEK CZOŁA. BYŁA TO JEDYNA, WĄTŁA ZRESZTĄ, POSZŁA PRZEMAWIAJĄCA ZA TEORIĄ ZABÓJSTWA. POZA TYM WSZYSTKO BYŁO JASNE I PROSTE. DRZWI POKOJU ZARYGLOWANE OD ŚRODKA, KLUCZ W KIESZENI, OKIENNICE ZAMKNIĘTE - TAKŻE OD ŚRODKA - PISTOLET W ZACIŚNIĘTEJ RĘCE DENATA. NA DODATEK STWIERDZONO, ŻE NORTON CIERPIAŁ NA SILNE MIGRENY I W OSTATNICH CZASACH STRACIŁ SPORO PIENIĘDZY NA GIEŁDZIE. NIE BYŁA TO WYSTARCZAJĄCA PRZYCZYNA DLA ODEBRANIA SOBIE życia, ale coś przecież trzeba było wymyślić.

PISTOLET BYŁ PODOBNO JEGO WŁASNOŚCIĄ. W CZASIE POBYTU NORTONA W STYLES POKOJÓWK zauważyła go dwukrotnie na jego nocnym stoliku. I na tym się skończyło. Jeszcze jedna wyrafinowana zbrodnia, wspaniale zakamuflowana jako samobójstwo.

W pojedynku pomiędzy Poirotem a Iksem zwycięstwo odniósł Iks.

Ale ja pozostałem na placu boju.

Poszedłem do pokoju Poirota i zabrałem teczkę z dokumentami.

PONIEWAŻ WIDZIAŁEM, ŻE PRZYJACIEL MIANOWAŁ MNIE WYKONAWCĄ TESTAMENTU, MIAŁEM DO TEGO pełne prawo. Kluczyk od teczek znalazłem na łańcuszku na szyi Poirota.

W swoim pokoju otworzyłem teczkę.

MRÓZ PRZESZEDŁ MI PO KOŚCIACH. W TECZCE NIE BYŁO DOKUMENTÓW DOTYCZĄCYCH ZBRODNI IKSA. PAMIĘTANI, ŻE WIDZIAŁEM JE JESZCZE PRZED KILKOMA DNIAМИ. BYŁ TO NIEZBITY DOWÓD WINY IKSA - CHOCIAŻ ZUPEŁNIE DLA MNIE ZBYTECZNY. NIE WIDZIAŁEM INNEGO WYTLUMACZENIA. ALBO POIROT - CO BYŁO WIELCE nieprawdopodobne - osobiście zniszczył wszystkie papiery, albo przywłaszczył je sobie Iks.

Iks, Iks, przeklęty Iks.

TECZKA NIE BYŁA CAŁKIEM PUSTA. PRZYPOMNIAŁO MI SIĘ, ŻE POIROT POWIEDZIAŁ, IŻ ZNAJDĘ TAM wskazówki, które dla Iksa będą bez znaczenia, ale dla mnie powinny być jasne.

Jak je znaleźć?

BYŁ W TECZCE JEDEN TOMIK TANIEGO WYDANIA DZIEŁ SZEKSPIRA. „OTELLO”. POZA TYM ZNAJDOWAŁA SI TAM JESZCZE NIEWIELKA BROSZURKA, ZAWIERAJĄCA SZTUKĘ PIÓRA ST. JOHNA ERVINE’A POD TYTUŁEM „JOHN Ferguson”. W połowie trzeciego aktu tkwiła zakładka.

Przez dłuższy czas gapiłem się bezmyślnie na tytuły obu tomików.

OTO WSZYSTKIE WSKAZÓWKI POZOSTAWIONE MI PRZEZ POIROTA! CO ROBIĆ, SKORO NIE KOJARZĄ MI SIĘ absolutnie z niczym?

Co Poirot chciał przez nie powiedzieć?

WPADŁO MI DO GŁOWY JEDYNIĘ, ŻE KRYJE SIĘ W NICH JAKIŚ SZYFR. SZYFR SŁOWNY, OPARTY NA TYC dwóch sztukach. Ale jeżeli nawet tak było, to gdzie szukać do niego klucza?

NIE ZNALAZŁEM ANI JEDNEGO PODKREŚLONEGO SŁOWA, LITERY CZY CYFRY. PODGRZAŁEM KILKA KARTEK, B rezultatu.

STARANNIE PRZESTUDIOWAŁEM TRZECI AKT SZTUKI „JOHN FERGUSON”. JEDNA ZE SCEN BARDZO MI SI SPODOBAŁA. MIANOWICIE TA, W KTÓREJ „SŁABY NA UMYŚLE” CLUTIE JOHN SIEDZI I GADA, A KTÓRA KOŃCZY SIĘ W TEN SPOSÓB, ŻE MŁODSZY FERGUSON UDAJE SIĘ NA POSZUKIWANIE CZŁOWIEKA, KTÓRY SKRZYWDZIŁ JEGO SIOSTRĘ. WSPANIALE NARYSOWANE POSTACIE, OWSZEM, ALE CZY POIROT POZOSTAWIŁ MI TE SZTUKI TYLKO PO TO żeby pozytywnie wpłynąć na moje gusty literackie?

JEDNAKŻE W MOMENCIE, GDY PRZERZUCAŁEM STRONICE TOMIKU ERVINE’A, WYPADŁA Z NIEGO MAŁA karteczka, na której widniało kilka słów. Poznałem charakter pisma Poirota.

„Porozmawiaj z George’em”.

NARESZCIE COŚ. MOŻLIWE, ŻE KLUCZ DO SZYFRU - JEŻELI RZECZYWIŚCIE ISTNIEJE JAKIŚ SZYFR - ZNAJDUJE SIĘ U DAWNEGO SŁUŻĄCEGO POIROTA, GEORGE’A. POSTANOWIŁEM NATYCHMIAST ODSZUKAĆ JEGO ADRES I UDA

się do niego.

ALE PRZEDTEM TRZEBA BYŁO SPEŁNIĆ SMUTNY OBOWIĄZEK I ZAJĄĆ SIĘ POGRZEBEM MOJEGO DROGIEGO przyjaciela.

Tu mieszkał, kiedy po raz pierwszy przybył do naszego kraju. Tu miały spocząć jego zwłoki.

W tych przykrych dniach Judith okazała mi wiele serca.

SPĘDZAŁA ZE MNĄ DŁUGIE GODZINY I BYŁA BARDZO POMOCNA W ZAŁATWIANIU NIEZLICZONYCH FORMALNOŚCI. WSPÓLCZUŁA MI I BYŁA NAD WYRAZ CIERPLIWA I WYROZUMIAŁA. ELIZABETH COLE I BOYD Carrington także robili, co mogli.

PANNA COLE PRZEJĘŁA SIĘ ŚMIERCIĄ NORTONA ZNACZNIE MNIEJ, NIŻ MOŻNA BYŁO PRZYPUSZCZAĆ. JEŻELI była nieszczęśliwa, to starannie ukrywała swoje uczucia.

I tak się to wszystko skończyło.

2

TRZEBA, ŻEBYM WSZYSTKO SPISAŁ. WSZYSTKO OPOWIEDZIAŁ PO KOLEI. A WIĘC BYŁO JUŻ PO POGRZEBIE. SIEDZIAŁEM W SWOIM POKOJU Z JUDITH. USIŁOWAŁEM SNUĆ JAKIEŚ NIEJASNE PLANY NA NAJBLIŻSZĄ przyszłość.

- Ale słuchaj, drogi tato - powiedziała w pewnej chwili Judith. - Mnie tutaj nie będzie.

- Jak to nie?

- Wyjeżdżam z Anglii.

Byłem do głębi poruszony tą wiadomością.

- NIE CHCIAŁAM CI TEGO WCZEŚNIEJ MÓWIĆ, BO WIEDZIAŁAM, ŻE MASZ I TAK DOSYĆ ZMARTWIEN. ALE TERAZ JUŻ NIE MOGĘ ZWLEKAĆ. MAM NADZIEJĘ, ŻE NIE WEZMIESZ MI TEGO ZA ZŁE. JADĘ DO AFRYKI... Z doktorem Franklinem.

ZDENERWOWAŁEM SIĘ OKROPNIE. ZACZAŁEM MÓWIĆ SZYBKO I BEZŁADNIE, ŻE TO NIEMOŻLIWE, ŻE ZACZNIE SIĘ NATYCHMIAST STRASZNE GADANIE, ŻE BYĆ JEGO ASYSTENTKĄ W ANGLII, SZCZEGÓLNICIE KIEDY JESZCZ ŻYŁA JEGO ŻONA, TO JEDNA RZECZ, A WYJAZD DO AFRYKI - ZUPEŁNIE INNA. TO PO PROSTU KOMPROMITUJĄCE DLA młodej kobiety. Wrzeszczałem, że zabraniam, że przeciwstawiam się bardzo stanowczo.

Nie przerwała potoku moich słów. Pozwoliła mi skończyć, a potem się uśmiechnęła.

- Kochanie, uspokój się. Nie jadę przecież jako jego asystentka, ale jako jego żona.

Odczułem to jak cios między oczy.

- Ale... Allerton - wykrztusiłem z siebie.

Judith nawet nieźle się bawiła.

- MIĘDZY NAMI NIGDY NIC NIE BYŁO, TATO. POWIEDZIAŁABYM CI, GDYBYŚ MNIE WTEDY TAK STRASZNIE NIE ROZZŁOŚCIŁ. A POZA TYM BYŁO MI TO NA RĘKĘ, ŻE MYŚLAŁEŚ WŁAŚNIE TO, CO MYŚLAŁEŚ. NIE CHCIAŁAM, ŻEBY WIEDZIAŁ, ŻE CHODZI O... Johna.

- Ale przecież sam widziałem, jak tamten cię całował... wieczorem... na tarasie.

- NO TO CO - ZNIECIERPLIWIŁA SIĘ JUDITH. - BYŁAM TEGO WIECZORU OKROPNIE NIESZCZĘŚLIWA. TAKIE rzeczy się zdarzają. Chyba o tym słyszałeś?

- Nie możesz wychodzić za mąż za Franklina... jest stanowczo za wcześnie.

- NIC PODOBNEGO. CHCĘ Z NIM JECHAĆ, A SAM POWIEDZIAŁEŚ, ŻE LEPIEJ BYĆ ŻONĄ NIŻ ASYSTENTKĄ. Teraz nie ma już na co czekać.

Judith i Franklin. Franklin i Judith.

MOŻNA SOBIE ŁATWO WYOBRAZIĆ, JAKIE MYŚLI KŁĘBIŁY SIĘ W MOJEJ GŁOWIE. JUDITH Z BUTELECKĄ W RĘKU. JUDITH OŚWIADCZAJĄCA WSZEM WOBEC SWOIM WYSOKIM, MŁODYM GŁOSEM, ŻE BEZUŻYTECZNI LUDZIE POWINNI ODEJŚĆ I ZROBIĆ MIEJSCE DLA WARTOŚCIOWYCH JEDNOSTEK. JUDITH, KTÓRĄ KOCHAŁEM. KTÓRĄ POIROC KOCHAŁ JAK WŁASNE DZIECKO. TA PARA, KTÓRĄ OBSERWOWAŁ PRZEZ LORNETKĘ NORTON, CZY TO BYLI JUDITH I FRANKLIN? ALE JEŻELI TAK... JEŻELI TAK... NIE, TO NIEMOŻLIWE. NIE JUDITH. MOŻE FRANKLIN - TEN DZIWACZNY BEZWZGLĘDNY CZŁOWIEK. KIEDY MĘŻCZYZNA ZDECYDUJE SIĘ NA JEDNO MORDERSTWO, TO NIE ZAWAHA SIĘ przed drugim i trzecim...

POIROT ZGODZIŁ SIĘ WEZWAĆ DO SIEBIE FRANKLINA NIBY TO NA KONSULTACJĘ. DLACZEGO? CO MI powiedział tego ranka?

To nie może być Judith. Na pewno nie! Moja piękna, poważna Judith.

A JEDNAK? JAKŻE DZIWNY WYRAZ PRZYBRAŁA WTEDY TWARZ POIROTA. Z JAKIM NACISKIEM KRZYKNAŁ „Może będziesz wolał powiedzieć: «Opuśćmy kurtynę»”.

Nagle olśniła mnie zupełnie nowa myśl. Nie. Nie. To potworne! To niemożliwe! Czyżby cała ta HISTORIA Z IKSEM BYŁA WYMYŚLONA? CZY POIROT DLATEGO PRZYJECHAŁ DO STYLES, ŻE OBAWIAŁ SIĘ TRAGEDII MAŁŻEŃSTWIE FRANKLINA? CZY ZJAWIŁ SIĘ TAM PO TO, ŻEBY CZUWAĆ NAD JUDITH? CZY DLATEGO NIE CHCIAŁ M NIC POWIEDZIEĆ? CZY WŁAŚNIE DLATEGO, ŻE CAŁA SPRAWA IKSA BYŁA WYTWOREM JEGO WYOBRAŹNI, ZWYKŁYM mydleniem oczu?

CZYŻBY SPRAWCZYNIĄ WSZYSTKICH TYCH POTWORNÝCH ZBRODNI BYŁA MOJA RODZONA CÓRKA, MOJA

Judith?

OTELLO! TRZEBA SIĘ ZABRAĆ DO OTELLA! PRZECIEŻ TEGO WIECZORU, KIEDY UMARŁA PANI FRANKLI czytałem w jej pokoju Otella. Czy tu leży klucz do całej zagadki?

KTOŚ POWIEDZIAŁ WTEDY, ŻE JUDITH WYGLĄDA JAK JEJ IMIENNICZKA, ZANIM ODCIĘŁA GŁOWĘ Holofernesa. Czyżby moja Judith była zdolna do morderstwa?

ROZDZIAŁ XIX

Piszę te słowa w Eastbourne.

Przyjechałem do Eastbourne, żeby odwiedzić George'a, dawnego służącego Poirota.

GEORGE SŁUŻYŁ U MOJEGO PRZYJACIELA PRZEZ WIELE LAT. BYŁ CZŁOWIEKIEM PRACOWITYM, TRZEŻWYM, CAŁKOWICIE POZBAWIONYM WYOBRAŹNI. WSZYSTKO, CO DZIAŁO SIĘ DOKOŁA, BRAŁ DOSŁOWNIE I NIGDY NIE zastanawiał się nad ewentualnym głębszym znaczeniem wydarzeń.

POJECHAŁEM WIĘC DO NIEGO, ŻEBY Z NIM POROZMAWIAĆ. POWIEDZIAŁEM MU O ŚMIERCI POIROTA, NA CO ZAREAGOWAŁ PO SWOJEMU, TO ZNACZY NAPRAWDĘ SIĘ ZMARTWIŁ, ALE NIEMAL NIE DAŁ TEGO PO SOBIE poznać.

- Pan Poirot przekazał panu jakąś wiadomość dla mnie? - zapytałem go po pewnym czasie.

- Dla pana? - zdziwił się George. - Nic mi o tym nie wiadomo.

BYŁEM ROZCZAROWANY. PRÓBOWAŁEM PODEJŚĆ DO NIEGO NA KILKA RÓŻNYCH SPOSOBÓW, ALE bezskutecznie.

- NO CÓŻ - WESTCHNAŁEM W KOŃCU. - PEWNIEN GO ŹLE ZROZUMIAŁEM. TRUDNO. ALE WIE PAN CO, George? Żałuję, że nie był pan z nim do końca.

- Ja też.

- Tak, ale skoro ojciec pański zachorował, nie było innej rady.

George spojrział na mnie ze zdumieniem.

- Bardzo pana przepraszam, ale nie rozumiem.

- ZDAWAŁO MI SIĘ, ŻE MUSIAŁ PAN ZREZYGNOWAĆ Z PRACY U PANA POIROTA, BO NAGLE ROZCHOROWAŁ SIĘ pański ojciec.

- To nie ja zrezygnowałem z pracy u pana Poirota. To pan Poirot mnie zwolnił.

- Zwolnił pana?

- NIE CHCIAŁBYM PRZEZ TO POWIEDZIEĆ, ŻE MI WYMÓWIŁ. ODPRAWIŁ MNIE TYLKO NA PEWIEN CZAS, ALE PŁACIŁ MI REGULARNIE CO MIESIĄC PENSJĘ. TWIERDZIŁ, ŻE POWINIENEM SIĘ ZAJĄĆ MOIM STARYM OJCEM. Byłem jednak pewien, że jeszcze do niego wrócę.

- Dlaczego to zrobił?

- Nie mam pojęcia, proszę pana. Sam się zastanawiałem.

- Czy nie zapytał go pan o przyczynę tej decyzji?

- O NIE, PROSZĘ PANA, NIE MIAŁEM ŚMIAŁOŚCI. POZA TYM PAN POIROT NIGDY NIE DAWAŁ WYJAŚNIEŃ. Był to bardzo mądry człowiek, tak wszyscy zawsze mówili. I ogólnie szanowany.

- Och tak, tak - potwierdziłem, podczas gdy w głowie mojej kłębiło się od niejasnych myśli.

- BARDZO DBAŁ O SWOJĄ GARDEROBĘ, PROSZĘ PANA, CHOCIAŻ UBIERAŁ SIĘ ZUPEŁNIE INACZEJ NIŻ ANGIELSCY DŻENTELMENI. WSZYSTKO MIAŁ ZAGRANICZNE, ALE NIC DZIWNEGO, PRZECIEŻ BYŁ CUDZOZIEMCEM. A już te jego włosy i wąsy...

- O TAK, JEGO SŁYNNNE WĄSY - WESTCHNAŁEM. PRZYPOMNIAŁO MI SIĘ, JAKI DUMNY BYŁ Z NICH POIROT, serce mi się ścisnęło.

- JAK ON TE WĄSY PIELĘGNOWAŁ! - WSPOMINAŁ DALEJ WIERNY GEORGE. - NAWET KIEDY ZUPEŁNIE wyszły z mody, nie pozwalał ich przycinać. Ale było mu z nimi do twarzy, prawda, proszę pana?

Potwierdziłem to, a potem zapytałem ostrożnie:

- Sądzę, że je farbował, podobnie jak włosy.

- OWSZEM... PODCZERNIAŁ JE TROSZECZKĘ, ŻE TAK POWIEM... ALE WŁOSY TO NIE. PRZYNAJMNIEJ NIE W ostatnich latach.

- NONSENS - ODPARŁEM. - BYŁY DO JEGO ŚMIERCI NIEMAL KRUCZOCZARNE. WYGLĄDAŁY PO PROSTU JA peruka.

George kaszlnął dyskretnie.

- PAN WYBACZY, PROSZĘ PANA, ALE TO WŁAŚNIE BYŁA PERUKA. PAN POIROT ZACZAŁ W OSTATNICH CZASACH gwałtownie łyseć, więc sprawił sobie peruczkę.

POMYŚLAŁEM, ŻE JEST TO RZECZ ZADZIWIAJĄCA, ALE SŁUŻĄCY ZAWSZE WIE WIĘCEJ O SWOIM PANU NIŻ najlepszy przyjaciel.

Powróciłem jednak do nękającego mnie pytania.

- GEORGE, NIECH PAN SPRÓBUJE SOBIE PRZYPOMNIEĆ, CO MOGŁO SKŁONIĆ PANA POIROTA DO ZWOLNIENIA pana? No, niech pan dobrze pomyśli.

George posłusznie zabrał się do intensywnego myślenia, ale nie była to jego specjalność.

- Wydaje mi się, że może wołał Curtissa – powiedział wreszcie.

- Curtissa? Dlaczego miałby woleć Curtissa?

George znowu kaszlnął i odchrząknął.

- NAPRAWDĘ TO JA NIE WIEM, PROSZĘ PANA. KIEDY ZOBACZYŁEM CURTISSA PO RAZ PIERWSZY, NIE ZROBIŁ NA MNIE WRAŻENIA CZŁOWIEKA... ZBYT MĄDREGO. JEST BARDZO SILNY FIZYCZNIE, TO FAKT, ALE OD RAZU POMYŚLAŁEM, ŻE TO NIE JEST ODPOWIEDNI SŁUŻĄCY DLA PANA POIROTA. O ILE WIEM, BYŁ PRZEDTEM pielęgniarzem w zakładzie dla umysłowo chorych.

Co za niespodzianka!

Curtiss?!

CZY DLATEGO POIROT TAK MAŁO MI POWIEDZIAŁ? CZYŻBY TO NAPRAWDĘ MÓGŁ BYĆ CURTISS? CZŁOWIEK KTÓREGO W OGÓLE NIE BRAŁEM POD UWAGĘ. A POIROT POZWALAŁ MI SZUKAĆ IKSZA POMIĘDZY GOŚCMI zamieszkującymi Styles, podczas gdy tajemniczy Iks wcale nie był tam gościem.

BYŁY PIEŁĘGNIARZ Z ZAKŁADU DLA OBLĄKANYCH. GDZIEŚ CZYTAŁEM, ŻE DAWNI PACJENCI CZĘSTO powracają tam jako pracownicy.

TEN DZIWNY, TĘPY, MILCZĄCY CZŁOWIEK... MOŻE TO ON - MOŻE TO ON MORDUJE LUDZI I TO Z JAKICHŚ tajemniczych, jemu tylko wiadomych powodów...?

A jeżeli tak jest... jeżeli rzeczywiście...

Wówczas ciężar spadnie mi z serca.

Curtiss...!

POSTSCRIPTUM

DOPISANE PRZEZ KAPITANA ARTURA HASTINGSA: MANUSKRYPT NINIEJSZY TRAFIŁ DO MOICH RĄK W CZTI MIESIĄCE PO ŚMIERCI MOJEGO PRZYJACIELA HERKULESA POIROTA. POPROSZONO MNIE O PRZYBYCIE DO BIURA PEWNEJ FIRMY PRAWNICZEJ. DZIAŁAJĄC ZGODNIE Z INSTRUKCJĄ ZMARŁEGO KLIENTA, HERKULESA POIROTA, ADWOKAT WRĘCZYŁ MI OPIECZĘTOWANĄ KOPERTĘ. A oto odpis dokumentu, jaki w niej znalazłem:

Manuskrypt pisany ręką Herkulesa Poirot:

Mon cher ami!

KIEDY PRYZYSTĄPISZ DO CZYTANIA TYCH SŁÓW, NIE BĘDZIE MNIE NA ŚWIECIE OD CZTERECH MIESIĘCY. ZASTANAWIAŁEM SIĘ PRZEZ DŁUŻSZY CZAS, CZY SPISAĆ WSZYSTKO, CO ZA CHWILĘ PRZECZYTASZ, CZY NIE, I W KOŃCU POSTANOWIŁEM, ŻE KTOŚ POWINIEN ZNAĆ PRAWDĘ O DRUGIEJ ZBRODNI W STYLES. OBAWIAM SIĘ PONADTO, ŻE PO MOJEJ ŚMIERCI ZACZNIESZ SIĘ GUBIĆ W PŁONNYCH DOMYSŁACH, SNUJĄC NAJBARDZIEJ niedorzeczne teorie, i że w ten sposób nadszarpniesz sobie nerwy.

POZWÓL JEDNAKŻE, MON AMI, POWIEDZIEĆ SOBIE, ŻE POWINIENEŚ BYŁ JUŻ OD DAWNA ZNAĆ PRAWDĘ. JEŻELI NIE STAŁO SIĘ TAK, TO - JAK ZWYKLE - WYNIKA TO STĄD, ŻE MASZ ZBYT UFNĄ I ZBYT ŁAGODNĄ NATURĘ. *fin comme au commencement.*

JEDNAKŻE POWINIENEŚ SIĘ PRZYNAJMNIEJ DOMYŚLAĆ, KTO ZABIŁ NORTONA, NAWET JEŻELI DO CHWILI OBECNEJ NIE DOMYŚLASZ SIĘ, Z CZYJEJ RĘKI ZGINEŁA BARBARA FRANKLIN. TA OSTATNIA REWELACJA BĘDZIE DLA Ciebie zapewne szokiem.

Zacznijmy jednakże od początku. Jak wiesz, zależało mi bardzo na tym, żebyś przyjechał do Styles. Napisałem do Ciebie, wezwałem Cię na pomoc. To była szczerą prawdą. Powiedziałem Ci także, że musisz zastąpić mi oczy i uszy. I to także było zgodne z prawdą, chociaż może nie w tym sensie, w jakim Ty to rozumiałeś! Chciałem bowiem, żebyś widział i słyszał tylko to, co ja Ci miałem zamiar podsunąć do widzenia i słyszenia.

WIELOKROTNI SKARŻYŁEŚ SIĘ, MON AMI, ŻE ZACHOWUJĘ SIĘ W STOSUNKU DO CIEBIE NIE FAIR. ŻE ODMAWIAM WTajemniczenia Cię we wszystko, co wiem o tej sprawie. Innymi słowy, że nie chcę Ci wyjawić, kim jest Iks. To także się zgadza. Musiałem tak postąpić - chociaż dla innych przyczyn niż te, którymi się zasłaniałem. Za chwilę zrozumiesz, dlaczego.

Ale zanalizujmy całą sprawę Iksa. Na początku dałem Ci do przeczytania streszczenie relacji o kilku morderstwach. Zwróciłem Twoją uwagę na fakt, że osoby podejrzane, względnie oskarżone o popełnienie każdego z nich, były niewątpliwie winne, że nie było żadnej alternatywy. Następnie podkreśliłem drugi, także niezmiernie ważny fakt, a mianowicie, że w każdym z tych przypadków Iks znajdował się albo na miejscu zbrodni, albo był ściśle powiązany z osobami dramatu. Wkrótce doszedłeś do wniosku, który - paradoksalnie - był równie słuszny, co fałszywy. Uznałeś, że, Twoim

zdaniem, Iks jest sprawcą wszystkich tych morderstw. Jednakże, drogi przyjacielu, okoliczności towarzyszące każdej ze zbrodni (a przynajmniej prawie każdej) były takie, że popełnić ją mogła jedynie osoba o nią oskarżona. W takim razie, zapytasz, co z tym Iksem? Tylko ktoś, kto pracuje w policji, albo prawnik może mieć powiązania z pięcioma różnymi morderstwami. Poza tym chyba nikt. Nie znam ani jednego człowieka, który mógłby o sobie powiedzieć: „Znam osobiście pięciu morderców!”. Nie, nie, MON AMI. To jest zupełnie wykluczone. Staaliśmy więc wobec dziwnego zjawiska, zjawiska katalizy, czyli reakcji pomiędzy dwiema substancjami, która może nastąpić jedynie w obecności substancji trzeciej, czyli katalizatora. Przy czym katalizator nie bierze udziału w reakcji i pozostaje do końca niezmienny. Oto problem, z którym trzeba było się uporać. Iks był zawsze obecny na miejscu zbrodni, chociaż sam ich nie popełniał.

Niezwykła zaiste i bardzo niecodzienna sytuacja! Pod sam koniec mojej kariery, u schyłku życia, natknąłem się wreszcie na zbrodniarza doskonałego, na mordercę, który opracował taką technikę zbrodni, że nie można go było pociągnąć do odpowiedzialności.

NIESŁYCHANE! ALE BYNAJMNIEJ NIENOWE. ZNAM KILKA PODOBNYCH PRZYPADKÓW. TU PRAGNĄBYM CI ZWRÓCIĆ UWAGĘ NA PIERWSZY KLUCZ DO ZAGADKI, JAKI CI POZOSTAWIŁEM. MAM NA MYŚLI OTELLA. SZEKSPIR STWORZYŁ W TEJ SZTUCE W SPOSÓB GENIALNY PROTOTYP NASZEGO IKSA. JAGO JEST MORDERCĄ DOSKONAŁĄ ŚMIERĆ DESDEMONY, KASJUSZA - BA, ŚMIERĆ SAMEGO OTELLA - WSZYSCY CI LUDZIE GINĄ ZA SPRAWĄ JAGONA, ZBRODNI TE BYŁY PRZEZ JAGONA ZAPLANOWANE I WYKONANE. ALE ON POZOSTAWAŁ POZA SFERĄ PODEJRZEŃ I WŁAŚCIWIE MÓGŁ TAM POZOSTAWAĆ NA ZAWSZE. ALE WASZ WIELKI SZEKSPIR, DROGI PRZYJACIELU, STANAŁ WOBEC DYLEMATU, KTÓRY - DZIĘKI SWOJEMU GENIUSZOWI - SAM SOBIE STWORZYŁ. TOTEŻ DLA ZDEMASKOWANIA JAGONA ZMUSZONY BYŁ POSŁUŻYĆ SIĘ ZGRANYM CHWYTEM - CHODZI MI O HISTORIĘ Z CHUSTECZKĄ - KTÓRY WŁAŚCIWIE BYŁ W SPRZECZNOŚCI ZE ZNAKOMITĄ TECHNIKĄ JAGONA. TEN WYTRAWNY ZBRODNIARZ Z CAŁĄ PEWNOŚCIĄ NIE POPEŁNIŁBY TAK KARDYNALNEGO BŁĘDU.

MIMO TO JAGO JEST IDEALNYM PRZYKŁADEM ZBRODNIARZA DOSKONAŁEGO. NIE DZIAŁA NIGD BEZPOŚREDNIO. ODWROTNIE, PUBLICZNIE STAŁE ODWODZI INNYCH OD UŻYWANIA SIŁY I ZE WSTRĘTEM ODRZUCA WSZELKIE PODEJRZENIA, KTÓRE - NOTABENE - NIGDY NIE POWSTAŁYBY W NICZYJEJ GŁOWIE, GDYBY ON SAM ICH NIE PODSYCAŁ.

Tę samą technikę obserwujemy w znakomitym trzecim akcie „Johna Fergusona”, kiedy to słaby na umyśle Clutie John poddaje innym myśl zgładzenia człowieka, który jest mu nienawistny. Świetny przykład psychologicznego oddziaływania na otoczenie.

WIERZAJ MI, MÓJ DROGI. KAŻDY CZŁOWIEK JEST POTENCJALNYM MORDERCĄ. W KAŻDYM Z NAS RODZI SIĘ OD CZASU DO CZASU CHĘĆ ZAMORDOWANIA INNEGO CZŁOWIEKA. ALE NIWIELU POTRAFI SIĘ NA TO ZDOBYĆ. MYŚLI MYŚLĄ, A CZYN CZYNEM. ILEŻ TO RAZY SŁYSZAŁEŚ, JAK KTOŚ MÓWIŁ: „TEN CZŁOWIEK TAK MNIE ROZZŁOŚCIŁ, MIAŁEM OCHOTĘ GO ZABIĆ”, „MÓGŁBY ZAMORDOWAĆ PANA B. ZA TO, JAK MNIE POTRAKTOWAŁ”, „ONA JEST TA WSTRĘTNA, ŻE UDUSIŁBY JĄ WŁASNYMI RĘKAMI”. WSZYSTKIE TE WYPOWIEDZI MAJĄ PODŁOŻE PRAWDY. W TAKICH CHWILACH LUDZIE RZECZYWIŚCIE WIERZĄ W TO, CO MÓWIĄ. NAPRAWDĘ MAJĄ OCHOTĘ ZABIĆ PANA A CZY B. ALE NIE CZYNIAJ TEGO! ALBOWIEM NIE WYSTARCZY CHCIEĆ, TRZEBA DZIAŁAĆ. U DZIECI TE HAMULCE NIE FUNKCJONUJĄ JESZCZE BEZBŁĘDNIE. ZNAŁEM MAŁEGO CHŁOPCZYKA, KTÓRY ZWRÓCIŁ SIĘ W MOJEJ OBECNOŚCI DO SWOJEGO KOTA I ZAWOŁAŁ: „SIEDZ SPOKOJNIE, BO CIĘ ZABIJĘ!” I UDERZYŁ GO Z CAŁĄ SIŁĄ W GŁOWĘ, BY CHWILĘ PÓŹNIEJ ZE ZGROZĄ SPOSTRZEC, ŻE ZWIERZĄTKO NIE ŻYJE. BYŁ PRZERAŻONY, BO WIDZISZ, MÓJ DROGI, ON NAPRAWDĘ KOCHAŁ TEGO KOTA TAK WIĘC, JAK JUŻ RZEKŁEM, WSZYSCY JESTEŚMY POTENCJALNYMI MORDERCAMI.

WIELKA SZTUKA IKSZA POLEGAŁA NA TYM, ŻE ANI JEDNYM SŁOWEM NIE NAMAWIAJĄC LUDZI DO POPEŁNIENIA ZBRODNI, POTRAFIŁ MIMO TO WYZWOLIĆ W NICH UŚPIONE ZBRODNICZE INSTYNKTY. ĆWICZYŁ SIĘ W TEJ RZADKIE UMIEJĘTNOŚCI DŁUGO I STARANNIE. ZNAŁ SŁOWA, GESTY, ZDANIA, A NAWET AKCENTY, KTÓRE STOSOWANE ODPOWIEDNICH DAWKACH I W ODPOWIEDNI SPOSÓB PO PEWNYM CZASIE WYWOŁUJĄ POŻĄDANY SKUTEK. NAJPIERW SZUKAŁ SŁABEGO OGNIWA, A POTEM UDERZAŁ W NIE BEZLITOŚNIE. ROBIŁ TO PRZY TYM W TAKI SPOSÓB, ŻE JEGO OFIARA NICZEGO NIE PODEJRZEWAŁA. NIE BYŁA TO HIPNOZA - HIPNOZĄ NIE MOŻNA ZMUSIĆ CZŁOWIEKA DO POPEŁNIENIA ZBRODNI. TO BYŁO COŚ ZNACZNIE GORSZEGO. MOBILIZACJA WSZYSTKICH ŚRODKÓW, ŻEBY RANA SIĘ JĄTRZYŁA, A NIE GOIŁA. WYMAGAŁO TO NAJWYŻSZEGO KUNSZTU, I TO WSZYSTKO DLA OSIĄGNIĘCIA najpodlejszego z celów.

Ty, Hastings, powinienesz dobrze o tym wiedzieć, bowiem Ty też padłeś ofiarą tej metody...

Sądzę, że powoli zaczynasz rozumieć znaczenie niektórych moich uwag pod Twoim adresem, uwag, które Cię w swoim czasie tak bardzo denerwowały i oburzały. Kiedy mówiłem o zbrodni, nie zawsze miałem na myśli tę samą. Powiedziałem Ci na wstępie, że nie bez powodu znalazłem się w Styles, a nieco później, że przybyłem, bo wiem, iż zostanie tam popełnione morderstwo. Byłeś zaskoczony moją pewnością siebie, ale miałem - jak już wiesz - do tego pełne prawo, ponieważ morderstwo to miało być popełnione przeze mnie samego...

O TAK, DROGI PRZYJACIELU, WIEM, ŻE TO BRZMI I DZIWNIE, I ŚMIESZNIE... I STRASZNIE! JA, CZŁOWIEK, KTÓRY ZAWSZE TWIERDZIŁ, ŻE NIE POCHWAŁA ZBRODNI, ZAKOŃCZYŁEM MOJĄ KARIERĘ ŻYCIOWĄ, POPEŁNIAJĄC MORDERSTWO. NIE JEST WYKLUCZONE, ŻE ZNALAZŁEM SIĘ PRZED TYM OKRUTNYM DYLEMATEM DLATEGO, ŻE ZAWSZE BYŁEM AŻ NAZBYT PEWNY SIEBIE I ZBYT POCHOPNIE - BYĆ MOŻE - OCENIAŁEM CUDZE MOTYWY. ALE TEN MEDAL TEŻ MA DWIE STRONY. MOIM ŻYCIOWYM ZADANIEM BYŁA OBRONA NIEWINNYCH LUDZI, ZAPOBIEGANIE ZBRODNIOM I - NAGLE SIĘ OKAZAŁO, ŻE POWSTAŁA SYTUACJA, W KTÓREJ JEDYNĄ DROGĄ ZAPOBIEŻENIA MORDERSTWU BYŁO POPEŁNIENIE GO SAMEMU. ZAPEWNIAM CIĘ, ŻE TAK ZWANE ORGANA SPRAWIEDLIWOŚCI NIE WPADŁYBY NA TROP IKSZA, NIGDY NIE UDOWODNIŁYBY MU NICZEGO. IKSOWI NIC NIE GROZIŁO. PO DŁUGICH rozmyślaniach doszedłem do wniosku, że nie ma na niego innego sposobu.

MIMO TO, DROGI PRZYJACIELU, TARGAŁY MNĄ NIEZLICZONE WĄTPLIWOŚCI. WIEDZIAŁEM OD DAWNA, CO NALEŻY ROBIĆ, ALE NIE MOGŁEM SIĘ ZDOBYĆ NA TAKI CZYN. ZACHOWYWAŁEM SIĘ JAK HAMLET - ODSUWAŁEM OD SIEBIE TEN OKROPNY DZIEŃ... AŻ DOWIEDZIAŁEM SIĘ, ŻE PANI LUTTRELL O MAŁY WŁOS NIE PADŁA OFIARĄ NOWEJ zbrodni.

BYŁEM BARDZO CIEKAWY, CZY TWOJA NIEZAWODNA SKŁONNOŚĆ DO WIDZENIA DOKŁADNIE TEGO, CO WSKAZUJE LOGIKA, ZNOWU ZWYCIĘŻYŁA. NO I ZWYCIĘŻYŁA. OD RAZU ZACZAŁEŚ PODEJRZEWAĆ NORTONA. NIEZBYT MOŻE POWAŻNIE, ALE JEDNAK MIAŁEŚ RACJĘ, BO NORTON BYŁ RZECZYWIŚCIE ODPOWIEDZIALNY ZA TEN ZAMACH. NIE BYŁO WŁAŚCIWIE ŻADNYCH KONKRETNYCH POWODÓW DO PODEJRZEWANIA GO - Z WYJĄTKIEM JEDNEJ, LOGICZNEJ, CHOCIAŻ MAŁO UZASADNIONEJ PRZESŁANKI, A MIANOWICIE, ŻE BYŁ TO CZŁOWIEK TAK niepozorny. Jakże byłeś wówczas bliski prawdy!

ZANALIZOWAŁEM HISTORIĘ ŻYCIA NORTONA STARANNIE. BYŁ JEDYNYM SYNEM WŁADCZEJ I APODYKTYCZNI MATKI. JUŻ JAKO DZIECKO ODZNACZAŁ SIĘ BRAKIEM WOLI I NIGDY NIE MIAŁ OKAZJI ROZWINIĘCIA SWOJEJ indywidualności. Urodził się ułomny i nie mógł brać udziału w żadnych sportach czy zawodach.

Ty, mój drogi, przyczyniłeś się w dużej mierze do ostatecznego rozszyfrowania jego

OSOBOWOŚCI, OPOWIADAJĄC MI, ŻE KOLEDZY SZKOLNI WYŚMIALI GO KIEDYŚ, PONIEWAŻ O MAŁO NIE ZEMDLAŁ na widok zabitego królika. Wydaje mi się, że ten incydent musiał zaważyć na jego dalszym rozwoju.

ZAWSZE BAŁ SIĘ WIDOKU KRWI, UNIKAŁ BÓJEK I W REZULTACIE ZOSTAŁ POŚMIEWISKIEM KOLEGÓW. PODŚWIADOMIE, ŻE UŻYJĘ MODNEGO OKREŚLENIA, ROSŁO W NIM POSTANOWIENIE ZREWANŻOWANIA SIĘ ZA swoje krzywdy.

PRZYPUSZCZAM, ŻE JUŻ W DOŚĆ MŁODYM WIEKU ODKRYŁ W SOBIE ZDOLNOŚĆ ODDZIAŁYWANIA NA LUDZI. UMIAŁ DOBRZE SŁUCHAĆ, A JEGO POWIERZCHOWNOŚĆ BUDZIŁA ZAUFANIE. LUBIANO GO, A JEDNOCZEŚNIE NIE ZWRACANO NA NIEGO WIĘKSZEJ UWAGI. Z POCZĄTKU MIAŁ TO LUDZIOM ZA ZŁE - PÓŹNIEJ ZACZĄŁ TO PRZECIWKO NIM WYKORZYSTYWAĆ. WKRÓTCE PRZEKONAŁ SIĘ, JAK ŁATWO, JAK ŚMIESZNIE ŁATWO MOŻNA NARZUCAĆ SWOJĄ WOLĘ. WYSTARCZYŁO ZNALEŻĆ ODPOWIEDNIE SŁOWA, STOSOWAĆ WŁAŚCIWE BODŹCE, POZNAĆ UKRYTE MYŚLI ludzi, ich marzenia, ambicje i sposób reagowania.

Jest rzeczą jasną, Hastings, że takie odkrycie musi przynieść ze sobą poczucie władzy nad ludźmi. I oto Stephen Norton, lubiany wprawdzie, ale mało szanowany, zaczyna rozumieć, że jeżeli zechce, potrafi zmusić ludzi do czynów, na które nie mają ochoty, czy też (a to jest bardzo ważne) - na które wydaje im się, że nie mają ochoty.

MOGĘ SOBIE DOSKONAŁE WYOBRAZIĆ, CO SIĘ Z NIM ZACZEŁO DZIAĆ, Z JAKIM ENTUZJAZMEM ZABRAŁ SIĘ DO UDOSKONALANIA TEJ UMIEJĘTNOŚCI. Z POCZĄTKU TRAKTOWAŁ JĄ JAKO HOBBY, ALE POWOLI ZACZEŁA W NIM NARASTAĆ NIEPRZEPARTA CHĘĆ DOKONANIA ZBRODNI - ŻE SIĘ TAK WYRAŻĘ - Z DRUGIEJ RĘKI. SAM NIE MIAŁ NA TO wystarczającej sprawności fizycznej, co - notabene - było przyczyną tylu upokorzeń.

HOBBY TO ROŚNIE I ROŚNIE, AŻ STAJE SIĘ PASJĄ, BA, KONIECZNOŚCIĄ ŻYCIOWĄ! BYŁO JAK NARKOTYK. A KAŻDY NARKOTYK STAJE SIĘ NAŁOGIEM. POŻĄDAŁ GO W KOŃCU RÓWNIE GWALTOWNIE, JAK INNI LUDZIE OPIUM CZY kokainy.

TEN ŁAGODNY NA POZÓR I DELIKATNY NORTON BYŁ W ISTOCIE SADYSTĄ, NARKOMANEM, KTÓRY ŻYWIŁ CUDZYM NIESZCZĘŚCIEM, CUDZYM BÓLEM, CUDZĄ UDREKĄ. NIE JEST JEDYNYM TAKIM POTWOREM. OSTATNIO istna epidemia podobnych zbrodni ogarnęła ludzkość – l'appetit vient en mangeant.

ZASPOKAJAŁ W TEN SPOSÓB DWIE PRZEMOŻNE ŻĄDZE, DRAŻĄCE JEGO DUSZĘ: ŻĄDZĘ ZADAWANIA cierpienia i żądzę sprawowania władzy. On, Norton, stał się panem cudzego życia i śmierci.

Podobnie jak wszyscy narkomani, był w wiecznej pogoni za nową dawką narkotyku. Znajdował JEDNĄ OFIARĘ PO DRUGIEJ. JESTEM PRZEKONANY, ŻE POZA PIĘCIOMA MORDERSTWAMI, JAKIE UDAŁO MI SIĘ WYKRYĆ, POPEŁNIŁ WIELE INNYCH. I ZAWSZE GRAŁ IDENTYCZNĄ ROLE. ZNAŁ ETHERINGTONA. JEDNO LATO SPĘDZIŁ TEJ SAMEJ WIOSCE, W KTÓREJ MIESZKAŁ RIGGS, I WIELOKROTNIE SPOTYKAŁ SIĘ Z NIM W MIEJSCOWEJ GOSPODZIE. FREDĘ CLAY POZNAŁ NA STATKU I Z NIESŁYCHANĄ ZRĘCZNOŚCIĄ WYDOBYŁ NA WIERZCH DRZEMIAĆCE W NIEJ NA PÓŁ ŚWIADOME PRZEKONANIE, ŻE ŚMIERĆ STAREJ CIOTKI BYŁABY Z POŻYTKIEM NIE TYLKO DLA OTOCZENIA ALE I DLA NIEJ SAMEJ. CIOTUNIA POZBEDZIE SIĘ TROSK I NĘKAJĄCYCH JĄ DOLEGLIWOŚCI, A ONA, FREDA, rozpocznie nowe życie, wolne od wszelkich finansowych trosk i obfitujące w rozliczne przyjemności. BYŁ BLISKIM PRZYJACIELEM LITCHFIELDÓW. PO KAŻDEJ ROZMOWIE Z NIM MARGARET LITCHFIELD WIDZIAŁA SIĘ W ZUPEŁNIE INNYM ŚWIETLE, PRZEOBRAŻAŁA SIĘ W BOHATERKĘ, KTÓRA RATUJE SIOSTRY PRZED SPĘDZENIEM RESZTY ŻYCIA W MOCY TYRANA. JESTEM ZUPEŁNIE PRZEKONANY, HASTINGS, ŻE ŻADNA Z TYCH OSÓB NIE POPEŁNIŁAB

morderstwa - bez wpływu Nortona.

Ale powróćmy do Styles. Byłem na tropie Nortona od pewnego już czasu. Wiedziałem, że poznał Franklina niedawno, i byłem jak najgorszej myśli. Bo widzisz, Hastings, Norton nie mógł działać bez punktu zaczepienia. Najpierw musi bowiem istnieć ziarno i dopiero później można z niego wyhodować roślinę. Jeśli chodzi na przykład o Otella, to zawsze byłem zdania, że w duszy jego musiało od dawna tkwić przekonanie (prawdopodobnie słuszne), że Desdemona kocha go miłością młodej, egzaltowanej dziewczyny dla wspaniałego żołnierza i sławnego bohatera, a nie taką, jaką dojrzała kobieta mogłaby kochać Otella - mężczyznę. Orientujesz się zapewne, że prawdziwym ideałem Desdemony jest Kasjusz i że w pewnym momencie Desdemona zda sobie z tego sprawę.

FRANKLINOWIE BYLI DLA NORTONA WPROST NIEZWYKŁĄ GRATKĄ. ILE MOŻLIWOŚCI PRZED NIM ROZTACZAI PRZYPUSZCZAM, HASTINGS, ŻE TERAZ WIESZ JUŻ TO, CO KAŻDEMU ROZSĄDNEMU CZŁOWIEKOWI MUSIAŁO SIĘ OD PIERWSZEJ CHWILI RZUCAĆ W OCZY, A MIANOWICIE, ŻE JUDITH OD DAWNA KOCHA FRANKLINA, I TO Z WZAJEMNOŚCIĄ. NAJLEPSZYM TEGO DOWODEM BYŁA SZORSTKOŚĆ, Z JAKĄ JĄ TRAKTOWAŁ, FAKT, ŻE NIGDZ WŁAŚCIWIE NA NIĄ NIE PATRZAŁ, ŻE BYWAŁ WOBEC NIEJ NAWET NIEUPRZEJMY. WSZYSTKO TO POWINNO CIĘ BYŁO OD RAZU NAPROWADZIĆ NA MYŚL, ŻE CZŁOWIEK TEN JEST PO USZY ZAKOCHANY W TWOJEJ ŚLICZNEJ CÓRCIE. FRANKLIN TO MĘCZYZNA O SILNEJ WOLI I WIELKIEJ PRAWOŚCI. JEGO WYPOWIEDZI ŚWIADCZĄ NA POZÓR O CAŁKOWITYM BRAKU UCZUĆ, A NAWET O PEWNEJ BRUTALNOŚCI, ALE W GRUNCIE RZECZY JEST TO CZŁOWIEK TRZYMAJĄCY SIĘ ŚCIŚLE ZASAD GRY. TAKI POD ŻADNYM POZOREM NIE OPUŚCI KOBIETY, KTÓRĄ POJAŁ ZA ŻONĘ.

A JUDITH - CO MOGŁEŚ TAKŻE ZAUWAŻYĆ - BYŁA W NIM RÓWNIEMŻ ŚMIERTELNIE ZAKOCHANA I Z TEGO POWODU BARDZO NIESZCZĘŚLIWA. BYŁA PEWNA, ŻE ODKRYŁEŚ JEJ TAJEMNICĘ TEGO DNIA, KIEDY NATKNAŁEŚ SIĘ NA NIĄ W OGRODZIE RÓŻANYM. DLATEGO UNIOSŁA SIĘ WÓWCZAS TAK WIELKIM GNIEWEM. LUDZIE TYPU JUDITH NIE ZNOSZĄ WSPÓŁCZUCIA, DLA NICH JEST TO RÓWNOZNACZNE Z DOTKNIĘCIEM OTWARTEJ RANY.

Po chwili zorientowała się, że podejrzewasz ją o romansowanie z Allertonem. Była zadowolona, gdyż chroniło ją to znakomicie nie tylko przed Twoim współczuciem, ale i przed dalszym rozdrapywaniem owej rany. Zaczęła niemal otwarcie flirtować z Allertonem, znajdując w tym może także niejaką pociechę. Ale doskonale wiedziała, z kim ma do czynienia. Allerton bawił ją, owszem, stanowił pewnego rodzaju odtrutkę, ale nie miała dla niego ani luta sympatii.

NORTON WIEDZIAŁ DOSKONALE, SKĄD WIATR WIEJE. WIDZIAŁ W TYM TRÓJKĄCIE NIESKOŃCZON MOŻLIWOŚCI. PRÓBOWAŁ ZABRAĆ SIĘ DO FRANKLINA, ALE Z NIM OCZYWIŚCIE DALEKO NIE ZAJECHAŁ. LUDZIE TYPU FRANKLINA SĄ CAŁKOWICIE ODPORNI NA TEGO RODZAJU SUGESTIE. FRANKLIN MA BARDZO JASNY UMYŚL, I DOSKONALE UŁOŻONE W GŁOWIE I JEST CAŁKIEM ŚWIADOMY SWOICH WŁASNYCH UCZUĆ I DOZNAŃ. IGNORUJE WSZELKIE NACISKI Z ZEWNĄTRZ. POZA TYM WIELKĄ PASJĄ JEGO ŻYCIA JEST PRACA, KTÓRA POCHŁANIA GO DO TEGO STOPNIA, ŻE WSZYSTKO INNE Z TRUDEM DO NIEGO DOCIERA,

Z JUDITH POSZŁO NORTONOWI ZNACZNIE ŁATWIEJ NIŻ Z FRANKLINEM. Z NIESŁYCHANĄ CHYTROŚCIĄ WYKORZYSTYWAŁ JEJ WIARĘ W KONIECZNOŚĆ STWORZENIA CZEGOŚ W ŻYCIU I TE JEJ TEORIE O BEZUŻYTECZNOŚCI NIEKTÓRYCH LUDZI. JUDITH ZAWSZE ŚWIĘCIE WIERZYŁA, ŻE TRUTNIE NIE MAJĄ PRAWA ŻYĆ. MIMO TO NIE ZDAWAŁA SOBIE SPRAWY Z TEGO, ŻE JEJ NAJSKRYTSZE MARZENIA SĄ W CAŁKOWITEJ ZGODZIE Z JEJ TEORIAM. NORTON ZROZUMIAŁ TO W MIG. ROZGRYWAŁ SWOJĄ PARTIĘ WSPANIAŁE. SPRZECZAŁ SIĘ Z NIĄ NA TEN TEMAT, ZAJMUJĄC Z REGUŁY PRZECIWNIE STANOWISKO, I POSUNĄŁ SIĘ NAWET TAK DALEKO, ŻE IRONIZUJĄC POWIEDZIAŁ, IŻ JEGO

ZDANIEM, NIE POTRAFIŁABY NIGDY WPROWADZIĆ SWOICH ZASAD W CZYN. „WSZYSCY MŁODZI LUDZIE ZAWSZE MÓWIĄ TAKIE RZECZY, ALE NIGDY NIE POSTĘPUJĄ ZGODNIE ZE SWOIMI TEORIAM!” TAKIMI I TEMU PODOBNYMI WYŚWIECHTANYMI FRAZESAMI OPEROWAŁ. I WIEZ CO, HASTINGS? TE FRAZESY BARDZO CZĘSTO ROBIĄ SWOJE! MŁODZI SĄ TAK NIEDOŚWIADCZENI, TACY NAIWNI. ZAWSZE GOTOWI PRZYJĄĆ RZUCONE WYZWANIE, ZAWSZE CHĘTNI DO UDOWODNIENIA SWOJEJ ODWAGI.

Barbara była trutniem, to jasne. Jej usunięcie torowało drogę do szczęścia dla Judith i Franklina. Ale o tym się nigdy nie mówiło. Ten temat ani razu nie pojawiał się w rozmowach. Odwrotnie, zawsze z naciskiem podkreślano, że sprawy osobiste nie mają tu nic do rzeczy. Albowiem gdyby Judith uświadomiła to sobie, na pewno zareagowałaby w sposób bardzo gwałtowny. Jednakże fanatyków zbrodni, takich jak Norton, nigdy nie zadowala praca nad jedną przyszłą ofiarą. Rozglądają się nieustannie za nowymi. Norton znalazł je w małżeństwie Luttrellów.

SIĘGNIJ PAMIĘCIĄ WSTECZ, HASTINGS. PRZYPOMNIJ SOBIE PIERWSZY WIECZÓR W STYLES I PARTIĘ BRYDŻA, W JAKIEJ BRAŁEŚ UDZIAŁ. I SŁOWA NORTONA WYPOWIEDZIANE TAK GŁOŚNO, AŻ ZŁĄKŁEŚ SIĘ, ŻE LUTTRE JE USŁYSZY. PRZECIEŻ NORTONOWI WŁAŚNIE O TO CHODZIŁO! CHCIAŁ, ŻEBY LUTTRELL SŁYSZAŁ, CO ON MÓWI. P KAŻDEJ NADARZAJĄCEJ SIĘ SPOSOBNOŚCI POWTARZAŁ TO DO ZNUDZENIA... I W KOŃCU WYSIŁKI JEGO ZOSTAŁ UWIECZNIONE POWODZENIEM. DZIAŁO SIĘ TO TUŻ POD TWOIM NOSEM, HASTINGS, A TYŚ NIE ZAUWAŻYŁ. GRUNT BYŁ PRZYGOTOWANY - NARASTAJĄCE POCZUCIE KRZYWDY, PONIŻENIE I WSTYD, WSTYD PRZED INNYMI MĘŻCZYZNIAMI. Aż wreszcie wszystko to przemieniło się w piekącą nienawiść do żony.

PRZYPOMNIJ SOBIE DOKŁADNIE WYDARZENIA OWEGO POPOŁUDNIA. NORTON OŚWIADCZA, ŻE NAPIŁBY SIĘ CZEGOŚ. (CZYŻBY WIEDZIAŁ, ŻE PANI LUTTRELL JEST W DOMU I ŻE ZJAWI SIĘ ZA CHWILĘ?) PUŁKOWNIK, CZŁOWIEK BARDZO GOŚCINNY, NATYCHMIAST PROONUJE WSZYSTKIM WHISKY. IDZIE PO NIĄ. SIEDZICIE NA TARASIE POD OKNEM. ZJAWIA SIĘ PANI LUTTRELL I OCZYWIŚCIE ROBI MĘŻOWI AWANTURĘ. PUŁKOWNIK WIE, ŻE SŁYSZYCIE KAŻDE JEJ SŁOWO. WRACA. MOŻNA BYŁO, RZECZ JASNA, ZATUSZOWAĆ TĘ SPRAWĘ KILKOMA SŁOWAMI. NAJLEPIEJ ZROBIŁBY TO ZAPEWNE BOYD CARRINGTON. (JEST TO CZŁOWIEK NIEPOZBAWIONY MĄDROŚCI ŻYCIOWEJ I TAKTU, MIMO ŻE NALEŻY DO NAJBARDZIEJ NAPUSZONYCH NUDZIARZY, JAKICH ZDARZYŁO MI SIĘ W ŻYCIU SPOTKAĆ. WŁAŚNIE TEN TYP MĘŻCZYZNY, KTÓRY TOBIE, HASTINGS, ODPOWIADA NAJBARDZIEJ). TY TAKŻE Z CAŁ PEWNOŚCIĄ UMIAŁBYŚ ZNALEŹĆ STOSOWNE WYJŚCIE Z TEJ PRZYKREJ SYTUACJI. ALE ŻADEN Z WAS NIE MA SZANSY. NORTON CIERPI NA PRAWDZIWY SŁOWOTOK, CHCĄC BYĆ NIBY TO TAKTOWNY, ALE ROBI PRZY TYM TYLE GAF, SYTUACJA STAJE SIĘ Z KAŻDĄ CHWILĄ BARDZIEJ NAPIĘTA. PLECIE COŚ TRZY PO TRZY NA TEMAT BRYDŻ PRZYPOMINAJĄC LUTTRELOWI UPOKORZENIA, JAKICH PRZY TEJ GRZE CO WIECZÓR DOZNAJE OD ŻONY, WRESZCIE NIE WIADOMO DLACZEGO - OPOWIADA COŚ O WYPADKACH Z BRONIĄ. TEN KRETYN, BOYD CARRINGTON, WPADA OCZYWIŚCIE W NASTAWIONĄ PRZEZ NORTONA PUŁAPKĘ I Z MIEJSCA PRZYSTĘPUJE DO OPOWIEŚCI O PEWNYM IRLANDCZYKU, KTÓRY W CZASIE POŁOWANIA ZASTRZELIŁ WŁASNEGO BRATA. NA DODATEK, HASTINGS, JEST HISTORIA, KTÓRĄ NORTON OPOWIEDZIAŁ CARRINGTONOWI KILKA DNI WCZEŚNIEJ, WIEDZĄC DOSKONALE, ŻE PR PIERWSZEJ SPOSOBNOŚCI TEN DUREŃ SPRZEDA JĄ JAKO WŁASNĄ. JAK WIDZISZ, BEZPOŚREDNIA SUGESTIA NIE WYSZŁA OD NORTONA. Mon Dieu, non.

Wszystko zatem gra. Maksymalne nawarstwienie bodźców. Punkt kulminacyjny. Urażony w swoich ambicjach gospodarz, upokorzony w obecności zgromadzonych przyjaciół, świadomy faktu, że oni wszyscy uważają go za zwykłego tchórza, który nigdy nie zdobędzie się na bunt - Luttrell słyszy nagle kluczowe słowa. Słowa, które za chwilę zakielkują w jego umyśle. Wypadek, strzelba -

brat zabija brata... i w tej samej chwili wśród krzaków ukazuje się głowa jego żony... „wypadek - oczywiście - nic mi nie grozi... Ja im wszystkim pokażę... Ja jej pokażę... A niech ją diabli wezmą... niech ginie...niech zginie!”

ZRANIŁ JĄ TYLKO, TO FAKT. MOIM ZDANIEM, CHYBIŁ DLATEGO, ŻE PODŚWIADOMIE NIE CHCIAŁ JEJ ZABIĆ. A potem - potem się ocknął. Przecież to jego żona, kobieta, którą, mimo wszystko, kochał.

Była to jedna ze zbrodni Nortona, które się nie powiodły. A przynajmniej niezupełnie.

NO, ALE ZAJMIJMY SIĘ JEGO INNĄ INTRYGĄ. CZY ZDAJESZ SOBIE SPRAWĘ, HASTINGS, ŻE MIAŁEŚ BYĆ JEGO NASTĘPNYM NARZĘDZIEM? TY! COFNIJ SIĘ MYŚLAMI I ZASTANÓW SIĘ SPOKOJNIE. TY, MÓJ SZLACHETNY przyjacielu. Odkrył każdy twój słaby punkt i zrobił użytek z Twojej dobroci i sumienności.

Allerton jest typem człowieka, którego ludzie Twojego pokroju, Hastings, nienawidzą instynktownie. Nienawidzą i boją się zarazem. W głębi duszy uważasz, że tacy ludzie powinni być usunięci, że nie mają prawa żyć. Wszystko, co Ci o nim mówiono, zgadza się z prawdą. Norton też opowiedział Ci o nim historię, która jest autentyczna. (Chociaż dziewczyna, o którą chodzi, była niezrównoważona psychicznie). Twoja konwencjonalna i staroświecka natura burzy się przeciwko temu człowiekowi. Dla Ciebie jest to nicpoń, uwodziciel, łajdak, który rujnuje życie młodym kobietom i doprowadza je do samobójstwa! Norton namawia również Boyda Carringtona, żeby poruszył z tobą ten temat. Wreszcie decydujesz się „rozmówić” z córką. Jak było do przewidzenia, Judith oświadcza Ci po prostu, że zamierza robić ze swoim życiem, co jej się podoba. Podejrzewasz najgorsze.

ZASTANÓW SIĘ PRZEZ CHWILĘ NAD TYM, NA ILU KLAWISZACH TWOICH UCZUĆ GRAŁ NORTON. MIŁOŚĆ DZIECKA. GŁĘBOKO ZAKORZENIONE, CHOCIAŻ STAROŚWIECKIE PRZEKONANIE, ŻE OJCIEC JEST ZAWSZE ODPOWIEDZIALNY ZA LOSY POTOMSTWA. TWOJA NIECO PRZESADNA WIARA WE WŁASNE KOMPETENCJE. „MUSZĘ TO KONIECZNIE ZAŁATWIĆ”, „WSZYSTKO ZALEŻY ODE MNIĘ”. UCZUCIE PEWNEJ BEZRADNOŚCI, WY WOŁANE ŚMIERCIĄ UKOCHANEJ ŻONY. TWOJA LOJALNOŚĆ WOBEC RODZINY. A Z DRUGIEJ STRONY TWOJA PRÓŻNOŚĆ PRZEKONANIE, ŻE TE DŁUGIE LATA WSPÓLNEJ PRACY NIE POSZŁY NA MARNE I NAUCZYŁEŚ SIĘ ODE MNIĘ WSZYSTKICH TAJEMNIC NASZEGO RZEMIOSŁA. A WRESZCIE BEZSENSOWNA, PODŚWIADOMA ZAZDROŚĆ, JAKĄ OJCIEC ODCZUWA W STOSUNKU DO CÓRKI, POŁĄCZONA Z NIECHĘCIĄ DO MĘŻCZYZNY, KTÓRY USIŁUJE MU JĄ ZABRAĆ. NORTON, MÓJ DROGI PRZYJACIELU, GRAŁ NA TYCH WSZYSTKICH STRUNACH JAK WIRTUOZ. A TY REAGOWAŁEŚ STEREOTYPOWO.

ZAWSZE ZBYT ŁATWO BRAŁEŚ POZORY ZA RZECZYWISTOŚĆ. BEZ CHWILI ZASTANOWIENIA DOSZEDŁEŚ DO WNIOSKU, ŻE ALLERTON ROZMAWIAŁ W ALTANIE WŁAŚNIE Z JUDITH. NIE WIDZIAŁEŚ JEJ, NAWET NIE SŁYSZAŁEŚ JEJ GŁOSU. I CO NAJDIWNIJSZE, JESZCZE NAJAJUTRZ RANO SĄDZIŁEŚ, ŻE CHODZIŁO O TWOJĄ CÓRKĘ. BYŁE ZADOWOLONY WIDZĄC, ŻE „SIĘ ROZMYŚLIŁA”.

Ale gdybyś zadał sobie trud sprawdzenia faktów, przekonałbyś się, że nie było ani przez chwilę mowy o wyjeździe Judith do Londynu tego dnia! A na domiar złego, nie zauważyłeś jednego, bardzo znamienego faktu, a mianowicie, że miała tam jechać inna osoba, a ponieważ jej zepsuto szyki, była bardzo zdenerwowana. Chodzi o siostrę Craven. Allerton nie zadowalała się flirtem z jedną kobietą. Jego romans z przystojną pielęgniarzką posunął się znacznie dalej niż jego zaloty do Twojej córki. Reżyserem tej mistyfikacji był także Norton. Widziałeś, jak Allerton

całował Judith. Zgoda. Ale w chwilę później Norton ciągnie Cię za narożnik domu. Niewątpliwie wie, że Allerton umówił się z siostrą Craven w altance. Teraz niby to próbuje powstrzymać Cię od spaceru w tamtą stronę, ale daje się przekonać i idzie z Tobą. Słyszysz zaledwie jedno zdanie padające z ust Allertona. Brzmi ono wprost jak na zamówienie. Norton zadowolony szybko odciąga Cię w kierunku domu, abys się przypadkiem nie zorientował, że kobietą, do której mówił Allerton, wcale nie była Judith!

NASZ WIRTUOZ JEST W SZCZYTOWEJ FORMIE! A TY REAGUJESZ DOKŁADNIE W MYŚL JEGO SCENARIUSZA. Krew uderza Ci do głowy. Postanawiasz popełnić morderstwo.

NA SZCZĘŚCIE, HASTINGS, MIAŁEŚ PRZYJACIELA, KTÓREGO MÓZG WCIAŻ FUNKCJONOWAŁ BEZBŁĘDNIE. I NIE TYLKO MÓZG.

Wspomniałem już na początku tego listu, że jeżeli nie doszedłeś do prawdy samodzielnie, to tylko dlatego, że jesteś zbyt łatwowierny z natury. Po prostu wierzysz w to, co ludzie Ci mówią. Wierzyłeś w to, co ja Ci mówiłem...

O TAK, MOGŁEŚ WŁAŚCIWIE SAM DOJŚĆ DO JĄDRA PRAWDY. ODPRawiŁEM GEORGE'A. DLACZEGO? ZAMieniŁEM GO NA ZNACZNIE MNIEJ DOŚwiADczONego I ZNACZNIE MNIEJ INTELIGENTNEGO CZŁOWIEKA. DLACZEGO? NIE DOPUSZCZAŁEM DO SIEBIE ŻADNEGO LEKARZA - JA, KTÓRY ZAWSZE TAK SKRUPULATNIE DBAŁEM O Swoje zdrowie. Dlaczego?

CZY ROZUMIESZ JUŻ, CZEMU BYŁEŚ MI TAK POTRZEBNY W STYLES? MusIAŁEM TAM MIEĆ KOGOŚ, KTO AKCEPTOWAŁBY WSZYSTKIE MOJE POSTANOWIENIA BEZ SPRZECIWU. TAK WIĘC PRZYJAŁEŚ BEZ WAHANIA MOJE TWIERDZENIE, ŻE WRÓCIŁEM Z EGIPtu W GORSZYM STANIE, ANIŻELI TAM POJECHAŁEM. TO NIEPRAWDA. WRÓCIŁEM ZNACZNIE ZDROWSZY I SILNIEJSZY! GDYBYŚ SIĘ POFATYGOWAŁ, ŻEBY TO SPRAWDZIĆ, WIEDZIAŁBYŚ, ŻE CIĘ OKŁAMUJĘ. ALE NIE. TY UWIERZYŁEŚ. A TYMCZASEM JA ODPRawiŁEM GEORGE'A DLATEGO, ŻE JEGO NIE MÓGLBYM NABRAĆ NA TO, IŻ UTRACIŁEM NAGLE WŁADZĘ W NOGACH, GEORGE TO CZŁOWIEK BARDZO SPOSTRZEGAWCZY. Zorientowałyby się natychmiast, że udaję.

CZY TERAZ JUŻ ZROZUMIAŁEŚ, HASTINGS? CZY ZROZUMIAŁEŚ, ŻE NABRAŁEM I CIEBIE, I CURTISSA, ŻE KAZAŁEM SIĘ NOSIĆ, CHOĆ MIAŁEM PEŁNĄ WŁADZĘ W NOGACH ? PORUSZAŁEM SIĘ Z TRUDEM, ALE SIĘ PORUSZAŁEM.

SŁYSZAŁEM, JAK SZEDŁEŚ OWEGO WIECZORU DO SIEBIE. USŁYSZAŁEM TEŻ, ŻE IDZIESZ DO POKOJU ALLERTONA, I OD RAZU WIEDZIAŁEM, ŻE DZIEJE SIĘ COŚ NIEDOBREGO. JUŻ WTEDY ZANIEPOKOILEM SIĘ STANEM twoich nerwów.

Byłem sam. Curtiss jadł kolację w kuchni. Nie tracąc ani chwili, przemknąłem się na korytarz. Słyszałem, że krzątasz się po łazience Allertona. I wiesz, co zrobiłem, przyjacielu? Otóż - wybacz - ale opadłem na kolana i zajrzałem przez dziurkę od klucza. Na szczęście nie było w niej klucza, bo niedawno założono zasuwkę. Zobaczyłem, co robisz, i zorientowałem się w Twoich zamiarach. Przystąpiłem bezzwłocznie do działania. Wróciłem do swojego pokoju i przygotowałem wszystko, co było potrzebne. Kiedy zjawił się Curtiss, kazałem mu iść po Ciebie. Przybyłeś, ziewając na całego, i oświadczyłeś, że rozboleła Cię głowa. Ofiarowałem Ci szereg środków. Dla świętego spokoju zgodziłeś się wypić filiżankę gorącej czekolady. Przelknąłeś ją niemal jednym

haustem, bo Ci się śpieszyło, prawda? No, ale widzisz, ja też miałem środki nasenne!

TAK WIĘC ZASNAŁEŚ I SPAŁEŚ DO PÓŹNEGO RANA, A KIEDY SIĘ OBUDZIŁEŚ, BYŁEŚ ZNÓW SOBĄ I OGARNEŁO Cię przerażenie na myśl, czego uniknąłeś.

WIEDZIAŁEM, ŻE MOGĘ JUŻ BYĆ SPOKOJNY. NIKT NIE POPEŁNIA TAKICH SZALEŃSTW DWA RAZY Z RZĘDU, W KAŻDYM RAZIE NIE OSOBNIK RÓWNIĘ ZDROWY PSYCHICZNIE JAK TY.

Jednakże incydent ten przyczynił się do przyspieszenia mojej decyzji. Znam Cię na wylot i wiedziałem, że jeżeli ten człowiek potrafił Ciebie do tego popchnąć, to nie ma chwili do stracenia. Bo Ty, mój drogi, naprawdę nie jesteś materiałem na mordercę. Mimo to niewiele brakowało, żebyś zawisł na szubienicy za popełnienie strasznej zbrodni. Zapłaciłbyś za czyn innego człowieka, który w oczach sprawiedliwości nie zrobił nic, co kolidowałoby z prawem.

TY, MÓJ DROGI, UCZCIWY, SZLACHETNY PRZYJACIELU! TY... TAKI DOBRY, TAKI OBOWIĄZKOWY I... TAKI NAIWNY!

O TAK, ZROZUMIAŁEM, ŻE NADSZEDŁ CZAS DZIAŁANIA! A CZASU TEGO BYŁO TAK MAŁO! POWZIĄŁEM WIĘC DECYZJĘ - I BYŁEM ZADOWOLONY. ALBOWIEM MORDERSTWO MŚCI SIĘ PRZED E WSZYSTKIM NA MORDERCY, HASTINGS. SKUTKI TAKIEGO CZYNU SĄ DLA NIEGO NIEMAL NIEOBLICZALNE! JA, HERKULES POIROT, NIEM UWIERZYŁEM, ŻE PRZEZ BOGÓW ZOSTAŁEM WYZNACZONY NA MŚCICIELA, ŻE MNIE WOLNO BEZKARNIE ZABIJAĆ... NA SZCZĘŚCIE NIE MIAŁEM JUŻ PRZED SOBĄ WYSTARCZAJĄCEJ ILOŚCI CZASU, BY TE SKŁONNOŚCI MOGŁY SIĘ WE MNIE ROZWINĄĆ. MÓJ KONIEC BYŁ BLISKI. BAŁEM SIĘ TAKŻE, ŻE NORTONOWI UDA SIĘ ZA POMOCĄ JEGO diabelskich sztuczek omotać istotę drogą zarówno Tobie, jak i mnie - naszą Judith.

A TERAZ CHCIAŁBYM JESZCZE OMÓWIĆ ŚMIERĆ BARBARY FRANKLIN. JESTEM NIEMALŻE PRZEKONANY, HASTINGS, ŻE I TA SPRAWA NIE JEST DLA CIEBIE JASNA. ALBOWIEM, DROGI PRZYJACIELU, TY ZABIŁEŚ BARBARĘ Franklin. Mais oui, ty!

Bo widzisz, istniał jeszcze jeden aspekt trójkąta małżeńskiego Franklinów, którego niestety nie uwzględniłem. Taktyka zastosowana tu przez Nortona była niesłychanie przemyślna, toteż nie zwróciliśmy na nią uwagi. Jednakże jestem pewien, że i w tej sprawie maczał palce...

CZY ZASTANAWIAŁEŚ SIĘ KIEDYKOLWIEK NAD TYM, DLACZEGO WŁAŚCIWIE PANI FRANKLIN ZGODZIŁA SIĘ PRZYJECHAĆ DO STYLES? PRZECIEŻ JEST TO PENSJONAT ZUPEŁNIE NIE W JEJ STYLU. KOBIETA TA CENIŁA SOB PONAD WSZYSTKO KOMFORT, WYGODY, DOBRE JEDZENIE, A SZCZEGÓLNICIE KONTAKTY TOWARZYSKIE. STYLES NIE JE ANI MODNE, ANI ŚWIATOWE, NIE OBFITUJE W ROZRYWKI. PROWADZONE JEST NIE NAJLEPIEJ. A JEDNAK WŁAŚNIE pani Franklin nalegała na męża, żeby zgodził się spędzić tam całe lato.

NO BO WIDZISZ, MÓJ DROGI, TO NIE BYŁ TRÓJKĄT, ALE CZWOROKĄT. PANI FRANKLIN BYŁA KOBIE ROZCZAROWANĄ ŻYCIEM. I TO ROZCZAROWANIE STAŁO SIĘ PODŁOŻEM JEJ NIEWĄTPLIWEJ NERWICY. BYŁA BARDZO AMBITNA POD WZGLĘDEM TOWARZYSKIM I CHCIAŁA BYĆ BOGATA. WYSZŁA ZA FRANKLINA, PONIEWAŻ SIĘ spodziewała, że robi on wielką karierę naukową.

JEST TO CZŁOWIEK NIEWĄTPLIWIE WYBITNY, ALE ZUPEŁNIE NIE W JEJ TYPIE. JEHO OSIĄGNIĘCIA NIGDY NIE DOSTANĄ SIĘ DO GAZET, A ON SAM NIGDY NIE BĘDZIE WZIĘTYM I MODNYM LEKARZEM. NA PEWNO ZDOBEDZIE

DOSKONAŁĄ REPUTACJĘ U KOLEGÓW PO FACHU, A ARTYKUŁY JEGO UKAZYWAĆ SIĘ BĘDĄ W UCZONYCH PISMACH fachowych. Nie zyska jednak światowego rozgłosu - i na pewno nigdy nie dojdzie do pieniędzy.

I oto zjawia się Boyd Carrington. Człowiek ten świeżo powrócił z Dalekiego Wschodu, miał tytuł baroneta, odziedziczył majątek. Znał Barbarę Franklin, kiedy była śliczną siedemnastoletnią panienką. Nawet myślał wówczas o tym, żeby oświadczyć się jej, a później zawsze wspominał ją z sentymentem. Boyd Carrington wybiera się do Styles, zależy mu na towarzystwie Franklinów i marzy o tym, żeby zamieszkali tam na lato. Barbara się zgadza.

CO ZA FRUSTRACJA! BARBARA ORIENTUJE SIĘ NIEBAWEM, ŻE ZAMOŻNY, SYMPATYCZNY BARONET JEST WCIAŻ JESZCZE POD JEJ UROKIEM, NIE WIE, ŻE JEST TO CZŁOWIEK O STAROŚWIECKICH ZASADACH POSTĘPOWANIA I NAWET NIE POMYŚLI O MOŻLIWOŚCI ROZWIEDZENIA JEJ Z MĘŻEM. JOHN FRANKLIN TAKŻE JEST PRZECIWNIKIEM ROZWODÓW. BARBARA MOGLĄBY WIĘC ZOSTAĆ ŻONĄ BOYDA CARRINGTONA JEDYNIIE W WYPADKU ŚMIERCI JOHNA Franklina. Cóż by to mogło być za wspaniałe życie!

NORTON DOSKONAŁE WIDZI, CO SIĘ DZIEJE W DUSZY PANI FRANKLIN, I NA SERIO ZABIERA SIĘ DO DZIEŁA. Nie napotyka trudności. Pani Franklin staje się woskiem w jego rękach.

ZASTANÓW SIĘ PRZEZ CHWILĘ, HASTINGS, A ZOBACZYSZ, JAKIE TO W GRUNCIE RZECZY BYŁO GRUBYMI NIĆMI SZYTE. A WIĘC NAJPIERW DEMONSTRACJA UCZUĆ DO MĘŻA, POTEM RZUCANE MIMOCHODEM ZDANIA W rodzaju: „Mam ochotę skończyć z tym wszystkim”, „Jestem mu kulą u nogi” i tak dalej.

POTEM ZMIANA TAKTYKI. PANI FRANKLIN ZWIERZA NAM SIĘ Z OBAW, ŻE FRANKLIN ZAMIERZA EKSPERYMENTOWAĆ NA SAMYM SOBIE. POWINNIŚMY SIĘ BYLI DOMYŚLIĆ, DO CZEGO ZMIERZAŁA TA KOBIETA, HASTINGS. BO NAJWYRAŹNIEJ W ŚWIECIE PRZYGOTOWYWAŁA NAS DO TEGO, ŻE FRANKLIN UMRZE OTRU FIZOSTYGMINĄ. MIAŁ WIĘC NA POZÓR PAŚĆ OFIARĄ DOŚWIADCZENIA NAUKOWEGO. WYGLĄDAŁOBY NA TO, ŻI ZAŻYŁ EKSPERYMENTALNIE ZUPEŁNIE - JAK MU SIĘ ZDAWAŁO - NIESZKODLIWY ALKALOID, PO CZYM OKAZAŁO SIĘ, że był to trujący preparat.

JEDYNYM BŁĘDEM BARBARY FRANKLIN OKAZAŁ SIĘ POŚPIECH. OPowiedziałeś mi pewnego dnia, że byłeś przy tym, jak pani Franklin zdenerwowała się, kiedy siostra Craven czytała Boydowi Carringtonowi z ręki. TA MŁODA PIELĘGNIARKA JEST, JAK WIESZ, BARDZO POCIĄGAJĄCA I SKŁONNA DO FLIRTÓW. USIŁOWAŁA NAJPIERW DOBRAĆ SIĘ DO DOKTORA FRANKLINA, ALE SPOTKAŁ JĄ ZAWÓD. STĄD JEJ NIEWĄTPLIW NIECHĘĆ DO JUDITH. ROMANSUJE WPRAWDZIE Z ALLERTONEM, ALE ZDAJE SOBIE ŚWIETNIE SPRAWĘ, ŻE JEST TO PRZELOTNA MIŁOSTKA. NIC WIĘC DZIWNEGO, ŻE UWAGA JEJ SKUPIA SIĘ NA BOGATYM I PRYZSTOJNYM SIR Williamie - i to nie bez powodzenia. Spodobała mu się zdrowa i ładna kobieta.

W Barbarze Franklin budzi się niepokój. Musi się pośpieszyć. Im szybciej zostanie nieszczęśliwą, ale uroczą i bezbronną wdową, tym lepiej. To jasne.

I TAK, PEWNEGO DNIA NAJPIERW PRZEZ KILKA GODZIN UDAJE, ŻE CZUJE SIĘ FATALNIE, A POTEM ZASTAWIA PUŁAPKĘ. WYZNAM CI, MON AMI, ŻE NABRAŁEM WIELKIEGO RESPEKTU DLA FASOLI KALABARSKIEJ. BO WIDZISZ, sprawdziła się. Przynajmniej tym razem. Oszczędziła osobę niewinną, a ukarała przestępcę.

A WIĘC PANI FRANKLIN ZAPRASZA WAS DO SIEBIE. OSOBIŚCIE PRZYRZĄDZA KAWĘ. WEDŁUG TWOJEJ WŁASNEJ RELACJI SWOJĄ FILIŻANKĘ POSTAWIŁA PRZED SOBĄ, NA OBROTOWYM STOLIKU-BIBLIOTECZCE, I PODAŁA

MĘŻOWI - KTÓRY SIEDZIAŁ NAPRZECIWKO NIEJ - DRUGĄ FILIŻANKĘ. POSTAWIŁ JĄ NA TYM SAMYM STOLIKU, TAKŻE TUŻ PRZED SOBĄ. PO CHWILI WSZYSCY WYBIEGAJĄ NA BALKON, ŻEBY POPATRZEĆ NA SPADAJĄCE GWIAZDY. W POKOJU POZOSTAJESZ TYLKO TY. TY, Z TWOJĄ KRZYŻÓWKĄ I SMUTNYMI WSPOMNIENIAMI. CHCĄC OSPANOWAĆ SMUTEK, POSTANAWIASZ SPRAWDZIĆ CYTAT I W TYM CELU OBRACASZ STOLIK, ŻEBY ZNALEŹĆ TOM SZEKSPIRA ZNAJDUJĄCY SIĘ NA DOLNEJ PÓŁECZCE.

PO CHWILI WSZYSCY WRACAJĄ DO POKOJU, A PANI FRANKLIN SIĘGA PO FILIŻANKĘ I WYPIJA KAWĘ Z DUŻĄ DAWKĄ TRUCIZNY, PRZEZNACZONEJ DLA UKOCHANEGO MĘŻA. JOHN FRANKLIN NATOMIAST WYCHYLA NAJSPOKOJNIEJ W ŚWIECIE KAWĘ, KTÓRĄ JEGO PRZEBIEGŁA ŻONA PRZYGOTOWAŁA DLA SIEBIE. POMIMO ŻE Z MIEJSCA SIĘ ZORIENTOWAŁEM, CO ZASZŁO, WIEDZIAŁEM, ŻE NIE POTRAFIŁBYM NICZEGO UDOWODNIĆ. DLATEGO TEŻ MIAŁEM TYLKO JEDNO WYJŚCIE. WIEDZIAŁEM TAKŻE, ŻE GDYBY ŚMIERĆ PANI FRANKLIN NIE ZOSTAŁA UZNANA ZA SAMOBÓJSTWO, PODEJRZENIE PADŁOBY NA JEJ MĘŻA I JUDITH, A WIĘC NA DWOJE ZUPEŁNIE NIEWINNYCH LUDZI. POSTĄPIŁEM TAK, JAK, W MOIM POJĘCIU, MIAŁEM PEŁNE PRAWO POSTĄPIĆ. W MOICH ZEZNANIACH POŁOŻYŁEM nacisk na fakt, że pani Franklin niejednokrotnie wspominała o zamiarze skończenia ze sobą.

ZDAWAŁEM SOBIE SPRAWĘ Z TEGO, ŻE MOJE SŁOWA BĘDĄ DECYDUJĄCE, ALBOWIEM - JAK WIEZ - UCHODZIŁEM OD DAWNA ZA WIELKI AUTORYTET W TYCH SPRAWACH. BYŁEM WSZAK EKSPERTEM W DZIEDZINIE GWALTOWNYCH ZGONÓW. JEŻELI WIĘC JA WYRAŻAŁEM PEŁNE PRZEKONANIE, ŻE STOIMY W OBLICZU samobójstwa, to czy koroner mógł być innego zdania?

PAMIĘTAM, ŻE BYŁEŚ ZASKOCZONY I NIEZBYT ZACHWYCONY MOIMI ZEZNANIAMI. ALE, NA SZCZĘŚCIE, NIE DOMYŚLAŁEŚ SIĘ, JAKIE NIEBEZPIECZEŃSTWO CZYHA NA JUDITH. CZY JEDNAKŻE MYŚL O JEJ WINIE NIE DRĘCZY CIĘ W BEZSENNE NOCE?... CZY ABY NIE ZASTANAWIASZ SIĘ NAD TYM, CZY TWOJA CÓRKA NIE JEST PRZESTĘPCZYNIĄ? CZY PODEJRZENIE TO NIE BUDZIŁO SIĘ W GŁĘBI TWOJEGO SERCA, BY JAK HYDRA PODNOSIĆ złowróżbny łeb?...

NIE MOGĘ MIEĆ PEWNOŚCI, ŻE TAK NIE JEST, I DLATEGO KREŚLĘ DO CIEBIE TE SŁOWA. CHCĘ, ŻEBYŚ ZNAŁ prawdę.

BYŁ JEDNAKŻE CZŁOWIEK, KTÓREGO WYROK PRZYSIĘGLYCH NIE ZADOWOLIŁ. NORTON. BO WIDZIS SPRZĄTNIĘTO MU SPRZED NOSA - JAK SZAJLOKOWI - JEGO FUNT LUDZKIEGO MIĘSA. BYŁ TO PRZECIEŻ PRAWDZIWY SADYSTA. PRAGNAŁ SIĘ NACIESZYĆ CAŁĄ GAMĄ CUDZYCH EMOCJI, LĘKÓW, PODEJRZEŃ. A OTO ZOSTAJ POZBAWIONY UPRAGNIONEGO WIDOWISKA. TAK STARANNIE UKARTOWANA PRZEZ NIEGO ZBRODNIA NIE POWIODŁA się.

NIEBAWEM SIĘ ZORIENTOWAŁ, ŻE WSZYSTKO DA SIĘ NADROBIĆ, I TO Z NAWIĄZKĄ. ROZPOCZĄŁ WIĘC NOWĄ GRĘ. JUŻ PRZEDTEM OŚWIADCZYŁ CI, ŻE NIECHCĄCY COŚ ZOBACZYŁ PRZEZ LORNETKĘ, COŚ, CO GO NAJ WYRAZ SPESZYŁO. BYŁ TO OCZYWIŚCIE CZYSTY WYMYSŁ. CHODZIŁO MU O TO, ŻEBY W TWOJEJ WYOBRAŹNI POWSTAŁ OBRAZ JUDITH I ALLERTONA W KOMPROMITUJĄCEJ SYTUACJI. NIE POWIEDZIAŁ NIC KONKRETNEGO, MÓC WIĘC TERAZ WYKORZYSTAĆ TEN INCYDENT W ZUPEŁNIE INNYCH CELACH.

MÓGL NA PRZYKŁAD OZNAJMIĆ, ŻE WIDZIAŁ WÓWCZAS FRANKLINA I JUDITH. RZUCIŁOBY TO, RZECZ JASNA. ZUPEŁNIE INNE ŚWIATŁO NA CAŁĄ SPRAWĘ DOMNIEMANEGO SAMOBÓJSTWA PANI FRANKLIN. BYĆ MOŻE, wzbudziłoby nawet podejrzenia.

Uznałem więc, MON AMI, ŻE NIE MA JUŻ CHWILI DO STRACENIA. POPROSIŁEM CIĘ, ŻEBY Ś GO PRZYSTAŁ

na górę tego wieczora...

OPOWIEM CI TERAZ DOKŁADNIE PRZEBIEG TEJ WIZYTY. NORTON MIAŁ NIEWĄTPLIWIE OPOWIEDZIEĆ MI TĘ TWOJĄ SFABRYKOWANĄ HISTORYJKĘ, ALE NIE DAŁEM MU DOJŚĆ DO GŁOSU. ODWROTNIE, TO JA POWIEDZIAŁEM MU W SŁOWACH JASNYCH I PROSTYCH WSZYSTKO, CO O NIM WIEDZIAŁEM.

NIE BRONIŁ SIĘ, NIE ZAPRZECZAŁ. NIE, MON AMI. TEN CZŁOWIEK SIEDZIAŁ PRZED MĄ I UŚMIECHAŁ SIĘ GŁUPAWO. MAIS OUI. NIE POTRAFIŁBYM TEGO INACZEJ WYRAZIĆ. TEN NIKCZEMNIK UŚMIECHAŁ SIĘ GŁUPAWO. WRESZCIE ZAPYTAŁ, CO ZAMIERZAM ZROBIĆ. ODPARŁEM, ŻE POSTANOWIŁEM WYMIERZYĆ MU SPRAWIEDLIWOŚCI OSOBIŚCIE WYKONAĆ NA NIM WYROK.

- Ho, ho - roześmiał się. - Rozumiem. A więc trucizna czy sztylet?

WŁAŚNIE ZABIERALIŚMY SIĘ DO PICIA GORĄCEJ CZEKOLADY. NIE WIEM, CZY ZAUWAŻYŁEŚ, ŻE NORTON BYŁ WIELKIM ŁASUCHEM.

- NAJPROSTSZY BYŁBY ZATRUTY NAPÓJ - ODPARŁEM. I PODAŁEM MU FILIŻANKĘ ŚWIEŻO PRZEZE MNIE NALANEJ CZEKOLADY.

- W takim razie - zapytał z ironią - pozwoli pan, że wypiję z pańskiej filiżanki.

- PROSZĘ BARDZO - ODPARŁEM. W ISTOCIE BYŁO MI TO OBOJĘTNE, GDYŻ JAK JUŻ WSPOMNIAŁEM, CODZIENNIE BIORĘ ŚRODEK NASENNY. A PONIEWAŻ TRWA TO JUŻ OD DŁUŻSZEGO CZASU, UODPORNIAŁEM SIĘ DO PEWNEGO STOPNIA I DAWKA, KTÓRA MOGŁA UŚPIĆ NORTONA W BARDZO KRÓTKIM CZASIE, NA MNIE W OGÓLE JUŻ NIE DZIAŁAŁA. A W OBYDWU FILIŻANKACH CZEKOLADY ZNAJDOWAŁA SIĘ RÓWNA ILOŚĆ NASENNEGO LEKU. WYPILIŚMY. NA NIEGO LEK PODZIAŁAŁ - JAK WIESZ - JUŻ PO KILKUNASTU MINUTACH. NA MNIE WCAŁE. Zwłaszcza że przedtem przełknąłem jeszcze dużą łyżkę wzmacniającego lekarstwa.

I tak dotarliśmy właśnie do ostatniego rozdziału. Kiedy Norton usnął, wpakowałem go na mój fotel na kółkach - nie było to trudne, gdyż jest zaopatrzony w mnóstwo specjalnych urządzeń - i pchnąłem za kotarę, gdzie zwykle stał. Wezwałem Curtissa, który „ułożył mnie do snu”. Kiedy w domu zapanowała cisza, zawiozłem Nortona do jego pokoju. Pozostało już tylko zaufać oczom i uszom mojego znakomitego przyjaciela Hastingsa.

WIEM, ŻE NIE ZAUWAŻYŁEŚ TEGO, MÓJ DROGI, ALE OD DŁUŻSZEGO CZASU NOSZĘ PERUCZKĘ. A NA PEWNO JUŻ NIE SPOSTRZEGŁEŚ, ŻE I MOJE WĄSY SĄ FAŁSZYWE. (NAWET GEORGE TEGO NIE WIE!) WKRÓTCE PO ZAANGAŻOWANIU Curtissa udałem, że osmaliłem je przez nieuwagę, i zamówiłem sobie sztuczne.

NAŁOŻYŁEM SZLAFROK NORTONA, ZMIERZWIŁEM SIWE WŁOSY, PODSZEDŁEM DO TWOICH DRZWI I ZASTUKAŁEM. PO CHWILI OTWORZYŁEŚ JE I SPOJRZAŁEŚ ZASPANYMI OCZAMI W GŁĄB KORYTARZA. ZAUWAŻYŁEŚ NORTONA OPUSZCZAJĄCEGO ŁAZIENKĘ I KUŚTYKAJĄCEGO W STRONĘ SWOJEGO POKOJU. USŁYSZAŁEŚ ZGRZYT KLUCZKA W ZAMKU I STWIERDZIŁEŚ, ŻE ZAMKNAŁ SIĘ OD ŚRODKA.

A JA NAŁOŻYŁEM UŚPIONEMU NORTONOWI SZLAFROK, UŁOŻYŁEM GO NA ŁÓŻKU I ZASTRZELIŁEM GO Z MAŁEJ PISTOLETU, KTÓRY ZAKUPIŁEM KIEDYŚ ZA GRANICĄ. BROŃ TĘ UKRYWAŁEM STARANNIE; WYJAŁEM JĄ TYLKO DWA RAZY, ŻEBY ZAKRAŚĆ SIĘ DO POKOJU NORTONA I POŁOŻYĆ GO TAM OSTENTACYJNIE NA TOALETCE. CZYNIŁEM

WÓWCZAS, KIEDY WIEDZIAŁEM NA PEWNO, ŻE NORTONA NIE BĘDZIE NA GÓRZE PRZEZ CAŁE POPOŁUDNIE. ZA KAŻDYM RAZEM UDAWAŁO MI SIĘ PRZEJŚĆ Z MOJEGO POKOJU DO JEGO I Z POWROTEM TAK, ŻE NIKT MNIE NIE zauważył.

ALE POWRÓCMY DO OSTATNIEJ NOCY. PO ZABICIU NORTONA WŁOŻYŁEM KLUCZ OD JEGO DRZWI DO KIESZENI SZLAFROKA. WYSZEDŁEM, ZAMKNAŁEM JEGO POKÓJ OD ZEWNĄTRZ DRUGIM KLUCZEM I ODWIOZŁEM FOTEI na kółkach do siebie.

Nazajutrz zabrałem się do pisania niniejszego wyjaśnienia.

JESTEM BARDZO ZMĘCZONY... STAN MOJEGO ZDROWIA NIEWĄTPLIWIE POGORSZYŁ SIĘ NA SKUTEK EMOCJI I wysiłków ostatnich kilku dni. Wydaje mi się, że pozostało mi już bardzo niewiele czasu, zanim...

Chciałbym podkreślić kilka szczególnych momentów.

Zbrodnie Nortona były doskonałe.

Moja nie. Zresztą nie miałem takich ambicji.

NAJŁATWIEJSZYM I NAJLEPSZYM SPOSOBEM USUNIĘCIA GO BYŁOBY PO PROSTU ZABICIE GO BEZ WIĘKSZYCH CEREGIELI. MOŻNA BY BYŁO NA PRZYKŁAD UPOZOROWAĆ WYPADEK PRZY CZYSZCZENIU BRONI. UDAWAŁBYM PÓŹNIEJ, ŻE JESTEM NIEPOCIESZONY, ŻE NIE PRZYPUSZCZAŁEM, IŻ COŚ PODOBNEGO MOŻE MI SIĘ PRZYTRAFIĆ. MÓWIONO BY OCZYWIŚCIE: „STARY STRACIŁ DAWNĄ SPRAWNOŚĆ... CÓŻ... ZRAMOLAŁ... WIDAĆ NI zdawał sobie sprawy, że broń jest nabita. Ce pauvre vieux”.

Wybrałem jednakże inną drogę.

Powiem ci, dlaczego.

Bo widzisz, Hastings, postanowiłem trzymać się ściśle reguł gry.

MAIS OUI! TYM RAZEM POSTĘPUJĘ TAK, JAK ZAWSZE CHCIAŁEŚ, ŻEBYM POSTĘPOWAŁ. NIE UKRYWAM NICZEGO. GRAM W OTWARTE KARTY. NIE BAWIĘ SIĘ Z TOBĄ W KOTKA I MYSZKĘ. NIE STOSUJĘ ŻADNYCH sztuczek. Podaję Ci wszystkie dane. Masz wielką szansę wykrycia prawdy.

Oto raz jeszcze wszystkie ważne informacje.

Klucze.

WIESZ, GDYŻ SAM CI POWIEDZIAŁEM, ŻE NORTON PRZYJECHAŁ DO STYLES W KILKA DNI PO MNIE. WIESZ RÓWNIEŻ - I TO CI TAKŻE POWIEDZIANO W SWOIM CZASIE - ŻE NA POCZĄTKU MIESZKAŁEM W INNYM POKOJU. WIESZ, BO BYŁA O TYM MOWA W CZASIE MOJEGO POBYTU W PIERWSZYM POKOJU, ŻE ZAGINAŁ KLUCZ OD DRZWI i że kazałem sporządzić inny.

I DLATEGO, KIEDY STAWIASZ SOBIE PYTANIE: KTO ZABIŁ NORTONA? KTO MÓGŁ GO ZASTRZELIĆ I OPUŚĆ POKÓJ, ZAMYKAJĄC DRZWI NA KLUCZ OD ŚRODKA, SKORO KLUCZ ZNALAZŁ SIĘ PÓŹNIEJ W KIESZENI NORTONA?... Ta odpowiedź na nie brzmi: „Herkules Poirot, który miał drugi klucz do pokoju zamordowanego”.

Człowiek, którego widziałeś na korytarzu.

SAM CIĘ PYTAŁEM - PAMIĘTASZ? - CZY JESTEŚ PEWIEN, ŻE CZŁOWIEK, KTÓREGO WIDZIAŁEŚ OWEJ NOCY NA KORYTARZU, TO NORTON. ZASKOCZYŁO CIĘ TO. ZAPYTAŁEŚ DOSŁOWNIE, CZY SUGERUJĘ, ŻE TO NIE BYŁ NOR ODPARŁEM - ZGODNIE Z PRAWDĄ - ŻE NIE ZAMIERZAM CI NICZEGO SUGEROWAĆ. (RZECZ JASNA, SKORO ZADAŁEM SOBIE TYLE TRUDU, ŻEBY MNIE WZIĘTO ZA NORTONA). NASTĘPNIE PORUSZYŁEM SPRAWĘ JEGO WZROSTU. WSZYSC PRZEBYWAJĄCY W STYLES MĘŻCZYŹNI, POWIEDZIAŁEM, SĄ WYŻSI OD NORTONA. A JEDNAK - BYŁ JEDEN NIŻSZY. I TO WŁAŚNIE JA, HERKULES POIROT. ALE NIE JEST TRUDNO PODWYŻSZYĆ SIĘ O PARĘ CENTYMETRÓW. MOŻ WŁOŻYĆ BUTY NA KOTURNACH, WSUNĄĆ KORKI POD PIĘTY. BYŁEŚ PEWIEN, ŻE JESTEM BEZRADNYM KALEKĄ. PRAWDA? A WŁAŚCIWIE NA JAKIEJ PODSTAWIE? TYLKO DLATEGO, ŻE JA CI TO POWIEDZIAŁEM. ODPRawiŁEM GEORGE'A. PRZYPOMNIJ SOBIE, ŻE MOJĄ OSTATNIĄ WSKAZÓWKĄ DLA CIEBIE BYŁO, ŻEBYŚ Z NIM POROZMAWIAŁ. „Idź i porozmawiaj z George'em”, poprosiłem. Pamiętasz?

OTELLO I CLUTIE JOHN MIELI CIĘ OSTATECZNIE NAPROWADZIĆ NA TROP IKSA. UDOWODNIĆ CI, ŻE IKSEM jest Norton.

Zgoda. Ale w takim razie kto zabił Nortona.

Herkules Poirot. To jasne.

GDYBYŚ POSZEDŁ PO LINII TEGO ROZUMOWANIA, WSZYSTKO UŁOŻYŁOBY CI SIĘ W LOGICZNĄ CAŁOŚĆ. WSZYSTKO, CO ROBIŁEM I CO MÓWIŁEM, A TAKŻE MOJA NIEZROZUMIAŁA TAJEMNICZOŚĆ. OD MOICH LEKARZY W EGIPCIE I OD MOJEGO STAŁEGO LEKARZA W LONDYNIE MOGŁEŚ SIĘ BEZ TRUDU DOWIEDZIEĆ, ŻE JESTEM ZDOLNY DO PORUSZANIA SIĘ O WŁASNYCH SIŁACH. GEORGE WSPOMINAŁ CI ZAPEWNE, ŻE KULAŁEM BARDZIEJ NIŻ NORTON, bo tego nie potrafiłem już ukryć.

WRESZCIE SPRAWA STRZAŁU. TU MUSZĘ SIĘ PRYZNAĆ, ŻE POPEŁNIŁEM BŁĄD. NALEŻAŁO - JAK WKRÓTCI POTEM ZROZUMIAŁEM - STRZELIĆ MU W PRAWĄ SKROŃ. ALE NIGDY NIE LUBIŁEM ASYMETRII, WIESZ PRZECIEŻ. STRZAŁ Z BOKU NIE BYŁBY W MOIM STYLU. MUSIAŁEM STRZELIĆ DOKŁADNIE W SAM ŚRODEK CZOLA. TAKI JU jestem...

Oj, Hastings, Hastings, myślałem, że przynajmniej to naprowadzi Cię na właściwy trop.

A ZRESZTĄ, BO JA WIEM? MOŻE PODEJRZEWAŁEŚ MNIE OD DAWNA? MOŻE TE SŁOWA NIE MÓWIĄ CI NIC nowego?

Jakoś nie chce mi się w to wierzyć...

Nie. Jesteś na to zbyt prostolinijny...

Zbyt masz szlachetną naturę...

CÓŻ CI JESZCZE POWIEDZIEĆ? WYDAJE MI SIĘ, ŻE ZARÓWNO FRANKLIN, JAK I JUDITH DOMYŚLAŁI SIĘ WSZYSTKIEGO, ALE WOLELI MILCZEĆ. JESTEM GŁĘBOKO PRZEKONANY, ŻE SĄ ZE SOBĄ SZCZĘŚLIWI. PIENIEDZY MIEĆ NIE BĘDĄ, ZA TO STANĄ SIĘ OFIARAMI NIEZLICZONEJ ILOŚCI TROPICALNYCH INSEKTÓW I DZIWNYCH tropikalnych chorób. No cóż, każdy człowiek inaczej widzi swoje szczęście...

ALE CO SIĘ STANIE Z TOBĄ, MÓJ BIEDNY, SAMOTNY PRZYJACIELU? KIEDY MYŚLĘ O TWOIM LOSIE, SERCE mi się ściska. Błagam cię, posłuchaj po raz ostatni rady Twojego Poirota.

KIEDY SKOŃCZYSZ CZYTAĆ, WSIĄDŹ DO POCIĄGU, AUTOBUSU CZY SAMOCHODU I POJEDŹ DO ELIZABETH COLE, CZYLI ELIZABETH LITCHFIELD. DAJ JEJ TE KARTKI DO PRZECZYTANIA ALBO OPowiedz ICH TREŚĆ. POWIEJ JEJ, ŻE O MAŁY WŁOS NIE POPEŁNIŁEŚ DOKŁADNIE TAKIEJ SAMEJ ZBRODNI JAK JEJ SIOSTRA MARGARET. ZAPOBIEG TEMU TYLKO TWÓJ CZUJNY PRZYJACIEL, HERKULES POIROT. ZDEJMIJ Z NIEJ PRZYGNIAAJĄCY CIĘŻAR I UDOWODNIJ ŻE JEJ OJCIEC NIE ZOSTAŁ WCALE ZAMORDOWANY PRZEZ WŁASNĄ CÓRKĘ, ALE PRZEZ BLISKIEGO I JAKŻE sympatycznego przyjaciela rodziny, „uczciwego Jagona”. Innymi słowy, przez Stephena Nortona.

Nie ma bowiem sensu, aby tak młoda jeszcze i ładna kobieta rezygnowała z życia i uważała się za napiętnowaną dlatego, że w jej rodzinie zdarzyła się tragedia. To doprawdy nie ma sensu. Przekonaj ją o tym, przyjacielu, Ty, który na pewno możesz jeszcze podobać się kobietom...

EH BIEN, TO CHYBA WSZYSTKO, CO MIAŁEM CI DO POWIEDZENIA. NIE WIEM, CZY TO, CO UCZYNIŁEM, DA SIĘ USPRAWIEDLIWIĆ, CZY NIE. NAPRAWDĘ NIE WIEM. ZAWSZE PRZECIEŻ TWIERDZIŁEM, ŻE NIKT NIE POWINIEN wymierzać sprawiedliwości na własną rękę...

ALE Z DRUGIEJ STRONY... PRAWO TO JA! KIEDY BYŁEM JESZCZE MŁODYM DETEKTYWEM W BELGIJSKIEJ POLICJI, ZABIŁEM OSZALAŁEGO CZŁOWIEKA, KTÓRY SIEDZIAŁ NA DACHU I STRZELAŁ DO PRZECHODNIÓW. W okresach zagrożenia powołuje się wszak sądy wojenne.

Usuwanie Nortona, uratowałem życie wielu ludziom, to pewne. I to niewinnym ludziom. Mimo to mam jeszcze wątpliwości... może to i dobrze... przecież nigdy ich nie miałem... przez całe życie byłem aż nazbyt pewny siebie...

Teraz jednak pokornie chylę głowę i jak małe dziecko mówię: „Nie wiem...”.

Żegnaj, CHER AMI. ODSUNĄŁEM TABLETKI NITROGLICERYNY DALEKO OD ŁÓŻKA. CHCĘ BYĆ DZISIAI całkowicie w rękach naszego bon Dieu. Niechaj łaska Jego bądź kara spotka mnie jak najszybciej.

JUŻ NIGDY NIE BĘDIEMY RAZEM TROPILI ŚLADÓW, PRZYJACIELU! TU WŁAŚNIE, NA TYM TERENIE, polowaliśmy pospołu po raz pierwszy, a i po raz ostatni...

Przeżywaliśmy piękne dni.

O tak, były to piękne dni...

(Koniec rękopisu Herkulesa Poirot).

NOTATKA KAPITANA HASTINGSA NA OSTATNIEJ KARTCE: SKOŃCZYŁEM LEKTURĘ... JESZCZE NIE MOGĘ W UWIERZYĆ... ALE ZNAM GO, ON NA PEWNO MÓWI PRAWDĘ. OCZYWIŚCIE. POWINIENEM BYŁ SAM DOMYŚLIĆ SIĘ wszystkiego. Powinienem był odgadnąć, gdy zobaczyłem ranę na samym środku czoła Nortona.

JAKIEŻ ŻYCIE JEST DZIWNE. DZISIAJ RANO OBUDZIŁEM SIĘ NARESZCIE Z GOTOWĄ ODPOWIEDZIĄ NA pytanie, które dręczyło mnie od dłuższego czasu. Ta rana na czole Nortona... to było piętno Kaina...

[1] Aluzja do słynnego z despotyzmu ojca poetki angielskiej Elizabeth Barrett-Browning (1806-1861) (przyp. tłum.).

[2] Asquith Herbert Henry, 1852-1928, w latach 1908-1916 premier Wielkiej Brytanii (przyp. red.).

[3] Akt III, sc. III, przełożył Józef Paszkowski